

ZESZYT TRZYDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

ZESZYT TRZYDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 268

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

Roman ZAMBROWSKI*

UWAGI O WOJNIE POLSKO-RADZIECKIEJ 1920 ROKU

Nie jestem historykiem, należę raczej do gatunku *homo politicus*, ale okres ostatnich 50 lat jest dla mnie wciąż żywy, choć jest już historią. W toku wieloletniej działalności politycznej przed i po wojnie mogłem się przekonać, jak trwałe jeszcze ślady — bynajmniej nie pochlebne dla Rosji Sowieckiej i polskich komunistów — pozostawiła w pamięci narodowej wojna 1920 r. Może dlatego tak uparcie doszukuję się odpowiedzi na pytanie „jak to było naprawdę” i tak ostry sprzeciw budzi we mnie zamazywanie, zacieranie prawdy historycznej *ad usum Delphini*.

Historiografia Polski Ludowej słusznie wskazuje na poważne negatywne następstwa dla późniejszego rozwoju Polski antyradzieckich pochodów wojsk Piłsudskiego w latach 1919-1920. Szczególnie przekonywująco potraktowała tę sprawę najobszerniejsza i najbardziej wnikliwa synteza historyczna: *Historia Polski*¹. Jest też jednak faktem i na nic nie zdadzą się próby zamazywania jego wymowy, że również marsz Armii Czerwonej na Warszawę w specyficzny sposób i na długie lata zaciążył na stosunku społeczeństwa polskiego wobec Rosji Sowieckiej oraz komunistów polskich, którzy udzielili poparcia dla ofensywy Armii Czerwonej oraz dążyli w oparciu o nią do ustanowienia

1. Praca zbiorowa. IH PAN, t. 4, cz. 1.

* Roman ZAMBROWSKI (ur. 1909); w okresie międzywojennym działacz KZMP i KPP, sekretarz KC KZMP i jego przedstawiciel w KW Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży, więzień Berezki; w okresie drugiej wojny światowej jeden z organizatorów wojska polskiego w ZSSR; od 1944 członek Prezydium KRN, następnie Rady Państwa od 1955, 1947-52 wicemarszałek Sejmu, 1955-56 minister Kontroli Państwowej, od 1945 członek Biura Politycznego KC PPR, następnie PZPR, 1945-54 i od 1956 sekretarz KC; w 1956 roku ustąpił z Biura Politycznego i Sekretariatu i został mianowany wiceprezesem Najwyższej Izby Kontroli Państwa, w marcu 1968 został pozbawiony tego stanowiska i wykluczony z partii.

Polskiej Republiki Rad. Tymczasem historiografia w Polsce Ludowej ujawnia wyjątkową powściągliwość na ten temat, zaś niektóre jego aspekty traktuje wręcz jako tabu. Od przemilczeń i uników w tej sprawie nie jest nawet wolna Historia Polski IH PAN, jednak szczyty upraszczania i tendencyjności osiągnęły: radziecka pięcioletnia historia wojny domowej oraz polskie syntezy historyczne Zakładu Historii Partii.

Nie da się zaprzeczyć, że dzieje wojny polsko-radzieckiej 1920 roku ze szczególną ostrością stawiają przed historykiem współczesnym szereg trudnych, drażliwych i delikatnych problemów. Wynika to z faktu, że posiadają one w dalszym ciągu żywą wymowę polityczną. Generalnie bowiem rzecz biorąc, główne polityczne linie podziału w ocenie charakteru wojny 1920 roku — międzywojenna burżuazyjna z jednej strony oraz KPP'owska ocena, pokrywająca się z radziecką — z drugiej, pozostały po dziś nie zmienione.

Moje zastrzeżenia do ujęcia wojny 1920 roku przez wydawnictwa Zakładu Historii Partii dotyczą głównie tego etapu wojny, który rozpoczął się od przekroczenia przez wojska radzieckie etnograficznych granic Polski. Historia jest nauką wartościującą. Tymczasem zarówno marsz Armii Czerwonej na Warszawę, jak i próba „sowietyzacji” Polski w oparciu o siłę zbrojną z zewnątrz, traktowane są często w sposób bezproblemowy, jako sprawy, które nie mogą budzić wątpliwości — ot, naturalna konsekwencja szczęśliwego dla Rosji Sowieckiej biegu wydarzeń na polach bitew. Ponadto, wszystkie kolejne syntezy historyczne Zakładu Historii Partii w sposób jednoznaczny pozytywnie oceniły stanowisko komunistów polskich wobec marszu Armii Czerwonej na Warszawę, przemilczając nawet, że marsz ten na długie lata zaciążył na stosunku społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza na postawie inteligencji polskiej wobec Rosji Sowieckiej oraz komunistów polskich.

Takie jednostronne podejście do tak skomplikowanego tematu, jakim są dzieje wojny 1920 roku oraz traktowanie wielu jej delikatnych i drażliwych tematów jako tabu, sprzyja tworzeniu się próżni, w której łatwo konserwują się najbardziej bałamutne oceny z okresu międzywojennego. Historyk nie może bowiem lekceważyć mitów i legend, w które w okresie II-giej Rzeczypospolitej obrosła wojna 1920 roku. W ciągu niemal dwudziestu lat po tej wojnie wszystkie tradycyjne kierunki polityczne, a także kościół, szkoła i cała niemal prasa ukazywały głównie ten jej okres, który oficjalnie nazywano najazdem bolszewickim na Polskę. 15 sierpnia — zwycięstwo wojsk polskich w bitwie pod Warszawą — świętowano każdego roku jako „cud nad Wisłą”. I zawsze w całym tym okresie ofensywa wojsk radzieckich w Polsce przedstawiana była jako próba pozbawienia jej niepodległego bytu oraz kontynuacja carskiej polityki zaborów.

A kto może ocenić, jakie miejsce zajmują dziś te poglądy w świadomości historycznej społeczeństwa wobec — jak wiemy — splątania i skrzyżowania się w niej wpływów najrozmaitszych tradycji historycznych?

Jedno można jednak z pewnością stwierdzić. Jeśli się chce, aby świadomość historyczną społeczeństwa kształtowała historiografia, a nie ustna tradycja, to historyk — szczególnie gdy podejmuje tak żywe jeszcze politycznie tematy, jak wojna 1920 roku — powinien rozwijać je w sposób, który budzi absolutne zaufanie, że chodzi tylko o odpowiedź na pytanie: jak to było naprawdę? A to oznacza, że historyk opisujący dzieje wojny 1920 roku powinien uwzględnić, że czytelnik, nawet życzliwie ustosunkowany do ZSRR, oczekuje od niego odpowiedzi na szereg często drażliwych kwestii.

A więc, jakie w rzeczywistości były motywy i cele ofensywy wojsk radzieckich na Polskę? Czy celem jej było rozgromienie sił zbrojnych agresora — wojsk Piłsudskiego na jego własnym terytorium dla uzyskania pokoju, czy też wojna rewolucyjna, zmierzająca do kreowania Polskiej Republiki Rad i uczynienie z niej pomostu do objętych wrzeniem rewolucyjnym Niemiec? Czy jednak ustanowienie Polskiej Republiki Rad w oparciu o siłę zbrojną Armii Czerwonej nie znajdowało się w sprzeczności z głoszonym przez partię bolszewicką prawem narodu polskiego do samostanowienia? Więcej, czy nie znajdowało się to w sprzeczności z wielokrotnie podkreślanym przez władze radzieckie uznaniem niepodległości Polski? I wreszcie, jeśli ofensywa Armii Czerwonej na Polskę była błędem, to na czym on polegał i jakie były jego źródła?

Odrębne zagadnienie — to stanowisko komunistów polskich wobec pochodu Armii Czerwonej na Warszawę. Ważną sprawą jest ukazanie skomplikowanego splotu obiektywnych i subiektywnych uwarunkowań, które podyktowały KPRP pełne poparcie dla ofensywy wojsk radzieckich, kurs na rewolucyjne zakończenie wojny oraz utworzenie Polskiej Republiki Rad. Istotne w związku z tym jest ukazanie pozycji polskich przywódców komunistycznych, przebywających w Moskwie, bo nie pozostała ona bez wpływu na stanowisko KPRP oraz ujawnienie różnicy zdań, jaka zarysowała się wśród kierowniczych działaczy komunistycznych w momencie, gdy Armia Czerwona podchodziła w toku swej kontrofensywy do granic etnograficznych Polski i na porządku dnia stała się sprawa rokowań o zawieszenie broni. Istotne wreszcie jest wyjaśnienie, jakie w czasie wojny było stanowisko KPRP w sprawie niepodległości Polski i co w tym stanowisku było błędne.

Nie jest tu miejsce dla wyczerpującej odpowiedzi na te kwestie. Ograniczę się więc do poszczególnych uwag:

1. Decyzja w sprawie ofensywy wojsk radzieckich stanowiła zwrot w polityce kierownictwa radzieckiego wobec Polski. W jego

planach bowiem, ze względu na wewnętrzny układ sił politycznych w Polsce, na jej historię i tradycje, ale również ze względu na stanowisko Ententy, nie leżało ani narzucenie siłą Polsce ustroju socjalistycznego, ani włączenie jej do radzieckiego systemu federacyjnego. Zwrot ten nastąpił pod wpływem oszałamiających sukcesów wojennych. One to spowodowały w kierownictwie radzieckim zasadniczą zmianę priorytetów: zawarcie pokoju przestało być dominującym celem, gdy wojna zmieniła swój charakter — z obronnej przekształciła się w „wojnę rewolucyjną”, która miała przeobrazić Polskę burżuazyjną w Polskę Rad.

Byłoby jednak uproszczeniem sprowadzać przyczyny tego zwrotu li-tylko do sukcesów militarnych. U jego podłoża leżały motywy polityczne najbardziej zasadniczego znaczenia.

Olbryzi wpływ na tę zmianę w polityce rządu radzieckiego miały przesunięcia w układzie sił wewnętrznych w Federacji rosyjskiej oraz w jej sytuacji międzynarodowej. Po rozgromieniu Judenicza, Kołczaka, Denikina, po zwycięstwach nad obcymi interwentami, gdy wojna domowa miała się już ku końcowi, Polska — w oczach przywódców radzieckich — wysunęła się jako główna siła interwencyjna Ententy, a wiele wskazywało, że może ona pozostać taką w ciągu długich lat.

Jeszcze w listopadzie 1920 roku Lenin zauważa, że zawarcie wbrew Entencie pokoju z Polską było trudniejsze, niż poprzednio z Finlandią, Estonią i Łotwą. Burżuazja bowiem tych krajów „nie miała własnych imperialistycznych celów, w imię których walka przeciwko Republice Radzieckiej zdawała się nieodzowna”. Inaczej jest z Polską.

„Spośród małych państw, które wchodziły dawniej w skład byłego imperium rosyjskiego, Polska w ciągu trzech ostatnich lat należała do liczby tych, które żywiły najbardziej wrogie uczucia do narodowości wielkoruskiej oraz rościły najwięcej pretensji do dużej części terytoriów nie zamieszkałych przez Polaków. ... W tym samym kierunku pcha ją ponadto stara, odwieczna walka Polski, która była niegdyś wielkim mocarstwem i przeciwstawia się teraz wielkiemu mocarstwu — Rosji. ... Jeśli w swych planach interwencji wojennej, obliczonych na dłuższą metę, Ententa może liczyć na jakiegokolwiek z państw zachowujących ustrój burżuazyjny i graniczących z Rosją — to tylko na Polskę²”.

Jeszcze większe znaczenie miała świadomość w kierownictwie radzieckim gigantycznych trudności, związanych z budową socjalizmu w Rosji oraz pokładane przez to kierownictwo nadzieje na pomoc ze strony zwycięskiej rewolucji europejskiej. Lenin w pełni zdawał sobie sprawę ze specyfiki rosyjskiej rewolucji, z niedojrzałości cywilizacyjnej i kulturalnej Rosji, z braku w niej „obiektywnych przesłanek ekonomicznych dla socjalizmu” oraz

2. *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. 31, str. 415-416.

„takiego poziomu sił wytwórczych, przy którym możliwy jest socjalizm³”.

W listopadzie 1920 roku Lenin podkreślał:

„Kiedy przed trzema laty wysuwaliśmy sprawę zadań i warunków zwycięstwa rewolucji proletariackiej w Rosji, zawsze mówiliśmy wyraźnie, że zwycięstwo to nie może być trwałe, jeśli rewolucji tej nie poprze rewolucja proletariacka na Zachodzie, że właściwa ocena naszej rewolucji możliwa jest jedynie z międzynarodowego punktu widzenia. Aby odniesione przez nas zwycięstwo było trwałe, musimy dopiąć tego, by rewolucja proletariacka zwyciężyła we wszytkich albo przynajmniej w kilku głównych krajach kapitalistycznych⁴...”.

Jednocześnie kierownictwo partii bolszewickiej, jak i cały Komintern, oceniając w 1920 roku sytuację w Europie jako rewolucyjną, główne i najbardziej dojrzałe ogniwo europejskiego procesu rewolucyjnego upatrywały w powersalskich Niemczech. Jak wielkie znaczenie miał ten aspekt marszu Armii Czerwonej na Warszawę (*nota-bene* całkowicie przemilczany przez naszą historiografię) wskazuje następujący wywód Lenina:

„Pokój wersalski uczynił z Polski państwo buforowe, które ma odgradzić Niemcy od zetknięcia się z radzieckim komunizmem i które Ententa traktuje jako oręż przeciwko bolszewikom⁵. ... Gdyby Polska stała się radziecka, gdyby robotnicy warszawscy otrzymali od Rosji Radzieckiej pomoc, na którą czekali i którą z radością witali, Pokój Wersalski zostałby rozbity i cały system międzynarodowy, ustanowiony dzięki zwycięstwom nad Niemcami, runąłby. Francja nie miałaby wówczas buforu odgradzającego Niemcy od Rosji Radzieckiej. ... Oto dlaczego dotarcie wojsk czerwonych pod Warszawę znamięnowało kryzys międzynarodowy, oto dlaczego poruszyło to tak bardzo całą prasę burżuazyjną. Sprawa wzięła taki obrót, że jeszcze kilka dni zwycięskiej ofensywy Armii Czerwonej, a nie tylko Warszawa zostałyby zdobyte (to nie byłoby tak istotne), lecz rozbity zostałby Pokój Wersalski⁶”.

W jeszcze bardziej konkretny sposób wypowiedział się na ten temat w 1923 roku gen. Tuchaczewski we wspomnianej już pracy „Pochód za Wisłą:

„Było zupełnie jasne, że nawet w razie zupełnego rozgromienia Polski 'panów' wojna klasowa nie mogłaby być przerwana i musiałyby stanowczo przelać się żywiołowo do krajów Europy środkowej⁷”.

Rozdział swej pracy, zatytułowany „Rewolucja z zewnątrz”, Tuchaczewski kończy następującymi słowami:

3. *Tamże*, t. 33, str. 493-498 — „O naszej rewolucji” — W związku z notatkami N. Suchanowa.

4. *Tamże*, t. 31, str. 417.

5. *Tamże*, t. 31, str. 306.

6. *Tamże*, t. 31, str. 307-308.

7. Por. Załącznik do cyt. pracy J. Piłsudskiego „Rok 1920”, str. 299-300.

„Rewolucja z zewnątrz była możliwa. Europa kapitalistyczna była wstrząśnięta do głębi i gdyby nie nasze błędy strategiczne, nie nasza przegrana na polu walki, to być może, że wojna polska stałaby się ogniwem, które by rewolucję październikową złączyło z rewolucją zachodnio-europejską⁸”.

Ta sama strategia, nacelowana na pomoc przede wszystkim dla rewolucji niemieckiej, podyktowała też rządowi radziekiemu oraz Międzynarodówce ich linię poparcia dla strony niemieckiej podczas plebiscytu na Górnym Śląsku oraz na Warmii i Mazurach.

Tylko w tym kontekście — wydaje się — należy rozpatrywać zwrot, który latem 1920 roku dokonał się w polityce Rosji Sowieckiej wobec Polski.

Niemniej ważną była też chyba okoliczność, że sukcesy kontrofensywy Armii Czerwonej odbity się silnym echem w Europie, potęgując ruch solidarności klasy robotniczej z Rosją Sowiecką. Ruch ten, który jeszcze bardziej zyskał na sile w czasie marszu wojsk radzieckich na Warszawę, zmusił Anglię i Francję do odstąpienia od zamiaru zbrojnej interwencji antyradzieckiej po stronie polskiej, w dużej mierze paraliżował dostawy broni francuskiej dla wojsk polskich i ogólnie oceniony był jako dobitny przejaw przypiływu fali rewolucyjnej w Europie.

2. Nasuwa się pytanie, czy zwrot ten można traktować jako sprzeniewierzenie się partii bolszewickiej zasadzie niepodległości Polski. Sprawa jest skomplikowana i trudno o jednoznaczną odpowiedź.

Z jednej strony wyraźną wymowę ma fakt, że spośród licznych rosyjskich kierunków politycznych tylko sprawująca władzę partia bolszewicka uznawała niepodległość Polski bez żadnych zastrzeżeń i warunków. Nie ulega też wątpliwości, że polityka narodowościowa, realizowana w 1920 roku przez władzę radziecką na obszarach b. imperium rosyjskiego, przepojona była demokracją, zwalczając zdecydowanie wszelkie przejawy wielkorusyjskiego nacjonalizmu.

A jednak fakty, wynikające z logiki wojny oraz z celów nadrzędnych, jakie stawiało sobie kierownictwo radzieckie, wskazują na głęboki rozdział między oświadczeniami radzieckimi na temat niepodległości Polski, a ich rzeczywistą polityką. Czy sama próba „sowietyzacji” Polski siłą zbrojną nie oznaczała pogwałcenia jej suwerenności oraz zasady samostanowienia narodu polskiego? Bez żenady przyznaje to Stalin. Poruszając mimochodem tę sprawę na 12 zjeździe partii bolszewików powiedział on w swoim przemówieniu:

„Należy pamiętać, że oprócz prawa narodów do samookreślenia istnieje jeszcze prawo do umocnienia swej władzy i że temu prawu podporządkowane jest prawo samookreślenia. ... Pierwsze musi ustąpić przed drugim,

8. *Tamże* — Załącznik..., str. 302.

tak było np. w 1920 roku, gdy w interesach obrony władzy klasy robotniczej zmuszeni byliśmy iść na Warszawę⁹”.

Czy jednak rzeczywiście działo się to w interesach obrony władzy klasy robotniczej?

Nie ulega wątpliwości, że w pochodzie Armii Czerwonej na Warszawę w świetle doświadczeń 1919-1920 lat można również widzieć aspekty obronne. Nie mogłoby też budzić zastrzeżeń, gdyby Armia Czerwona rozwijając kontrofensywę ścigała wojska polskie również na terytorium polskim w celu ich pokonania i zmuszenia do kapitulacji oraz wyrażenia zgody na zawarcie pokoju. Bo takie są prawa wojny, również obronnej. Podobny rozwój wypadków na pewno miałby również rewolucjonizujący wpływ na polską klasę robotniczą, na Niemcy i całą Europę.

Nie tak jednak przedstawiał się scenariusz wydarzeń.

Powołany został TKRP, a jego przewodniczącą J. Marchlewski w znanej pracy „Rosja proletariacka a Polska burżuazyjna”, wydanej w 1921 roku, wyznaje:

„Było postanowione, że po wkroczeniu do Warszawy Komitet złoży swą władzę w ręce Partii Komunistycznej Polski, ta wezwie robotników do wyznaczenia Rządu Rewolucyjnego, po czym zjazd delegatów robotniczych i chłopskich utworzy dopiero rządy radzieckie stałe¹⁰”.

3. Wyrażną wymowę ma również sprawa rokowań między Polską i Rosją Radziecką w momencie największych sukcesów Armii Czerwonej w pierwszej połowie sierpnia 1920 roku.

Radykalna część społeczeństwa polskiego i nawet wielu komunistów oczekiwało, że po dojściu do etnograficznych granic Polski wojska radzieckie zatrzymają się i zaproponują zawieszenie broni oraz rokowania pokojowe. Tak się jednak nie stało. Uskrzydłona powodzeniem Armia Czerwona rozpoczęła błyskawiczny marsz na Warszawę. Polacy zaś nie chcieli rokowań pokojowych w momencie bardzo niedogodnej dla nich sytuacji militarnej.

W tym kontekście bardzo charakterystyczne są radzieckie ogólne zasady układu pokojowego z Polską, wypracowane prawdopodobnie w końcu lipca, gdy Armia Czerwona w toku swej kontrofensywy osiągnęła etnograficzne granice Polski, a rządy Ententy wywierały nacisk na obie wojujące strony, aby przystąpiły do rokowań pokojowych. O treści tego dokumentu już w pierwszej dekadzie sierpnia rząd radziecki poinformował rząd angielski. Sam dokument — w formie deklaracji delegacji radzieckiej — został oficjalnie przedstawiony delegacji polskiej na konferencji pokojowej w Mińsku dopiero 19 sierpnia. J. Marchlewski w cytowanej pracy, usprawiedliwiając marsz Armii Czerwonej na Warszawę, abstrahuje zupełnie od tego dokumentu, zastrzegając się, że marsz Armii Czerwonej na Warszawę nie

9. J. Stalin, *Dziela*, t. 5.

10. J. Marchlewski, *Pisma wybrane*, t. 2, str. 765.

był bynajmniej „wynikiem dążenia do nasadzania komunizmu bagnietami rosyjskimi”, lecz jedyną możliwą drogą wymuszenia na rządzie polskim pokoju. Marchlewski kontynuuje:

„Skoro burżuazyjny rząd polski wszelkie propozycje pokojowe odrzucał, trzeba było zmusić burżuazję polską do pokoju, zmusić siłą zbrojną. A skoro wskutek konieczności wojennej Armia Czerwona wkroczyć do ziemi i dzielnic polskich musiała, wynikały stąd konsekwencje społeczne i polityczne. Konsekwencją taką było zaprowadzenie władzy rewolucyjnej¹¹”.

Jest w tym wywodzie co najmniej jedna nieścisłość. Chodzi mi o wiarygodność zwrotu: „Skoro burżuazyjny rząd polski wszelkie propozycje pokojowe odrzucał”. Rząd polski rzeczywiście wielokrotnie odrzucał propozycje pokojowe Rosji Radzieckiej.

Czy można jednak jednakowo traktować pokojowe propozycje radzieckie ze stycznia 1920 roku i z sierpnia tegoż roku?

Różnice występują już wyraźnie w kluczowej sprawie granicy państwowej. Otóż zgodnie z Deklaracją radziecką z sierpnia: „Ostateczna granica Rzeczypospolitej Polskiej” miała być „zbieżna z nakreśloną w nocy lorda Curzona z 11 lipca poprawką na korzyść Rzeczypospolitej Polskiej w rejonie Białegostoku i Chełma¹²”.

Granica ta — z punktu widzenia prawa narodów do samookreślenia — była bezspornie prawidłowa i słuszna, bowiem na wschód od niej większość ludności stanowili Ukraińcy i Białorusini. Niemniej jest faktem, że była to sprawa bolesna, gdyż po stronie radzieckiej na Ukrainie i Białorusi musiałyby pozostać miliony Polaków, szereg miast z większością ludności polskiej na czele z Wilnem i Lwowem. Całość zaś terytorialna państwa polskiego upodobniłaby się do Księstwa Warszawskiego z 1809 r.

Dziś społeczeństwo polskie pogodziło się z tą granicą, a poważna jego część uważa ją za sprawiedliwą. Ale przypomnijmy sobie jak przed 30 laty i jeszcze długo potem przeżywało utratę Wilna i Lwowa. A przecież utratę tę wtedy kompensowało znaczne rozszerzenie granic Polski na zachód, przywrócenie jej Ziemi Odzyskanych.

Jeszcze trudniejsze do przyjęcia dla strony polskiej były inne propozycje Deklaracji. A więc: postulat zredukowania armii polskiej do 50 tys., a właściwie 10 tys. uzupełnianych przez milicję robotniczą, podczas gdy rząd radziecki zastrzegał sobie prawo utrzymywania na polskiej granicy dwustutysięcznej armii, a więc żądanie oddania nadwyżek broni stronie radzieckiej oraz demobilizacji przemysłu zbrojeniowego, zapłacenia odszkodowań poszkodowanym wskutek wojny osiedlom radzieckim, przydzielenia nieodpłatnie ziemi w pierwszej kolejności rodzinom polskich żołnierzy, zabitych i rannych na wojnie, przeprowadzenia amnestii dla więźniów politycznych i wojskowych itp.

11. J. Marchlewski, *Pisma wybrane*, t. 2, str. 763.

12. *Dokumenty i Materiały...*, t. 3, str. 340-342.

I ten dokument rozpoczynał się uroczystą deklaracją o bezwarunkowym uznaniu przez rząd radziecki niepodległości Polski, jednocześnie jednak stanowił wyraźną ingerencję — prawda, w interesie rozwoju rewolucji polskiej — w wewnętrzne sprawy Polski oraz wysuwał warunki, których spełnienie oznaczało przekształcenie Polski w kadłubowe, niemal pozbawione sił zbrojnych i w gruncie rzeczy skazane na zależność od RSFSR państewko.

Można również w maksymalistycznych postulatach Deklaracji dopatrywać się elementu gry na zwłokę. W sposób pośredni potwierdza to depesza Lenina do Stalina z dnia 11 sierpnia, kiedy Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy:

„Do Stalina. Przed chwilą nadeszła depesza przewodniczącego delegacji radzieckiej w Londynie. Anglia stchórzyła przed strajkiem powszechnym, Lloyd George oświadczył, że radzi Polsce przyjąć nasze warunki rozejmu, obejmujące i rozbrojenie i przekazanie broni robotnikom i sprawę ziemi i tak dalej. Zwycięstwo nasze jest wielkie i będzie całkowite jeśli dobijemy Wrangla... Polacy zwlekają i nie przyjechali w oznaczonym terminie. Dla nas jest to arcydogodne. Lenin¹³”.

Zastanówmy się jeszcze przez chwilę, jak praktycznie mogła ukształtować się niepodległość Polski w obu możliwych wariantach, wynikających z polityki radzieckiej: bądź wtedy, gdyby — jak to zamierzał J. Marchlewski — TKRP przekazał po zajęciu Warszawy przez Armię Czerwoną władzę w ręce KPRP, bądź też gdyby strona polska musiała przyjąć warunki zawarte w sierpniowej Deklaracji strony radzieckiej.

Przecież sam charakter stosunków między polskimi i radzieckimi komunistami zdecydowałby, że niepodległość Polski rychło zostałaby sprowadzona do zakresu niepodległości ówczesnej radzieckiej Ukrainy. *Nota-bene* zakres ten wprawdzie bez porównania szerszy, niż w czasach stalinowskich, a nawet obecnie, w sprawach zasadniczych był jednak ograniczony nadrzędną rolą KC RKP(b) oraz jej zjazdów. Oto dla przykładu: w tomie 3, cz. II Historii KPZR czytamy, że kiedy w marcu 1920 roku na konferencji KP(b)U wybrany został Komitet Centralny w większości składający się z opozycyjnego ugrupowania tzw. demokratycznych centralistów, KC RKP(b) po prostu rozwiązał ten Komitet i sformował tymczasowy nowy, który — po przeprowadzeniu odpowiedniej pracy w terenowych organizacjach partyjnych — doprowadził do wyboru Komitetu Centralnego o właściwym politycznie składzie osobowym.

4. Marsz Armii Czerwonej na Warszawę nie doczekał się w ZSRR pełniejszej krytycznej oceny politycznej. Publikacje radzieckie przyczyn porażki pod Warszawą doszukują się na ogół w błędnej strategii wojennej. Zwolennikiem tego poglądu był również J. Marchlewski¹⁴.

13. Lenin, tom 3, wyd. IV, str. 265.

14. J. Marchlewski, *Ibid.*, str. 781.

Nie sposób lekceważyć znaczenia tych błędów. Chodzi tu nie tylko o nazbyt pośpieszny marsz Armii Czerwonej, który ogromnie utrudnił zaopatrzenie wojsk radzieckich, co w efekcie zmuszało służby kwaterunkowe do rekwizycji żywności i obroku u chłopów z wszystkimi wynikającymi stąd politycznymi konsekwencjami. Poważnym błędem strategicznym było uwikłanie się Konnej Armii Budionnego w walki pod Lwowem i wstrzymanie się przez dowództwa wojskowe, w tym dtwa Frontu Południowo-Zachodniego, z wykonaniem rozkazu Dowództwa Naczelnego o przejściu I-szej Konnej Armii Budionnego w rozporządzenie dowódcy Frontu Zachodniego, gen. Tuchaczewskiego. Ta właśnie okoliczność — zatrzymanie Armii Budionnego, dokonane przez Stalina wbrew stanowisku komisarza ludowego wojny i przewodniczącego Rewwojensowietu L. Trockiego, z którym zresztą Stalin w toku wojny domowej niejednokrotnie popadał w kontrowersje — przesądziła o powodzeniu manewru polskiego sztabu generalnego wbicia się klinem między wojska Tuchaczewskiego i Budionnego, co walenie przyczyniło się do sukcesu kontrofensywy wojsk polskich spod Warszawy¹⁵.

Czy jednak w błędach strategicznych upatrywać należy jedyną lub choćby główną przyczynę porażki wojsk radzieckich?

W skąpych na ten temat wypowiedziach Lenina znajdujemy jednak i pewne akcenty polityczne:

„Kiedy dotarliśmy do Warszawy, wojska nasze były do tego stopnia wyczerpane — stwierdził Lenin w październiku 1920 r. — iż zabrakło sił, by odnosić dalsze zwycięstwa, a wojska polskie, poparte przez zryw patriotyczny w Warszawie, czując się we własnym kraju, uzyskały poparcie, mogły ponownie posuwać się naprzód¹⁶”.

Nieco bliższą charakterystykę przyczyn porażki Lenin dał w przemówieniu, wygłoszonym w marcu 1921 roku na X-tym zjeździe partii:

„W czasie naszej ofensywy, posuwając się zbyt szybko do Warszawy popełniliśmy niewątpliwie błąd. Nie będę teraz roztrząsał czy był to błąd strategiczny, czy też polityczny, bo zaprowadziłoby mnie zbyt daleko — sądzę, że winni się tym zająć przyszli historycy, a ludzie, którzy w trudnej walce muszą wciąż jeszcze odpierać ataki wszystkich wrogów, nie mogą zaprzętać sobie głowy historycznymi dociekaniem. W każdym bądź razie błąd jest wyraźny, a ten błąd spowodował to, że przeceniliśmy przewagę naszych sił¹⁷”.

Przytoczona wypowiedź zdaje się wskazywać, że wewnątrz partii bolszewików toczyła się dyskusja w sprawie marszu na Warszawę i że dyskutowany był również problem, czy przyczyn

15. H. Jabłoński, *Wojna polsko-radziecka*.

16. *Dokumenty i materiały...*, t. 31, str. 304.

17. *Tamże*, t. 32, str. 171.

porażki należy szukać w błędach strategii wojskowej, czy też w płaszczyźnie politycznej. Lenin widać nie chciał w tej sprawie dyskusji publicznej (w tym czasie dobiegały końca rokowania polsko-radzieckie w Rydze w sprawie traktatu pokojowego), pozostawiając historykom wyjaśnienie tej sprawy. Interesujący jest jednak stosunek historiografii radzieckiej do tego wyraźnego zalecenia Lenina. Oto fundamentalna pięciotomowa Historia Wojny Domowej w ZSRR¹⁸, dokonując m.in. oceny przyczyn porażki Armii Czerwonej, cytuje przytoczony wyżej fragment przemówienia Lenina. Ale jak? Przytacza z niego pierwsze i ostatnie zdanie i w ten sposób spreparowany cytat umieszcza w takim kontekście, aby świadczył, że Lenin w przecenianiu przez dowództwo Armii Czerwonej przewagi wojsk radzieckich widział przyczynę ich porażki.

„Lenin stwierdził — czytamy dalej — że błędów popełnionych przy ofensywie na Warszawę należy szukać zarówno w dziedzinie polityki, jak i strategii. Wynikały one z przeceniania rewolucyjnej gotowości robotników i biedoty chłopskiej w Polsce, jak również z przeceniania sił radzieckich wojsk na podstawowym kierunku ofensywy. ... Wojskowi działacze partyjni — wskazywał Lenin na IX Konferencji — mogliby podpowiedzieć KC, że sił dla wielkiej ofensywy nie starczy i że bardziej słuszne byłoby zatrzymać się na etnicznej granicy Polski, zapewniając przez to pewne zwycięstwo. Krytykując głównie dowództwo Lenin jednak nie zdejmował odpowiedzialności z Komitetu Centralnego, który rozpatrywał i akceptował plany strategiczne¹⁹”.

Rekapitulując, — cele polityczne rządu radzieckiego w wojnie 1920 roku ulegały zmianie w zależności od sytuacji na polach bitew. W pierwszym okresie, gdy wojska radzieckie znajdowały się w defensywie — celem był pokój, za który władza radziecka gotowa była zapłacić wysoką cenę. W okresie ofensywy Armii Czerwonej celem tym stało się kreowanie Polskiej Republiki Rad, która miała posłużyć — i to właśnie zdecydowałoby o historycznym znaczeniu pochodu wojsk radzieckich — jako pomost do ogarniętych wrzeniem rewolucyjnym powersalskich Niemiec oraz zapłon dla rewolucji europejskiej.



W wojnie 1920 roku nie było zwycięzców. Awanturnicze plany Piłsudskiego rozczłonkowania państwa radzieckiego oraz kreowania federacji Litwy, Białorusi i Ukrainy pod hegemonią Polski, zawaliły się z trzaskiem, ale też i stronie radzieckiej nie udało się zrealizować jej planu „sowietyzacji” oraz utworzenia z Polskiej Republiki Rad pomostu do Niemiec. Co się tyczy granic, to Polska uzyskała wprawdzie o wiele korzystniejsze granice

18. *Istoria graždanskoj wojny w SSSR 1917-1922*. Moskwa, 1960.

19. *Tamże*, str. 499-500.

od oferowanych jej przez Rosję Radziecką latem 1920 roku, ale mniej korzystne niż mogła uzyskać bez wojny na podstawie propozycji radzieckiej z końca 1919 roku. Również jednak strona radziecka mogła uzyskać korzystniejsze granice, niż ustalone w traktacie ryskim, gdyby w okresie sukcesów Armii Czerwonej nie zostały przed nią postawione nazbyt dalekosiężne cele. Wśród wojujących stron nie było więc zwycięzców i zwyciężonych.

Kto jednak okazał się w tej wojnie bezspornie przegraną stroną — to komuniści polscy. Oni to solidaryzowali się z Rosją Radziecką, gdy większość społeczeństwa polskiego widziała w marszu Armii Czerwonej zagrożenie niepodległości Polski, na nich też spadło całe odium.

Wojna 1920 roku spowodowała istotne przesunięcia w późniejszym układzie sił politycznych w Polsce. Z wyborów sejmowych 1922 roku poważnie wzmocniona wyszła prawica, zwłaszcza endecja; spadek wpływów zanotowały partie demokratyczne — PPS i Wyzwolenie, ale najdotkliwszą porażkę ponieśli komuniści, którzy po raz pierwszy uczestnicząc w wyborach zebrali tylko 120 tysięcy głosów.

Zanim jednak przystąpię do nakreślenia stanowiska KPRP wobec wojny 1920 roku, pragnę zatrzymać się na ustosunkowaniu się do niej komunistów polskich, działających w rewolucyjnej Rosji. Wydaje się to celowe z różnych względów:

1) Jak podaje W. Najdus w swojej obszernej i źródłowej pracy „Lewica polska w Kraju Rad”, zimą 1917-1918 działało na terenie Rosji około 5 tys. członków SDKPiL i co najmniej 3 tys. członków PPS Lewicy²⁰. Na I-szej Konferencji SDKPiL (2. IV. 1918 r.) w Petersburgu przyjęto statut, który w wielu punktach podkreślał prawo do autonomicznej działalności grup SDKPiL, a w punkcie 1-szym stanowił, odcinając się w ten sposób oficjalnie od stanowiska partii bolszewickiej w sprawie narodowej:

„1. Członkiem grupy jest każdy, kto należy do SDPRR (bolszewików), w kwestii polskiej stoi na stanowisko SDKPiL, uznaje mniejszy statut i płaci składkę członkowską”.

Konferencja wybrała kierownictwo partyjne — Centralny Komitet Wykonawczy grup SDKPiL — w składzie: Feliks Dzierżyński, Józef Unslicht, Julian Leszczyński, Jakub Dolecki, Stanisław Bobiński, Tomasz Magrzyk i Stanisław Budzyński. Na zastępców wybrano: Zbigniewa Fabierkiewicza, Samuela Łazowerta i Edwarda Próchniaka²¹.

²⁰ 2) Kadra SDKPiL oraz PPS Lewicy w Rosji Radzieckiej rekrutowała się głównie bądź ze zwolnionych przez rewolucję polikatorów i zesłańców, bądź też ewakuowała się wraz z uchodźcami

20. W. Najdus, *Lewica polska w Kraju Rad*, PWN, 1971, str. 424.

21. *Tamże*, str. 61-62.

przed ofensywą niemiecką 1915 roku. Jak obszerną bazę działania miały SDKPiL oraz PPS Lewica świadczą takie fakty, jak np. przeniesienie w 1915 roku z Królestwa do Rosji 130 przedsiębiorstw z polską załogą, z których sto zostało uruchomionych²², albo, że do Moskwy, w której w 1914 roku przebywało 20 tys. Polaków, w toku wojny przybyło 54 tys. polskich uchodźców²³. *Nota-bene*, rozmiary ewakuacji 1915 roku do Rosji i późniejsze wywózki fabryk z okupowanej przez Niemców Polski wraz z załogami, a zwłaszcza świadome dewastowanie przez Niemców przemysłu polskiego, doprowadziły do ogromnego osłabienia liczebnego oraz rozproszenia polskiej klasy robotniczej, co niewątpliwie miało poważny negatywny wpływ na układ sił klasowych w 1918-1919 roku, a w szczególności na zasięg oraz skuteczność walk polskiego proletariatu w tym okresie.

3) Na znaczne wpływy komunistów polskich w partii bolszewickiej oraz w aparacie władzy radzieckiej musiała oddziaływać ich wybitna rola w czasie rewolucji październikowej oraz wojny domowej. „Księga Polaków — uczestników Rewolucji Październikowej”, obejmująca 7.700 nazwisk, jest tego wymownym dowodem. Z postaci wybitnych, zajmujących ważne stanowiska partyjne bądź państwowe — obok wspomnianych już działaczy — należy wymienić: Juliana Marchlewskiego (przybył do Rosji w maju 1918 roku w rezultacie wymiany więźniów między Niemcami i RSFRR), Karola Radka, Bronisława Wesołowskiego, Zbigniewa Fabierkiewicza, Stanisława Pestkowskiego, Jakuba Hanecckiego, Kazimierza Cichowskiego, Stefana Heltmana oraz działaczy PPS-Lewicy: Feliksa Kona, Pawła Łapińskiego, Romualda Muklewicza, Stanisława Królikowskiego, Konstantego Brodzkiego.

Znajdujemy u W. Najdusa istotną informację o zaaprobowanych przez I-szą Konferencję grup SDKPiL Tezach w sprawie polskiej, nie odbiegających od tradycyjnego stanowiska SDKPiL. Wskazuje na to już pierwsze zdanie tych Tez:

„Od pierwszej chwili wybuchu wojny wszechświatowej socjal-demokratyczny proletariatus polski zwałczał dążenie do rozwiązania sprawy polskiej drogą niepodległości państwowej, zjednoczenia zaborów polskich i w ogóle prowadzenia polityki separatystycznej”. *Tylko droga „rewolucji socjalnej, prowadzonej solidarnie z proletariatem międzynarodowym, a w szczególności z proletariatem Austrii, Niemiec i Rosji wiedzie do wyzwolenia narodo-*wego²⁴”.

Po odrodzeniu się Polski niepodległej CKW grup komunistycznych zajmuje się sprawą przyszłej granicy polsko-radzieckiej. W liście ze stycznia 1919 roku do KC RKP(b) proponuje powołanie komisji z przedstawicieli republik radzieckich: rosyjskiej,

22. *Tamże*, str. 10,

23. *Tamże*, str. 412.

24. W. Najdus, *Lewica polska w Kraju Rad*, str. 62.

litewskiej, białoruskiej oraz KC (krajowego) KPRP jako przedstawiciela polskich mas pracujących dla wytyczenia tymczasowej linii demarkacyjnej. Jednocześnie wnioskodawcy za taką umowną linię graniczną proponowali przyjąć rzekę Bug z pewnymi poprawkami na rzecz Polski, mianowicie traktować jako ziemie niewątpliwie polskie: byłe Królestwo z Chełmszczyzną i Suwalszczyzną oraz powiaty bielski i białostocki ewentualnie również sokólski. Charakterystyczną wymowę ma zastrzeżenie zawarte w liście, a mianowicie, że te prowizoryczne granice „powinny być linią końcową posuwania się Armii Czerwonej i mają zarówno strategiczne, jak i polityczne znaczenie²⁵.

W tym samym czasie CKW grup KPRP wystąpił do władz radzieckich z projektem utworzenia na Zachodnim froncie dużej polskiej formacji wojskowej. Inicjatorzy wychodzili z założenia, że w Polsce wkrótce wybuchnie wojna domowa i utworzone na emigracji „polskie zgrupowanie wojskowe” mogłoby wesprzeć siły rewolucyjne w kraju, bo „nie sposób liczyć w najbliższym czasie na to, by tylko siłami krajowymi udało się wykonać zadanie historyczne, polegające na ujęciu władzy przez proletariat Polski²⁶”.

Ofensywa wojsk polskich, która doprowadziła do znacznego przesunięcia się linii frontu na wschód, zdeaktualizowała zarówno wnioski w sprawie określenia linii demarkacyjnej między Polską i republikami radzieckimi, jak i propozycje w sprawie utworzenia polskiej rewolucyjnej formacji wojskowej.

W tej nowej sytuacji zaczął się okres zainicjowanych oraz prowadzonych przez J. Marchlewskiego tajnych rokowań pokojowych między rządem radzieckim i polskim. W tej sprawie jednak wśród polskich komunistów w Rosji wystąpiły poważne różnice zdań. I znowu w książce W. Najdus znajdujemy dotyczący tej sprawy i szeroko przez nią relacjonowany protokół posiedzenia CKW grup KPRP:

„9 lipca 1919 roku w Mińsku, w obecności Cichowskiego, Leszczyńskiego, Łazowerta, Muklewicza, Prздеckiej, Sławińskiego i Unslichta, CKW grup SDKPiL w Rosji wysłuchał informacji Juliana Marchlewskiego o toczących się rokowaniach. W dyskusji ujawniły się poważne rozbieżności. Marchlewski reprezentował stanowisko, że za pokój należy zapłacić najwyższą cenę, nie cofając się nawet przed oddaniem Mińska. Sądził on, że Polska po zawarciu pokoju na wschodzie, mając zapewnioną więź gospodarczą poprzez Śląsk z Saksonią i Berlinem, rozwinie się pod względem ekonomicznym. Wzmocni się proletariat polski, walka klasowa będzie się toczyła w warunkach optymalnych, a Śląsk stanie się pomostem, łączącym polskich i niemieckich komunistów. Powołując się na stanowisko Lenina, Marchlewski argumentował, iż siłą orężną nie można wprowadzić ustroju komunistycznego wbrew dążeniu ludności”. Szkołą polityczną dla robotników polskich stana się rządy własnej kontrrewolucji tak, jak były nią rządy Denikina dla połud-

25. *Tamże*, str. 190-191.

26. *Tamże*, str. 201-202.

niowej Rosji. Nie można ustanowić rządów radzieckich w Polsce siłami armii interwencyjnej. Tow. Marchlewski dowodził — czytamy w protokole — że wkroczenie Armii Czerwonej do Polski będzie zgubne dla komunizmu w Polsce²⁷”.

Głównym oponentem Marchlewskiego był Leszczyński, który nie wierzył w skuteczność pertraktacji. Dowodził, że zwolennicy pokoju wśród polskich sfer rządowych nie mają realnych sił. Nie poprze ich burżuazja. Nie zgodzi się na przerwanie walk dowództwo polskie, a co najważniejsze — do ofensywy na Republikę Rad popycha Polskę koalicja zachodnio-europejska. Leszczyński ostrzegał Marchlewskiego przed zbytnią pewnością, że Polska odzyska Śląsk, układ sił na arenie międzynarodowej nie usprawiedliwia bowiem takiego optymizmu, a jeśli dojdzie do plebiscytu, jego wyniki mogą okazać się dla Polski niekorzystne. W istniejących warunkach nie sposób liczyć, że proletariats polski własnymi siłami uzyska zwycięstwo: „Albo poprze go Czerwona Armia rosyjska, albo polska go zdusi²⁸”.

Opinię większości wyraził Unszlicht: pertraktacje do pokoju nie doprowadzą, bo kontrahent do niego nie zmierza. Mogłyby one mieć wymowę agitacyjną, wykazując pokojowe intencje władz radzieckiej, gdyby były prowadzone jawnie. Marchlewski stanowisko oponentów określił jako kontynuację polityki „wojny rewolucyjnej”, w zaistniałej sytuacji tym bardziej nierealnej, że należało się liczyć nie z nową ofensywą radziecką, ile z możliwością utraty wschodniej Białorusi²⁹.

W pół roku później trwa jeszcze radziecka ofensywa pokojowa. Po znanym oświadczeniu Rady Komisarzy Ludowych (28. I. 1920 r.) z podpisami Lenina, Trockiego i Cziczerina, 2 lutego zebrał się CKW — najwyższy organ reprezentacyjny RSFRR — który za podpisem Kalinina zwrócił się z odezwą do narodu polskiego. Na posiedzeniu tym J. Marchlewski złożył oświadczenie, podpisane przez 43 najwybitniejszych komunistów polskich, w którym poparł treść odezwy CKW do narodu polskiego, dodając, że komuniści polscy uważają, iż wprowadzenie komunizmu w Polsce „nie może być dokonane siłami z zewnątrz idącymi, przez armię obcą. Nawet przeciwnie, wtargnięcie jakiegokolwiek armii obcej do Polski dałoby możliwość burżuazji wywołać w masach ludowych, które przez 150 lat doświadczyły na sobie wszystkich rozkoszy ucisku narodowego — skrajny nacjonalizm z jego fatalnymi następstwami³⁰”.

Niemniej zdecydowanie wypowiedział się w styczniu 1920 roku Karol Radek w czasie przejazdu przez Polskę w drodze powrot-

27. *Tamże*, str. 253.

28. W. Najdus, *j.w.*, str. 253.

29. *Tamże*, str. 254.

30. W. Najdus, str. 286.

nej z Niemiec do Rosji w liście otwartym do przywódców PPS — Daszyńskiego, Diamanda i Perla, w którym pisał:

„Rozwaga teoretyczna powiedziała zapaleńcom, że jeśli polska klasa robotnicza nie zdoła zdobyć własnymi siłami władzy, to nie mogłaby jej utrzymać, gdyby jej tę władzę wręczyły obce bagnet³¹”.

Są to jednak ostatnie oświadczenia publiczne tej treści ze strony wybitnych komunistów polskich, przebywających w rewolucyjnej Rosji. Zmieniła się bowiem sytuacja. 25 kwietnia wojska polskie wkroczyły na Ukrainę, a 7 maja zajęły Kijów. W końcu maja zaczyna się jednak coraz energiczniej rozwijana kontrofensywa Armii Czerwonej. Niestety, od momentu radzieckiej błyskawicznej kontrofensywy, w książce W. Najdusa pojawiają się luki i mielizny. Podaje ona skądinąd znany fakt, że Lenin konsultował się bezpośrednio z polskimi działaczami komunistycznymi przed podjęciem decyzji w sprawie wkroczenia Armii Czerwonej do Polski³².

Niewiele jednak dowiadujemy się, jaka była ich odpowiedź, miejscami zaś interpretacja autorki zdaje się być wręcz bałamutna. Oto bowiem podkreśla ona, że 21 kwietnia Biuro Polskie „przekazało KC RKP(b) opinię kół kierowniczych KPRP, sformułowaną przez Borskiego, Budzyńskiego i Próchniaka, którzy po blisko roku nielegalnej działalności w kraju i kilkumiesięcznym więzieniu powrócili w kwietniu, w drodze wymiany, do RSFRR”. Z opinii tej wynikało, że zbliżenie Armii Czerwonej „do etnograficznych granic Polski niewątpliwie wywoła burzę nacjonalizmu, która ogarnie nie tylko burżuazję i chłoptwo, lecz również poważną część klasy robotniczej i pod hasłem wojny narodowej może doprowadzić do zespolenia sił. Niewątpliwie zadałoby to dotkliwy cios komunizmowi w Polsce na długie lata³³”.

Z faktu, że Biuro Polskie, któremu przewodniczył Marchlewski, przekazało wyżej wymienioną opinię KC RKP(b) bez komentarza, autorka wnioskuje, że podzielało tę opinię.

Trudno kwestionować tę opinię autorki. Upłynęło przecież tylko dwa miesiące od publicznego oświadczenia Marchlewskiego na lutowej sesji CKW RSFRR oraz miesiąc od listu K. Radka w warszawskim *Robotniku*, których treść w zasadzie pokrywała się z opinią Borskiego, Budzyńskiego i Próchniaka. Wydaje się jednak, że przekazania przez Biuro Polskie 21 kwietnia tej ważnej opinii KC RKP(b) nie można umieszczać w kontekście odpowiedzi na pytania, postawione przez Lenina działaczom polskim. Wolno wątpić nawet, czy w kwietniu 1920 roku Lenin w ogóle zwracał się z tym problemem do działaczy polskich. Przecież sprawa przekroczenia granic polskich nie była wtedy ani mili-

31. *Robotnik* z marca 1920 roku.

32. W. Najdus, str. 294.

33. W. Najdus, str. 295.

tarnie, ani politycznie aktualna. Ten problem pojawia się dopiero w toku kontrofensywy Armii Czerwonej, która na Ukrainie rozwinęła się dopiero w początkach czerwca, a na Froncie Zachodnim ruszyła energicznie 4 lipca.

Z pracy W. Najdus — niestety — nie można się dowiedzieć, kiedy Lenin konsultował się z polskimi działaczami w sprawie przekroczenia granicy polskiej i jakie było ich stanowisko. W okresie kwiecień-lipiec w tej sprawie nic się w książce W. Najdus nie dzieje. Po podkreśleniu stanowiska Biura Polskiego w kwietniu, następuje przeskok do posiedzenia Biura Polskiego z 18 lipca. Krótka relacja z tego posiedzenia informuje, że F. Dzierżyński zakomunikował zebrany uchwałę KC RKP o powszechnej mobilizacji komunistów polskich wobec możliwości wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium Polski i zaproponował wyłonienie organu, który by kierował całą robotą przygotowawczą.

„Po omówieniu sprawy, w którym brali udział tow.tow. Bobiński, Zaks, Pestkowski, Rupiewicz, Marchlewski, Wnorowski, Próchniak, Alski i Łazowert, uchwalono zaproponować Centralnemu Komitetowi utworzenie Biura z pięciu towarzyszy dla prowadzenia wskazanej wyżej pracy.

Na kandydatów wysunięto tow.tow.: Marchlewskiego, Kona, Unszlichta, Doleckiego, Dzierżyńskiego i Próchniaka³⁴”.

Wtedy sprawa politycznie była już przesądzona. Ale co się działo w interesującej nas sprawie przed 18 lipca?

Na tę sprawę pewne światło rzuca A. Leinwand³⁵, aczkolwiek jego uogólnienia, dotyczące postawy komunistów polskich oraz ocena wpływu na kierownictwo radzieckie stanowiska J. Unszlichta wydają się przesadne:

„W lipcu 1920 roku, gdy Armia Czerwona zbliżała się do terenów etnograficznie polskich, wśród komunistów polskich w Rosji Radzieckiej istniała daleko idąca różnica zdań w sprawie wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium Polski. W nowej sytuacji (w związku z wyprawą kijowską i ofensywą wojsk radzieckich) wśród komunistów polskich wzięły górę tendencje, które już w 1919 roku nastawiały się na wojnę rewolucyjną.

Zdanie komunistów polskich miało duże znaczenie, gdyż Lenin zasięgał u nich informacji oraz rady w zagadnieniach polskich. W tym czasie wystosował do Unszlichta następujący telegram:

Zakomunikujcie Waszą i innych polskich towarzyszy ocenę następującej taktyki:

1. My oświadczamy bardzo uroczyście, że gwarantujemy polskim robotnikom i chłopom granicę leżącą bardziej na wschód od tej, jaką daje Curzon i Ententa.
2. My naprzemy wszystkie siły, aby dobić Piłsudskiego.
3. My wchodzimy do rdzennej Polski na jak najkrótszy okres dla uzbrojenia robotników i natychmiast po tym wychodzimy.

34. *Dokumenty i Materiały...*, t. 3, str. 177.

35. A. Leinwand, *Ibid.*, str. 183-184.

4. Czy uważacie za prawdopodobny — i jak szybko — radziecki przewrót w Polsce? Lenin.

Z odpowiedzi Unszlichta wynikało, że:

Pożądanym rozwiązaniem byłoby zatrzymanie Armii Czerwonej na granicy etnograficznej Polski. Jeśli jednak nie uda się uzyskać trwałego pokoju, który zagwarantowałaby Ententa... wówczas Armia Czerwona powinna wkroczyć na terytorium państwa polskiego, uzbroić polskich robotników i parobków... Należy powołać Tymczasowy Komitet Wojskowo-rewolucyjny oraz ogłosić likwidację własności obszarnej i nacjonalizację fabryk"... „Unszlicht podkreślał, że uważa za całkowicie realny 'przewrót rewolucyjny w Polsce, dokonany siłami proletariatu, kiedy wojska radzieckie zbliżą się do granic Polski'”.

Dlaczego jednak A. Leinwand, a w ślad za nim W. Najdus omawiają tylko stanowisko zajęte przez Unszlichta?

Przebież z różnych relacji: L. Trockiego — „Moje życie”, Klary Zetkin — „Wspomnienia o Leninie” (w oryginalnej wersji), z wywiadu I. Deutschera z czerwca 1957 roku, omawiającego historię KPP można wnioskować, że szereg wybitnych polskich działaczy komunistycznych, a w pierwszym rządzie Marchlewski i Radek, usiłowało przekonać Lenina oraz członków radzieckiego Politbiura, aby odstąpili od zamierzonej ofensywy wojsk radzieckich w Polsce.

I. Deutscher we wspomnianym wywiadzie ironizuje nawet z powodu różnicy zdań, jaka ujawniła się wśród komunistów polskich w Moskwie:

„Mianowicie z jednej strony — *pisze Deutscher* — starzy 'przeciwnicy niepodległości', SDKPiLowcy Radek i Marchlewski, nie szczędzili wysiłków, by przekonać Lenina i Politbiuro rosyjskie, że nie należy podejmować marszu na Warszawę i że należy zaproponować Polsce pokój po odparciu jej wojsk z Ukrainy (udało im się przekonać do tego punktu widzenia tylko Trockiego, ówczesnego Komisarza Wojny)³⁶. Z drugiej strony byli niepodległościowcy, PPS'owcy, jak Feliks Kon i Łapiński, opowiedzieli się za marszem Armii Czerwonej na Warszawę twierdząc, że proletariat jest w stanie wzięcia rewolucyjnego i przyjmie Armię Czerwoną jako swą wyzwolicielkę”.

Jak wiadomo, niezależnie od tych rozbieżności, z chwilą kiedy zapadły ostateczne decyzje o wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski, uważali oni zgodnie za swój obowiązek rewolucyjny utworzyć Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski i wejść w jego skład.

36. Pogląd ten był widać w różnych wersjach rozpowszechniony w dwudziestoleciu międzywojennym, bo spotykamy go również w książce Zygmunta Zaremby: „PPS w Polsce Niepodległej (Zarys historii ruchu robotniczego w Polsce 1918-1938)”, str. 48.

Czytamy w niej:

„Zwycięstwo pod Warszawą stwarza też gruntowną zmianę sytuacji, przynosi triumf polityki Trockiego, zmierzającej do pokoju na zachodniej granicy Rosji, by mieć wolną rękę dla likwidacji białej armii i wojny domowej wewnątrz kraju”.

Nie znaczy to, że rozbieżności w różnych sprawach nie ujawniały się w dalszym ciągu. W interesującej nas problematyce charakterystyczne jest świadectwo osoby postronnej, ale zainteresowanej. Otóż wybitny działacz bolszewickiej partii na Ukrainie Włodzimierz Zatoński, pełniący funkcję Przewodniczącego TKR Galicji wschodniej, zwrócił się 12. VIII. do TKRP z prośbą o „opracowanie popularnej broszury na temat problemu narodowościowego w Galicji Wschodniej”, przeznaczonej dla miejscowej ludności polskiej. Przy tej okazji zaznaczył w liście, że nie zgadza się ani ze stanowiskiem Dzierżyńskiego, który orientuje się na „*jedinuju i niedielimuju*” — jak ironicznie określił jego tendencje centralistyczne, nie docenia państwowego aspektu kwestii narodowej, ani ze stanowiskiem Marchlewskiego, że cała Galicja ciąży ku Krakowowi (a więc ku Polsce)³⁷.

W książce W. Najdus znajdujemy też interesujące stronicie, charakteryzujące stan umysłów członków TKRP, a w szczególności J. Marchlewskiego w szczytowym momencie ofensywy Armii Czerwonej w czasie bitwy pod Warszawą — 15 sierpnia. W dniu tym J. Marchlewski zamieścił w białostockim *Gońcu Czerwonym* artykuł pt.: „Polska proletariacka a rewolucja europejska”. Marchlewski nie przeczuwał porażki, ale miał widać bolesną świadomość kałużowości Polski proletariackiej, która miała wyłonić się z toczącej się wojny, gdy pisał, że skoro Polska „*stanie się terenem rewolucyjnym...*”, przednią strażą wyzwolenia proletariatu”, to ciężar będą ku niej robotnicy Śląska Górnego i Cieszyńskiego oraz chłopcy na Mazurach. Dążeniom połączeniowym nie staną na przeszkodzie ani radzieckie Niemcy, ani Czesi. Polska w otoczeniu bratnich państw radzieckich będzie bezpieczna³⁸”.

Wymowne też są impresje wybitnego uczonego, działacza partii bolszewickiej, z podróży, którą odbył 15 sierpnia razem z Marchlewskim, Dzierżyńskim i Konem w kierunku Warszawy, docierając do Wyszkowa nad Bugiem. W książce: *S Krasnoj Armiej na panskujju Polszu*, wydanej w Moskwie w 1920 roku, Stiepanow-Skworcow zanotował, że tych czołowych działaczy TKRP nawet na przedpolach Warszawy gnębiły „*wątpliwości, czy rzeczywiście szturm stolicy państwa polskiego jest korzystny dla polskiego ruchu rewolucyjnego, czy nie ułatwi rządowi polskiemu konsolidacji sił w oparciu o uczucia patriotyczne społeczeństwa, czy nie należało raczej nastawić się na powolniejsze dojrzewanie ruchu rewolucyjnego w środowisku polskim. Skworcow przyznał, że również dla niego sprawa ta nie była jasna*”³⁹.

Rekapitulując stanowisko komunistów w Rosji należy stwierdzić, że:

37. W. Najdus, str. 332.

38. *Tamże*, str. 332.

39. *Tamże*, str. 341.

1) nie może ulegać wątpliwości ich socjalistyczny patriotyzm polski, podobnie jak ich wiara w zwycięstwo rewolucji europejskiej, razem oznaczało to — przy ówczesnym stanie umysłów — nadzieję na socjalistyczną niepodległość i bezpieczną w swych granicach Polskę;

2) większość ich przywódców realistycznie oceniała i słusznie ostrzegała, zarówno publicznie w pierwszych miesiącach 1920 r., jak i latem, w sposób poufny, przed zgubnymi dla przyszłości komunizmu w Polsce skutkami przekroczenia przez Armię Czerwoną etnograficznych granic Polski. Oznaczało to ewolucję w stosunku do sytuacji z pierwszych miesięcy 1919 roku, kiedy popularną wśród komunistów polskich w Rosji była idea „wojny rewolucyjnej”;

3) jeśli jednak komuniści polscy weszli do TKRP i skupili się wokół niego, to dlatego, że byli rewolucjonistami, że od zarania ich działalności przyswiewcała im wiara w zwycięstwo rewolucji rosyjskiej, która *en passant* miała również rozstrzygnąć sprawę niepodległości Polski, byli pod urokiem Lenina i wreszcie — wobec decyzji Politbiura radzieckiego nie mieli innego wyboru.

Przejdźmy jednak do oceny stanowiska KPRP, czyli polskich komunistów w kraju, wobec marszu Armii Czerwonej na Warszawę. Wątpliwości, które nurtowały komunistów polskich w Rosji nie były obce i komunistom w kraju. Dał im nawet publiczny wyraz, w tydzień przed osiągnięciem przez wojska radzieckie etnograficznej granicy Polski, wybitny członek KC KPRP L. Domski (Kamieński-Stein). Ale kiedy wojska radzieckie wkroczyły do Polski, komuniści setkami i tysiącami szli do więzień i obozów, nie ustawali jednak w walce, wzywając masy do rewolucyjnego czynu i solidarności z Rosją Sowiecką.

Nasuwa się zasadnicze pytanie: czy KPRP mogła w ówczesnych warunkach nie identyfikować się z Rosją Sowiecką, z bolszewikami? Czy istniała dla KPRP inna alternatywa?

1. Były to wyjątkowe dla ruchu robotniczego lata rewolucyjnego przełomu. Partia Lenina, która pierwsza na świecie dokonała zwycięskiej rewolucji proletariackiej, zyskała sobie w międzynarodowym ruchu robotniczym powszechny autorytet wśród lewicy robotniczej. Rewolucyjne skrzydło klasy robotniczej Europy żywiło głębokie przekonanie o nieuniknionej i bliskiej zwycięskiej rewolucji.

Ten nastrój charakterystyczny był również i dla polskich komunistów. Interesujące są w tym względzie wspomnienia A. Pragiera, mimo jego skłonności do przesady, a nawet karykatury. Zachował jednak widać słabość do byłych swoich towarzyszy z PPS Lewicy. Już po wyzwoleniu spotkał się z jednym ze swoich byłych przyjaciół, Władysławem Kowalskim (Grzechem), członkiem KC KPRP:

„Byłem z nim razem w WKO PPS Lewicy przed wojną — *wspomina Pragier* — i spędziłem z nim później kilka miesięcy w jednej celi. ... Był całkiem pewny, że rewolucja komunistyczna ogarnie już w najbliższych miesiącach całą Europę, z wyjątkiem może Skandynawii i Wielkiej Brytanii. W Polsce jest to sprawa kilku tygodni. Piłsudski chce sparaliżować rewolucję przez wybory do Sejmu, ale z pewnością się mu to nie uda, choć wspomagają go zaprzaczący z prawego skrzydła PPS. Partia komunistyczna nie popełni tego głupstwa, żeby brać udział w wyborach do Sejmu Ustawodawczego, a potem musieć go rozpędzić, tak, jak to wypadło zrobić w Petersburgu. Do wyborów partia po prostu nie dopuści przez strajk powszechny, który przeobrazi się w rewolucję socjalną i zakończy budowaniem ustroju, opartego na radach delegatów robotniczych. ... W Sowietach widział wzór dla przyszłych państw komunistycznych w całej Europie. Nie było w nim śladu obawy, że Rosja może chcieć państwa te poddać swojemu kierownictwu, czy wręcz je pochłonąć. Wierzył w braterstwo krajów komunistycznych, między którymi nie ma i nie będzie żadnych różnic interesów ani przeciwności, więc nie może być także przyczyn do tarć. ... Stykałem się jeszcze z innymi czołowymi komunistami spośród dawnych ludzi z PPS Lewicy — z Werą, Wacławem Wróblewskim, Jerzym Heryngiem i in. Wrażenie ogólne z tych rozmów było takie, że pod naciskiem zdarzeń w Sowietach... doznali oślnienia wizją zwycięskiej rewolucji w całej Europie w najbliższej przyszłości. ... Ogarnęło ich zapamiętanie! Patrzyli teraz na świat oczami Lenina⁴⁰...”.

Rzeczywistość w kraju jednak nie w pełni uzasadniała ich nadzieje. Rewolucyjne skrzydło polskiej klasy robotniczej, które historycznie związało swe losy z rewolucją rosyjską i we wspólnych walce z klasą robotniczą b. imperium rosyjskiego upatrywało społeczne i narodowe wyzwolenie Polski, ta sama polska klasa robotnicza, która w 1905 roku należała do najbardziej bojowych oddziałów rewolucji ogólnorosyjskiej, teraz — w kilka lat po zwycięskiej rewolucji w Rosji — była coraz dalsza od zdobycia władzy. Od zarania niepodległości, mimo silnego fermentu rewolucyjnego w masach robotniczych i chłopskich, rządy w Polsce bez większego oporu ze strony oficjalnej Lewicy-PPS i Wyzwolenia — stale ewoluowały na prawo: od rządu ludowego Daszyńskiego do rządu Moraczewskiego, od Moraczewskiego do rządów kolejno — Paderewskiego, Skulskiego, Grabskiego.

Wydaje się, że osądzać komunistów polskich podówczas działających można tylko wedle tego, czym mogli się w swoich decyzjach kierować, uwzględniając ponadto ich skalę wartości. Obecne pokolenie może łatwo ferować wyroki, ale nie trzeba zapominać, że zna ono wyniki walki i jej skutki oraz różne fakty, których uczestnicy tych walk nie znali i przewidzieć nie mogli.

Można zarzucić kierownictwu KPRP i całej MK przecenianie sytuacji rewolucyjnej. Ale jest to ewidentne dla współczesnych, którzy wiedzą, że okres burzy rewolucyjnej zakończył się w Europie w pierwszej połowie lat dwudziestych, że ostatnie, poważ-

40. Adam Pragier, *Czas przeszły dokonany*.

niejsze wzniesienie fali rewolucyjnej miało miejsce w 1923 roku.

Można też zarzucić komunistom polskim, że w latach 1918-1920 przeceniali dojrzałość sytuacji rewolucyjnej w Polsce. I rzeczywiście nie da się zaprzeczyć, że nigdy w tych latach ruch rewolucyjny w Polsce nie wznosił się na taki poziom — i co do powszechności i co do ostrości — jaki osiągnął w 1905 roku, kiedy to klasa robotnicza w zaborze rosyjskim strajkami powszechnymi, walkami orężnymi, powstaniami zbrojnymi, wysunęła się do rządu czołowych oddziałów pierwszej rosyjskiej rewolucji. Kto z komunistów mógł jednak wtedy przewidzieć, że już po 1920 roku nie tylko w Polsce, ale w całej Europie fala rewolucji zacznie opadać?

Zarzuca się komunistom polskim, że sprawę rewolucji stawiali ponad sprawę niepodległości Polski. To prawda. Nie może być jednak mowy o nihilizmie narodowym. KPRP bowiem w 1920 r. stała na gruncie niepodległości Polski i wysuwała hasło Polskiej Republiki Rad. Żywiąc przekonanie, że nadciąga zwycięska rewolucja europejska, komuniści polscy przyszłe stosunki Polski rewolucyjnej z Rosją Sowiecką oraz z państwami, które obalą rządy burżuazyjne, wyobrażali sobie jako bezkonfliktowe, w płaszczyźnie internacjonalizmu proletariackiego oraz triumfu idei braterstwa narodów.

Dziś, po doświadczeniach drugiej wojny światowej, kiedy — jak stwierdził Roy Miedwiediew w swojej książce o demokracji socjalistycznej — ponad dziesięć autonomicznych republik uległo w ZSRR gwałtownej likwidacji, a narody w nich zamieszkałe zostały z nich wygnane i rozproszone po bezkresnych obszarach radzieckiej Azji, po doświadczeniach radziecko-jugosłowiańskiego konfliktu w 1948 roku, w obliczu wieloletniego sporu radziecko-chińskiego, po interwencji radzieckiej w Czechosłowacji w 1968 r. — ówczesne poglądy komunistów można potraktować jako naiwne i utopijne. Ale czy w 1920 roku, obserwując całą głębię rewolucji, jaka dokonała się w stosunkach między narodami b. imperium rosyjskiego, stanowczość, z jaką bolszewicy walczyli z wszelkimi przejawami dyskryminacji narodowościowej oraz zakładali — w kraju stu narodów wynaradawianych przez carat — podstawy dla rozwoju życia narodowego i kształtowania się w ramach różnych form federacji własnych zrębów państwowości, można było przewidzieć późniejszą deformację systemu radzieckiego w dziedzinie polityki narodowościowej? Czy można było przewidzieć późniejszy hegemonizm mocarstwowy wobec słabszych krajów systemu socjalistycznego oraz nacechowany wielkorosyjskim nacjonalizmem wobec radzieckich republik?

Historiografia Polski Ludowej oceniając działalność komunistów polskich podczas wojny wskazuje — w sposób zresztą eufemiczny — że KPRP zbyt słabo podkreślała swoje pozytywne stanowisko wobec niepodległości Polski, że nie dostrzegąła narodowego aspektu w toczącej się wojnie. Ten zarzut jest słuszny.

Problem jest jednak szerszy. Wojna światowa 1914 roku oraz zwycięstwo rewolucji październikowej w Rosji znamionowały ogólny kryzys kapitalizmu. Partie socjaldemokratyczne przeżywały ostry kryzys, w masach proletariackich Europy dominowały hasła rewolucji socjalnej. Największe nasilenie fala rewolucyjna osiągnęła w krajach, które poniosły klęskę, przede wszystkim w Niemczech. Równocześnie jednak, w wyniku wojny, na gruzach Austro-Węgier oraz na terytorium b. imperium rosyjskiego okupowanym przez Niemcy powstały do życia niepodległe państwa. Również i w tych krajach masy proletariackie znajdowały się pod wpływem haseł rewolucji socjalnej, ale uzyskana niepodległość, odczuwana powszechnie jako bezcenna zdobycz, satysfakcjonowała częściowo nawet najbardziej niezadowolone warstwy i środowiska proletariackie, co musiało oddziaływać na osłabienie impetu rewolucyjnego klasy robotniczej i biedoty wiejskiej oraz miejskiej.

Dotyczy to również Polski. Na tym tle tym ostrzej występuje niewybaczalny błąd KPRP z pierwszego okresu jej działalności — relikw poglądów SDKPiL — a mianowicie niedocenywanie znaczenia odrębnej państwowości polskiej. I chociaż w 1920 roku KPRP stała już na gruncie państwowości polskiej, to jednak szereg faktów wskazywał na nieprzewyciężenie do końca ciężkich błędów lat 1918-1919.

O nieprzewyciężeniu tych błędów i skrzywieniu optyki komunistów polskich na sprawę narodową w czasie wojny 1920 r. świadczy stanowisko KPRP w sprawie granic państwa, jej oceny pomniejszające znaczenie ruchu ochotniczego do wojska polskiego, nieumiejętność rozróżniania między postawami patriotycznymi a nacjonalistycznymi itp.

2. Oddzielnego rozważenia wymaga sprawa pozycji KPRP w przededniu marszu Armii Czerwonej na Warszawę. Jeśli — uwzględniając całokształt ówczesnych warunków — przyjąć, że KPRP w czasie ofensywy wojsk radzieckich w Polsce nie miała innej alternatywy jak solidaryzować się z Rosją, to nasuwa się jednak pytanie, czy w krytycznym momencie, gdy Armia Czerwona zbliżała się do etnograficznych granic Polski i wielu komunistów oczekiwało rokowań w sprawie zawieszenia broni, kierownictwo KPRP nie powinno było zająć stanowiska politycznego w tej sprawie? Ten problem był nawet później przedmiotem dyskusji i korespondencja A. Warskiego w tej sprawie daje dużo do myślenia.

W liście z 16 października 1920 roku do towarzyszy w Moskwie Warski informuje:

„Do 28 czerwca br., to jest do chwili, kiedy wyjechałem do Gdańska i tam przechorowałem kilka miesięcy, KC partii nie przyjął żadnej uchwały oficjalnej w specyficznej kwestii, czy należało dążyć do przejścia granicy etnograficznej polskiej, zdobycia Warszawy i sowietyzowania kraju. Nikomu z członków KC nie przyszło do głowy proponować rezolucji w tej materii.

Najprzód dlatego, że 1) odciepi od świata nie mogliśmy w ogóle zdać sobie sprawy z położenia międzynarodowego. Po wtóre dlatego, że 2) wszyscy w KC uważaliśmy, że ta specyficzna kwestia powinna i musi być rozstrzygnięta przez Rosję nie z punktu widzenia naszych partyjnych czy politycznych interesów w Polsce, lecz z punktu widzenia interesów rewolucji rosyjskiej i położenia wszechświatowego⁴¹”.

W liście pisanym w miesiąc później Warski powraca do tego tematu:

„Dwaj wybitni przedstawiciele KC, z którymi mieliśmy spotkanie, jak najdobitniej stwierdzili, że od samego początku kontrofensywy Czerwonej Armii, aż do jej zupełnego cofnięcia się poza granice Polski, KC nigdy nie debatował ani nie przyjmował rezolucji w sprawie, czy i jak daleko miała się posuwać kontrofensywa, czy i kiedy powinna była Rosja zawierać pokój, czy należało lub nie należało dążyć do sowietyzowania Polski przy pomocy Czerwonej Armii. Nigdy żadnej podobnej kwestii nie stawiali po prostu dlatego, że to nie miałyby żadnego znaczenia w ich polityce praktycznej. Byli oderwani od świata, nie znali żadnych motywów ani celów kontrofensywy⁴²”.

A. Warski miał chyba ważne powody, dla których z takim uporem i bez krzty samokrytycyzmu bronił absencji politycznej KC KPRP w momencie, gdy rozstrzygały się sprawy o największej dla kraju i partii doniosłości. Musiała mu już widać być znana uchwała IX-tej Konferencji RKP(b) (22-25 września 1920 r.), w której — po referacie bezpośrednio przybyłego z Warszawy działacza Ulanowskiego — z radością stwierdzono m.in., że:

„Polscy robotnicy-komuniści całkowicie aprobowali poparcie siłą zbrojną sprawy sowietyzacji Polski i nie czynili najmniejszych koncesji ani nacjonalizmowi, ani pacyfizmowi⁴³”.

W stanowisku Warskiego zdaje się jednak pobrzmiwać również jakiś krytycyzm, próba zdystansowania się od decyzji, które zapadły w „specyficznej sprawie”. Mógłby o tym świadczyć następujący fragment październikowego listu:

„Dla każdego, zdaje się, powinno być jasnym, że przede wszystkim do Moskwy i do towarzyszy polskich w Rosji należy ocena, czy trzeba było przystąpić do zawieszenia broni w takim czy innym momencie kontrofensywy bolszewickiej”. — *Dodaje jednak:* — „Z punktu widzenia zaś specyficznie polskiej rewolucji następne powodzenia militarystyki polskiej były i są nadzwyczaj szkodliwe, jako jego triumf, przywrócenie autorytetu Piłsudskiego, tak już silnie zachwianego w czasie porażek polskich, poprawienie się sytuacji PPS itd.”.

41. *Dokumenty i Materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. 3, str. 495 (podkreślenia A. Warskiego).

42. *Z Pola Walki*, 1970, nr 4, str. 154.

43. Z uchwały IX Konferencji. — KPZR w rezolucjach i uchwałach.

W „specyficznej sprawie” w KC KPRP ujawniły się jednak różnice zdań. Nie wprost w kwestii niepodległości czy granic (w tych sprawach z przedstawicielami KC KPRP konferowali podówczas J. Sochacki, przywódca lewych grup w PPS oraz generał Roja — obaj zaklasyfikowani przez kierownictwo KPRP jako przedstawiciele kierunku narodowo-komunistycznego), ale w pozornie oderwanej, teoretycznej sprawie: czy słusznym jest wnoszenie rewolucji z zewnątrz.

22 lipca w berlińskiej *Rote Fahne* ukazał się artykuł H. Domskiego pt. „Rosja Sowiecka a pokój” o ostrej wymowie aktualno-politycznej. O artykule tym znajdujemy następującą wzmiankę w przypisach do Protokołów II-go Zjazdu (KIW, str. 41):

„W artykule 'Rosja Sowiecka a pokój' w *Rote Fahne* 22. VII. 1920 Domski dał analizę pokojowej polityki rządu radzieckiego, demaskował insynuacje burżuazji o zamiarach Armii Czerwonej wprowadzenia ustroju radzieckiego w Polsce. Podkreślając, że rewolucja proletariacka w Polsce może być dziełem tylko ludu polskiego, pisał m.in.: 'Tylko te masy ludowe, które podobnie jak rosyjskie same dokonały rewolucji, mogą ochotnie znieść i przetrwać niedomagania i zmagania związane z przewrotem. Natomiast ustrój sowiecki, wprowadzony z zewnątrz, przez obce wojska, natrafiłby na daleko silniejszy opór u klas posiadających i miałyby słabsze poparcie mas pracujących⁴⁴'.

Jak wynika z przypisów T. Feder do listów A. Warskiego, opublikowanych w 1970 roku⁴⁵, Domski 31 sierpnia, a więc już w czasie odwrotu Armii Czerwonej spod Warszawy, wystosował pismo do Biura Polskiego przy KC RKP(b) z prośbą, aby z jego treścią zapoznać towarzyszy rosyjskich. W liście tym zdecydowanie występował przeciwko ofensywie Armii Czerwonej w Polsce twierdząc, że taktyka zastosowana w lipcu i sierpniu 1920 r. przyniosła Rosji porażkę militarną, w Polsce zaś spowodowała wzrost nacjonalizmu i moralne straty komunizmu.

Z publiczną, acz nie personalną, krytyką stanowiska Domskiego pierwsi wystąpili radzieccy komuniści. Już we wspomnianej przeze mnie uchwale IX-tej Konferencji RKP(b) (22-25 września 1920 roku) czytamy:

„Konferencja z zadowoleniem konstatuje, że 'poszczególne' 'krytyczne' głosy polskich komunistów, rozlegające się w Berlinie (artykuł w *Rote Fahne*) nie były głosem polskiej partii komunistycznej”.

Stanowisko, iż klasa robotnicza w każdym kraju powinna o własnych siłach dokonać rewolucji bez obcej pomocy orężnej, w teorii nie budziło wątpliwości, była to ogólnie obowiązująca zasada. Na jej gruncie — jak widzieliśmy — stał również J. Marchlewski, gdy kategorycznie odrzucał zarzut, jakoby rząd

44. Według II Zjazdu KRRP, str. 41.

45. *Z Pola Walki* nr 4/52.

radziecki dążył w Polsce do „nasadzenia komunizmu bagnetami rosyjskimi”. Jedyne Warski zdecydowanie odrzuca to stanowisko:

„To zdanie (stanowisko — przyp. R.Z.) — pisze on w liście z października 1920 roku — w tak ogólnikowej formie niestety rozpowszechnione jako frazes w wielu partiach komunistycznych — wyraził je Cziczerin w swojej przedmowie do Księgi Czerwonej, Klara Zetkin w mowie parlamentarnej. *Krakus* (Domski — przyp. R.Z.) w *Rote Fahne* berlińskiej itd. — jest oczywiście tylko nonsensem, pustą formułą metafizyczną, historycznie i aktualnie nierealną”.

3. Skąpo, ale ostro brzmi samokrytyka partii, zawarta w uchwale IV-tej Konferencji KPP (grudzień 1925 roku), ale omija interesującą nas sprawę:

„W roku 1919 — czytamy w niej — w walce o reformę rolną utworzył się pod wodzą PPS blok robotników (z PPS i NPR) i chłopów zarówno z 'Piasta', jak i 'Wyzwolenia'. Robotników tych i chłopów łączyła wtedy w jeden blok walka o ziemię i obrona Polski. KPP stała z dala od tych spraw⁴⁶”.

Jeszcze tylko u schyłku swej działalności w kierownictwie KPP dotknął tej sprawy A. Warski, ale raczej mimochodem i w sposób cząstkowy. Uczynił to w artykule opublikowanym w 1929 roku pt. „Dwudziestoletni spór z Leninem”, poświęconym rzetelnej analizie błędów partii, a zarazem dramatycznej samokrytyce, artykule, który okazał się łabędzim śpiewem starego przywódcy partii:

„Kto dziś — pisze Warski — nie rozumie tego naszego ówczesnego błędu, ten nic a nic nie rozumiał z przyczyn naszej porażki w latach 1918-1919, z porażki w wojnie 1920 roku. Masy chłopskie i drobnomieszczańskie (i duża część, a raczej większość robotników) nie poszły za rewolucyjnym proletariatem, za KPP, ponieważ widziały w partii naszej przeciwnika hasła ziemi dla chłopów, przeciwnika hasła niepodległości Polski. Ale poszły za PPS, Wyzwoleniem itd., za partiami, które obiecywały chłopom ziemię, walczyły pod hasłem niepodległości i organizowały państwo polskie (rozumie się państwo burżuazji i szlachty, które oszukało masy drobnomieszczańskie i chłopskie, nie mówiąc już o robotnikach)⁴⁷ ...”.

Ta ewolucja w ocenach A. Warskiego nie miała jednak wpływu na jego generalny stosunek do wojny 1920 roku. Wynika to aż nadto wyraźnie z faktu, że w tymże 1929 roku ukazał się w Moskwie zbiór artykułów A. Warskiego „Na froncie ideologicznym. Przeciw nacjonal-bolszewizmowi”, do którego Warski w nieco zmienionej formie włączył swój artykuł „Rewolucja i wojny rewolucyjne”. Charakterystyczna zmiana, jakiej Warski w nim dokonał, polegała na znacznie ostrzejszym potraktowaniu

46. KPP uchwały i rezolucje, tom II, str. 268, KiW.

47. A. Warski, *Wybór pism i przemówień*, tom 2, str. 463.

stanowiska H. Domskiego, „że w każdym kraju klasa robotnicza musi sama wyzwalać się z pęt kapitalizmu, bez pomocy obcych bagnatów”. Wymieniając — w odróżnieniu od wersji z 1921 roku — H. Domskiego z nazwiska, A. Warski pisze:

„Należy przyznać, że tym razem znalazł się nawet komunista polski, dla którego kontrewolucyjne przykazanie socjal-szowinistów okazało się świętym i pobudziło go do wystosowania pod adresem WKP(b) płomiennego protestu przeciw czerwonemu imperializmowi sowieckiemu i do publicznego wystąpienia (w berlińskiej *Rote Fahne*) przeciw 'obcym wojskom' (Czerwonej Armii), wprowadzającym z zewnątrz ustrój sowiecki⁴⁸”.

W istocie swej stanowisko A. Warskiego nie uległo więc od 1921 roku zmianie. Forma zaś, ton i język cytowanego akapitu wskazuje, że był on również adresowany do miarodajnych czytelników radzieckich, z którymi wypadało coraz więcej się liczyć.

Była to zresztą bodaj ostatnia publikacja kapepowska, krytycznie zatracająca o wojnę 1920 roku. Od tego czasu wokół tego tematu zaległo kompletne milczenie.



Nie będzie żadnym odkryciem stwierdzenie, że u źródeł przemilczeń w oficjalnej historiografii na temat wojny 1920 roku leżą względy polityczne, obawa aby nie narazić na szwank stosunków polsko-radzieckich. W danym wypadku jednak nasuwają się poważne wątpliwości nie tylko co do słuszności tej ingerencji polityki w dziedzinę historii, ale i co do jej skuteczności.

Od wojny 1920 roku upłynęło wprawdzie ponad pięćdziesiąt lat, ale należy ona do tych wydarzeń najnowszej historii, które niełatwo ulegają zapomnieniu. W okresie międzywojennego dwudziestolecia najbardziej zakorzeniony był w społeczeństwie stereotyp, który cel ofensywy Armii Czerwonej sprowadzał do próby ponownego zaboru Polski przez Rosję. Podobne sądy podzielały nawet i te kręgi, które potępiały rządy polskie za odrzucanie korzystnych propozycji radzieckich oraz pochód na Kijów. I raczej nieliczne były postawy, które opowiadały się za ocenami komunistycznymi, bezkrytycznie afirmującymi marsz Armii Czerwonej na Warszawę.

Trudno — rzecz oczywista — o analizę stosunku do tej wojny współczesnego Polaka. Wydaje się jednak, że sam bieg późniejszej historii raczej nie sprzyjał ukształtowaniu się postaw akceptujących ofensywę wojsk radzieckich oraz stanowisko polskich komunistów. Szczególnie negatywny wpływ musiał wywrzeć pakt Mołotow-Ribentrop i 17 września 1939 roku, a później — zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej — nierównoprawne stosunki między ZSRR a Polską oraz, podsycane przez wrogie ośrodki, obawy w społeczeństwie przed przekształceniem Polski w 16-tą republikę.

48. *Ibid.*, str. 506.

Wszystkie te wydarzenia i zjawiska wywoływały i kumulowały nastroje, które nie mogły nie rzutować na oceny, dotyczące również i tak odległej przeszłości, jak wojna 1920 roku.

A jednocześnie nastąpiły w świecie ogromne przeobrażenia oraz dokonały się zasadnicze zmiany w założeniach programowych i ideologicznych partii komunistycznych. Historiografia każe usprawiedliwić działalność komunistów polskich w 1920 r., ich wiarę w rewolucję światową. I w pewnym sensie ma rację. Ale siła przekonywująca tego argumentu jest coraz mniejsza. Od 50 lat nie powtórzyła się w Europie sytuacja rewolucyjna w rozumieniu tego pojęcia w latach 1918-1923, od lat 40 postępuje deaktualizacja pojęć dyktatury proletariatu i jej formy — systemu rad, zatarła się w pamięci społecznej romantyka rewolucyjna okresu po pierwszej wojnie światowej.

Można, zdaje się, bez większego ryzyka założyć, że wśród Polaków, mających obecnie jakiś sąd o wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku, większość uważa pochód Armii Czerwonej na Warszawę za próbę pozbawienia Polski niepodległości i wcielenia jej do Rosji. Pogląd ten zresztą stara się utrwalac Rozgłoszenia Polska Wolnej Europy, która w rocznicowych audycjach, poświęconych „cudowi nad Wisłą”, lansuje pogląd, że to właśnie dzięki zwycięstwu oręża polskiego w 1920 roku Polska ma obecnie przynajmniej ograniczoną niepodległość, w przeciwnym bowiem wypadku dawno już stałaby się 16-tą republiką ZSRR. Nie można temu pogładowi odmówić nośności mimo, że oparty jest na „gdybaniu”.

Warto może jeszcze wspomnieć o reperkusjach ideowo-politycznych aprobowania bez zastrzeżeń przez oficjalne wydawnictwa Zakładu Historii Partii stanowiska komunistów polskich wobec „marszu na Warszawę”. Czy można wskazywać na błędy SDKPiL w sprawie narodowej i ujawniać zgubne następstwa stanowiska komunistów polskich wobec organizującego się w 1918 roku odrodzonego państwa polskiego, a jednocześnie aprobować bez zastrzeżeń ich stanowisko w 1920 roku? Ta niekonsekwencja szczególnie jaskrawo występuje, gdy partia sprawująca władzę w państwie ma ambicję ubiegania się o rząd dusz całego narodu, zaś dominantą w jej ideologii (*nota-bene* aż nazbyt wybujałą, z uszczerbkiem dla innych wartości ideowych) staje się odwoływanie do uczuć narodowych i patriotycznych. Tego typu niekonsekwencje mogą tylko podsycac wątpliwości czy tak nadużywany w propagandzie frazes patriotyczny nie jest tylko fasadą, werbalizmem, narzędziem manipulowania opinią publiczną.

Roman ZAMBROWSKI

Warszawa, wrzesień 1975 r.

(Druk, oraz skróty redakcyjne, bez wiedzy i zgody autora).

Z. S. SIEMASZKO

BRYGADA ŚWIĘTOKRZYSKA *

1945-1946

Brygada Świętokrzyska została powołana do życia 11 sierpnia 1944, jednak jej bardziej barwne dzieje rozpoczęły się dopiero w styczniu 1945, w momencie wymarszu na Zachód. Zanim to nastąpiło, Brygada została przeorganizowana rozkazem z 8 stycznia 1945 roku.

„Dotychczasowe pułki (noszące numery 202 i 204) przestały istnieć, natomiast powstały trzy bataliony. Pierwszy pod nazwą nadwiślański, drugi świętokrzyski oraz trzeci jasnogórski. W skład każdego batalionu wchodziły cztery kompanie liniowe, pluton broni towarzyszącej (ciężkie karabiny maszynowe) i pluton łączności. Dowództwo pierwszego baonu otrzymał kpt. „Step” (Adam Goldfinger), drugiego mjr „Rusin”, trzeciego kpt. Jerzy Wojski. Oddział Rozpoznawczy pod dowództwem mjra „Lubicza” oraz pluton artylerii z por. „Jacyną” na czele, pozostały do dyspozycji dowódcy Brygady. Łączność miał pod sobą w dalszym ciągu mjr „Wołyniak”. Oficerem taborowym Brygady został rtm. „Żuraw”. Przy dowództwie Brygady pozostał również pluton żandarmerii z por. „Grotem” na czele. Została także zorganizowana Kompania Szturmowa dla ochrony sztabu Brygady. Dowódcą jej został mianowany przybyły z Puszczy Kampinoskiej, po powstaniu warszawskim, por. „Skalski”. Nowopowstałe baony miały się stać zaczątkowymi kadrowymi przyszłych brygad, z których miała się składać planowana Grupa Operacyjna — Zachód. Późniejsze okoliczności nie pozwoliły na zrealizowanie tych planów. W praktyce baony zostały baonami, a Grupa Operacyjna — Zachód ograniczała się do Brygady Świętokrzyskiej, której stan do stycznia 1945 wyniósł ponad tysiąc oficerów i szeregowych” (*Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 66).

Dowódcą Brygady pozostawał nadal płk Dąbrowski, jego zastępcą był mjr Marcinkowski, a szefem sztabu — mjr Zub-Zdanowicz.

* Jest to jeden z rozdziałów pracy, która obejmuje dzieje zarówno przedwojennego ONR, jak również Grupy Szańca i NSZ w czasie wojny. Praca ta jest obecnie w stadium przygotowania do druku.

Stan Brygady zmniejszył się o 60 ludzi, którzy odeszli 5 stycznia 1944 pod dowództwem Kołacińskiego w celu zlikwidowania posterunku niemieckiego odległego o 80 km. od miejsca postoju Brygady¹. Oddział ten nie zdążył już powrócić przed wymarszem na Zachód i pozostał w kraju. Jeden z autorów *Zeszytu III do Historii NSZ* (Karolewicz, str. 67) podaje, iż w momencie wymarszu na Zachód Brygada liczyła zaledwie 850 ludzi.

Zimowa ofensywa sowiecka była niespodziewana.

„Wywiad NSZ nie dostarczył wiadomości, które by pozwalały przypuszczać, że Rosjanie ruszą przed wiosną, w połowie zimy. NSZ z Grupą Operacyjną i Brygadą Świętokrzyską, nie spieszył z wypełnieniem swoich stanów. Wolano zimę przetrzymać na stopie zredukowanej tak ze względu na wyżywienie, jak i ze względu na zakwaterowanie w warunkach zimowych, na terenie okupowanym przez nieprzyjaciela. Niemałe były również trudności komunikacyjne. Nie liczono na ożycie frontu przed końcem kwietnia 1945. Zaskoczeni byli wszyscy” (Boguszewski, *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 37).

W momencie sowieckiego uderzenia członkowie zaplecza politycznego NSZ znajdowali się częściowo w Krakowie, a częściowo na przedmieściach Warszawy. Komendant główny NSZ wraz ze swym nielicznym sztabem przebywał w rejonie Kraków-Częstochowa. Brygada Świętokrzyska znajdowała się w miejscowościach Giebułtów i Maciejów, kilkanaście kilometrów od Miechowa. Natomiast Hubert Jura („Tom”) przebywał w Radomiu, a członkowie jego organizacji byli rozrzućeni na poszczególnych punktach kontaktowych w Krakowie, Częstochowie, Radomiu i innych miastach. Oddziały sowieckie posuwały się szybko na zachód. Należało więc pobierać natychmiastowe decyzje.

Hubert Jura ewakuował się z Radomia do Berlina, prawdopodobnie razem z kapitanem SS Fuchsem i nawiązał kontakt z Brygadą Świętokrzyską dopiero na terenie Czechosłowacji w marcu 1945 r. Natomiast jego ludzie z placówki częstochowskiej ewakuowali się samochodem ciężarowym razem z oddziałem Akcji Specjalnej (AS) okręgu kieleckiego NSZ i dołączyli do Brygady 27 lutego w miejscowości Kaubitz (koło obecnych Ząbkowic) na Dolnym Śląsku².

Spośród bardziej znanych członków zaplecza politycznego Kasznica, Sobociński i Kazimierz Gluziński pozostali na miejscu. Natomiast Todtleben, Wawrzkowicz i Iłakowicz udali się przez Wiedeń na zachód i nawiązali kontakt z Brygadą Świętokrzyską dopiero po zakończeniu wojny³. W okresie styczeń-kwiecień

1. *Między młotem a swastyką*, str. 270.

2. *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 47 i 72.

3. Kozłowski, list do autora z 30 lipca 1971.

1945 r. w ramach Brygady przebywał tylko jeden spośród znanych przywódców politycznych — Władysław Marcinkowski, który spełniał funkcję zastępcy dowódcy. Natomiast Wawrzko-wicz, który był szefem informacji w Brygadzie przed rozpoczęciem ewakuacji, przebywał poza Brygadą w momencie ofensywy sowieckiej i dlatego ewakuował się oddzielnie. Jego funkcję w Brygadzie objął rtm. Jerzy Dobrzański-Zaleski („Zaremba”).

Rankiem 13 stycznia 1945 roku dowódca Brygady otrzymał kartkę przywiezioną przez gońca z dowództwa NSZ następującej treści:

„Żadnej pomocy nie możemy dać. Cofać się na zachód w myśl ustnych rozkazów na własną rękę” (*Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 67).

Na skutek tych zarządzeń dowództwo Brygady wydało rozkaz marszowy. Wymarsz nastąpił 13 stycznia o godz. 16-tej⁴. Tej nocy z 13 na 14 stycznia warunki atmosferyczne były niezmiernie niesprzyjające, panował mróz i śnieżna zadymka. Jednak Brygada zdołała przebyć trasę 15 do 20 km. i zatrzymała się na postój w miejscowościach Kępie i Marcinkowice.

O godz. 13-tej oddziały NSZ zostały zaatakowane przez Niemców. Zdołały jednak odeprzeć ten atak ponosząc straty dziewięciu zabitych. Wśród nich zginął artysta grafik Jachimowicz (ppor. „Boryna”). Następnego nocy z 14 na 15 stycznia Brygada wyruszyła z miejsca postoju o godz. 1-ej i nad ranem, w czasie przeprawy przez Pilicę w okolicy Żarnowca, została zaatakowana przez sowieckie czołgi, tracąc kilka wozów taborowych. Późnym wieczorem tegoż dnia 15 stycznia Brygada pokrywając trasę 20 do 25 km., osiągnęła miejscowość Solca, gdzie zatrzymała się na nocleg. Stąd wysłano patrol na wschód do dowództwa NSZ.

Tej nocy z 15 na 16 stycznia, na skutek inicjatywy niemieckiej, doszło do narady w lokalnym dowództwie frontu. Ze strony niemieckiej wystąpił pułkownik, major i mówiący po polsku Leutnant Mrotschy, adiutant pułkownika. Natomiast Brygadę reprezentował rtm. Zaleski i pchor. „Topaz”. Odrzucili oni żądanie podporządkowania się pułkownikowi niemieckiemu i wzięcia udziału w walce na froncie sowieckim, twierdząc, iż ich zadaniem jest marsz *nach Western*. Narada zakończyła się wystawieniem przez niemieckiego pułkownika listu polecającego, pod warunkiem iż Brygada nie będzie atakować oddziałów niemieckich i w swym marszu będzie unikać większych miast⁵.

4. *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 67 i Zał. 10.

5. Relacje „Topaza”, patrz: *W marszu i boju*, str. 63-70, oraz *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 69.

Rano 16 stycznia o godz. 7-mej rozpoczął się dalszy marsz w kierunku na Zawiercie. W ostatniej chwili przed odejściem Brygada została ostrzelana przez czołgi sowieckie. Pod miejscowością Koziegłowy marsz został wstrzymany i z rozkazu dowódcy delegacja w składzie mjr „Rusin”, por. „Most” i ppor. Karolewicz udała się do niemieckiego dowództwa w celu uzyskania zezwolenia na przejście linii obronnej. Pułkownik niemiecki wydał rozkaz przepuszczenia Brygady przez rowy przeciwczołgowe, które przekroczone o godz. 16-tej, zatrzymując się na nocny postój w miejscowości Kamieniec⁶.

Następnego dnia, 17 stycznia rano rozpoczął się dalszy marsz przez Koszęcin w kierunku na Lubliniec. Brygada została przepuszczona przez granicę Generalnego Gubernatorstwa bez żadnych trudności i zatrzymała się na nocleg pod Lublińcem. 18 stycznia lokalne dowództwo niemieckie zażądało złożenia broni. Jednak nie doszło to do skutku, gdyż mjr Marcinkowski zdołał uzyskać od niemieckiego generała dowodzącego na tym terenie, zezwolenie na przejście Brygady do Czech⁷. Potwierdzenie zawarcia tej umowy z wojskowymi władzami niemieckimi znajduje się w rozkazie dowódcy Brygady z 19 stycznia 1945 r. nr 159, który zawiera między innymi takie stwierdzenie:

„Weszliśmy w stan niewojowania z Niemcami na czas nieokreślony. Mam nadzieję, że szybko toczące się wypadki wojenne pozwolą nam w niedalekiej przyszłości zameldować się u Naczelnego Wodza i prawowitego Rządu Polskiego i według jego rozkazu zwrócić nasz oręż przeciwko wrogowi, którego każe nam zwalczać” (*Zeszyt III do Historii NSZ*, Zał. 11).

W dniu 18 stycznia Brygada zatrzymała się na nocleg w miejscowościach Solarnia i Dziewicza Góra, a 19 stycznia, po przekroczeniu granicy polskiej z 1939 roku, w miejscowości Łazisk. Tej nocy, na skutek zbliżania się oddziałów sowieckich, miał miejsce alarm i wymarsz o godz. 2-iej. Przez most na Odrze, między miejscowościami Otmęt i Krapkowice, Niemcy przepuścili najpierw swoje własne oddziały, potem uchodźców cywilnych i wreszcie na końcu nad ranem, Brygadę Świętokrzyską.

Pomiędzy 20 i 26 stycznia Brygada kontynuowała dalszy marsz na zachód przez miejscowości Elgut, Hammer, Feldheim (koło Neisse — obecna Nysa), Gruenwald i Kaubitz (koło Frankenstein — obecna nazwa Żąbkowice Śląskie), oddalając się od frontu kilkadziesiąt kilometrów. W czasie postoju w Kaubitz dogoniła Brygadę ciężarówka, którą przyjechał kielecki oddział AS pod

6. Relacja Karolewicza z tej narady, patrz: *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 70.

7. *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 38.

dowództwem kpt. „Gustawa” wraz z członkami organizacji „Toma” z Częstochowy. Ekipa ta musiała mieć jakieś specjalne względy u władz niemieckich, co znalazło swój wyraz w tym, iż z miejsca po jej przybyciu, w nocy z 26 na 27 stycznia, dowódca Brygady płk Dąbrowski, szef sztabu mjr Zub-Zdanowicz, rtm. Zaleski, oraz świeżo przybyli kpt. Maciej Niedziela („Gustaw”) i ppor. „Jacek” udali się do dowództwa niemieckiego w Ząbkowicach Śląskich. Jako środek lokomocji użyto ciężarówkę, którą przybyli ludzie „Toma” i kielecka AS.

Niemiecki pułkownik, z którym przeprowadzano naradę, sugerował, iż Brygada powinna objąć odcinek na przygotowanej linii obronnej. Odpowiedział na to Zub-Zdanowicz stwierdzając, że żołnierze Brygady w obecnym stanie nie nadają się do walki regularnej i mogliby być użyci do tego rodzaju zadań po odpowiednim przeszkoleniu. W czasie narady niemiecki pułkownik był w kontakcie telefonicznym z Berlinem i po zakończeniu rozmowy, wyraził zgodę na przemarsz Brygady bocznymi drogami w kierunku Pragi czeskiej. Niewątpliwie sprawy zaopatrzenia Brygady w czasie przemarszu zostały również załatwione na tej naradzie.

Między 27 stycznia i 8 lutego Brygada przechodziła przez miejscowości Peterswald, Seifersdorf, Altlæssig, Petersdorf i Kottwitz koło Arnau w pobliżu granicy protektoratu Czech i Moraw, gdzie zatrzymała się na dłuższy postój. Nie udało się ustalić dokładnego położenia miejscowości Kottwitz, prawdopodobnie znajduje się ona w Sudetach, na południe od Jeleniej Góry.

Wieczorem 8 lutego, wzdłuż pobliskiej szosy, przechodziła kolumna AK'owców, jeńców wojennych z Powstania Warszawskiego, ewakuowanych z obozu Lamsdorf na Śląsku. Widząc polskie mundury żołnierzy Brygady 120 jeńców uciekło z kolumny marszowej i dołączyło do Brygady. Przyczyniło się to do stworzenia w dniu 15 lutego czwartego batalionu pod dowództwem kpt. Niedzieli; batalion ten nazwano poznańskim.

Rozkazem z 7 lutego powołano do życia kurs przygotowujący do działań na tyłach nieprzyjaciela. Przydzielono nań 60 żołnierzy spośród ochotników, którzy zgłosili się w ilości paru setek. Kilku oficerów i podoficerów niemieckich przebywało stale w rejonie tego kursu⁸.

Dnia 12 lutego, w czasie postoju w Kottwitz, władze niemieckie wystąpiły ponownie z żądaniem podporządkowania im całości Brygady. Jednak żądanie to zostało przez dowództwo Brygady odrzucone.

Po kilkunastodniowym postoju, w dniu 20 lutego, Brygada

8. *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 40 i 74.

została skierowana na teren protektoratu Czech i Moraw w kierunku południowo-wschodnim. Tym razem tempo marszu było znacznie wolniejsze. Posuwając się w kierunku na Blansko (około 20 km. na północ od Brna), Brygada przechodziła przez miejscowość Pečky położoną 35 do 40 km. na wschód od Pragi. Wreszcie 18 marca Brygada dotarła do Rozstani, opustoszałej wioski położonej wśród lasów, około 15 km. na północny-wschód od Blanska w pobliżu przepaści Macocha⁹. W Rozstani kwatrowała Brygada aż do 13 kwietnia. Była to pierwsza możliwość do dłuższego odpoczynku po pieszym marszu z okolic Miechowa, który wyniósł przeszło 600 km. Przez cały ten czas — od 13 stycznia 1945 — Brygada była oderwana od świata zewnętrznego, nie mając żadnych kontaktów ani ze swoim dowództwem, które pozostało w kraju, ani też z przywódcami politycznymi, którzy ewakuowali się na Zachód przez Wiedeń. Usiłowano jednak nawiązać zewnętrzne kontakty.

Jeszcze 16 stycznia, z miejscowości Solca położonej między Zawierciem i Szczekocinami, został wysłany z powrotem na wschód, w celu nawiązania łączności z dowództwem NSZ, patrol pieszy w składzie por. „Bogus”, łączniczka „Barbara” i jeden strzelec. Prawdopodobnie patrol ten zdołał dotrzeć do dowództwa. Por. „Bogus” został aresztowany w Krakowie dopiero w kwietniu 1945 r. i następnie był więziony przez 12 lat.

Później, już w czasie postoju w Rozstani, wysłano do kraju trzy ekipy spadochronowe przeszkolone w ramach specjalnego kursu zainicjowanego rozkazem z 7 lutego 1945 r. Kursem tym kierował por. „Skalski”. Okoliczności wysłania tych ekip wyjaśnia Boguszewski w sposób następujący:

„Łącznościowcy szkoleni w obsłudze sprzętu radiowego byli odsyłani na przeszkolenie do organizacji 'Toma', która w tym czasie znajdowała się koło Pragi czeskiej. (Jasne, iż używano niemieckiego sprzętu łącznościowego — Z.S.S.). ... 'Tom' również odprawiał patrole wysłane z Brygady do Polski samolotami niemieckimi. Autor nie doszedł w jaki sposób 'Tom' dysponował, czy miał dostęp do samolotów niemieckich. Z całą pewnością dało się stwierdzić, że ani jeden żołnierz Brygady nie był szkolony w skokach spadochronowych przez Niemców. Ustawiczne nagabywanie 'Toma' o przysłanie mu ludzi na przeszkolenie w skokach zbywano pod różnymi pozorami aż do momentu, kiedy 'Tom' stwierdził, że dalsza gra wobec Niemców będzie mieć fatalne skutki. Zdecydowano (wówczas) wysłać patrole nie przeszkolone z zadaniami tylko od d-cy Brygady. Żaden d-ca patrolu skoczaków nie otrzymał zadania od Niemców. Jeśli nawet Niemcy określili jakieś zadania to nigdy nie przekroczyło to osoby 'Toma' i nigdy nie dotarło nawet do d-cy Brygady. Patrole szkolone przez por. 'Skalskiego', z radiotelegrafistami, szkolonymi przez 'Toma' i z zadaniami nawiązania łączności z komórkami NSZ w kraju według wskazówek d-cy Brygady odlatywały

9. *W marszu i boju*, str. 80.

na samolotach niemieckich, będących w dyspozycji kpt. 'Toma' i były odprawiane przez 'Toma'. Przy odprawie jednego patrolu był obecny mjr 'Zub', szef sztabu Brygady" (*Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 40).

Praca oparta na dokumentach UB potwierdza stwierdzenia Boguszewskiego w sprawie zadań zrzuconych ekip podając, iż nie miały one charakteru dywersyjnego, a jedynie wywiadowczy na korzyść Brygady Świętokrzyskiej i obejmowały następujące zagadnienia: wiadomości wojskowe z Polski, sytuacja podziemna, stosunek społeczeństwa do PKWN, jak również dotarcie do dowództwa NSZ i nawiązanie łączności radiowej z Brygadą.

Pierwsze dwa patrole zostały zrucone 23 marca 1945. Jednym z nich dowodził kpt. Zygmunt Rafalski (Sulimczyk), a drugim por. „Rumba”. Rafalski wraz z siedmiu żołnierzami został zrzucony w kieleckim, natomiast „Rumba” wraz z sześciu żołnierzami koło Zawichostu. Do jakiego stopnia ekipy te zdołały wykonać swe zadania nie wiadomo. „Rumba” zginął na niemieckich minach, Rafalski został aresztowany w Kielcach w kwietniu 1945 roku, żaden z pozostałych żołnierzy do Brygady nie wrócił.

Wkrótce po wysłaniu tych dwóch ekip do kraju, w pierwszych dniach kwietnia 1945 roku, dowództwo Brygady wysłało specjalnie wybranych i przeszkolonych oficerów z meldunkiem sytuacyjnym, oraz danymi niezbędnymi do dalszego kontaktu (szyfry, tabele czasu itd.) w przeciwnym kierunku, do 2-go Korpusu. Udał się tam por. „Szaława” i por. Richard V. Tullett („Harry”¹⁰). Dotarli oni do celu i otrzymane zadania wykonali.

W tym samym czasie, pod koniec marca 1945, dowództwo Brygady wysłało również swego przedstawiciela do Nacz. Wodza w Londynie. Był nim rtm. Zaleski. Dotarł on do Londynu 4 maja 1945 roku¹¹.

Następny patrol spadochronowy w składzie por. „Gnat”, łączniczka „Grażyna” i pięciu szeregowych został zrzucony nad krajem 15 kwietnia 1945 r. Por. „Gnat” powrócił do Brygady we wrześniu 1945, kiedy została już ona zamieniona na kompanie wartownicze. „Grażyna” została aresztowana przez Bezpiekę, która prawdopodobnie jednak nie zdawała sobie sprawy z tego, iż „Grażyna” była zrzutkiem spadochronowym, gdyż w pracy opartej na dokumentach UB nie ma wzmianki o tym patrolu.

W tym samym czasie, jeszcze przed wyjściem z Rozstani, został wysłany do kraju patrol pieszy składający się z 45 żołnierzy

10. Anglik, oficer lotnictwa brytyjskiego, który uciekł z niewoli niemieckiej w 1943 roku i od tego czasu był w oddziałach partyzanckich NSZ. Píše o nim Kołaciński, *Między młotem a swastyką*, str. 150, 180 i in.

11. Szczegółowa relacja Zaleskiego z tej misji znajduje się w *Zeszytach IV do Historii NSZ*, str. 57-74.

pod dowództwem kpt. „Mosta”. Jednak, jeszcze nie doszedłszy do granicy polskiej „Most” zrezygnował z dalszej wyprawy i powrócił do Brygady wraz z 30 ludźmi. Reszta tej grupy rozdzieliła się na dwa patrole, jeden pod dowództwem ppor. Jana Dzielskiego („Warecki”), w skład którego wchodziło ośmiu ludzi, a drugi pod dowództwem Włodzimierza Kołaczkowskiego, w skład którego wchodziło siedmiu ludzi. Oba patrole przekroczyły granicę polską w nocy z 28 na 29 kwietnia 1945 r. około 60 km. na zachód od Zakopanego. Potem Dzielski skierował się w okolice Nowego Targu, a Kołaczkowski do Kielecczyny. Patrol Dzielskiego został zlikwidowany przez krakowskie oddziały UB w Sopotni Małej w pow. żywieckim. Natomiast Kołaczkowski zdołał przedostać się i został aresztowany dopiero 1 czerwca 1945 r. Czterech ludzi z jego plutonu powróciło do Brygady we wrześniu 1945 r. wraz z por. „Gnatem”, zrzuconym do kraju 15 kwietnia¹².

Jednym z zasadniczych zadań patroli wysyłanych do kraju było nawiązanie łączności radiowej. Można domyślać się, iż sprawa ta była w rękach Huberta Jury, który miał dostęp do niemieckiego sprzętu radiowego. Można również domyślać się, iż ośrodek łączności, z którym usiłowali skomunikować się kurierzy zrzucony do kraju, znajdował się pod Pragą, gdzie organizacja „Toma” szkoliła radiotów, a nie na terenie Brygady w Rozstani. Dopiero po zakończeniu wojny, kiedy znikły władze niemieckie popierające „Toma”, ośrodek łączności radiowej mógł być przeniesiony do Brygady. Częściowe potwierdzenie tej hipotezy znajdujemy w reportażu Litauera z pobytu w dowództwie Brygady¹³. Jednak brak jest danych do ustalenia, czy zdołano faktycznie nawiązać łączność radiową z krajem w czasie trwania wojny, lub po jej zakończeniu, czy też wysiłki w tej dziedzinie nie dały żadnych skutków.

Opisany przebieg wypadków w pierwszych czterech miesiącach 1945 roku wskazuje, iż taktyka dowództwa Brygady była względnie prosta. Dążyło ono do uzyskania od Niemców zezwolenia na cofanie się pieszymi marszami przed posuwającym się na zachód frontem sowieckim, przy jednoczesnym otrzymywaniu środków koniecznych do utrzymania Brygady¹⁴. Za te przywileje

12. Dane dotyczące patroli wysyłanych we wszystkich kierunkach zostały zaczerpnięte z następujących prac: *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 40 i 41; *W marszu i boju*, str. 80 i 81; *W walce o utrwalenie władzy ludowej w Polsce*, str. 92 i 93.

13. Patrz Aneks.

14. W znanych wspomnieniach żołnierzy Brygady są wzmianki o przydzielaniu zakwaterowania, jest jedna wzmianka o pobieraniu żywności (*W marszu i boju*, str. 74-80) z magazynów niemieckich, natomiast nie ma ani jednej wzmianki o pobieraniu pieniędzy. Jednak w czasie tych kilku

dowództwo chciało zapłacić jak najniższą cenę, a w pierwszym rzędzie pragnęło uniknąć zaangażowania w walce po stronie niemieckiej przeciwko oddziałom sowieckim. Stosowało ono taktykę opóźniającą, obiecując iż po przeszkoleniu, Brygada weźmie udział w walce. Jednak z czasem zaakceptowanie dalszych ustępstw stało się konieczne. Dowództwo zgodziło się na przerzucanie do kraju niemieckimi samolotami, żołnierzy zaopatrzonych w niemiecki sprzęt i przeszkolonych przy pomocy Niemców. Jednak patrole te dostały tylko zadania wywiadowcze. Informacje otrzymane z kraju tą drogą, jeżeli w ogóle dochodziły, mogły być, przy odpowiedniej współpracy organizacji „Toma”, przekazywane władzom niemieckim, lub zatrzymywane.

W międzyczasie ci Niemcy, którzy byli zwolennikami poszukiwania współpracy ze strony Polaków, a wśród nich kpt. SS Paul Fuchs, nie byli bezczynni i w kwietniu 1945 r. uzyskali zezwolenie swych zwierzchników na podjęcie dalszych kroków w celu pozyskania Polaków. Wyraziło się to w pierwszym rzędzie w zwolnieniu z obozów koncentracyjnych Mikołajczykowej, żony ówczesnego premiera i inż. S. W. Kozłowskiego, oficera NSZ, aresztowanego w 1943 roku. Dnia 13 kwietnia 1945 Kozłowski został przewieziony pod eskortą SS z obozu koncentracyjnego Neuengamme do Pragi, gdzie oczekiwał go Paul Fuchs. Później zarówno Kozłowskiego, jak i Mikołajczykową (zwolnioną z innego obozu) przewieziono do Kolina (około 60 km. na wschód od Pragi). Tutaj odbył się szereg rozmów. Najważniejszym przedstawicielem strony niemieckiej był Werner Markert (późniejszy profesor). Ppłk L. Wolff, kpt. Joseph Mueller i kpt. Paul Fuchs brali również udział w tych naradach, na skutek których Mikołajczykowa i Kozłowski zostali przekazani Brygadzie Świętokrzyskiej. Wkrótce Kozłowski został wysłany z misją do polskiego obozu jeńców w Murnau i do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie przebywało wielu Polaków¹⁵.

Boguszewski komentuje te wypadki w sposób następujący:

„Pewne jest, że Fuchs dopomógł do uwolnienia z obozu koncentracyjnego mjra S. W. Kozłowskiego (Aleksandra), pierwszego szefa gabinetu i adiutanta d-cy NSZ, w kwietniu 1945 roku. ... Fuchs miał nadzieję, jeszcze w ostatnich dniach wojny, że przy pomocy antykomunistów zwolnionych

miesiący dowództwo musiało mieć jakieś środki finansowe i najprawdopodobniej otrzymało od Niemców pewne sumy za pośrednictwem „Toma”, lub też bezpośrednio.

15. Powyższe dane pochodzą głównie z listów S. W. Kozłowskiego do autora z 12 maja i 30 lipca 1971. Zdjęcie Mikołajczykowej w towarzystwie płk. Dąbrowskiego w otoczeniu grupy oficerów i sanitariuszek Brygady znajduje się w *W marszu i boju*, str. 116.

z KZ, zwerbując ochotników polskich i innych do walki z zalewem komunistycznym. Miał zamiar 'wzbogacić' Brygadę, setkami i tysiącami z obozów jeńców wojennych i obozów koncentracyjnych. W kwietniu 1945 r. mjr Kozłowski został dostarczony do Oflagu w Murnau z poleceniem 'werbowania' oficerów do akcji przeciwsowieckiej. ... W Murnau mjr Kozłowski (Aleksander), po oficjalnym zameldowaniu się u polskiego generała, starszego obozu, zetknął się z mjrem Kozłowskim (Mikołajem), dowódcą okręgu NSZ — Warszawa Miasto, który wzięwszy udział w Powstaniu Warszawskim znalazł się tu wraz z większą grupą swoich oficerów. Rozmowy z tą grupą przyczyniły się do ustalenia wspólnego stanowiska wobec propozycji niemieckich i wyraziły się w stanowczej odmowie wzięcia jakiegokolwiek udziału w akcji przeciwko Rosji po stronie niemieckiej. Stanowisko to było zgodne ze stanowiskiem naszego kierownictwa politycznego i NSZ, wraz z Brygadą Świętokrzyską" (*Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 36).

Kozłowski neguje niektóre twierdzenia Bogusławskiego:

„Do Oflagu w Murnau nie byłem 'dostarczony' przez władze niemieckie, a delegowany przez Brygadę, za pośrednictwem kpt. Fuchsa. W Murnau meldowałem się u niemieckiego dowódcy obozu, nie rozmawiałem z żadnym polskim generałem, czy wyższym oficerem sztabowym. Skontaktowałem się jedynie z kolegami z NSZ: inż. Mieczysławem X (mjr Mikołaj), adw. Franciszkiem Tymowskim, inż. Tadeuszem Siemiątkowskim, później z wieloma innymi. Ani nikt z niemieckich władz kpt. Fuchsa, ani nikt z dowództwa Brygady nie polecał mi werbowania kogokolwiek do akcji przeciwsowieckiej. Wysłanie mnie z Brygady do Murnau i do Dachau wywołało wiele nieporozumień. Główną przyczyną był fakt, że Brygada w styczniu 1945 straciła wszelki kontakt z zapleczem politycznym, natomiast 'murnauowcy' byli w kontakcie z kilkoma członkami tego zaplecza, którzy przez Wiedeń podążali na zachód" (List do autora z 30 lipca 1971).

Natomiast relacja Siemiątkowskiego brzmi następująco:

„*Sprawa wizyty Aleksandra (mjr Kozłowskiego) w Murnau.*

O ile sobie przypominam, fakt ten miał miejsce gdzieś koło 20 kwietnia 1945, na parę dni przed uwolnieniem obozu przez Amerykanów. Koło południa niemiecka komenda obozu obwieściła przez głośniki, że mjr Mieczysław Kozłowski proszony jest o zgłoszenie się do komendy.

Wywołało to naturalnie ogromne podniecenie wśród nas, oficerów NSZ, bo wiedzieliśmy, że chodzi o byłego komendanta okręgu Warszawa-Miasto ZJ, a później NSZ, który nosił ten pseudonim, a był w obozie pod innym nazwiskiem i imieniem (Mikołaj). Pseudonim 'Mieczysław Kozłowski' nie był używany przez niego już od jakichś dwóch lat i to zwiększało zagadkę¹⁶. Naturalnie postanowiliśmy zignorować 'zaproszenie', podejrzewając tu rękę Gestapo i rozrachunki z czasów konspiracji.

Po jakiejś godzinie do bloku H, gdzie mieszkaliśmy, przyszedł sierżant niemiecki i wywołał moje nazwisko, abym zgłosił się do komendy. To już wyraźnie wskazywało, że chodzi o grupę NSZ. Ponieważ Niemiec zachowywał się spokojnie i nie naglił, zdążyłem oczyścić swój 'barłóg' i oddaważy wszystko co było trefne kolegom, aby wynieśli z bloku, poszedłem.

W gmachu komendy, bez żadnych wyjaśnień, wprowadzono mnie do pokoju, gdzie stanąłem oko w oko z 'Aleksandrem', o którym myślałem, że

16. Prawdziwego nazwiska Mieczysława Kozłowskiego nie udało się ustalić.

dawno został rozstrzelany. W pokoju obecnych było też dwóch Niemców. Jeden z nich, oficer, doskonale mówił po polsku (zdaje się szef wywiadu niemieckiego na obóz). W pierwszym momencie chciałem udać, że nie znam 'Aleksandra', ale zaraz uprzytomniłem sobie, że reakcja na mojej twarzy już wszystko i tak zdradziła. Zaskoczenie było dla mnie za duże. Wobec tego przywitałem się i 'Aleksander' rozpoczął swoją opowieść.

Najprzód krótko o swoich losach i wypuszczeniu go z 'kacetu', żeby mógł w zwerbowaniu oficerów polskich do walki z bolszewikami, a potem o Brygadzie Świętokrzyskiej. Pokazał pismo Guderiana, upoważniające go do wyciągania oficerów polskich z obozów jenieckich.

Cała historia wydała mi się tak fantastyczna, że zacząłem podejrzewać, czy 'Aleksander' nie zwariował w więzieniu i jest teraz wykorzystywany przez Niemców. O Brygadzie Świętokrzyskiej nie miałem najmniejszego pojęcia. Sądziłem, że jest po prostu wynikiem jego urojenia.

Widząc, że zachowanie się Niemców jest jak najbardziej poprawne i że chcą iść wyraźnie na rękę, zapytałem ich, czy mogę z 'Aleksandrem' mówić na osobności. Zgodzili się bez najmniejszego sprzeciwu i wyszli.

Zadałem wówczas pytanie wprost: 'Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach?' Usiłowałem przekonać mnie, że tak i z jego reakcji nabrałem do niego zaufania, że ma wszystkie klepki w porządku. Naświetlił sytuację Brygady i jej grę na zwłokę. Podał, że jednym z powodów wysuwanych przez Brygadę, że nie jest jeszcze gotowa do walki na froncie, był brak oficerów. I dlatego dostał ów glejt od Guderiana.

Po chwili wrócili do pokoju Niemcy i ów oficer pokazał mi odpisy dwóch listów, pisanych przez żołnierzy AK, którzy podczas ewakuacji z Lamsdorfu dołączyli do Brygady, do ich kolegów w Murnau, opisujące historię spotkania z Brygadą. Przeprowadzili też jednego z szoferów, por. 'Asa', który dodatkowo opowiedział mi o Brygadzie¹⁷. Umówiłem się z 'Aleksandrem', że porozumiem się z naszymi i że za dwie-trzy godziny dam mu odpowiedź.

Gdy wróciłem do bloku, zebraliśmy się na naradę. Byliśmy w grubej rozterce, bo nie mogłem z całą pewnością wynioskować z rozmów z 'Aleksandrem', czy Brygadzie rzeczywiście zależy na nas, czy też odwrotnie — nie chcieliby nas, bo nasze przyłączenie się, mogłoby wytrącić im z ręki argument wobec Niemców, że brak oficerów nie pozwala im pójść na front. Po dłuższej dyskusji mjr 'Mieczysław' (Mikołaj) zdecydował, że należy dać odpowiedź odmowną, którą zaniósłem 'Aleksandrowi'.

Ponieważ niektórym z naszych trudno było uwierzyć, czy tu nie zachodzi jakaś mistyfikacja (tylko trzech z nas znało 'Aleksandra') przyprowadziłem go na blok H, żeby zobaczyli go na własne oczy. Było to niezbyt rozsądne, bo wielu ludzi zaczęło tłumaczyć sobie tę wizytę na różne fantastyczne sposoby. Po paru minutach odprowadziłem 'Aleksandra' do komendy, powiedziałem Niemcom, że nie mamy zamiaru opuszczać obozu i pożegnałem się. Przypuszczam, że 'Aleksander' wkrótce odjechał.

Na drugi dzień polska Dwójka obozowa wezwała mnie na spytki i cała afera została wówczas spisana.

W *Zeszytach III do Historii NSZ* relacja o wizycie 'Aleksandra' w Murnau jest (według mnie) o tyle niecisła, że, o ile sobie przypominam, 'Aleksander' nie meldował się u Starszego Obozu, ani nie zetknął się nawet z mjrem 'Mikołajem'. Jediną polską osobą, z którą rozmawiał, byłem ja.

Zadawaliśmy sobie wówczas pytanie: „Czy 'Aleksander' reprezentował Brygadę, czy też raczej władze niemieckie?” Mój największy wysiłek był

17. „Edward As” był jednym z oficerów organizacji „Toma”.

skierowany właśnie na rozwiązanie tej zagadki. I ponieważ mieliśmy wątpliwości, czy nie jest on pod naciskiem niemieckim, odpowiedzieliśmy odmownie" (Załącznik do listu do autora z 26 marca 1972).

Ta relacja Siemiątkowskiego wyjaśnia sytuację na tyle, na ile można ją wyjaśnić. Misja S. W. Kozłowskiego nie dała żadnych wyników w Murnau. Według dostępnych danych w Dachau nie udało się też nikogo zwerbować i po kilkutygodniowych perypetyach dołączył Kozłowski wraz ze swą ekipą do Brygady.

Od 18 marca do 13 kwietnia 1945 r. Brygada Świętokrzyska stacjonowała w Rozstani na Morawach. W tym czasie była ona w kontakcie z czeskim niepodległościowym ruchem podziemnym i miała przy sobie czeskiego oficera łącznikowego. Została powzięta decyzja przeprowadzenia razem z Czechami powstania w Pilźnie, które miało być przeprowadzone w momencie zbliżania się do Pilzna Amerykanów od zachodu. Prowizoryczna data została ustalona na 22 kwietnia. W dniu 13 kwietnia Brygada ruszyła marszem pieszym na zachód w kierunku Pilzna. W jaki sposób uzyskało dowództwo zezwolenie na ten marsz nie wiadomo, ale na pewno władze niemieckie były o nim poinformowane, gdyż między innymi w czasie tego marszu, już po 13 kwietnia, Mikołajczykowa i S. W. Kozłowski zostali przekazani Brygadzie. W dniu 18 kwietnia, w momencie przechodzenia koło miasta Tabor, poprzez własny wywiad i czeskie podziemie, dowiedziały się Brygada, że dywizja SS znajdująca się w przodzie o kilkanaście kilometrów urządziła zasadzkę. Trasa marszu została zmieniona i dzięki temu udało się uniknąć ewentualnego niebezpieczeństwa¹⁸. Incydent ten wskazuje na to, że cierpliwość pewnych ośrodków niemieckich, wykazywana dotychczas w stosunku do Brygady, zaczęła się już wyczerpywać.

Już w pobliżu Pilzna, w dniu 21 kwietnia, czeski oficer łącznikowy zawiadomił dowództwo Brygady, że według informacji posiadanych przez czeskie podziemie, Amerykanie podejżdą pod Pilzno dopiero za miesiąc i wobec tego powstanie w tym mieście nie jest wskazane w najbliższym okresie czasu. Dowództwo Brygady zapowiedziało Czechom, że Brygada przejdzie do rejonu Stankov-Všekary, na południowy-zachód od Pilzna i tam rozpocznie działania bojowe.

Dnia 28 kwietnia została osiągnięta miejscowość Všekary pod Holyšov'em (Hollischen, Sudetengau). W marszu z Rozstani Brygada przeszła 300 kilometrów. Tegoż dnia został wysłany czteroosobowy patrol pod dowództwem por. „Skalskiego” z zadaniem przedostania się przez front do dowództwa amerykańskiego.

18. *W marszu i boju*, str. 81.

Patrol ten wykonał swe zadanie w ciągu 48 godzin, nawiązując kontakt z amerykańską 2-gą dywizją (Indian Heads), wchodzącą w skład 3 armii amerykańskiej. W tym czasie Brygada znajdowała się 40 km. od linii frontu. Została nawiązana łączność radiowa (Brygada posiadała radiostację foniczną) i lotnicza pomiędzy Brygadą i dowództwem amerykańskim¹⁹.

Po nawiązaniu łączności z Amerykanami, 30 kwietnia, Brygada przeszła do akcji, obsadzając szosę prowadzącą do Pilzna na odcinku Holyšov-Stankov. W tych ostatnich dniach wojny stan Brygady wynosił 1.251 ludzi²⁰.

W dniu 5 maja Brygada uderzyła na obóz koncentracyjny kobiet pod Holyšov'em, uwalniając około 700 więźniarek, a między innymi 400 Francuzek i 167 Polek, biorąc do niewoli około 200 SS-manów i strażniczek. Następnego dnia, 6 maja, o godz. 12.15 nastąpiło spotkanie z pierwszym patrolem amerykańskim. Okoliczność tę uczcił płk Dąbrowski specjalnym rozkazem²¹.

Po zakończeniu wojny stan liczbowy Brygady wzrastał stale dzięki napływowi Polaków zwolnionych z obozów niemieckich. Spośród bardziej znanych oficerów NSZ dołączył do Brygady kpt. Zapora (z obozu koncentracyjnego), a potem ppłk Boguszewski (z Oflagu). Hubert Jura, wraz ze swą organizacją został włączony do Brygady. Oddziały przechodziły okres intensywnego szkolenia. Sądząc ze zdjęć z tego okresu, oddziały te prezentowały się bojowo²².

Brygadę odwiedzili francuscy, angielscy, belgijscy i holenderscy oficerowie łącznikowi, aby podziękować za uwolnienie ich rodaczek z obozu koncentracyjnego. Złożył też wizytę polski oficer łącznikowy Mazurkiewicz (prawdopodobnie ppłk dypl. Alojzy Mazurkiewicz), który po odebraniu defilady w dniu 14 maja wygłosił do żołnierzy przemówienie zawierające między innymi takie zwroty:

„Jestem dumny, że mnie pierwszemu przypada w udziale przywitać Wasz oddział. ... Jesteście jedynym oddziałem, któremu udało się przejść przez wszystkie trudy i znoje życia żołnierskiego i to z bronią w ręku. ... Przybyłem po to, aby żołnierzom uwolnionym z okupacji niemieckiej przywracać prawa żołnierza. Wam tych praw nie potrzeba przywracać, albowiem prawa te zdobyliście sobie w walce i trudach żołnierza. Byliście i jesteście żołnierzami polskimi, a czyny Wasze przejdą do historii. Dlatego nie żegnaj się z Wami, tylko mówię Wam chwilowo — do widzenia” (*Zeszyt III do Historii NSZ, Załącznik 13*).

19. Szczegółowa relacja „Skalskiego” — *W marszu i boju*, str. 87-97.

20. *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 35.

21. *W marszu i boju*, str. 100.

22. *W marszu i boju*, str. 107-109.

Odjeżdżając z Brygady ppłk Mazurkiewicz zabrał ze sobą Mikołajczykową i raport płk. Dąbrowskiego skierowany do Naczelnego Wodza w Londynie o następującej treści (L. 192/45, M.p. dn. 13 maja 1945):

„Melduję Panu Generałowi, że dowodzona przeze mnie Grupa utworzona w kraju z oddziałów partyzanckich w sile (stan jak załącznik nr 1 — brak tego załącznika, Z.S.S.) po stoczeniu walk z Niemcami w rejonie Pilzna w dn. 6 bm. połączyła się z 2-gą dywizją piechoty Armii Amerykańskiej w m. Všekary 30 km. nad pld.-zach. od m. Pilzna, gdzie do dnia dzisiejszego kwateruje.

Moim zamiarem jest jak najszybsze zameldowanie się z Grupą pod rozkazy Pana Generała i złożenie szczegółowego sprawozdania. Bliskość linii rosyjskich powoduje konieczność szybkiego przesunięcia się na Zachód, gdyż Rosjanie mogą dążyć do ogarnięcia nas jako żołnierzy podległych Władzom Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie, a nie uznających Komitetu Lubelskiego.

Od gen. Hubnera D-cy Korpusu 3-ej Armii Amerykańskiej otrzymaliśmy wszelką pomoc, jako oddział armii sprzymierzonej, wraz z rozkazem pozostania na miejscu do czasu nawiązania łączności z Panem Generałem.

Proszę Pana Generała o spowodowanie jak najszybszego dołączenia Grupy do Armii Polskiej na Zachodzie.

Przy Grupie znajduje się kilkaset kobiet polskich uwolnionych zbrojnie przez moją Grupę z obozu niemieckiego w m. Holiszowie (rejon Pilzna). Grupa ta zwiększa się stale przybywającymi cywilnymi Polakami, którzy pragną wycofać się na Zachód.

Władze czeskie utrudniają Polakom na terenie Czechosłowacji wycofanie się na Zachód, zatrzymując ich w obozach do dyspozycji Komitetu Lubelskiego” (*Zeszyt III do Historii NSZ, Załącznik 12*).

W parę dni po wizycie ppłka Mazurkiewicza przyjechał do Brygady ppłk Szymański, główny oficer łącznikowy amerykański przydzielony do Armii Polskiej, wraz z polskim oficerem ppor. Tyszkiewiczem ze sztabu gen. Eisenhowera, z oświadczeniem, że Brygada zostanie przewieziona, jako oddział aliancki do Bawarii, a następnie do 2-go Korpusu we Włoszech. Po paru dniach jednak odjazd Brygady został odwołany. Powody tego odwołania nie zostały wyjaśnione. W końcu maja ppłk Marcinkowski i kpt. Iłakowicz rewizytowali ppłk. Szymańskiego w naczelnym dowództwie alianckim we Frankfurcie²³.

Zabiegi płk. Dąbrowskiego o odsunięcie Brygady od amerykańsko- sowieckiej linii demarkacyjnej zostały częściowo uwieńczone skutkiem. Dowódca amerykańskiego V-go Korpusu gen. Herman zatwierdził przesunięcie Brygady z rejonu Holšov'a do rejonu Boehmerwald w Sudetach około 60 km. na zachód od Pilzna. Brygada została tu zakwaterowana w pięciu wioskach zamieszkałych przeważnie przez Niemców sudeckich. Dowództwo

23. *W marszu i boju*, str. 120.

znajdowało się we wsi Bernatice. Do tego przesunięcia mogło również przyczynić się to, że stosunki pomiędzy żołnierzami NSZ i nowymi, komunizującymi władzami czeskimi nie układały się najlepiej. Znane są takie wypadki jak porwanie 26 maja 1945 r. przez Czechów i przekazanie władzom sowieckim dwóch żołnierzy NSZ, lub zastrzelenie przez oddział Brygady w dniu 6 lipca 1945 dwóch czeskich milicjantów, co doprowadziło do zbrojnego starcia pomiędzy tym oddziałem i czeskimi i sowieckimi oddziałami, które starały się go okrążyć²⁴.

W niedzielę 29 lipca 1945 złożył wizytę w dowództwie Brygady korespondent Stefan Litauer. Przedstawił się on jako Stefan Lityński i nie został rozpoznany. Z jego relacji można wnioskować, iż ppłk Marcinkowski, zastępca dowódcy Brygady, rozmawiał z nim raczej szczerze. Potępiający reportaż Litauera z pobytu w Brygadzie został zamieszczony w londyńskiej *News Chronicle* z 30 lipca 1945²⁵.

W ten sposób fakt przebywania oddziałów NSZ w Czechach stał się znany w stolicach świata, co spowodowało bez mała natychmiastowe skutki. W pierwszych dniach sierpnia przyjechał do Brygady szef sztabu amerykańskiego XXII-go Korpusu z rozkazem naczelnego dowództwa sił alianckich zdania broni i przewiezienia Brygady do Coburga. Brygada złożyła broń 6 sierpnia 1945. W parę dni po zakwaterowaniu w koszarach poniemieckich w Coburgu przybyli oficerowie amerykańscy, którzy zaproponowali żołnierzom Brygady podjęcie pracy w różnych ośrodkach przemysłowych. Część Brygady została przewieziona do Fuerth pod Norymbergą, a część pod Monachium. W ten sposób żołnierze Brygady mieli przejść do życia cywilnego w Niemczech, podobnie jak parę lat później żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie zostali „przysposobieni i rozmieszczeni” w Wielkiej Brytanii.

Jednak dowództwo Brygady zabiegało o zachowanie organizacji wojskowej, podobnie jak potem dowódcy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy sugerowali władzom brytyjskim użycie oddziałów polskich do służby okupacyjnej. W dniu 15 sierpnia 1945 r. płk Dąbrowski, mjr Zochowski (oficer łącznikowy 2-go Korpusu) i kpt. Iłakowicz udali się do sztabu amerykańskiej 3-ciej Armii w Bad Tolz, dowodzonej przez gen. Pattona. Szef sztabu tej Armii był nastawiony przychylnie i obiecał zaangażować żołnierzy Brygady do służby wartowniczej. W parę dni później nadeszły z dowództwa 3-ciej Armii rozkazy

24. *Zeszyt III do Historii NSZ, Zał. 14, oraz Aneks.*

25. Reportaż ten został w całości załączony do tego opracowania jako Aneks.

tworzenia kompanii wartowniczych. Płk Dąbrowski zdawał sprawozdanie gen. Andersowi następującym pismem z 28 września 1945 roku:

„Melduję, że na skutek interwencji Pana Generała u dowódcy 3-ej armii USA, oraz mojej bytności z majorem 'Orłowskim' (Zochowski — Z.S.S.) u szefa sztabu gen. Pattona, uzyskałem możliwość przeorganizowania Brygady na 6 kompanii wartowniczych. Załączam odnośny 'Organization Order No 1' oraz warunki organizacyjne i etat kompanii.

Oprócz powyższych 6 kompanii uzyskałem zgodę, lecz na razie bez urzędowego rozkazu, na utrzymanie sztabu Brygady złożonego z 17 oficerów i 28 podoficerów i szeregowych.

Wszystkie 6 kompanii mam kompletnie zorganizowane i częściowo wyposażone. Nadwyżki umieściłem w Ośrodku Zapasowym przy dowództwie. Obecny stan Brygady wynosi około 1.800 oficerów, podoficerów i szeregowych.

Istnieją możliwości organizowania dalszych kompanii, na co jestem przygotowany.

Trudności organizacyjne są dość liczne, gdyż nie zawsze trafiam na życzliwość.

Dla oddziałów Brygady wyznaczono dotychczas miejsca postoju: 2 kompanie — Monachium, 4 kompanie i dowództwo — Norymberga, jeden pluton (dodatkowy) Kulmbach.

Dowódcą Brygady Świętokrzyskiej Antoni Dąbrowski, płk” (Załącznik do listu S. W. Kozłowskiego do autora z 30 lipca 1971).

Tak zakończyły się formalne dzieje Brygady Świętokrzyskiej. Przez trzy miesiące (od maja do lipca 1945) istniały możliwości połączenia Brygady z Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie i podporządkowania jej legalnym władzom Rzeczypospolitej w ramach brytyjskiej sfery wpływów. Jednak nie zostało to przeprowadzone i żołnierze Brygady stali się najemnym wojskiem podległym dowództwu amerykańskiemu. Należy poświęcić temu zagadnieniu nieco miejsca.

Odnosi się wrażenie, że w ostatnich tygodniach wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu dowództwo Brygady miało szczerzy zamiar podporządkować się gen. Andersowi, który w tym czasie pełnił obowiązki Naczelnego Wodza. Świadczy o tym zarówno wysłanie w kwietniu 1945 r. emisariuszy do Londynu i do Włoch, gdzie przebywał 2-gi Korpus, jak również cytowane powyżej pismo wręczone w początku maja ppłk. Mazurkiewiczowi, a skierowane do gen. Andersa. Zresztą po pięciu miesiącach samotnego bytowania, nieraz w warunkach krytycznych, chęć znalezienia się pod czyjąś opieką byłaby naturalnym odruchem. W tym czasie wielu Polaków wyzwolonych na terenie Niemiec zabiegało o to, aby dostać się do oddziałów polskich na Zachodzie, niekiedy marzenia te zostały spełnione.

Również odnosi się wrażenie, iż w tym początkowym okresie gen. Anders ustosunkował się pozytywnie do połączenia Brygady

z 2-gim Korpusem. Wyraziło się to między innymi tym, iż mjr dypl. Żochowski został wyznaczony oficerem łącznikowym 2-go Korpusu do Brygady Świętokrzyskiej²⁶.

Jednocześnie, jak widzieliśmy, w maju 1945 amerykański płk Szymański zapowiedział przeniesienie Brygady do Włoch. Leżało to więc w tym czasie w zamiarach władz amerykańskich w Niemczech. A jednak nie doszło to do skutku. Może władze brytyjskie nie były zbyt entuzjastycznie nastawione do przyjęcia Brygady pod swoje dowództwo²⁷. Jednak przy zgodnej akcji zarówno ze strony polskiej jak i amerykańskiej, szczególnie zaraz po zakończeniu wojny, z pewnością udałoby się przezwyciężyć opory brytyjskie.

Należy zwrócić uwagę na to, iż początkowo pozytywne nastawienie dowództwa Brygady do podporządkowania się 2-mu Korpusowi mogło ulec zmianie w miarę upływu czasu. Na skutek kontaktów z 2-gim Korpusem dowództwo to musiało zdać sobie sprawę z tego, że w wypadku podporządkowania się, Brygada przestałaby być wyodrębnioną jednostką podległą własnemu kierownictwu politycznemu, a stałaby się składową częścią 2-go Korpusu i w poważnym stopniu zatraciłaby swój charakter NSZ-towski. Tym bardziej, iż wielu żołnierzom, pomimo iż mogli być oni dumni z dokonań Brygady, zaimponowałby bardziej 2gi Korpus ze swą legendą i rozmachem na wielką skalę. Dowództwo Brygady musiało przerażać projekt przeorganizowania jej w dywizję, której dowódcą miałby zostać jeden z generałów 2-go Korpusu, a szefem sztabu mjr Żochowski, co zmieniałoby całkowicie oblicze tego oddziału, przekształcając go w jedną z dywizji polskich na Zachodzie²⁸. Sama postać, dawnego szefa sztabu NSZ, Żochowskiego, który po przybyciu do Londynu w 1944 roku, podpisał oświadczenie (skądinąd oczywiste), iż nie jest już oficerem NSZ, musiała wzbudzać poważne zastrzeżenia wśród starszyny Brygady.

Należy zwrócić uwagę na to, że w wypadku dobrych chęci, byłoby rzeczą naturalną, iż dowódca podporządkowującej się jednostki melduje się osobiście u dowódcy, któremu ma podlegać. Tymczasem płk Dąbrowski nie udał się do Włoch i nie meldo-

26. W tym czasie dowodził on najbardziej na północ wysuniętym 17-tym batalionem strzelców lwowskich, stacjonowanym w Mestre pod Wenecją (list Żochowskiego do autora z 13 lipca 1971). W utrzymaniu łączności z Brygadą dopomagał Żochowskiemu ppor. J. Sokólski (list Kozłowskiego do autora z 12 maja 1971).

27. Marcinkowski w liście do autora z 28 kwietnia 1971 roku pisze: „Anglicy patrzyli na nas niechętnym okiem, bo nasza obecność psuła miłe stosunki z przyjaciółmi z Kremła”.

28. O tego rodzaju zamiarach reorganizacyjnych pisze Żochowski w liście do autora z 13 lipca 1971.

wał się u gen. Andersa, a swoich zasadniczych przedstawicieli — S. W. Kozłowskiego, Wawrzkowicza i Jurę — wysłał dopiero 13 lipca 1945 roku²⁹. W 2-gim Korpusie opiekował się nimi II-gi Oddział, jedynie mjr Kozłowski, jako oficjalny przedstawiciel dowódcy Brygady Świętokrzyskiej, został przyjęty przez gen. Andersa w towarzystwie szefa sztabu³⁰.

Trzeba też zwrócić uwagę na reportaż Litauera, który daje wyraźnie do zrozumienia, że w ostatnich dniach lipca 1945 r. dowództwo Brygady nie miało zamiaru przenosić się do Włoch, pomimo że dysponowało już wówczas dostateczną ilością samochodów, aby przewieźć swe wojsko, a Amerykanie byliby przygotowani dostarczyć odpowiednie ilości benzyny³¹.

Do zajęcia przez dowództwo Brygady tego rodzaju postawy mogło przyczynić się kilka czynników. Jednym z nich mogło być poczucie własnej ważności urobione na podstawie pozytywnego układania się stosunków z władzami amerykańskimi. Innym czynnikiem mógł być, ugruntowany w ciągu całej wojny, brak zaufania do jakichkolwiek autorytetów innych niż własne NSZ'owskie. Trzecim, chyba najważniejszym czynnikiem było to, iż w maju 1945 r. dowództwo Brygady nawiązało kontakt z przedstawicielami zaplecza politycznego — Todtlebenem, Iłakowiczem i Wawrzkowiczem, z którymi w czasie ewakuacji na zachód w pierwszych miesiącach 1945 roku nie było kontaktu. Dwaj z pośród nich, Iłakowicz i Wawrzkowicz dołączyli do dowództwa Brygady, gdzie wraz z Marcinkowskim tworzyli zespół kierowniczy w tym dowództwie. Nie wiadomo jaką postawę oni wraz z Todtlebenem zajmowali, ale można wnioskować, iż konsekwentne podporządkowanie się 2-mu Korpusowi im nie odpowiadało, gdyż oznaczałoby to wyeliminowanie ich wpływów na Brygadę i przekreślenie niezależności oddziałów NSZ na Zachodzie³².

29. *Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 48.

Boguszewski krytykuje to postępowanie Dąbrowskiego (*Zeszyt IV do Historii NSZ*, str. 35), a Żochowski komentuje je następująco: „Szacki (Dąbrowski) dobry żołnierz na kompanii, takim go znałem. Maksimum baon, po przeszkoleniu. Ale nie miał orientacji, ani horyzontów. Powinien był pojechać, zameldować się u Andersa. Ale tu 'zagwozdka'. Jak jechać? Jako pułkownik NSZ, czy kapitan WP (stopień z 1939 roku — Z.S.S.)? Jak się zachować, co mówić? Ot i został przy żołnierzach. Odczekał!” (List do autora z 13 lipca 1971).

30. Żochowski, list do autora z 13 lipca 1971.

31. Patrz Aneks.

32. Latem 1945 odbył się w okolicy Monachium zjazd działaczy ONR i NSZ z Anglii, z Francji, z niewoli, z obozów koncentracyjnych i z Brygady Świętokrzyskiej (*Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 42). Nie udało się ustalić ani daty tego zjazdu, ani też jego ustosunkowania się do losów Brygady, co musiało być jednym z głównych zagadnień dyskutowanych na tym zjeździe. Niewątpliwie, zgodnie z przedwojenną tradycją ONR, obrady te były tajne.

W tej sytuacji mogło wydawać się, iż najlepsze rozwiązanie, z punktu widzenia czynników NSZ, polegało na zgłoszeniu chęci podporządkowania się gen. Andersowi i czerpaniu korzyści stąd wynikających, przy jednoczesnym pozostaniu z dala od 2-go Korpusu, jako niezależna jednostka na terenie strefy amerykańskiej w Niemczech i czerpaniu korzyści również z tej strony. Czyli można wnioskować, iż dowództwo Brygady i przedstawiciele polityczni znajdujący się przy nim zastosowali taktykę podobną do tej jaką wiosną 1944 roku kierowali się w sprawie scalenia z AK. Wówczas również środowisko NSZ chciało formalnie podporządkować się i czerpać z tego korzyści (pieniądze, broń, awanse), a jednocześnie pozostać niezależną organizacją, związaną z AK jedynie poprzez swego komendanta głównego i dlatego zdolną do oderwania się od AK w każdej chwili dogodnej dla NSZ.

I w jednym i w drugim wypadku taktyka tego rodzaju nie doprowadziła do pozytywnych skutków, gdyż kontrahent (AK w 1944 roku i 2-gi Korpus w 1945 roku) nie chciał przyjąć tego rodzaju jednostronnych warunków współpracy z oddziałami NSZ. Podobieństwo podejścia NSZ w tych dwóch różnych wypadkach sugeruje, iż rachuby dowództwa AK na porozumienie z ZSSR nie były jedynym powodem obstawania NSZ w 1944 roku przy swej niezależności. Zwraca na to uwagę Boguszewski pisząc o sytuacji w 1945 roku:

„Konspiracja i związane z nią dowolności skończyły się. Przy boku aliantów mógł być tylko jednolity związek Polskich Sił Zbrojnych. Na terenie kraju tylko my widzieliśmy w Sowietach wroga numer jeden. Na zachód od kurtyny, po zakończeniu wojny wszyscy zobaczyli wroga numer jeden w Rosji. Nie było już podstaw do rozgrywki nielegalnej z Rosją. Dla całych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie walka (z ZSSR) stała się legalna! ... Zdaniem autora artykułu (Boguszewskiego), a są podstawy do stwierdzenia, że zdaniem wszystkich podwładnych płk. Dąbrowskiego z okresu Brygady Świętokrzyskiej, obowiązkiem dowódcy Brygady było jak najszybsze unormowanie stanu prawnego swoich żołnierzy. ... Należało zameldować się u najstarszego stopniem dowódcy polskiego na lądzie europejskim... i konsekwentnie, a z uporem, załatwić sprawy legalno-personalne wszystkich swoich podwładnych. Oni tego spodziewali się i mieli prawo domagać się” (*Zeszyt IV do Historii NSZ*, str. 35).

Niewątpliwie żołnierzom Brygady należało się „zalegalizowanie”, ale dowództwo i politycy Grupy Szańca mogli mieć w tej dziedzinie inne zdanie.

Szef Oddziału II-go dowództwa 2-go Korpusu, płk dypl. Wincenty Bąkiewicz, musiał być dobrze zorientowany w stosunkach pomiędzy 2-gim Korpusem i Brygadą Świętokrzyską, gdyż wysłannicy Brygady byli przyjmowani we Włoszech przez II-gi

Oddział. Po wojnie, w latach 60-tych, naświetlił Bąkiewicz te stosunki w sposób następujący:

„Na początku naszych kontaktów z nimi wyglądało, że chcą nam się w pełni podporządkować. Przyjeżdżali do nas, przyjemne chłopaki, tylko jednego z nich. Zub-Zdanowicza nie mogłem ścierpieć. To było dobre wojsko, chętnie byśmy ich wzięli, ale pod jednym warunkiem, iż jeżeli służą nam, to nie służą komu innemu. Tymczasem zauważyliśmy, że oni kombinują na wszystkie strony, z Amerykanami i z innymi czynnikami. Chcieli widocznie z różnych pieców wyciągać kasztany, a może już ich przywódcy nie byli zdolni do lojalności w stosunku do jednego autorytetu. Tego nie mogliśmy tolerować. Więc skończyło się na tym, iż jedynie pomogliśmy im, szczególnie zapobiegając wydaniu ich Sowietaom, o co robiły one starania, i na tym koniec. Do 2-go Korpusu oni nie dołączyli, chociaż możliwości były, i poszli swoją ścieżką” (29-ty *Zeszyt Historyczny*, str. 156).

Wśród tych „innych czynników”, które płk Bąkiewicz miał na myśli, była prawdopodobnie dawna Baza nr 11 Oddziału Specjalnego Sztabu Nacz. Wodza, która po wojnie przeniosła się spod Brindisi do Rzymu. Zygmunt Nowicki podaje, iż szef łączności Bazy, kpt. Iwanicki, z polecenia komendanta Bazy ppłk. „Hańczy” (Ryszard Dorotycz-Malewicz), wywiózł 400 tysięcy dolarów z przeznaczeniem dla Brygady Świętokrzyskiej³³. Z pewnością chodziło tu o utrzymywanie kontaktów z po-AK’owskim podziemiem w kraju. Za pośrednictwem Brygady Świętokrzyskiej 2-gi Korpus również kontaktował się z krajem, gdzie po zakończeniu wojny montował on swoją własną sieć, w której nie posługiwano się radiem³⁴.

Z biegiem czasu dowództwo 2-go Korpusu poznawało środowisko Brygady Świętokrzyskiej coraz lepiej i niekiedy zostało obciążone niektórymi sprawami Brygady. Na przykład Hubert Jura został przywieziony do Włoch pod strażą NSZ i oddany w ręce 2-go Korpusu. Boguszewski naświetla tę sprawę w ten sposób:

„Pod jurysdykcją wojskowych władz amerykańskich na terenie okupowanych Czech i Niemiec sprawa ‘Toma’ nie mogła być rozwiązana przez władze NSZ. 13 lipca 1945, w towarzystwie mjr. ‘Aleksandra’ i kpt. Wawrzkowicza, odjeżdża ‘Tom’ do Włoch do 2-go Korpusu” (*Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 48).

Prawdopodobnie chodziło tu o obciążenie Jury i jego organi-

33. *Dziennik Polski* wychodzący w Detroit, z 7 sierpnia 1975. Możliwe, iż ta radiostacja, którą Litauer widział w gabinecie d-cy Brygady (patrz Aneks) pochodziła również z Bazy ppłk. „Hańczy”.

34. Jednym z emisariuszy tej sieci był Witold Pilecki, organizator podziemia wojskowego w Oświęcimiu, który 15 marca 1948 został skazany na karę śmierci przez sąd PRL. Wyrok wykonano. (J. Garliński, *Oświęcim walczący*, str. 265).

zacji odpowiedzialnością za współpracę z Niemcami i przez to oczyszczenie Brygady Świętokrzyskiej z oskarżeń w tej dziedzinie. Jednak do rozprawy sądowej nie doszło. II-gi Oddział Korpusu wziął Jurę do swoich zadań, powierzając mu, jako alibi, funkcje na placówkach Polskiego Czerwonego Krzyża³⁵.

Jednocześnie w czasie pobytu we Włoszech Zub-Zdanowicza wynikła sprawa jego przyłączenia się do NSZ, a nie do AK, po zrzuceniu z Anglii we wrześniu 1942 roku³⁶. Sprawy te mogły wpływać hamująco na ustosunkowanie się dowództwa 2-go Korpusu do Brygady Świętokrzyskiej. Również hamująco mogło wpływać nastawienie do NSZ AK'owców, zarówno tych, którzy dołączyli do 2-go Korpusu, jak i tych, którzy po wyzwoleniu z niewoli niemieckiej, przybyli do Londynu wraz z Nacz. Wodzem gen. Borem-Komorowskim, gdzie wzmocnili oni środowisko nastawione negatywnie w stosunku do NSZ, grupujące się dotychczas dookoła gen. Tataru. Todtleben ujmuje te sprawy w sposób następujący:

„Po dotarciu do Naczelnego Wodza meldunków o przedostaniu się Brygady na terytorium Czech, inicjatywa podporządkowania Brygady mogła wyjść jedynie z Londynu. Niestety na tamtym terenie czynniki 'przychylne' zrobiły wszystko, aby utrudnić sytuację Brygady na terenie okupowanym przez Amerykanów i był okres, kiedy groziło rozbrojenie jej przez Amerykanów. Kontakty z 2-gim Korpusem utrzymywane były nieustannie, ale nie mogło być mowy o dołączeniu doń całości” (List do autora z 6 czerwca 1971³⁷).

O negatywnym nastawieniu władz londyńskich pisze również Wańkowicz w swym reportażu z pobytu w Brygadzie:

„Spadła na nich nowa plaga, z innej — polskiej strony. Londyn miał z nimi porachunki jeszcze z czasów Armii Krajowej. Jego oficerowie łącznicy wiele wysiłku włożyli w to, aby Amerykanom tłumaczyć, że ci chłopcy, którzy płakali oddając z tak pomysłowym i krwawym wysiłkiem ciułańą broń — to nie żołnierze, tylko *displaced persons*, jakieś cywilne plewy zagnane przez mocą, wichrem wojny do Niemiec” (*W marszu i boju*, str. 126).

35. Boguszewski podaje, iż 23 lipca 1945 Jura powrócił do Brygady i 1 sierpnia został z niej zwolniony wraz ze swym pomocnikiem „Edwardem Asem”, obejmując placówkę PCK w Pilźnie, z której na skutek „wsypy”, zostali przeniesieni w kwietniu 1946 na podobną placówkę do Norymbergi. (*Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 48, oraz *Zeszyt IV*, str. 46).

36. Według Boguszewskiego Zub-Zdanowicz był sądzony w 2-gim Korpusie i wyszedł z tego obronną ręką (*Zeszyt IV do Historii NSZ*, str. 35). Natomiast według Zochowskiego AK'owcy w Korpusie jedynie „chcieli go sądzić za dezercję z AK” (list do autora z 13 lipca 1971).

37. Z ostatniego zdania nie wynika, czy „nie mogło być mowy o dołączeniu” do 2-go Korpusu z powodu sprzeciwów w Londynie, czy też z powodu stanowiska zaplecza politycznego NSZ na Zachodzie, w którym Todtleben odgrywał zasadniczą rolę.

Dowództwo 2-go Korpusu tego rodzaju zastrzeżeń nie miało, toteż kontakty pomiędzy Brygadą Świętokrzyską i Korpusem w 1945 i 1946 były liczne. Między innymi, wkrótce po przybyciu z kraju do Niemiec, 14 września 1945 r., meldował się u gen. Andersa komendant główny NSZ Broniewski³⁸. Od jesieni 1945 roku przebywał na stażu we Włoszech Boguszewski i powrócił do Niemiec na wezwanie Broniewskiego dopiero w maju 1946. Żochowski składał Brygadzie wizyty i w czasie jednej z nich, 30 sierpnia 1945 r., za zezwoleniem szefa sztabu 2-go Korpusu, gen. Wiśniowskiego zabrał około 20 podchorążych na przeszkolenie w dowodzonym przez siebie 17 batalionie strzelców lwowskich. Kołaciński przebywał w Korpusie na kursie. Korespondent 2-go Korpusu, Melchior Wańkiewicz, odwiedzał Brygadę w pierwszych dniach listopada 1945 r. Również, jak pisze Żochowski, miała miejsce z Brygady „wyprawa zdrowotno-wycieczkowa pań (markietantek-sanitariuszek) do Trani. Kupa niezadowolona, jak zwykle z damami w trzech czwartych”³⁹.

Jednak wszystkie te kontakty świadczą jedynie o opiece jaką roztaczał 2-gi Korpus nad Brygadą Świętokrzyską, a nie o jej podporządkowaniu. Ta opieka dotyczyła w szczególności zapobiegania przeciwko wydaniu Brygady władzom sowieckim i umożliwieniu egzystencji żołnierzy Brygady w ramach kompanii wartowniczych przy armii amerykańskiej⁴⁰. Sprawa wydaje się jasna, a jednak wśród ludzi, którzy byli z tym bezpośrednio związani, zdania są wyraźnie podzielone. Kozłowski twierdzi, iż: „Brygada w czerwcu 1945 roku została podporządkowana 2-mu Korpusowi, byłem kierownikiem ekipy wysłanej przez Brygadę do gen. Andersa z zadaniem właśnie podporządkowania”. Żochowski idzie jeszcze dalej: „podporządkowanie Brygady Świętokrzyskiej 2-mu Korpusowi doszło do skutku, ... była ona podporządkowana gen. Andersowi; stała się częścią Sił Zbrojnych”. Natomiast

38. Boguszewski pisze, iż Broniewski „udał się do Włoch, aby najstarszemu polskiemu dowódcy na lądzie europejskim zameldować swoją obecność, zdać sprawozdanie i dać możliwość władzom polskim zadysponowania jego osobą w każdym sensie. Do Włoch udał się Broniewski w mundurze majora kawalerii. Majorem był w... 1919 roku” (*Zeszyt III do Historii NSZ*, str. 32). W tym czasie Broniewski był generałem brygady NSZ.

39. Dane dotyczące kontaktów z 2-gim Korpusem zostały zaczerpnięte z *Zeszytu III do Historii NSZ*, str. 32 i 77, z *Zeszytu IV*, str. 35, z *22-go Zeszytu Historycznego*, str. 149, z *W marszu i boju*, str. 121 i z listu Żochowskiego do autora z 13 lipca 1971.

40. Między innymi potwierdza to rtm. Zaleski pisząc: „Do zabezpieczenia Brygady przed łapami sowieckimi przyczyniła się również interwencja gen. Andersa, spowodowana moim raportem, złożonym mu w Londynie” (*Zeszyt IV do Historii NSZ*, str. 73).

Marcinkowski sądzi, iż jedynie „nieoficjalnie byliśmy podporządkowani Andersowi, wysyłaliśmy do niego ludzi na przeszkolenie, dostawaliśmy potrzebną pomoc”.

Boguszewski jest zdania, iż: „Anders 'prywatnie' opiekował się Brygadą przez oficera łącznikowego”. Jak widzieliśmy, zarówno Bąkiewicz, jak i Todtleben uważają, że podporządkowanie Brygady nie miało miejsca⁴¹.

Kiedy 2-gi Korpus rozpoczął przygotowania do wyjazdu do Wielkiej Brytanii stosunki z kompaniami wartowniczymi powstałymi z Brygady Świętokrzyskiej uległy stopniowej likwidacji. Inny los czekał żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a inny Narodowych Sił Zbrojnych. Ówczesne nastroje wśród żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej odmalowuje następujący wiersz:

„Com zawinił, że zostałem bez celu,
Com zawinił, że też nie ma go wielu...
Czy i oni w dzień taki bez głowy
Wyszli z domu nie wiedząc gdzie, po co,
Aby trafić w zieloną dąbrowę,
Księżycową, w gwiazdy pełną nocą...
I te gwiazdy wciąż błyszczą nad nami
Wspomnieniami, wspomnieniami, wspomnieniami...”.

(*W marszu i boju*, str. 128).

Wiersz ten był drukowany w powielanym periodyku Brygady *W marszu i boju* i został cytowany przez Wańkowicza w jego reportażu z pobytu w Brygadzie, przytoczonym w pełni w późniejszym wydawnictwie książkowym pod tym samym tytułem — *W marszu i w boju*.

Kompanie wartownicze przy amerykańskiej 3-ciej armii rozrastały się szybko. We wrześniu 1945 roku z Brygady Świętokrzyskiej utworzono sześć kompanii, w sumie 1.800 ludzi. W pierwszych dniach listopada było już 20 kompanii po 258 ludzi każda, a na Boże Narodzenie tegoż roku ilość ich wzrosła do 30, co wraz z dowództwem i ośrodkami wyszkolenia stanowiło około 8.000 ludzi. Do nowych kompanii „niebrygadowych”

41. Powyższe opinie zostały zaczerpnięte z następujących źródeł: 22-gie *Zeszyty Historyczne*, str. 149 — Żochowski, 29-te *Zeszyty Historyczne*, str. 156 — Bąkiewicz, oraz listy do autora: S. W. Kozłowskiego z 12 maja 1971, Marcinkowskiego z 28 kwietnia 1971, Boguszewskiego z 7 czerwca 1970 i Todtlebena z 6 czerwca 1971.

wstępowali żołnierze wyzwoleni z niewoli niemieckiej, zarówno „wrześniowcy”, jak i AK’owcy, jak również Polacy zwolnieni z obozów koncentracyjnych, oraz wywiezieni na prace do Niemiec w czasie wojny. Natomiast NSZ’owcy z powstania warszawskiego i z obozów koncentracyjnych, jak również ci, którzy po wojnie zbiegli z kraju, tworzyli kompanie „brygadowe”. Sprawami byłych żołnierzy NSZ w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech w początkowym okresie powojennym kierował ppłk Boguszewski, a w strefie amerykańskiej, mjr Mikołaj Kozłowski, były komendant okręgu NSZ Warszawa-miasto.

Początkowo dowódcą całości i komendantem ośrodka szkoleniowego był płk Dąbrowski. Po jego odejściu, spowodowanym naciskiem zaplecza politycznego Grupy Szańca, komendantem obozu ćwiczebnego w Fuerstenfeldbruck został przybyły z kraju gen. Broniewski. Jednocześnie uległo likwidacji stanowisko polskiego dowódcy całości Oddziałów Wartowniczych (OW) przy 3-ciej armii amerykańskiej, natomiast wzrosło na krótki czas znaczenie oficerów łącznikowych. Jednym z nich był mjr Jerzy Hłakowicz („Zawisza”). W tym czasie działalnością oświatowo-wychowawczą w OW przy 3-ciej armii kierowali mjr Stefan Sopoćko („Sęp”) i rtm. Jerzy Zaleski.

Stosunki pomiędzy Amerykanami i Broniewskim nie układały się pomyślnie, zwłaszcza iż był on w złej formie, załamany uwięzieniem żony przez Bezpiekę. Dlatego wezwał on ppłk. Boguszewskiego z Włoch i przekazał mu funkcję komendanta obozu ćwiczebnego 1 czerwca 1946 roku. Na skutek reorganizacji przeprowadzonej przez władze amerykańskie obóz ćwiczebny został zlikwidowany 17 czerwca 1946 r. Od tego momentu wpływ NSZ na obsadę personalną, wyszkolenie, wychowanie i współżycie w Oddziałach Wartowniczych zmalował do zera. Tak więc 17 czerwca 1946 r. jest końcową datą istnienia zorganizowanych oddziałów brygadowych.

W ramach nowej organizacji Boguszewski objął kierownictwo jednego ze zgrupowań OW, a Hłakowicz był szefem sekcji łącznikowej przy dowództwie amerykańskim.

W tym samym czasie, kiedy 3-cia armia amerykańska tworzyła Oddziały Wartownicze oparte o Brygadę Świętokrzyską, 7-ma armia również organizowała polskie Oddziały Wartownicze, na których czele stał płk Franciszek Sobolta. Były one znacznie liczniejsze i obejmowały około 40 tysięcy ludzi. W maju 1947 roku przeprowadzono ostateczne połączenie obu tych organizacji w jedną całość, na której czele stanął płk Sobolta. Dawni oficerowie NSZ nie odgrywali już żadnej poważnej roli w nowej strukturze

organizacyjnej Oddziałów Wartowniczych pod dowództwem amerykańskim w Niemczech⁴².

Zmienne dzieje Brygady Świętokrzyskiej, pełne wzlotów i upadków, można zakończyć modlitwą z pisma brygadowego *W marszu i w boju*:

„Królowo Korony Polskiej z twarzą pociętą szablami.
Do Ciebie wznosimy czoła, schylone bólu ciężarem.
Nie ma w nas szlochu rozpaczny. Zaciśniętymi wargami
Modlimy się głucho, śmiertelnie.
O łaskę wiary.
Latami idziemy nocą, żołnierze tragicznej sprawy.
Krzyże, krzyże za nami — żałobne żołnierskie ślady.
Odsuń nam w chwili ostatniej kielich bolesny, krwawy,
Gorycz samotnej śmierci,
Truciznę zdrady”.

(Reportaż Wańkowicza, *W marszu i w boju*, str. 123).

Z. S. SIEMASZKO

42. Dane dotyczące Oddziałów Wartowniczych między wrześniem 1945 i majem 1947 zostały zaczerpnięte z opracowania Boguszewskiego (*Zeszyt IV do Historii NSZ*, str. 25-32), z *Zeszytu III do Historii NSZ*, str. 77, oraz z *W marszu i boju*, str. 127.

A N E K S

REPORTAŻ LITAUERA Z POBYTU W BRYGADZIE ŚWIĘTOKRZYSKIEJ

(Tłumaczenie z angielskiego dokonane przez autora)

News Chronicle, nr 30.951.
Poniedziałek, 30 lipca 1945.

POLSCY FASZYŚCI RZĄDZĄ PIĘCIU CZESKIMI WSIAMI

Stefan Litauer
Specjalny korespondent *New Chronicle*¹

Pilzno (Czechosłowacja), niedziela.

1. Dziennik *News Chronicle* był organem brytyjskiej Partii Pracy (*Labour Party*). Przeształ ukazywać się w latach 50-tych.

Litauer był przed wojną londyńskim korespondentem Polskiej Agencji Telegraficznej. W początkowym okresie wojny miał względnie łatwy dostęp do

„Chociaż trudno w to uwierzyć, 1.500 w pełni uzbrojonych Polaków z osławionej profaszystowskiej armii podziemnej NSZ, faktycznie okupuje pięć wsi zamieszkałych przez Niemców w okolicy Boehmerwald, 35 mil na zachód od Pilzna.

Ludzie ci, którzy nazywają siebie 'NZZ — Grupa Zachodnia', rozpoczęli swą eskapadę 18 stycznia, po błyskawicznej ofensywie Czerwonej Armii, kiedy to opuścili swoje kryjówki w lasach Miechowa, skąd przeprowadzili wiele akcji terrorystycznych przeciwko Rosjanom i Polakom lubelskim.

Unikając okrążenia przez posuwającą się naprzód Czerwoną Armię, przesunęli się na zachód, będąc w odwrocie razem z Niemcami, bez żadnego zagrożenia ze strony *Wehrmacht*'u.

Kiedy grupa ta osiągnęła Lubliniec na polskim Śląsku, ponownie zakonspirowali się ukrywając się w lasach. Jednak w marcu ruszyli znów na zachód w obawie, iż mogliby być schwytani i sądzeni przez polskie władze, przyszukujące te okolice.

Dotarli do Glatzu na Śląsku niemieckim² i tam, na skutek pertraktacji z armią niemiecką, uzyskali bezpieczne przejście przez linie niemieckie.

Początkowo Niemcy zachęcali ich do wzięcia razem z nimi udziału w walce przeciwko Rosjanom i do stworzenia polskiego legionu.

Odmówili, posługując się legalistycznym argumentem, iż rząd polski w Londynie jeszcze nie wypowiedział wojny Rosji, a jednak jednocześnie obiecywali wystąpić przeciwko Rosjanom, kiedy Wielka Brytania, Ameryka, Niemcy i Polska połączą się, aby rozpocząć wojnę z Rosją, której spodziewali się wkrótce.

To opowiedział mi ppłk Jaksa, główny oficer wywiadu NSZ³. Rozmawiałem z nim w małym domu w wiosce Bernatice, służącym za kwatery główną, kiedy złożyłem im wizytę w towarzystwie oficera amerykańskiego z dowództwa 22 grupy armii.

Kiedy nasz samochód dotarł do Bernatice, polski wartownik z karabinem stał obok polskiej biało-czerwonej flagi.

Na pochyłości, za wsią, stało uszeregowanych około 50 samochodów.

Wjechaliśmy do wsi i zobaczyliśmy grupę polskich oficerów i szeregowych rozmawiających z trzema młodymi cywilami. Zapytałem cywili kim są, oświadczyli, że właśnie przybyli z Buchenwaldu.

Z n u d z e n i

Byli znudzeni beczynnym, choć wolnym już życiem w Buchenwaldzie i zdecydowali się wstąpić do brygady NSZ w Bernatice. Powiedzieli mi, iż

gen. Sikorskiego i podobno był autorem memoriału w sprawie konieczności współpracy z ZSSR, złożonego przez gen. Sikorskiego rządowi brytyjskiemu w czerwcu 1940. Litauer był w Londynie jednym z pierwszych rzeczników całkowitej uległości w stosunku do ZSSR i w roku 1944 opowiedział się za PKWN. Potem został attaché prasowym ambasady PRL w Stanach Zjednoczonych. W czasie pobytu w Brygadzie Świętokrzyskiej, w lipcu 1945, występował pod fałszywym nazwiskiem — Stefan Lityński — i nie został rozpoznany.

2. Tu nie chodzi chyba o Kładzko, które za niemieckich czasów nazywało się Glatz.

3. Władysław Marcinkowski. Formalnie nie stał on na czele wywiadu, a był zastępcą dowódcy. Chociaż jako członek zaplecza politycznego mógł kierować sprawami wywiadu.

dowiedzieli się o miejscu postoju Brygady i trasie do niej od tajnych łączników, którzy działali na całym terytorium Niemiec.

Oficer zaprowadził nas do kwatery głównej, gdzie w dużym pokoju, udekorowanym polskimi emblematami, zostaliśmy przedstawieni płk. Dąbrowskiemu, dowódcy grupy.

Miał on na sobie nowiutki mundur w stylu armii amerykańskiej z polskimi dystynkcjami, będącymi dokładną kopią tych jakie nosi Polska Armia w Wielkiej Brytanii. Był szczupłym człowiekiem lat 45, czy też 50; poczuł się nieco skrępowany, kiedy przedstawiłem się i poprosiłem o pozwolenie na zawołanie Jaksy.

Odwiedził SHAEF⁴

Po opowiedzeniu mi ich Odysei, Jaksza stwierdził, że ostatnio odwiedził SHAEF we Frankfurcie, gdzie pertraktował z amerykańskim płk. Szymańskim, łącznikowym oficerem amerykańskim przy armii gen. Andersa. Zostało uzgodnione, że ich Brygada powinna stać się częścią armii gen. Andersa; obecnie zatem uznają generała za swego głównego dowódcę.

Kiedy zapytałem, czy Brygada zostanie wobec tego przesunięta do Włoch, Jaksza odpowiedział negatywnie, twierdząc, iż nie posiadają transportu. Kiedy wspomniałem 50 ciężarówek, które widziałem, Jaksza znalazł inne usprawiedliwienie, mówiąc, iż nie mają benzyny.

Zapytałem amerykańskiego oficera, czy Amerykanie dostarczą benzynę, a on bez wahania odpowiedział twierdząco.

Tajni agenci w kryjówce Polaków

Pomimo tej amerykańskiej oferty Jaksza nie ustępował, nie podając powodu pozostawania Brygady NSZ w miejscu. Jednak powód jest dla mnie całkiem jasny.

To jest kwatery główna intensywnej działalności w Polsce. Stąd odjeżdżają i przyjeżdżają tajni kurierzy. Radiowy odbiornik i nadajnik leżały na stole w pokoju pułkownika.

Według płk. Dąbrowskiego Brygada posiada obecnie 2.000 sztuk broni, głównie karabinów, 40 różnych rodzajów karabinów maszynowych i trzy działa, głównie porzucone przez Niemców.

Niemieckie marki

Zapytałem, kto ich odżywia. Jaksza stwierdził, że otrzymują od Amerykanów raczej żywnościowe dla przesiedlonych (*displaced persons*), które nie są jednak wystarczające, więc zmuszeni są do przeprowadzania uzupełnień na miejscu, kupując głównie tłuszcze i kartofle w okolicznych wsiach.

Kiedy zapytałem czym płacą, Jaksza odpowiedział: „Niemieckimi markami”, a kiedy stwierdziłem, że marki nie mają już żadnej wartości i nie są uznawaną walutą w Czechosłowacji, Jaksza uśmiechając się odpowiedział: „Jeżeli odmówią zapłaty, to ich własna wina. Poza tym, fundusze nasze są na wyczerpaniu, ale oczekujemy otrzymania wielkiej sumy z Londynu”.

4. Supreme Headquarters, Allied Expeditionary Forces — naczelną kwatery główna alianckich sił ekspedycyjnych, której po drugiej wojnie światowej podlegała zachodnia Europa zajęta przez wojska alianckie.

Na podstawie rozmów z kilku lokalnymi mieszkańcami wiosek ustaliłem, że ludność sąsiednich wsi jest spanikowana i sterroryzowana przez Brygadę, która żyje z dóbr lokalnych.

Karty broni

Płk Dąbrowski wydaje specjalne dowody tożsamości, które upoważniają jego ludzi do noszenia broni.

Widziałem taki dowód starannie wydrukowany w dwu językach, polskim i angielskim. Ma on napis: „Armia Krajowa — AK, Narodowe Siły Zbrojne, Grupa Zachodnia”, a po angielsku, „Polish Home Army, National Armed Forces, Western Group”.

Te dowody tożsamości są wydawane bez amerykańskiego upoważnienia, czy nawet wiedzy, co potwierdził mój zdziwiony amerykański towarzysz podróży.

Rozmawiałem z brytyjskim konsulem i amerykańskimi wyższymi oficerami, jak również z władzami czeskimi. Wszyscy są bardzo zakłopotani i zdają sobie sprawę, że sytuacja jest dziwna i potencjalnie niebezpieczna.

Zabity Czech

Już były poważne konsekwencje. Czeska prasa właśnie podała, że 6 lipca grupa 23-ch dobrze uzbrojonych polskich żołnierzy, pod dowództwem por. Kuncewicza, jadąc amerykańską ciężarówką, została zatrzymana przez czeskiego oficera służby bezpieczeństwa 30 mil na wschód od Drezna, na czeskim terytorium, w pobliżu Hanspach. Kiedy czeski oficer zażądał od nich papierów, zastrzelili go, jak również jego szofera, a potem uciekli zabierając ze sobą jego samochód.

Zlokalizowano ich w dwa dni później, dalej w kierunku południowo-zachodnim. Wynikła walka, w której siedmiu Polaków zastrzelono, dwóch raniono, a sześciu wzięto do niewoli. Wśród ścigających Czechów i Rosjan byli też zabici i ranni⁵.

5. W przetłumaczonym tekście został zachowany w miarę możliwości oryginalny styl, który gdzieś tam pozostawia sporo do życzenia.

Roman BUCZEK

UDZIAŁ POLSKIEJ ORGANIZACJI WALKI O NIEPODLEGŁOŚĆ (POWN) WE FRANCUSKIM RUCHU OPORU W LATACH 1941-1945

Geneza polskiej organizacji niepodległościowej we Francji łączy się ściśle z klęską militarną, którą poniosła Francja w roku 1940. Jakkolwiek ciężar okupacji w części północnej i głębokiej penetracji niemieckiej w części wolnej spowodował poważną zmianę nastrojów społeczeństwa francuskiego, to jednak w warunkach wprowadzonego reżymu totalnego nie można było liczyć tylko na samo społeczeństwo francuskie. Było bowiem jasne, że z czasem będzie się wzmagał duch buntu, duch oporu, prowadząc do zorganizowanych form walki z wrogiem. Z wyjątkiem jednak okręgów północnych, we Francji nie było tradycji prowadzenia zorganizowanej konspiracji. W tym zakresie trzeba było społeczeństwu francuskiemu pomóc zarówno moralnie jak i organizacyjnie. Pomoc tę mogli przynieść Polacy zamieszkujący we Francji od dawna, w większości traktujący ten kraj jako swoją drugą ojczyznę. Stanowisko to było tym bardziej słuszne, że w tym okresie czasu (1940/41) organizacja gen. de Gaulle nie była jeszcze w stanie wykonać takiego zadania w całości. Anglicy zaś, którzy pozostali we Francji, nie mogli prowadzić prac konspiracyjnych, gdyż byli nieliczni i poza tym zbyt widoczni, aby mogli ująć uwadze miejscowych władz.

Liczba obywateli polskich we Francji wynosiła w dniu 1. I. 1939 roku 480 tys. Emigracja wojenna i byli żołnierze skoncentrowani całkowicie w strefie południowej powiększyli tę liczbę o 10-12 tys. osób. Największe skupisko Polaków znajdowało się

w dwóch departamentach północnych, licząc w roku 1939 przeszło 180 tys. osób.

Wydarzenia wojenne oraz okupacja, w poważnym stopniu osłabiły emigrację polską pod względem liczebnym. Spośród 51 tys. emigrantów zmobilizowanych do wojska powróciło do domu nieco ponad 10 tys. Reszta znalazła się w obozach jenieckich, w Szwajcarii lub w Anglii. Ponieważ akcja poborowa przeprowadzona we wrześniu i październiku 1939 roku określiła polskie zasoby mobilizacyjne w 27 rocznikach na 103 tys. zdolnych do służby z bronią w ręku i 10 tys. zdolnych do służby pomocniczej, należy stwierdzić, że zasoby te zmniejszone zostały na skutek wydarzeń wojennych do około 70 tys. mężczyzn. Liczby te uległy dalszemu zmniejszeniu na skutek zastosowanych przez okupanta deportacji na roboty do Niemiec. Na podstawie niepełnych danych można przyjąć, że do końca 1943 roku wywieziono do Niemiec około 20 tys. mężczyzn i 10 tys. kobiet. Połowa wywiezionych rekrutowała się z paryskiego obszaru przemysłowego¹. Wysyłki Polaków prowadzono do końca okupacji Francji. Wolni od deportacji byli właściwie tylko górnicy, gdyż w roku 1944 powoływano do organizacji Todta nawet rolników z Francji południowej.

Przedwojenna emigracja zarobkowa we Francji składała się w 75 % z żywołu rdzennie polskiego. Obywatele polscy narodowości ukraińskiej stanowili około 10 %, Żydzi około 12 %, Białorusini i polscy Niemcy oraz Gdańszczanie — około 3 %.

Najczystsze pod względem narodowym było największe skupisko w dwóch departamentach północnych, gdzie około 90 % stanowili rdzenni Polacy. Żydzi skupili się w 90 % w Paryżu, Ukraińcy byli rozproszeni wśród Polaków prawie po całym obszarze Francji.

W Belgii, Żydzi stanowili około 20 % emigracji polskiej, w Holandii przekraczali 30 %.

W obu częściach Francji istniała gęsta sieć księży katolickich, działało szereg organizacji jawnych, społecznych, charytatywnych, zawodowych itd. We Francji wolnej, po zlikwidowaniu oficjalnych placówek konsularnych, opiekę nad Polakami, w porozu-

1. Ilości Polaków wywiezionych do Niemiec ustalić nie można, gdyż organizacją wysyłek zajmowały się różne władze. Tak np. w strefie pierwotnie okupowanej — prawie wyłącznie okupacyjne władzy niemieckie, zaś w strefie południowej komisje werbunkowe organizacji Todta oraz władze francuskie. Zob. Raport Bernarda (A. Kawałkowski) z dnia 16. I. 1944 r. pt. Cudzoziemcy we Francji z punktu widzenia przyszłych operacji wojсковych. (Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, A. XII. 52, dalej: IHS).

mieniu z władzami francuskimi, objęły *Office Polonais* oraz delegatury Polskiego Czerwonego Krzyża.

Z analizy powyższych danych czynniki polskie wyciągnęły następujący wniosek: ośrodki polskie na terenie Francji są dostatecznie liczne, szeroko rozsypane, a Polacy są zjawiskiem dostatecznie normalnym i nie rzucającym się w oczy, co pozwala na łatwe zakonspirowanie szczupłej ilościowo sieci organizacyjnej. Stworzenie więc konspiracyjnej organizacji polskiej, początkowo na terenie Francji nieokupowanej, w scharakteryzowanych warunkach, nie przedstawiało większych trudności.

Po tej linii rozumowania poszedł gen. Sikorski, który dnia 24 grudnia 1940 roku wręczył ministrowi Daltonowi odpowiedni memoriał, domagając się współpracy ze strony Anglii przy uruchomieniu projektowanej organizacji.

Cele organizacji w ujęciu gen. Sikorskiego były następujące:

1. Utrzymanie ścisłej łączności pomiędzy ośrodkami polskimi we Francji, między Francją a Londynem, w przyszłości także między Francją a Polską.
2. Stworzenie podstaw materialno-organizacyjnych dla wszczęcia tajnej akcji politycznej i propagandowej wśród społeczeństwa francuskiego.
3. Przygotowanie wspólnie ze społeczeństwem francuskim akcji sabotażowej i wykonanie jej w odpowiednim momencie w porozumieniu z rządem angielskim.

W ogólnych zamierzeniach, praca organizacji miała przyczynić się do stworzenia niepokoju i niepewności na tyłach niemieckich, oraz dać podstawy do użycia Francji jako terenu wypadowego na kontynent europejski. Wychodzono przy tym z założenia, że w ówczesnej sytuacji francuskiej, akcja sabotażowa podjęta dorywczo i na małą skalę, bez związku z innymi działaniami wojennymi, nie osiągnęłaby większych efektów moralnych. Połączenie natomiast planowanej akcji sabotażowo-dywersyjnej z przygotowywanymi działaniami wojennymi z zewnątrz — mogło mieć dla psychologii francuskiej poważne następstwa.

W styczniu 1941 roku Anglicy przeznaczyli 600 tys. funtów na działalność organizacji, która została utworzona przy MSW i otrzymała nazwę „Akcja Kontynentalna”. Oprócz pieniędzy, rząd angielski zapewnił pomoc w sprzęcie technicznym i materiale wojskowym. Akcja Kontynentalna była pomyślana jako szereg odrębnych organizacji działających niezależnie zarówno w krajach okupowanych przez Niemcy, jak również w krajach neutralnych.

W krajach okupowanych, założeniem Akcji Kontynentalnej było tworzenie wąskich organizacji dywersyjnych oraz utrzymy-

wanie szlaków komunikacyjnych z Centralą. Na okres przełomu przewidywano dla tych organizacji zadania sabotażowo-dywersyjne, które miały na celu wywołanie chaosu i dezorientacji w szeregach wroga. Natomiast w krajach neutralnych powoływano małe placówki lub po prostu punkty obserwacyjne, które służyły do celów informacyjnych, politycznych, a także dla utrzymywania łączności między krajem a Centralą.

W ramach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych utworzono Biuro Akcji Kontynentalnej, którego dyrektorem został Jan Librach, przedwojenny urzędnik MSZ. Podlegał on bezpośrednio ministrowi. W ciągu roku 1941 założono szereg placówek w różnych częściach Europy a nawet Ameryki Południowej. W ten sposób projektowana organizacja polska we Francji weszła w skład Akcji Kontynentalnej. Otrzymała ona nazwę Polska Organizacja Walki o Niepodległość i występowała pod kryptonimem „Angelika”. Komendantem jej został Aleksander Kawałkowski, ps. „Hubert”.

Dnia 6. IX. 1941 r. Aleksander Kawałkowski zwołał do Grenoble odprawę działaczy terenowych, na której mianował szefów poszczególnych okręgów i wyznaczył im zadania. W rok później, w „Raporcie sytuacyjnym” z dnia 8. IX. 1942 roku, Kawałkowski napisze:

„... Ideą przewodnią było przygotowanie Polaków we Francji do wystąpienia czynnego w chwili, którą Naczelnny Wódz uzna za decydującą z punktu widzenia sprawy polskiej. Do tego celu miało prowadzić zadanie konkretne, nakazane instrukcją zasadniczą, oraz zadania i metody opracowane przeze mnie, a zmierzające do przerobienia masy polskiej na skuteczne i dyspozycyjne narzędzie wojennej pracy Rządu RP”.

Dlatego też Kawałkowski przyjmował 6. IX. 1941 roku za faktyczną datę rozpoczęcia działalności organizacji, której kryptonim zmieniono w listopadzie 1941 na „Monika”. Okres poprzedzający tę datę uważał za przygotowawczy, szczególnie, że łączność wówczas mocno szwankowała i instrukcje rządowe nadeszły późno.

Po rocznej pracy dorobek organizacyjny „Moniki” na terenie Francji nieokupowanej wyrażał się blisko 60 placówkami zorganizowanymi w sześciu okręgach. Placówka pokrywała się z miejscowością i liczyła 2-5 ludzi. Członkowie w 90 % stanowili element robotniczy.

Na terenie Francji okupowanej było wtedy około 40 placówek: w okręgu paryskim — 5, na obszarze Melun-Troyes — 5, w zagłębiu Montreaux-Creuzot — 4. Ponadto istniało kilka placówek słabo zorganizowanych na terenie okręgów Mans-

Cabourg oraz pojedynczy ludzie w kilku miejscowościach w Lotaryngii².

W tym też czasie została zorganizowana kwatera główna POWN z kilku stałymi pracownikami, zapewniająca łączność oraz opracowywanie nadesłanego przez teren materiału.

W lipcu 1942 roku przystąpiono do organizowania specjalnej komórki w ramach kwatery głównej, której zadaniem było przyjmowanie zrzutów, zabezpieczenie przesyłek oraz transport do strefy okupowanej.

Jeśli chodzi o rekrutację, to organizacja bazowała się przede wszystkim na młodym elemencie robotniczym, sięgała także do harcerstwa, „Strzelca” oraz organizacji katolickich. Duże usługi na tym odcinku oddał „Monice” Józef Szczerbiński, działacz socjalistyczny i członek Rady Narodowej, który sam powołał około 20 placówek terenowych. W sumie, we wrześniu 1942 roku Kawałkowski obliczał stan „Moniki” na ponad 600 członków zaprzysiężonych.

W latach 1941-1942 działalność „Moniki” ograniczała się do budowy sieci organizacyjnej, gromadzenia materiału i sprzętu wojskowego oraz udzielania pomocy zorganizowanym. Wydział propagandy wydawał trzy periodyki („Walka”, „Komunikat” i „Sztandar”) oraz ulotki związane z aktualnymi wydarzeniami.

W maju 1942 roku minister Mikołajczyk sformułował dla „Moniki” cztery zadania:

- 1) zadanie terenowe,
- 2) dywersja polityczna,
- 3) zadanie nadmorskie,
- 4) przerwanie linii wysokiego napięcia.

Ad. 1

Zadanie Nr 1 traktowano jako tworzenie podstaw organizacyjnych umożliwiających wykonanie zadań dalszych.

Ad. 2

W momencie inwazji kontynentu „Monika” miała przeprowadzić w trzech zagłębiach (Nord, Pas-de-Calais, Montceau-les-Mines, Creusot) strajk polskich górników i robotników celem doprowadzenia do strajku powszechnego w górnictwie oraz maksymalnego zahamowania pracy w przemyśle dla powiększenia chaosu i stworzenia warunków masowego powstania przeciwko Niemcom.

2. Raport sytuacyjny „Rolanda” (Kawałkowski) z dnia 8. IX. 1942 r. dla „Arwy” (Jan Librach), IHS, A. XII. 52.

Ad. 3

Zadanie nadmorskie polegało na rozpoznaniu w rejonie Caën możliwości utworzenia specjalnej grupy przygotowanej do przyjmowania na wybrzeżu kurierów z Anglii. W momencie inwazji kontynentu grupa ta miała stworzyć, na okres kilku godzin, przyczółek ułatwiający lądowanie niewielkich grup desantowych.

Ad. 4

Zadanie Nr 4 traktowano wówczas „jako ewentualne, zależne całkowicie od decyzji Kawałkowskiego”.

Od tej pory całokształt prac „Moniki” został podporządkowany realizacji powyższych zadań. Hierarchia wykonania zadań odpowiadała ich kolejnym numerom. W sumie zadania te miały na celu zmobilizowanie wszystkich sił wychodźstwa polskiego do walki z Niemcami i przyście w ten sposób z pomocą wojskom sojuszniczym w momencie desantu. Wtórny celem akcji było pociągnięcie za sobą niedostatecznie zorganizowanego społeczeństwa francuskiego i skanalizowanie ewentualnych niezorganizowanych odruchów masowych o charakterze rewolucyjnym i skierowanie ich przeciwko Niemcom.

W instrukcji z dnia 26. II. 1943 roku do Szefa POWN, gen. Sikorski rozszerzył zadania wykonawcze o cele polityczne i organizacyjne, którymi miała się zająć „Monika”. Generał Sikorski przywiązywał wielką wagę do rozszerzenia działalności POWN na Francję okupowaną oraz na Belgię. Myślą przewodnią jego instrukcji było stworzenie na tych terenach jak największej polskiej siły zbrojnej. Dopiero w drugiej kolejności obowiązywało organizowanie wystąpień w zakresie akcji czynnej. W związku z przesłanymi przez ministra spraw wewnętrznych zadaniami w zakresie akcji czynnej, gen. Sikorski zalecał wykonywanie z możliwie „najmniejszym uszczerbkiem dla żywych sił emigracji, które muszą być zachowane dla polskiego wysiłku zbrojnego”. Przez wykonanie tych zadań, emigracja mogła przyczynić się do zwiększenia wkładu polskiego w wojnę i w ten sposób dać nowy cenny argument w ręce rządu na terenie międzynarodowym.

Instrukcja gen. Sikorskiego została uzupełniona przez ministra Mikołajczyka dnia 31. III. 1943 roku o wytyczne polityczne. Zgodnie z ówczesną koncepcją rządu polskiego, tworzenie podstaw pod przyszłą federację państw środkowo-wschodniej Europy, Mikołajczyk polecał kierownictwu POWN propagowanie idei federacji i współpracy z narodami sąsiednimi. W sprawie granicy wschodniej rząd polski stał na gruncie nienaruszalności

granic z 1939 roku. Jakkolwiek rząd i naród polski pragnął pokojowych stosunków z ZSSR, to jednak przeciwstawiono się kategorycznie wpływom komunistycznym i imperializmowi rosyjskiemu, operującym hasłami panslawistycznymi. Polska Organizacja Walki o Niepodległość winna wobec tego zwalczać wpływy komunistyczne na płaszczyźnie ideowej, przeciwstawiając propagandzie komunistycznej hasła wolności narodów i człowieka.

Zadaniem POWN na terenie francuskim miało być przygotowywanie opinii francuskiej do zrozumienia polskiego punktu widzenia w powyższych sprawach. W szczególności należało dążyć do utrzymania równorzędnego stosunku do wszystkich kierunków francuskich, z którymi współpraca Polaków była możliwa.

W latach 1942-1943 ostatecznie okrzepła praca organizacyjna „Moniki” na obszarze całej Francji. Przyjęty schemat organizacyjny POWN był prosty. Za najniższą jednostkę organizacyjną przyjęto *sekcję* składającą się z 5 ludzi. Sekcje łączyły się w *placówki* (przeważnie w obrębie jednej miejscowości). Placówki tworzyły *okręg*, kilka okręgów zaś łączone w *podgrupę*. Dwie lub trzy podgrupy składały się wreszcie na *grupę*. Grup było dwie. Pierwsza, terytorialnie odpowiadająca Francji nieokupowanej, druga — pokrywała się z obszarem zajęтым przez Niemców bezpośrednio po zawieszeniu broni w czerwcu 1940 r.

Francja nieokupowana nosiła nazwę grupy „Południe” („Dół”). Komendantem jej był od roku 1942 do wyzwolenia Bohdan Samborski („Marian”). Obszar „Południe” początkowo dzielił się na 5 okręgów (Lyon, Grenoble, St. Etienne, Alès i Tuluz). Z czasem powiększono go o dalsze 4 okręgi: Commentry, Montluçon, Marsylia, Montceau-les-Mines oraz Périgueux-Limoges. Natomiast w roku 1943 odpadł podokręg Grenoble, który przyłączono do Lyonu. Wobec konieczności usprawnienia dowodzenia, na początku roku 1944 okręgi te zostały podzielone na 3 podgrupy z ośrodkami w Lyonie, Marsylii i Tuluzie. Do kierowniczych działaczy grupy Południe należeli w Lyonie: Stanisław Borowski („Henryk”), Władysław Lach („François”), Tadeusz Kędzierski („Anatol”), w Montreau-les-Mines: Jan Kulpiński („Jan”), w St. Etienne: Kazimierz Szajdek („Ligeza”), w Montluçon: Stefan Adamowicz („Szymon”, „Bosak”) w Marsylii: Włodzimierz Zieliński („Michał”) i Kazimierz Skorupski („Andrzej”), w Alès — Roman Wodzicki („Kazimierz”) i Aleksander Jankowski („Jan”), w Tuluzie — Bohdan Kapella.

Skład ten utrzymywał się do inwazji alianckiej we Francji w 1944 roku.

Prawie równocześnie z pracami prowadzonymi na południu Francji, podjęto próby przenikania poprzez linię demarkacyjną do Paryża i na tereny Francji północno-zachodniej. Zadania tego podjął się Władysław Lach, który od jesieni 1941 do wiosny 1942 roku przechodził na fałszywe dokumenty dziesięć razy. Udało mu się utworzyć zawiązek pracy konspiracyjnej w Paryżu, ale pierwszy szef organizacji okręgu paryskiego, Rembowski, został aresztowany przez Gestapo już na wiosnę 1942 roku.

Władysław Lach nie ograniczał się jednak w swojej działalności do Paryża, lecz docierał także do departamentów północno-zachodnich gęsto zamieszkałych przez liczną ludność polską. W tym czasie istniały już tu drobne organizacje socjalistyczne, które powstały samorzutnie, ale były one całkowicie izolowane, a często nawet pozbawione wyraźnego oblicza ideowego. Z braku doświadczenia organizacyjnego i znajomości celów pracy POWN u miejscowych działaczy, narzucała się konieczność przetrzucenia na ten teren chociaż małego zespołu instruktorskiego z południa, który umożliwiłby prawidłowe ustawienie pracy organizacyjnej.

W maju 1942 roku został wysłany nielegalnie z Grenoble do Lille Remigiusz Szczęsny, jako szef mającej powstać grupy „Północ” („Góra”). W miesiąc później przechodzi także do Lille Tadeusz Paczkowski („Maciej”, „Lubicz”) oraz Józef Czaplewski („Rekin”, „Leszcz”). W roku 1943 dołączył do nich Jerzy Paczkowski („Gerard”, „Gabriel”). Schemat organizacji oparto na zasadach przyjętych na południu.

Dzięki niezwykłej ofiarności pracujących tutaj w konspiracji ludzi, pomimo silnego zagrożenia ze strony Gestapo, w ciągu dwóch lat udało się wciągnąć do grupy „Północ” ponad 5 tys. aktywnych członków.

POWN w Belgii i Holandii

W miarę postępów organizacyjnych POWN w okręgach północnych Francji, przystąpiono do penetracji skupisk polonijnych w sąsiedniej Belgii. Kierownictwo organizacji na tym terenie powierzono Edwardowi Pomorskiemu („Bolesław”), który zdołał skupić w szeregach „Moniki” około 500 zaprzysiężonych członków.

Początkowo okręg belgijski podlegał bezpośrednio T. Paczkowskiemu, z chwilą przejścia do działań otwartych w roku 1944, wszedł on do grupy „Północ” jako czwarta podgrupa. Przez Belgię docierano do Polaków zamieszkałych w Limburgii holenderskiej. Utworzone tam komórki „Moniki” organizacyjnie należały do podgrupy belgijskiej.

„Monika” w Paryżu

Wspominaliśmy o pierwszym szefie okręgu paryskiego Rembowski, aresztowanym przez Gestapo. Na skutek tego prace organizacyjne POWN na tym terenie zostały zahamowane na rok czasu. Wznowiono je dopiero na wiosnę 1943 roku. Prace te podjął Jerzy Paczkowski, będący równocześnie szefem jednej z trzech podgrup na obszarze północnym. Wiosną 1944 roku zastąpił go Władysław Kędziński („Ryszard”). Wobec jednak błyskawicznego rozwoju wydarzeń, okręg paryski nie zdołał stworzyć szerszej sieci organizacyjnej. Pomimo postępujących wypadków i znacznego nasycenia terenu wojskiem niemieckim, utworzono kilka placówek w Paryżu i na jego przedmieściach, oraz w okolicach Troyes, Soissons i Le Mans. Siłami tymi opanowano w sierpniu 1944 roku szereg budynków urzędowych polskich w Paryżu.

Działalność propagandowa

Duże znaczenie w pracy organizacyjnej POWN posiadały wydawnictwa periodyczne i ulotne. Ich potrzeba była nie tylko uzasadniona koniecznością zaspokojenia głodu niesfałszowanego słowa drukowanego, ale także miały one być bronią w walce z propagandą niemiecką. Początki tej działalności były więcej niż skromne. We wrześniu 1941 roku zaczęto wydawać „Komunikat” pisany na maszynie w kilkudziesięciu egzemplarzach. Było to wydawnictwo o charakterze instruktażowym, przeznaczone dla wąskiej grupy kierownictwa. Wkrótce zaczęto odbijać „Komunikat” na powielaczu, zwiększając równocześnie jego nakład.

Jesienią 1941 roku przystąpiono do wydawania „Walki”. Był to organ Kwatery Głównej przeznaczony dla kierownictwa organizacji. „Walkę” odbijano na powielaczu. Z czasem zaczęto ją rozpowszechniać wśród szeregowych członków. Przy dystrybucji zachowywano jednak daleko idące środki ostrożności, stosując system obiegowy, aby gazetki nie dostały się w ręce wroga. Redakcja mieściła się w Grenoble. Zespołem redakcyjnym kierował znany poeta Jerzy Paczkowski. „Walka” była kolportowana głównie na terenie południowo-wschodniej Francji. Po zajęciu przez Niemców w listopadzie 1942 roku strefy wolnej, zredukowano objętość tego pisma (z 14 stron pisma maszynowego do 2 stron), natomiast zwiększono nakład.

W latach 1942-1944 wydawano na tym obszarze także kilka innych pism jak np. „Czarny Tor”, „Polska Ludowa”, „Polska

Pracy”, „Mit Polski”, „Polska Agencja Informacyjna”. Redagowali je poszczególni członkowie POWN.

Ze względu na duże trudności techniczne i wielkie obostrzenia policyjne było prawie niemożliwe przemykanie tych pism do okręgów północnych Francji. W związku z tym podjęto decyzję wydawania odpowiedniego pisma na miejscu. Otrzymało ono nazwę „Sztandar” i zaczęło się ukazywać we wrześniu 1943 roku w Lille. Redakcję prowadził świeżo tu przybyły Jerzy Paczkowski. Kilka pierwszych numerów odbito na powielaczu, następnie już zaczęto drukować w drukarni niemieckiego pisma „Wacht am Kanal”. Dzięki temu pismo to stale zwiększało swój nakład i zaspakajało potrzeby departamentów północnych (Nord i Pas-de-Calais), Belgii i Paryża.

Na wiosnę 1944 roku uruchomiono w Paryżu wydawnictwo pt. „Wyzwolenie”. Wydawano je w kilkuset egzemplarzach i kolportowano wśród skupisk polskiej ludności w Paryżu, Normandii i Szampanii.

Oprócz wyżej wymienionych periodyków, POWN wydawało także kilkadziesiąt ulotek, które kolportowano w tysiącach egzemplarzy. Rozpowszechniano je wśród Polaków, Francuzów, Alzacyków i Austriaków wtłoczonych do okupacyjnej armii bądź do organizacji Todta. Ulotki te redagowane w językach polskim, francuskim i niemieckim, w większości przez Jerzego Paczkowskiego, dawały rzetelne naświetlenie aktualnych spraw oraz udzielały praktycznych wskazówek.

Stosunek komunistów do Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość

Ogół ludności rdzennie polskiej dzielił się pod względem politycznym na dwa obozy: patriotyczny — grupujący się w POWN i Centralnym Komitecie Walki i komunistyczny, którego wyrazem była Organizacja Pomocy Ojczyźnie, przeobrażona w roku 1944 na Związek Patriotów Polskich zgodnie z instrukcjami Moskwy. Wpływy grupy lojalnej wobec władz polskich w Londynie, Kawałkowski oceniał w styczniu 1944 roku na co najmniej 60 % ogółu ludności polskiej — z tym, że w departamentach północnych POWN obejmowała swoimi wpływami około 80 % ogółu, a w strefie południowej — co najmniej 70 %. Komuniści natomiast posiadali zdecydowaną przewagę na terenie dawnego okręgu konsularnego Paryż, w szczególności w samym Paryżu i na przedmieściach, gdzie akcja POWN została przerwana w zimie 1942 roku wskutek aresztowań.

Obóz patriotyczny posiadał także przewagę w organizacji, komuniści natomiast posiadali uzbrojenie i przewagę taktyczną. Obronna taktyka jaką rząd zmuszony był stosować, wywoływała wrażenie słabości rządu i wahania ze strony słabszych charakterów. Wrażenie to pogłębiała propaganda niemiecka, która starała się wywołać przeświadczenie o opuszczeniu sprawy polskiej przez sojuszników. Nie chcąc utrudniać sytuacji rządu, obóz patriotyczny unikał postawy zaczepnej ograniczając się do zbijania argumentów komunistycznych i wysuwając argumenty pozytywne. Cały wysiłek propagandy komunistycznej miał na celu wyrwanie polskich mas emigracyjnych spod wpływu rządu polskiego i zasilenie nimi francuskiego obozu rewolucyjnego. Rząd oskarżano o niedołęstwo i niechęć prowadzenia walki z Niemcami.

Nasilenie akcji komunistycznej pod koniec 1943 roku znajdowało swoje uzasadnienie nie tylko w sprzyjającej koniunkturze politycznej wywołanej zwycięstwami Związku Sowieckiego i utratą przez Anglosasów wszelkiej atrakcyjności na kontynencie Europy, lecz także w olbrzymim wroście środków materialnych, które komuniści otrzymali do dyspozycji. W pierwszej połowie 1943 roku dawał się zauważyć u komunistów brak pieniędzy (narzekania, ograniczenie akcji wydawniczej). Głównym źródłem dochodów obozu komunistycznego były napady na banki, magazyny i merostwa, co przynosiło im kilkanaście milionów franków miesięcznie. Ponadto dochodziły subwencje udzielane przez Moskwę, Algier, a nawet przez Anglików. Część tych funduszy została oddana do dyspozycji polskich komunistów, którzy przeznaczali je głównie na propagandę i werbunek Polaków do oddziałów partyzanckich. Będąc w stanie rzucić kilkaset tysięcy franków miesięcznie na opiekę nad rodzinami robotników ukrywających się przed deportacją do Niemiec, mogli z łatwością elementy te przeciągnąć na swoją stronę. Organizacja *maquis* francuskiego była prawie całkowicie w rękach komunistycznych. Zorganizowanie niezależnego *maquis* polskiego wymagało ogromnych środków materialnych, których oczywiście rząd polski nie był w stanie dostarczyć.

W stosunku do Polski, komuniści zastosowali metodę specjalną. Poza skwapliwym solidaryzowaniem się z wszystkimi deklaracjami sowieckimi w sprawie polskiej, francuska partia komunistyczna starała się raczej pomijać sprawy polskie milczeniem, atakując rząd polski tylko sporadycznie (np. w okresie Katyńia). Akcja polska została powierzona komunistom polskim. Kierownictwo polskiej sekcji komunistycznej, złożone z 3 inteligentów, znajdowało się w Paryżu. Komunistom polskim powie-

rzona została tylko akcja propagandowa i wskazywanie kontaktów, gdyż francuska partia komunistyczna nie uznawała odrębności Polski, wysuwając zasadę solidarności proletariackiej. Wynikało to zresztą z całej akcji propagandowej w języku polskim, nawołującej do wstępowania do szeregów francuskiego ruchu partyzanckiego tzw. „Wolnych Strzelców”. Komuniści w swojej propagandzie utrzymywali, że najprostszym sposobem wyzwolenia Polski jest przyspieszenie klęski Niemiec i obowiązkiem Polaków we Francji jest walka w szeregach francuskiego ruchu wyzwoliteckiego. Dlatego też nie zanotowano wypadku na żadnym terenie francuskim zlikwidowania przez policję wyłącznie polskich zespołów komunistycznych, zdarzali się natomiast Polacy wśród zlikwidowanych oddziałów francuskich.

Propaganda prowadzona w języku polskim używała hasel krańcowo patriotycznych. W swoim drukowanym piśmie „Niepodległość” oraz w ulotkach, komuniści nawoływali do zjednoczenia się w walce z wspólnym wrogiem. W sprawie postawy jaką winna była zająć emigracja polska we Francji, powtarzano jednak tylko slogany za radiostacją im. T. Kościuszki i urzędowymi organami sowieckimi, a więc natychmiastowa walka sabotażowa wspólnie z ruchem francuskim w jego szeregach.

W okresie rewelacji katyńskich obserwowano się osłabienie działalności propagandowej komunistów polskich i jak gdyby pewne zakłopotanie. Jednakże od lata 1943 roku akcja komunistyczna zaczęła wzrastać na sile i zwracać się zarówno przeciwko rządowi polskiemu, jak również przeciwko polskiemu kierownictwu walki podziemnej na terenie Francji. Argumentacja w streszczeniu następująca: zadaniem dnia jest walka z Niemcami, sprawa granic posiada znaczenie drugorzędne. Krzyk w sprawie granicy wschodniej podnoszą polscy obszarnicy, którzy pragną uratować swoje majątki. Opóźnienie zaś walki czynnej w kraju i na emigracji jest akcją na rzecz Niemiec i rząd polski odpowie za to kiedyś przed krajem.

Od śmierci gen. Sikorskiego, który poprzednio był ostro atakowany, propaganda komunistyczna rozpoczęła gloryfikację jego pamięci. Prezydent Raczkiewicz, premier Mikołajczyk i niektórzy ministrowie, określani byli jako ludzie dobrej woli, ale ulegający wpływowi Mackiewicza i Matuszewskiego. (Można im pomóc wykonując biernie wskazania partii komunistycznej).

W stosunku do Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość, komuniści zajmowali przez dłuższy czas stanowisko obserwacyjne. Kiedy jednak stwierdzili jej siłę w terenie, wystąpili dla przeciwstawienia do tworzenia w strefie południowej tzw. „Ko-

mitetów Pomocy Ojczyźnie", a w strefie północnej placówek frontu narodowego. Było już jednak na to za późno, wobec ujęcia organizacyjnego terenu przez akcję POWN. Ponieważ akcja organizacyjna zawiodła, komuniści przystąpili do otwartych ataków na „Monikę” w swojej prasie. Chociaż od czasu do czasu występowali przez wspólnych znajomych z propozycjami nawiązania współpracy. Kierownictwo „Moniki” widząc swoją przewagę liczebną nad komunistami, szczególnie na północy, zdecydowanie wszelkie próby nawiązania kontaktów odrzuciło. Siłę moralną Polaków na północy stanowił przede wszystkim głęboki patriotyzm tamtejszych mas robotniczych, legalność rządu i niechęć do Francuzów. Okoliczności te powodowały, że ścisła odrębność organizacyjna „Moniki” cieszyła się większym powodzeniem niż idea współpracy z Francuzami. Obowiązująca w „Monice” przy sięga³, silna dyscyplina wewnętrzna, wskazanie placówkom konkretnych zadań, działalność wydawnicza, wreszcie stosunkowo duża ilość uwięzionych ofiar, wytwarzały w szeregach „Moniki” wysoki stopień napięcia moralnego, który pozwolił nie tylko opierać się z powodzeniem naciskowi komunistycznemu, ale również rosnąć w siłę liczebną.

Przewaga komunistów nad „Moniką” polegała na uzbrojeniu, lecz była to przewaga jedyna. Zawiodła natomiast komunistów ich agitacja społeczna. Ścisłe związanie się „Moniki” z TUR-em i ścisłe przyjęcie radykalnej postawy społecznej, całkowicie zadowolilo nastroje mas, które mimo głębokiego radykalizmu zachowały silny instynkt narodowy, zaostroszony jeszcze na skutek doznanych we Francji krzywd, poniżeń i prześladowań. Wszystkie przeżyte w okresie wojny doświadczenia spowodowały zanik kompleksu niższości w masach emigracyjnych we Francji. Na skutek idealizowania Polski wykształcił się natomiast kompleks wyższości, co było zjawiskiem bardzo korzystnym dla polskich celów wojennych.

Walka czynna

Aleksander Kawałkowski od początku istnienia POWN wpro-

3. „Wstępując z własnej i nieprzymuszonej woli do szeregów Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość, ślubuję poświęcić wszystkie me siły w walce o wyzwolenie Polski, dochować wierności prawowitemu Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej i bezwzględne posłuszeństwa władzom organizacji, oraz strzec ściśle tajemnic organizacyjnych wobec każdego, kto nie jest moim bezpośrednim szefem w szeregach organizacji. Tak mi dopomóż Bóg”. Według raportu „Bernarda (Kawałkowski) do „Stema” (Mikołajczyk) i „Skiby” (Banaczyk) z dnia 25-28. II. 1944 r., IHS.

wadził zasadę przydzielania każdemu zaprzysiężonemu członkowi konkretnego zadania. Psychologicznie było to uzasadnione tym, że w przedłużającym się okresie przygotowań do walki, działalność organizacyjna ze względów na bezpieczeństwo nie mogła być ani intensywna, ani też obfita. Aby jednak nie powstało zjawisko znużenia z bezczynności, powstała konieczność przydzielenia poszczególnym grupom zadań, które wprowadzałyby ich w atmosferę konspiracji, a równocześnie przeświadczały o potrzebie i celowości dalszej pracy organizacyjnej. Stąd też pierwsze zadania miały charakter wywiadowczy. Napływające z terenu wiadomości selekcjonował i opracowywał szef wydziału informacyjnego — Jerzy Jankowski („Dominik”). Do chwili okupacji Francji południowej przez wojska niemieckie dnia 11. XI. 1942 roku, raporty wywiadowcze wysyłano do Londynu via Portugalia za pośrednictwem amerykańskich dyplomatów. Później przekazywano drogą radiową lub przez specjalnych kurierów już tylko najcenniejsze materiały. Oczywiście, na dłuższą metę nie można było tak poważnej organizacji zabawiać zbieraniem wiadomości politycznych czy gospodarczych. „Monika” weszła już w okres swojego rozwoju, kiedy „doły” zaczęły pchać kierownictwo do czynu, do walki.

Londyn przeciwny był podejmowaniu drobnych wystąpień sabotażowych czy dywersyjnych, ponieważ akcje takie groziły przedwczesnym ujawnieniem organizacji i narażeniem jej na ciężkie represje, jeszcze przed wykonaniem powierzonych jej zadań. Kierownictwo organizacji poszło na kompromis i zgodziło się na podejmowanie drobnych akcji sabotażowych o charakterze tzw. próbnym. Od jesieni 1942 roku akcje tego rodzaju zaczęły się mnożyć na całym obszarze objętym działaniem POWN.

Aktywność członków „Moniki” starano się także skierować w innym kierunku. Mianowicie powołano tzw. służbę obsługi zrzutów lotniczych z Anglii. Pierwszy taki zrzut miał miejsce w nocy z 29 na 30. V. 1942 r. w okolicy Perigueux na terenie farmy Le Roc, w departamencie Dordogne. Operacja ta tylko częściowo była udana, gdyż większość sprzętu wpadła w ręce policji francuskiej. Zrzucono wówczas jednego skoczka, 3 containery i 3 radiostacje nadawczo-odbiorcze. Niepowodzenie operacji Kawałkowski przypisywał angielskiemu pilotowi, który za długo krążył nad okolicą szukając reflektorem lądowiska. Zrzut odbył się z wysokości 2 tys. stóp, na skutek czego spadochrony długo były widoczne w powietrzu i zostały zwiane na kilometr od miejsca recepcji. Ponieważ policja natychmiast przystąpiła do akcji, uratowano tylko kuriera z jedną radiostacją. Już przy pobieżnych oględzinach, policja stwierdziła polskie pochodzenie

aparatów nadawczych i natychmiast aresztowano kilkunastu Polaków zamieszkałych w najbliższej okolicy, podejrzewając przeznaczenie sprzętu dla polskiej organizacji.

Okolicznością łagodzącą w stosunku do wypadków przy Château-Le-Roc była wielka ilość operacji spadochronowych dokonywanych we Francji w ostatnim czasie. Nie wszystkie te operacje się udały, kilku spadochroniarzy aresztowano. Okoliczności te skłoniły policję do przypuszczenia, że operacja w okolicach Le Roc miała charakter raczej angielsko-francuski niż angielsko-polski. Uratowany radiotelegrafista z aparatem nadawczym, szybko nawiązał kontakt z Londynem i przez pewien okres dzielnie służył organizacji. Dnia 17. X. 1942 radiostacja ta wpadła w ręce policji w czasie nadawania depechy do Londynu. Zostali wtedy aresztowani Franciszek Obrębski — właściciel mieszkania, i telegrafista Józef Praudl. Wsypa ta spowodowała kilkumiesięczną przerwę w łączności z władzami polskimi w Londynie. Łączność w tym czasie prowadziła „Monika” tylko za pośrednictwem sieci wojskowej lub polskich placówek w Szwajcarii.

W tydzień później, dnia 23 października, również w czasie pracy, wpadła radiostacja „Wola” należąca do sieci Oddziału II-go, ale będąca w dyspozycji Stanisława Zabięły („Pierre”). Stację złapali Niemcy goniometrycznie. Aresztowano wówczas operatora Mieszkowskiego oraz Łasińskiego, który był właścicielem mieszkania i równocześnie szyfrantem Zabięły.

Dla naświetlenia całokształtu spraw organizacji oraz omówienia sytuacji jaka się wytworzyła po zajęciu przez Niemcy reszty Francji, Kawałkowski zdecydował się wysłać do Londynu swojego zastępcę, Czesława Bitnera („Mikołaj”). Dnia 14. XII. 1942 roku wyruszył on z Lyonu i drogą lądową dotarł do Lizbony, skąd został zabrany samolotem brytyjskim do Londynu.

W konsekwencji okupacji pozostałej części Francji, w ręce Gestapo wpadło kilku najaktywniejszych członków organizacji. W dniu 21. XII. 1942 roku został aresztowany w Lyonie Piotr Kalinowski („Konrad”), zastępca Kawałkowskiego z pierwszego okresu działalności POWN. Po kilku miesiącach więzienia w Castres został on wydany Gestapo. Na początku roku 1943 został aresztowany Bernard Fuksiewicz, który był szefem okręgu tuluskiego (poprzednio szefem był Jerzy Piłatowicz). W marcu 1943 roku Gestapo aresztowało Witolda Grochowskiego, szefa kwatery grupy „Południe”. Później aresztowania już się mnożyły, powodując ogromne straty w kadrze organizacyjnej. Między innymi w lecie 1943 roku został aresztowany w Perpignan Jan Mikosz-Drzewiński („Żelazny”), członek kwatery grupy „Pół-

noc”, który został wysłany przez Kawałkowskiego jako kurier do Londynu. We wrześniu 1943 roku Gestapo aresztowało Andrzeja Starzyńskiego, kolejnego szefa grupy „Południe”, zaś w Tuluzie aresztowano Palmbacha, Mikołajczyka, Owczarka i Urbaniaka, co oznaczało prawie rozbitcie podgrupy „Południe-Zachód”.

Jakkolwiek straty te były bardzo dotkliwe, to jednak nie zahamowały pracy. W maju 1943 odbudowano łączność radiową z Londynem oraz przyjęto kilka zrzutów ze sprzętem technicznym i wojskowym. W tym okresie przybyło także kilku skoczków — instruktorów szkolenia grup dywersyjnych i sabotażowych. Droga lądową przez Hiszpanię powrócił z Londynu pod koniec maja Czesław Bitner, który przywiózł osobiste instrukcje premiera i Naczelnego Wodza dla POWN.

W związku z zawarciem umowy pomiędzy rządem polskim i angielskim w sprawie współdziałania polskiej organizacji we Francji z aliantami w chwili inwazji na kontynent, nastąpiła całkowita reorganizacja Biura Akcji Kontynentalnej. Na podstawie uchwały Rady Ministrów z dnia 21. XI. 1942 r. dotychczasowa Akcja Kontynentalna uległa rozparcelowaniu pomiędzy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Obrony Narodowej. Dla MSW oznaczało to wyjęcie spod jego kompetencji kierownictwa nad tajnymi organizacjami typu wojskowego w skupiskach polskich oraz uniemożliwienie dalszego prowadzenia akcji sabotażowych na terenach okupowanych przez Niemcy. W MON powołano Wydział Specjalny na czele z mjr. Tadeuszem Szumowskim⁴, który przejął odcinek wojskowy Akcji Kontynentalnej do wykonania. Według umowy zawartej dnia 22. XII. 1942 r. pomiędzy ministrem W. Banaczykiem a gen. M. Kukiелеm w sprawie rozgraniczenia kompetencji, przyjęto jako zasadę, że POWN na terenie Francji utrzymywana będzie „jako jednolita całość”. Szef „Moniki” został wyznaczony na przedstawiciela rządu w terenie, na którego spadała odpowiedzialność za działalność i oblicze polityczne organizacji. Jego podległość wobec rządu była dwutorowa: w sprawach wojskowych w drodze przez ministra Obrony Narodowej, w sprawach cywilnych — w drodze przez ministra Spraw Wewnętrznych. Dla wykonania zadań wojsko-

4. Mjr Tadeusz Szumowski, ur. 21. IV. 1899 r. w Warszawie, syn profesora Uniwersytetu Warszawskiego, dra W. Szumowskiego. W latach trzydziestych wykładowca w oficerskiej szkole w Bydgoszczy, następnie przydzielony do Oddziału II-go. W latach 1940-1945 attaché wojskowy przy czeskim rządzie emigracyjnym. Równocześnie, w latach 1943-1945 pracuje w MON w ramach Akcji Kontynentalnej. Po wojnie wrócił do Polski.

wych zleconych „Monice”, minister Obrony Narodowej mianował szefa Prac Wojskowych przy kwaterze Kawałkowskiego. Był on przedstawicielem ministra w terenie i w zakresie akcji czynnej miał prawo stawiania szefowi „Moniki” wiążących wniosków. Natomiast w sprawach natury ogólnej i politycznej podlegał szefowi organizacji — jako czynnikowi terenowo nadzrędnemu.

W lipcu 1943 roku został zrzucony do Francji ppłk A. Zdrojewski („Nestor”, „Daniel”) mianowany przez MON na stanowisko szefa wojskowego „Moniki”. Mikołajczyk, znając dążenie Kawałkowskiego do zmonopolizowania całej władzy w swoim ręku, wyposażył lecącego do Francji Zdrojewskiego w specjalne instrukcje polityczne i wojskowe (od gen. Kukiela). W instrukcji z dnia 13. VII. 1943 r., którą wiozł dla Kawałkowskiego Zdrojewski, Mikołajczyk tłumaczył konieczność narzucenia mu współpracownika wojskowego:

„Szef Prac Wojskowych, który przyjeżdża dla realizacji zadań technicznych, przeszedł odpowiednie przeszkolenie. Nie można było nikogo powołać z terenu, konieczna znajomość techniki współpracy z wojskami aliantów, przeszkolenia w nowoczesnym sprzęcie. Proszę ułożyć współpracę dla dobra sprawy. Apeluję do patriotyzmu i lojalności wszystkich pracujących w niebezpieczeństwie, którego jesteśmy świadomi⁵”.

Zachowując Kawałkowskiemu nadal pełne kierownictwo organizacją, Mikołajczyk równocześnie przestrzegał go przed jakimiś samodzielnymi decyzjami, gdyż będzie „odpowiedzialny przed rządem za wykonanie powierzonych prac”. Dla wzmocnienia jego prestiżu wobec organizacji, mianowano go majorem.

Pomimo to, przyznany Zdrojewskiemu zakres uprawnień, natychmiast spotkał się ze sprzeciwem ze strony Kawałkowskiego, który stanowczo odmówił wyłączenia z „Moniki” i przekazania Zdrojewskiemu odcinka wojskowego. Wywołało to przewlekłe spory kompetencyjne, które zlikwidowano dopiero jesienią 1943 roku pod naciskiem Londynu. Kawałkowski przeciwstawiał się podziałowi organizacyjnemu głównie dlatego, że chociaż MON przyjęło na siebie odpowiedzialność za akcje wojskowe, to jednak posługiwać się będzie tymi samymi ludźmi, których teraz nie sposób oderwać od całości organizacji. W końcu sprawę zlikwidowano kompromisowo: Kawałkowski zachował dla siebie wprawdzie kierownictwo we wszystkich zasadniczych sprawach politycznych i wojskowych, ale ppłk Zdrojewski został szefem sztabu organizacji i zastępcą Kawałkowskiego w sprawach wojskowych.

5. Instrukcja dla „Albina” (Kawałkowski) z dnia 13. VII. 1943 r., IHS.

O dużej jego niezależności świadczyło także utrzymanie własnej sieci łączności oraz odrębnego budżetu. W ramach działania Zdrojewskiego znalazło się także przyjmowanie zrzutów, transport otrzymanych materiałów oraz szkolenie kadr wojskowych.

Akcja „Bardsea”

Wspomniana reorganizacja została przeprowadzona w związku z przewidywaną inwazją aliancką. Rząd polski pragnął wnieść pewien wkład do sprawy wspólnego zwycięstwa i w porozumieniu z Anglikami zaplanowano na terenie Francji tzw. akcję „Bardsea”. Akcja ta rozpadała się na dwa działy: cywilny i wojskowy. W ramach działu wojskowego, w chwili inwazji, poszczególne grupy bojowe „Moniki” miały za zadanie:

- 1) niszczenie obiektów komunikacyjnych,
- 2) niszczenie i dezorganizowanie środków łączności,
- 3) likwidowanie wszelkich drobnych elementów tyłowych wroga (pojedyncze samochody, motocykliści, posterunki policji, etc.),
- 4) niszczenie składów zapasów wojennych,
- 5) działalność wywiadowcza.

Na odcinku cywilnym „Monika” była odpowiedzialna za zorganizowanie:

- 1) strajku w zagłębiu północnym, którego wybuch byłby zsynchronizowany z akcją główną na tym terenie,
- 2) drobnego sabotażu przemysłowego,
- 3) akcji propagandowej mającej na celu wzmoczenie biernego oporu wobec okupanta, sabotażu, obniżenie produkcji itp.,
- 4) prac przygotowawczych akcji werbunkowej do wojska polskiego, mającej się rozpocząć w chwili wkroczenia wojsk sprzymierzonych na dany teren,
- 5) prowadzenie akcji wywiadowczej.

Z powyższego widać wyraźnie, że zadania przewidziane do wykonania przez dział wojskowy, ściśle zązębiały się z działem cywilnym „Moniki” i musiały być prowadzone często przez te same osoby (np. sabotaż, wywiad, akcja werbunkowa do wojska, etc.), czyli że stanowisko Kawałkowskiego zmierzające do utrzymania jedności kierownictwa organizacją było słuszne, gdyż wobec błyskawicznego rozwoju wypadków, było zupełnie niemożliwe stworzenie nowej sieci organizacyjnej podporządkowanej wyłącznie wojsku.

Według instrukcji gen. Kukiela z dnia 9. IV. 1943 roku dla organizacji „Monika”, rozkaz do „akcji czynnej” miał być wydany przez Naczelnego Wodza w momencie „gdy wojska niemieckie będą w odwrocie i gdy wojska alianckie będą mogły znaleźć się na terenie akcji czynnej w ciągu paru dni”. Gen. Kukiel zapowiadał również wysłanie do Francji w okresie przygotowawczym kilku instruktorów, sprzętu radiowego oraz trochę broni i materiałów wybuchowych.

Dla wzmocnienia działań poszczególnych grup „Moniki”, gen. Kukiel przewidywał także ewentualne wysłanie w teren kilkudziesięciu umundurowanych polskich spadochroniarzy z większą ilością broni i sprzętu. W tym celu szkolono w Anglii już od roku 1943 specjalną kompanię spadochronową, przewidzianą właśnie do działań we Francji (Samodzielna Kompania Grenadierów).

Alę samo przygotowanie akcji na terenie Francji już od początku napotkało na nieprzewidziane trudności. Mianowicie ppłk Zdrojewski po skoku na południu Francji zakopał w lesie instrukcję operacyjną, spis obiektów przewidzianych do wysadzenia, oleaty działań zespołów spadochronowych, punkty spotkań spadochroniarzy z zespołami „Moniki” i inne. Ponieważ cały ten materiał został zakopany w nocy, odszukanie go zajęło kilka miesięcy. Na skutek nieodpowiedniego zabezpieczenia i długiego leżenia w ziemi, większość oleatów uległa zniszczeniu z wyjątkiem części północnej i południowej. Pomimo tego błędu, ppłk Zdrojewski był człowiekiem bardzo odważnym i wysoce ideowym. Po klęsce Francji w czerwcu 1940 roku przeszedł ze swoją jednostką do Szwajcarii. Żywy temperament i poczucie obowiązku prowadzenia dalszej walki, nakazywały mu powrót do Francji. Rychło znalazł się w Grenoble i podjął akcję organizacyjną w obozach pracy. W związku z wyspą organizacji „Nurmi” policja francuska rozpoczęła za nim usilne poszukiwania. Wyjechał wówczas do Londynu. Teraz wrócił na spadochronie dla kontynuowania walki.

Przyjazd Zdrojewskiego Kawałkowski rozumiał jako dążenie MON do zapewnienia sobie dowodzenia akcją w okresie przełomu, uznaną w Londynie za najważniejszą. Tymczasem, według Kawałkowskiego, wypełnienie zadań powierzonych „Monice” wymagać miało nie dowodzenia, lecz organizacji. Nie może bowiem być dowodzenia tam, gdzie dowódca nie rozporządza środkami łączności. W terenie przewidzianym do poszczególnych akcji, w chwili decydującej nie będzie zaś żadnych środków łączności, ponieważ Niemcy zarządzili, że nawet ruchu rowerowego nie będą tolerowali. W tej sytuacji dowodzenie będzie mogło się odbywać tylko na szczeblu najniższym tj. małych zespołów kilku-

osobowych, mających do wykonania konkretne zadania na terenie swojej miejscowości. Przy takim ustawieniu zagadnienia, kierownictwo „Moniki” domagało się przysłania najpierw specjalistów i instruktorów, którzy przygotowywaliby organizację do wykonania zleconych zadań. MON jednak inaczej rozumiało całą sprawę i zamiast wypełnić postulaty terenu, przysłało w lipcu 1943 roku samego Zdrojewskiego, a w grudniu pierwszego instruktora i w lutym 1944 drugiego. Wynik był taki, że dopiero w lutym 1944 roku Zdrojewski mógł przystąpić do rozpoznania obiektów i poszukiwania miejsc do przyjęcia zrzutów.

Innym nonsensem utrudniającym przygotowanie akcji były zmiany koncepcji przygotowywanych działań w centrali. Tak na przykład pierwotnie przewidywano zrzucenie małych zespołów dla wsparcia działań „Moniki”, później przewidywano masowy zrzut i żądano przygotowania odpowiednich lądowisk. Na wiosnę 1944 roku znowu powrócono do koncepcji zrzucenia małych grup spadochronowych. Zarządzenia te wymagały od kierownictwa „Moniki” ciągłych rewizji dotychczasowych metod pracy, a więc i ścisłego współdziałania Zdrojewskiego z Kawałkowskim.

Płk Zdrojewski posiadał uprawnienia dowódcy wielkiej jednostki w zakresie odznaczeń oraz prawo powoływania do czynnej służby wojskowej i awansowania podoficerów. Jako delegat MON mógł występować do Londynu z wnioskami nominacyjnymi do stopni oficerskich. Kawałkowski uważał jednak wykozystanie uprawnień Zdrojewskiego przed wejściem ludzi do akcji — za przedwczesne. Zaproponował natomiast odznaczenie ludzi uwięzionych, którym należała się nagroda za cierpienia, utratę wolności i zdrowia. W grudniu 1943 roku złożył też Zdrojewskiemu wnioski nominacyjne na podporuczników rezerwy i czasu wojny, podchorążych, aspirantów i podoficerów rezerwy zajmujących w POWN odpowiedzialne stanowiska i sprawujących dowództwa nad kilkuset osobowymi grupami.

W związku jednak z niebezpiecznym wzrostem wpływów komunistycznych, szczególnie po wymianie poglądów między rządem polskim a sowieckim w styczniu 1944 roku, Kawałkowski zdecydował się skorzystać z uprawnień Zdrojewskiego. W czasie narady Kawałkowskiego, Bitnera i Zdrojewskiego, w drugiej połowie stycznia 1944 roku doszli oni do wniosku, że ich dotychczasowy wysiłek organizacyjny „nie przedstawia wystarczającej atrakcyjności dla mas w porównaniu z hasłem walki natychmistej”, propagowanym przez komunistów. Wobec tego postanowili zrobić coś, co świadczyłoby, że organizacja wchodzi w okres rozstrzygających wydarzeń. Podjęli wówczas śmiałą decyzję powołania wszystkich członków organizacji do służby czynnej oraz

przeprowadzono awanse na podoficerów członków sprawujących funkcje kierownicze.

Mimo pewnej niechęci do korpusu oficerskiego, istniejącej jeszcze we wspomnieniach emigracji z okresu Coëtquidan, autorytet wojska jako instytucji był wielki. Dzięki tej decyzji osiągnęli oni przede wszystkim bezwzględność dyspozycyjność swoich szeregów⁶.

Nominacje podoficerskie obejmowały nie więcej niż 500 osób, z czego większość starszych szeregowców, gdyż połowa kadry terenowej posiadała już stopnie podoficerskie, często wyższe od przyznanych dla sprawowanej funkcji organizacyjnej. Ale decyzje kierownictwa „Moniki” wywołały w MON wielki gniew i zdziwienie z powodu tego niezgodnionego kroku. Czynniki wojskowe w Londynie zdawały się zapominać, że świat był w piątym roku wojny, a masy zrewolucjonizowały się jak w żadnym innym okresie historycznym, kryteria zaś awansowe i cenzusowe aktualne w 1939 roku stały się przeżytkiem z epoki kamienia łupanego. Personalnicy jednak w sztabie uważali, że robotnikowi można powierzyć odpowiedzialną funkcję tylko w okresie ciężkim, zapominali całkowicie natomiast, że element emigracyjny we Francji był pełen odwagi, pomysłowości i nawet wrodzonej inteligencji. Po przeszkoleniu w obozie szkolnym, element ten zapowiadał się lepiej od oficerów typu przedwojennego.

W okresie przełomowym, kiedy prowadzono zaciętą walkę o wpływ na masę robotniczą, zadań stawianych organizacji „Monika” nie można już było wykonać półśrodkami.

Umowa w sprawie wykonania akcji „Bardsea” została podpisana dnia 27. II. 1944 r. przez lorda Selborne’a ze strony angielskiej oraz przez ministrów Banaczyka i gen. Kukiela występujących w imieniu rządu polskiego. Przewidywała ona w paragrafie 4, że żadna akcja nie będzie podjęta w terenie, dopóki nie zostanie przedstawiona do oceny premierowi Mikołajczykowi, który winien działać w tej sprawie w porozumieniu z Naczelnym Wodzem. Dalszą konsekwencją tej umowy było powołanie na wiosnę 1944 roku wspólnego biura operacyjnego „Moniki”, w skład którego weszli równorzędnie przedstawiciele MSW (Marian Piotrowski) i MON (mjr Tadeusz Szumowski). Anglicy jednak mieli wątpliwości czy taki układ zapewni harmonijną współpracę z aliantami i powołując się na paragraf 4 pkt e umowy w sprawie „Bardsea”, zażądali mianowania wspólnego przedstawiciela premiera i Naczelnego Wodza, który posiadając odpowiednie pełnomocnictwa, byłby czynnikiem nadrzędnie koor-

6. Raport „Bernarda” z dnia 15-28. II. 1944 do „Stema” i „Skiby”. IHS.

dynacyjnym i reprezentującym polskie prace operacyjne jako jeden kierownik. W momencie rozpoczęcia działań inwazyjnych, komórka ta działała jako polska sekcja w sztabie SOE.

Rozkazem MON z dnia 6. V. 1944 roku szefem polskiej sekcji przy sztabie SOE został mianowany płk Jan Kowalewski⁷. Jego podległość była podwójna: w sprawach wojskowych podlegał MON, w sprawach społeczno-politycznych MSW. Organami wykonawczymi szefa były Wydział Spraw Operacyjnych MON i Sekcja Społeczno-Polityczna wydzielona z Biura Akcji Kontynentalnej MSW (Marian Piotrowski). W związku z powyższym uległ likwidacji Wydział Spraw Specjalnych MON.

W momencie rozpoczęcia działań inwazyjnych, komórka płk. Kowalewskiego przyjęła nazwę Polskie Biuro Operacyjne przy PFHQ.

Zmiany w wykonaniu operacji „Bardsea”

Pomimo ogromnego wysiłku włożonego w organizację akcji „Bardsea” ze strony polskiej, na skutek nalegań SHAEF Anglii wystąpili z żądaniem rewizji zawartego układu z dnia 27. II. 1944 roku. W związku z tym, Selborne, minister Wojny Ekonomicznej zwrócił się dnia 22. V. 1944 roku do premiera Mikołajczyka z propozycją modyfikacji układu o wykonaniu operacji „Bardsea” dostosowując ją do potrzeb SHAEF. Układ między rządem brytyjskim a rządem polskim stanowił, że polskie grupy dywersyjne będą działały „przez opóźnienie ruchów wojsk i rezerw niemieckich po utrwaleniu alianckiego przyczółka oraz w okresie odwrotu niemieckiego, *w takim momencie kiedy będzie można słusznie oczekiwać, że posuwanie się wojsk alianckich doprowadzi do zajęcia określonego okręgu w czasie dwóch do trzech dni*”.

Natomiast wytyczne operacyjne SHAEF ustalały, że grupy oporu działać będą dla bezpośredniego wsparcia operacji na kontynencie i przeprowadzą akcje, które spowodują maksymalne opóźnienie ruchów nieprzyjaciela według wytycznych zatwierdzonych przez kwaterę główną Alianckich Wojsk Ekspedycyjnych. Przyjmując, że polskie grupy dywersyjne we Francji znajdują się po obu stronach głównych dróg prowadzących z Belgii do północno-wschodniej Francji, to według układu polsko-brytyjskiego, udział polskich grup w opóźnieniu rezerw strategicznych nie-

7. Płk dypl. piech. Jan Kowalewski („Piotr”) od 15. I. 1941 kierownik placówki łączności z kontynentem i Centralą z siedzibą w Lizbonie. W marcu 1944 odwołany do Londynu.

mieckich straci wiele na swej wartości, ponieważ powstanie znaczna luka w zniszczeniach jakie powinny być wykonane wzdłuż granicy północno-wschodniej Francji. Ponadto kwatery główna stała na stanowisku, że działania podjęte w czasie dwóch lub trzech dni od zajęcia przez sprzymierzonych okręgów zamieszkałych przez Polaków, nie będą miały efektywnej wartości militarnej. Tego rodzaju działania oceniano w SHAEF tylko jako utrudniające cofanie nieprzyjaciela, ale równocześnie umożliwiające mu przeprowadzenie własnych planów zniszczeń⁸.

Intencją rządu polskiego było w czasie przygotowywania umowy z Anglikami, aby polskie grupy „Moniki” nie były zobowiązane do podjęcia akcji, dopóki posuwanie się wojsk alianckich nie zabezpieczy obywateli polskich w danej okolicy, przed odwetem niemieckim.

Gen. Eisenhower po zapoznaniu się z elementami umowy „Bardsea”, odrzucił z miejsca jej ujęcie, stwierdzając, że rozpoczyna on „największą w historii świata bitwę”, w której już w pierwszym dniu, nawet zanim zdołają nogą dotknąć brzegu kontynentu, może zginąć 20 tysięcy Amerykanów, więc nie może być skrupowany w swoich decyzjach warunkiem zgody rządu polskiego. Musi mieć swobodę decyzji użycia oddziałów w chwili jaką uzna za stosowną. Jeżeli tej swobody nie będzie miał, to rezygnuje w ogóle z użycia polskich jednostek, ale musi to wiedzieć z góry, aby mógł inaczej rozwiązać zagadnienie polskiego odcinka⁹.

Wobec wyjazdu premiera Mikołajczyka dnia 4 czerwca do Waszyngtonu, odpowiedź na list lorda Selborne przygotowywali wicepremier Kwapiński, min. Banaczyk i gen. Kukiel. W dniu 9 czerwca opracowali oni ostateczną wersję. Rząd polski, „by zadość uczynić życzeniom Naczelnego Wodza Wojsk Alianckich i [...] podkreślić szczerą pragnienie Rządu RP kontynuowania konsekwentnego postępowania od 1939 roku na rzecz niesienia pomocy wspólnej sprawie Aliantów”, zgodził się na poprawki do umowy „Bardsea”¹⁰. Zgodę swoją władze polskie obwarowały jednak następującymi warunkami:

1. Operacja „Bardsea” może być wykonana przy pomocy „Moniki” jedynie w połączeniu z akcją francuskiej *résistance*

8. List lorda Selborne No. F/1676/125 z dnia 22. V. 1944 r. do premiera Mikołajczyka. Archiwum S. Mikołajczyka w Waszyngtonie.

9. Notatka ppłk J. Kowalewskiego z dnia 2. VI. 1944 r. z rozmów ppłk. Hazell, IHS.

10. Tekst listu do lorda Selborne ustalony ostatecznie dnia 9. VI. 1944. IHS.

w danym okręgu oraz przy „pełnej współpracy między generałem Koenigiem a władzami polskimi”.

2. Dla wspomoczenia operacji wojskowych, ruch oporu będzie wzmocniony zrzuconiem małych oddziałów spadochronowych francuskich, belgijskich, brytyjskich, amerykańskich i polskich.

3. Zespoły spadochronowe przeznaczone do wykonania akcji „Bardsea” zostaną zrzucone w pobliżu rejonów już kontrolowanych przez oddziały *résistance*, celem zapewnienia im bezpieczeństwa po wykonaniu wyznaczonych zadań.

Rząd polski wyraził przy tym nadzieję, że gen. Eisenhower zgodzi się z wymienionymi punktami biorąc pod uwagę intencje wyrażone w jego przemówieniu z dnia 6. IV. 1944 r., w którym stwierdził, że hasło do ogólnego powstania zostanie rzucone dopiero wówczas, gdy będzie miał pewność oszczędzenia ludności cywilnej.

Anglicy jednak nie podzielali polskiego punktu widzenia na te sprawy, ponieważ ich plan współdziałania z Francuzami oparty był na innych założeniach. W porozumieniu z gen. Koenigiem SOE przewidywało w dniu „D” ruchawkę organizacji *résistance* popartą zrzutem kilku batalionów spadochroniarzy (w małych zespołach po 5-ciu z instrukcjami) na terenie całej Francji. Gen. Koenig chciał Francuzów wydzielić i użyć ich w mundurach francuskich samodzielnie. Udział Amerykanów w tej operacji miał polegać na zrzuconiu batalionu tzw. „norweskiego”, który dotychczas był trenowany na operacje w Norwegii. Belgowie natomiast mieli mieć wspólny odcinek z Amerykanami. Zdaje się, że najkorzystniejszą sytuację mieli Francuzi, którzy posiadali środki bojowe w zadowalającej ilości na miejscu i wobec tego znajdowali się w lepszej sytuacji od Polaków.

Mimo tych rozlicznych przygotowań i dokładnego rozpracowania zadań przez „Monikę”, zespoły polskie nie weszły do akcji, ponieważ operacje desantowe i posuwanie się w głąb Francji wojsk alianckich było tak gwałtowne, że użycie ich operacyjnie nie było potrzebne.

Sprawa Delegata Rządu do spraw wychodźstwa polskiego we Francji

W związku z przewidywanymi operacjami alianckimi na kontynencie przed rządem RP stało również zagadnienie ostatecznego unormowania zarówno kierownictwa prac polskich na terenie Francji, jak również zsynchronizowanie tego kierownictwa

w ramach ogólnych aparatu rządowego. Obawiano się ponadto, że w momencie operacji wojskowych na kontynencie, rząd może zostać odcięty od ośrodków polskich we Francji, dlatego też dążono, aby w okresie przełomowym kierownictwo „Moniki” posiadało w swym ręku odpowiednie możliwości działania.

Przy rozpatrywaniu tej sprawy, rząd opierał się przede wszystkim na stanie faktycznym, tzn. że całość spraw wychodźstwa polskiego we Francji koncentrowała się w rękach Kawałkowskiego, który praktycznie od trzech lat sprawował funkcje delegata rządu, chociaż opierał się na dość ogólnikowych kompetencjach. Teraz jednak pełnomocnictwa jego musiały być sprecyzowane w sposób formalny ze względu na ściśle konkretne zadanie, a szczególnie zadania mobilizacyjne, jakie postawiono Kawałkowskiemu do wykonania. Wezwanie wychodźstwa polskiego do wojska musiało być podpisane przez delegata rządu.

Sprecyzowania swoich kompetencji domagał się przede wszystkim sam Kawałkowski, który zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że jako szef POWN może wydawać zarządzenia tylko jej członkom. Natomiast mobilizację ogólną obywateli mógł ogłosić tylko organ państwowy¹¹. A przecież chodziło także o stosunki z francuskim komitetem *résistance* (CNR), przygotowanie urzędów państwowych, organizację cywilnej ludności, sprawy Polaków w Belgii, Holandii itd.

Rząd liczył się bardzo ze zdaniem i żądaniami Kawałkowskiego, rozumiejąc wielkość jego pracy włożonej do kierowanej przez siebie organizacji. Jakkolwiek organizacja ta doraźnie liczyła około 5 tys. ludzi, była jednak zdolna w każdej chwili do podwojenia swoich efektywów do 10 tysięcy ludzi. Dzięki swemu istnieniu utrzymała emigrację polską w dyspozycyjności dla rządu polskiego, a przede wszystkim nie dopuściła do zbyt dużego rozlewu krwi, przeciwdziałając kategorycznie nieprzemyślanej akcji komunistów, pchających wychodźstwo polskie do przedwczesnej walki z Niemcami.

Organizacja życia polskiego we Francji w tym okresie czasu, odpowiadała w przybliżeniu organizacji życia konspiracyjnego w kraju. Faktycznie życiem tym kierował Aleksander Kawałkowski jako szef POWN. Do pomocy miał płk. Zdrojewskiego, który kierował pracami wojskowymi. Poza tym istniało przy nim ciało doradcze tzw. Centralny Komitet Walki, grupujący organizacje robotnicze, zawodowe i wychodźcze. Centralny Komitet Walki

11. Zob. depeza „Bernarda” (Kawałkowski) z dnia 10. III. 1944 do premiera, IHS.

powstał jako wyraz nowej organizacji wychodźstwa polskiego na miejsce dawnych organizacji, które na skutek sytuacji wojennej nie mogły kontynuować swojej pracy.

W styczniu 1944 roku przystąpiono do organizowania sieci Lokalnych Komitetów Walki, podległych CKW. Powstawały one na zasadzie rzeczywistego układu sił w miejscowościach gdzie istniały placówki POWN. Komórki Lokalnych Komitetów Walki składały się z 3-5 osób reprezentujących poszczególne grupy polityczne i większe organizacje społeczne. Poza tym istniały dwie instytucje legalne: Towarzystwo Opieki nad Polakami (TOPF), obejmujące zasięgiem swej opieki nieliczną garstkę inteligencji, która w 1939 roku schroniła się na teren Francji, oraz Biura Polskie, będące szczątkowymi organami dawnych konsulatów polskich. TOPF należało do kompetencji ministerstwa Opieki Społecznej, Biura Polskie — do kompetencji MSZ. Do wiosny 1944 roku wszystkie te trzy organizacje działały odrębnie, jakkolwiek były z sobą w pewien sposób powiązane. Instytucje legalne TOPF i Biura Polskie ułatwiały swym istnieniem prace organizacyjne POWN, tworząc czasami dla tych prac pewnego rodzaju alibi. Ta różnorodność była pożądana nie tylko ze względów organizacyjnych, ale także i ze względów bezpieczeństwa. W okresie jednak przewidywanych operacji wojennych było wprost nieodzowne scentralizowanie wszystkich dyspozycji życia organizacyjnego w jednym ośrodku kierowanym przez ludzi znających teren, posiadających w ręku możliwości działania, a przede wszystkim znających całość sytuacji.

Przewidywany wybuch strajków i bezrobocia w momencie walk na terenie Francji nakładał na organizację obowiązek tworzenia komitetów pomocy doraźnej dla robotników i ich rodzin oraz wypłacania im zapomóg. Ponadto spodziewano się pojawienia się dziesiątków tysięcy nowych kategorii uchodźców polskich, tj. Polaków z organizacji Todta, żołnierzy polskich z armii niemieckiej itd. Na wszystkie te cele organizacja dysponowała specjalnymi funduszami:

W przewidywaniu szybkich postępów wojsk inwazyjnych i konieczności odbudowy sieci terytorialnych przedstawicielstw polskich, Kawałkowski wydał w dniu 6. II. 1944 r. specjalne wytyczne swoim komórkom terenowym. Instrukcja ta przewidywała możliwość przekształcenia „bez poważniejszych zmian” projektowanych przedstawicielstw w normalne urzędy konsularne we wszystkich miastach będących siedzibami konsulatów polskich przed zawieszeniem broni. Nadzwyczajne okoliczności wymagały też, aby przejście od życia nielegalnego do jawnego odbyło się

bez wstrząsów. W związku z tym Kawałkowski zalecał, aby przy obsadzie stanowisk kierowniczych na okres początkowy uwzględnić przede wszystkim ludzi legitymujących się dorobkiem konspiracyjnym, „dla których praca jawna byłaby kontynuacją dotychczasowych ich zadań”¹².

Przeprowadzone na tym odcinku prace przez Kawałkowskiego, ułatwiły następnie Ministerstwu Spraw Zagranicznych zarówno organizację, jak i obsadę personalną konsulatów RP na obszarze całej Francji.

Wszystkie wyżej przytoczone elementy zdecydowały, że sprawa unormowania stosunków kierownictwa prac polskich na terenie Francji, została postawiona przez ministra W. Banaczyka na posiedzeniu Komitetu Spraw Krajowych w dniu 5. V. 1944 r. Minister Banaczyk odpowiedzialny za Akcję Kontynentalną, przedstawił wówczas projekt uchwały o utworzeniu urzędu Delegata Rządu do spraw wychodźstwa polskiego we Francji, Belgii i Holandii. Dnia 17. V. 1944 r. projekt ten został uchwalony przez Radę Ministrów z ważnością natychmiastową.

Równocześnie prezes Rady Ministrów mianował A. Kawałkowskiego Delegatem Rządu do kierowania sprawami dotyczącymi wychodźstwa polskiego we Francji, Belgii i Holandii. W depešy z dnia 23. V. 1944 do Kawałkowskiego, premier Mikołajczyk pisał m.in.:

„Powołanie Pana na stanowisko Delegata Rządu jest nie tylko uznaniem za waszą dotychczasową pracę, ale stwierdzeniem, jaką wagę przywiązuje rząd do spraw 'Moniki' i wykonania przyjętych zobowiązań wojskowych¹³”.

Zgodnie z uchwałą Rady Ministrów z dnia 17 maja i powołaniem Kawałkowskiego na Delegata Rządu, został stworzony na terenie Francji jednolity ośrodek dyspozycyjny na okres przejściowy. Wszystkie instytucje i osoby kierujące poszczególnymi placówkami polskimi zostały powiadomione przez odpowiednich ministrów o podległości Delegatowi Rządu.

Działalność wywiadowcza w ramach „Moniki”

W miarę rozbudowy organizacji „Monika”, a szczególnie w okresie podziału tej organizacji po przyjeździe płk. Zdrojew-

12. Wytoczne dla „Oskara” z dnia 6. II. 1944 od „Justyna”, IHS.

13. Depesza Nr 82/A z dnia 23. V. 1943 r. od „Stema” dla „Bernarda”. IHS.

skiego na część cywilną i wojskową, wystąpiła potrzeba zorganizowania komórki wywiadowczej przekazującej do Londynu informacje zebrane w ramach własnej sieci. Ponieważ prace organizacji na północy skoncentrowane były zasadniczo na przygotowaniach terenowych do operacji „Bardsea”, powstała naturalna możliwość zebrania znacznej ilości materiału informacyjnego o znaczeniu operacyjnym i taktycznym.

Celem unormowania tej sprawy, podjęto decyzję utworzenia działu informacyjnego w sztabie szefa wojskowego „Moniki” pod kierownictwem oficera, którego zadaniem miało być zbieranie materiału, jego selekcja i przekazywanie do Wielkiej Brytanii. Na funkcję tę wyznaczony został por. Władysław Ważny („Tygrys”), który po odpowiednim przeszkoleniu został zrzucony do Francji w marcu 1944 roku. Jego instrukcje przewidywały:

1. Zorganizowanie sieci informacyjnej dla akcji „Bardsea”, tj. głównie chodziło o rozmieszczenie stałych elementów nieprzyjaciela, ochrona linii kolejowych, mostów oraz ustalenie dróg dojścia do poszczególnych celów. Tę część pracy wykonać mieli członkowie „Moniki” w zespołach pomocniczych, ponieważ były to cele w ich rejonach, które należało w przyszłości zniszczyć.

2. Zorganizowanie sieci informacyjnej dla zbierania wiadomości, które mogą być wykorzystane przez aliantów po rozpoczęciu operacji głównej na terenie Francji.

Przekazywanie tych informacji miało się rozpocząć dopiero na specjalny rozkaz. W zakresie zdobywania informacji należało wykorzystać wszelkie źródła jak np. miejscowa ludność, Polacy w armii niemieckiej, Polacy w organizacji Todta oraz własna obserwacja z zachowaniem warunków bezpieczeństwa sieci informacyjnej.

Zdobyte wiadomości miały być przekazywane przy użyciu radiostacji czynnych na terenie Francji północnej. Jedna z radiostacji została specjalnie przydzielona do dyspozycji „Tygrysa”. Brano pod uwagę również drogi łączności przez Hiszpanię i Portugalię, które miały być wykorzystywane dla przekazywania materiałów nie posiadających specjalnej pilności.

SOE, z którym Wydział Spraw Specjalnych MON współpracował w zakresie operacji „Bardsea”, początkowo odnosił się krytycznie do tych przedsięwzięć. Przekonano SOE dopiero argumentem, że w związku z przygotowaniem jakie organizacja prowadzi w terenie, sama obserwacja przynosi bardzo dużo cennych materiałów, które są bezużyteczne wobec braku zorganizowanego punktu przekazywania.

„Tygrys” rozpoczął swą pracę po osiągnięciu terenu w kwietniu 1944 roku. Po otrzymaniu rozkazu z Centrali przystąpił do przekazywania wiadomości z dniem 23. VI. 1944 roku. Informacje swoje przekazywał przez stacje nadawcze „Alamant”, „Selin” i „Owidiusz” rozmieszczone na terenie Francji północnej. Informacje te przekazywano natychmiast do Special Force H.Q. (dawniejsze SOE) oraz do Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego Sztabu Naczelnego Wodza.

Uzyskane z terenu informacje dzielono na trzy grupy:

- „A” — wiadomości ogólne, ruch W.J., transporty oraz miejsca postoju niemieckich dowództw,
- „B” — wyrzutnie bomb latających i urządzenia pomocnicze (składy bomb latających i ich transport),
- „C” — składy broni i amunicji, benzyny oraz fabryki benzyny syntetycznej.

Zestawienie ilościowe wiadomości otrzymanych z sieci „Tygrysa”:

Okres czasu	„A”	„B”	„C”
23. 6. - 1. 7. 1944	10	13	16
2. 7. - 10. 7. 1944	4	41	22
11. 7. - 20. 7. 1944	3	15	3
31. 7. - 10. 8. 1944	6	10	—
21. 7. - 30. 7. 1944	1	5	—
R a z e m :	24	84	41

Uzyskane z terenu wiadomości wstępnie rozpracowywał Wydział Spraw Specjalnych MON (ustalanie współrzędnych i nazw miejscowości). Dalsze rozpracowanie i studium wiadomości lub ich natychmiastowe wykorzystanie, jako celów dla działań lotniczych, prowadziły dowództwa brytyjskie pozostające w kontakcie ze Special Force H.Q. Oceny przekazywanych wiadomości otrzymywano ze SFHQ (Officer in Charge of „I” Side at SFHQ) zwykle na dekadowych zestawieniach wiadomości sporządzanych w dniach: 1, 10 i 20 każdego miesiąca. W niektórych wypadkach otrzymywano oddzielne oceny wiadomości sporządzone przez odnośne komórki brytyjskie współpracujące z SFHQ. Dotyczyło to wiadomości jak np. rozmieszczenie obrony portu Brest, fabryki lokomotyw i montowni czołgów w Graffenstadt itp.

Zestawienie ocen wiadomości przez SFHQ przedstawia się następująco:

1) WIADOMOŚCI DZIAŁU „A”

Okres czasu 1944	Liczba wiadomości przekazanych	o dużej wartości	bardzo użyteczne	użyteczne	przydatne	potwierdzające	ogólne orientacyjne	wątpliwe	w ocze-kiwa-niu na spec. ocenę
23. 6. - 1. 7.	10	—	—	—	—	4	6	—	—
2. 7. - 10. 7.	4	—	1	2	—	—	—	1	—
11. 7. - 20. 7.	3	—	2	—	—	—	1	—	—
21. 7. - 30. 7.	6	3	—	—	—	—	1	—	2
31. 7. - 10. 8.	1	1	—	—	—	—	—	—	—
Razem: ..	24	4	3	2	—	4	8	1	2

2) WIADOMOŚCI DZIAŁU „B”

Okres czasu	Liczba wiadomości przekazanych	o wartości natychmias-towej	bardzo użyteczne	użyteczne	przydatne	potwierdzające	niewystarza-jące	zniekształcone
23. 6. - 1. 7. 44 ..	13	12	—	—	—	—	1	—
2. 7. - 10. 7. 44 ..	41	41	—	—	—	—	—	—
11. 7. - 20. 7. 44 ..	15	15	—	—	—	—	—	—
21. 7. - 30. 7. 44 ..	10	10	—	—	—	—	—	—
31. 7. - 10. 8. 44 ..	5	5	—	—	—	—	—	—
Razem:	84	83	—	—	—	—	1	—

3) WIADOMOŚCI DZIAŁU „C”

Okres czasu	Liczba wiadomości przekazanych	bardzo użyteczne	użyteczne	przydatne	potwierdza-jące	wymagające dodatkowego sprawdzenia	zniekształcone	niewystarza-jące, wątpliwe
23. 6. - 1. 7. 44 ..	16	5	8	1	—	—	1	1
2. 7. - 10. 7. 44 ..	22	3	9	2	—	7	—	1
11. 7. - 20. 7. 44 ..	3	—	1	1	—	—	—	1
21. 7. - 30. 7. 44 ..	—	—	—	—	—	—	—	—
31. 7. - 10. 8. 44 ..	—	—	—	—	—	—	—	—
Razem:	41	8	18	4	—	7	1	3

Zadania sieci „Tygrysa” stawiane były w porozumieniu ze SFHQ w ramach ogólnego planu poszukiwania wiadomości naczelnego dowództwa alianckiego. Zadania te ujęte były ogólnie w kwestionariuszu wchodzącym w życie z dniem „D”. Kwestionariusz ten został następnie uzupełniony w związku z przygotowaniem niemieckimi do użycia nowej broni. Stawiane były również doraźne zadania w wypadkach, gdy SFHQ zwracało się o rozpracowanie danej sprawy przez sieć polską we Francji północnej. Miało to w szczególności miejsce w okresie intensywnego użycia bomb latających przeciw Anglii południowej i Londynowi. Praca terenu skoncentrowana została wówczas na zbieraniu informacji o wyrzutniach bomb latających i o związanych z nimi urządzeniach pomocniczych, jak składy bomb, metoda transportu do wyrzutni, punkty przeładunku kolejowego na samochody itd.

W tym okresie czasu Special Force H.Q. przywiązywało szczególną wagę do wiadomości o rozmieszczeniu wyrzutni i składów bomb latających oraz o wynikach bombardowań lotniczych. Jak wskazuje analiza danych cyfrowych zawartych w tabeli Nr 2, sieć „Tygrysa” przekazała w okresie od 23 czerwca do 10 sierpnia 1944 roku ogółem 84 wiadomości o wyrzutniach bomb latających, z których 83 wykorzystano natychmiast. Stopień zainteresowania Anglików tymi wiadomościami charakteryzuje list brygadiera E. E. Moekler-Ferryman’a z dnia 19. VII. 1944 r., w którym wyraził on na ręce ministra obrony narodowej, gen. M. Kukieła, podziękowanie za przekazane informacje i sposób ich rozpracowania.

Z podobnie wysoką oceną tych wiadomości i uznaniem dla organizacji polskiej we Francji, spotkały się władze polskie ze strony dowództwa armii amerykańskiej.

Z uwagi na duże znaczenie tych wiadomości dla Anglików, stanowiły one ważny atut polityczny w ręku rządu polskiego, w czasie rozmów z przedstawicielami rządu brytyjskiego.

Por. Władysław Ważny w ciągu zaledwie kilkumiesięcznej działalności na terenie Francji, wniósł wielki wkład Polski do ogólnego wysiłku wojennego sprzymierzonych na kontynencie europejskim. Zginął śmiercią żołnierza 19 sierpnia 1944 roku w czasie próby wycofania się z zajętego przez nieprzyjaciela miejsca swojej pracy.

Pośmiertnie został mianowany kapitanem i odznaczony krzyżem Virtuti Militari V klasy.

Zakończenie

Powstanie Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość („Angelika” następnie „Monika”) we Francji, było związane z podjęciem przez rząd polski działań antyniemieckich w ramach tzw. Akcji Kontynentalnej. Podstawę prawną Akcji Kontynentalnej stanowiła uchwała Rady Ministrów z dnia 19. XI. 1940 roku w sprawie „projektowanej współpracy polsko-brytyjskiej w dziedzinie szerszenia w poszczególnych krajach kontynentu [...] nastrojów proaliantkich za pośrednictwem zaufanych funkcjonariuszy”.

Prof. Kot na posiedzeniu Komitetu do Spraw Krajowych w dniu 13. II. 1941 roku określał projektowaną organizację jako „walkę tajną z wrogiem wszystkimi sposobami z wyłączeniem akcji zbrojnej otwartej, której w pewnych wypadkach jest przygotowaniem”.

Zadania przewidziane w cytowanej uchwale, dla skrótu myślowego nazywano „akcją kontynentalną” względnie „akcją szóstej kolumny”. Z czasem utrwaliła się nazwa pierwsza, ponieważ przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych powołano specjalne Biuro Akcji Kontynentalnej. Działalność tego biura zahaczała lub często się pokrywała z akcją polityczną, propagandową, dywersyjną czy sabotażową, lecz ściśle biorąc — nie była żadną z nich. Ze względu na działania wojenne, akcja ta nie mogła być prowadzona ani przez Ministerstwo Informacji i Propagandy, ani przez MSZ, ani też przez Oddział II-gi posiadający własny zakres działania. Natomiast w środkach działania Akcja Kontynentalna opierała się często o sieć łączności z krajem.

Współpraca z Anglikami odbywała się za pośrednictwem ministra Daltona, który do prac tych został specjalnie wydelegowany przez premiera Churchilla. Przy Daltonie istniała odpowiednia komórka łącznikowa współpracująca ściśle z polskim Biurem Akcji Kontynentalnej. Pomoc angielska polegała przede wszystkim na ułatwieniach finansowych i technicznych. Na odcinku technicznym korzystano z pomocy w przekazywaniu poczty, wyjazdu agentów z Anglii ich środkami transportu do poszczególnych krajów europejskich, wyszkolenie personelu, uzyskiwanie potrzebnych dokumentów, zakupu specjalnego sprzętu itp.

Minister Dalton w czasie prowadzenia Akcji Kontynentalnej wykazywał nie tylko dobrą wolę, ale zarazem zawsze duże zainteresowanie polskimi możliwościami na różnych terenach. Dzięki temu współpraca przybrała bardzo szybko charakter wzajemnych usług świadczonych sobie przez obu partnerów. Na tej

platformie wspólnego porozumienia został opracowany plan akcji we Francji.

Naczelną ideą podjętej akcji była walka z Niemcami. Kierownictwo Akcji Kontynentalnej w wytycznych dla organizacji we Francji poszło jednak dalej niż oficjalna propaganda angielska, której punktem wyjścia było założenie ideologiczne: demokracja walczy z hitleryzmem. Dla Polaków istotą walki była walka z Niemcami *każdymi*, bez względu na ich ustrój, aż do zupełnego zwycięstwa.

Ze względów taktycznych oczywiście, mówiono Polakom we Francji, że obalenie nazizmu jest wstępnym krokiem do obalenia siły Niemiec i dlatego prowadzimy także walkę z hitleryzmem jako ustrojem. Taktyka ta była słuszna i okazała się dla wszystkich zrozumiała. Ale na tej płaszczyźnie zaznaczyła się różnica punktów widzenia z komunistami. Gdy rząd polski stał na stanowisku prowadzenia walki o uwolnienie Polski spod okupacji *każdych* Niemiec, to propaganda komunistyczna nie zwalczała Niemiec, lecz hitleryzm i w związku z tym stawiała znak zapytania nad stosunkiem Sowietów do wojny po ewentualnym załamaniu się ustroju hitlerowskiego w Niemczech.

Stąd w propagandzie prowadzonej przez „Monikę” kładziono wielki nacisk na ideę pełnej niepodległości Polski, którą zabezpieczyć będzie można, gdy w chwili zwycięstwa nad Niemcami dysponować będziemy odpowiednią siłą.

Aleksander Kawalkowski w propagandzie swojej wychodził z prostego założenia, że emigrację polską odciąć będzie można od komunizmu tylko hasłami politycznymi, a nigdy społecznymi, ponieważ w tym zakresie komuniści każdy rząd polski przelicytują. Dlatego też lansował pogląd, że problem granic Polski, jak w ogóle problem Europy środkowo-wschodniej nie wykryształizował się jeszcze dostatecznie w opinii sprzymierzeńców zachodnich i nie ma pewności, iż wykryształizuje się zgodnie z naszymi prawami i życzeniami. Tylko takie ujęcie tego zagadnienia uzasadniało postulat postawiony przez MON w roku 1943 konieczności odbudowy polskiej siły zbrojnej na terenie Francji i przeprowadzenia pełnej mobilizacji wojskowej.

Zobowiązania przyjęte w stosunku do Anglików przez rząd polski odnosiły się do przeprowadzenia akcji czynnej przez ludność polską zamieszkałą na terenie Francji. Chodziło tutaj o użycie ludności cywilnej nie tylko do działań militarnych, gdyż działanie wojskowe ludności cywilnej siłą faktów musi mieć ograniczony charakter, ale przede wszystkim o udzielenie pomocy lądującym wojskom alianckim przez ludność polską. Z punktu widzenia psychologicznego, dominującym motywem było ruszenie

ludności polskiej i przekonanie jej o konieczności wykonania przez nią nakazanych zadań.

Na tym założeniu budowana była przez A. Kawalkowskiego cała struktura organizacyjna „Moniki”. Wszystko inne, a więc wysłanie w teren płk. Zdrojewskiego dla kierowania przygotowaniami, wysłanie radiotelegrafistów i instruktorów oraz pewnej ilości sprzętu, miało charakter wtórny, ściśle podporządkowany zasadzie głównej.

W dniu rozpoczęcia się inwazji przewidywano wysłanie dla wzmocnienia zespołów „Moniki”, specjalnie wyszkolonych grup żołnierzy, których dobrano nie tylko pod kątem widzenia znajomości Francji, ale także odznaczających się walorami dowódczymi.

Ponieważ jednak w Londynie nie posiadano wiadomości jakie mają być przez Niemców zastosowane represje w wypadku inwazji, konstruowane plany uległy zmianom.

Na wiosnę 1944 roku ustalono alternatywny plan, który przewidywał, że o ile represje na terenie Francji nie będą zbyt duże, „Monika” zostanie wzmocniona przez grupy spadochroniarzy z Wielkiej Brytanii i wykona zadanie wspólnie; o ile nie zostanie wzmocniona — wykona je własnymi siłami. Wariant drugi przewidywał natomiast, że jeżeli represje będą silne — zadania będą musiały być wykonane wyłącznie przez grupy bojowe zrzucone z Anglii. W tym kierunku poszły instrukcje do kierownictwa „Moniki”.

Plan działania „Moniki” polegał, w wielkim skrócie, na wywołaniu możliwie największego zamieszania na tyłach wojsk niemieckich w chwili ich odwrotu. Dla zapobieżenia nadmiernemu rozlewowi krwi ludności cywilnej, termin rozpoczęcia akcji uzależniono od faktu zajęcia danego rejonu przez wojska alianckie w terminie trzech dni od chwili ogłoszenia hasła dnia „D”.

Przestrzennie teren przydzielony Polakom w planie „Bardsea” obejmował w przybliżeniu obszar 60 na 50 km. Pod względem ukształtowania był to teren falisty o nieznacznych różnicach wzniesień, poprzecinany rzekami i kanałami. W środku tego pasa znajduje się szereg dużych osiedli fabrycznych: Bethune, Lens, obszar Hénin - Lietard - Douai - Aniche - Somain - Denain. Każda z wyżej wymienionych miejscowości stanowi węzeł drogowy i kolejowy. Sieć kolejowa i drogową jest zresztą bardzo rozwinięta na całym obszarze. Przez pas wspomnianych miejscowości, lub też w ich pobliżu, przechodzi szereg kanałów. Były to następujące kanały (kierując się od zachodu): Canal de la Basse od Béthune do Bauvin, gdzie łączy się z Canal de la Haute Deule biegnąc od tego miejsca przez Pont-à-Vendin - pfn. Cotir-

rières - Douai. Canal de la Scarpe biegnie od Douai pomiędzy Somain i Marchiennes do St. Amand. Pomiedzy Denain a Valenciennes przebiega Canal de L'Escaut.

Z punktu widzenia operacyjnego, najłatwiejsze przerwanie komunikacji północy z południem było przez zniszczenie wszystkich mostów drogowych i kolejowych znajdujących się na wyżej wymienionych kanałach.

Ponieważ obszar ten jest poważnym rejonem przemysłowym i znajdował się na najkrótszym kierunku operacji alianckiej, Niemcy zainstalowali tutaj liczne urządzenia obrony, fortyfikacje oraz jednostki wartownicze, które głęboko wrosły w teren. Poza tym strona polska nie posiadała dostatecznego rozpoznania terenu, bliższych informacji odnośnie danych celów, sposobu ich strzeżenia, ilości potrzebnych materiałów wybuchowych itd. Krótko mówiąc, siły polskie były stanowczo za szczupłe i do działania słabo przygotowane.

Z obserwacji bowiem wynikało, że nieprzyjaciel jest bardzo silny i w razie natarcia będzie uparcie bronił tego rejonu jako *pivot* całego manewru na terenie Francji północnej.

Na tym tle jest mało prawdopodobne, aby zespoły „Moniki”, nawet wsparte przez oddział 60 spadochroniarzy polskich, były zdolne do wykonania powierzonego im zadania. Twierdzenie zaś kierownictwa „Moniki”, że posiada na tym terenie 3.600 zorganizowanych ludzi, nie miało żadnego istotnego znaczenia, ponieważ ludzie ci byli przeważnie nieuzbrojeni i mało mieli do tej pory do czynienia z bronią i z wojskiem.

Wszystkie plany i projekty co do uruchomienia akcji „Bardsea” stały się jednak nieaktualne wobec nadspodziewanie szybkich postępów ofensywy alianckiej na terenie Francji.

Przed rządem polskim natomiast wyłoniły się nowe zadania o charakterze organizacyjnym i opiekuńczym, które spełnili dotychczasowi kierownicy „Moniki”, zapełniając urzędy i instytucje polskie członkami organizacji. Wielu członków „Moniki” odegrało także znaczną rolę w oddziałach sabotażowych i partyzanckich.

Cały ten wysiłek włożony przez organizatorów i członków POWN w przygotowanie wyzwolenia Francji i umocnienie stanowiska Polski u narodów sprzymierzonych nie został, jak dotąd, należycie doceniony.

Roman BUCZEK

Wiktor SUKIENNICKI

O ODDŹWIĘK W SERCU

Na kilkadziesiąt godzin przed wyznaczoną na 13 marca 1864 roku rozprawą w sądzie polowym, uwięziony w Wilnie w poddominikańskich murach Kostuś Kalinowski zażądał papieru i przyrządów do pisania. Spodziewając się, że zechce on wreszcie złożyć zeznania o organizacji powstania, żądanie to spełniono. Kalinowski pisał całą noc z 11 na 12 marca (27 na 28 lutego st. st.), nie tylko „zeznania” dla władz, lecz również testament dla mas. Powstały wówczas *Listy spod szubienicy*, które, prze-mycone z więzienia, zadanie swe spełniły. Były pisane po białorusku i kończyły się jak następuje:

„Zpad szybienicy maskouskaj prychodzicca mnie pisać da was i moża astatni raz... Prymi, narodzie, pa szczyrości majo słowa pradśmiertnaje... jak dzień z noczaj nia chodzic razam, tak i nawuka praudziwaja nie idzie razem z niewolaj maskouskaj, a pakul jana budzie u nas, niczobo nia budzie. Nia budzie praudy, nia budzie bahaćcia i nijakaj nawuki, adno nami, jak skacinaj, waroczać buduć nie dla dabra, a na pahibieli naszu.

Tamu, narodzie, jak tolki paczujesz, szto braty twaje zpad Warszawy wajujuć za praudu i wolność, tagdy i ty nie astawajsia zradu, no, chapiuszy za szto zmożasz, za kasu, za tapor, i cełaj hramadoj idzi wajawać za swoje czelawieczaje i narodnyje prawa, za swoju wieru, za swoju ziarnu rodnuju. Bo ja tabie zpad szybienicy każu, narodzie, szto tolka tagdy zażywiesz sześaćliwa, kali nad taboj uże maskala nia budzie.

Twoj sługa, Jaśka, haspadar zpad Wilni¹”.

Zeznania dla władz pisane były po rosyjsku i wyjaśniały przyczyny, jakie spowodowały wybuch powstania w Warszawie i objęcie nim Litwy. Kończyły je rozważania na temat możliwości całkowitego oderwania Litwy od Polski i istotnego, a nie tylko formalnego, połączenia jej z Rosją:

1. *Pamiętnik wileński*, Londyn, 1972, str. 331-2.

„Kto sądzi, że będzie to zadanie dla Rosji łatwe, łudzi się i oszukuje sam siebie. Sieć więzów, łączących nas z Polską, jest we wszystkich warstwach społecznych ugruntowana tak mocno w tradycjach, zwyczajach i nawet przesądach, że rozplątanie jej i zniszczenie, oraz wytworzenie czegoś nowego wymaga długoletniej, systematycznej i rozumnej pracy. Zgromadzeni ze wszystkich zakątków Rosji agitatorzy niczego u nas w sprawie połączenia nie dokonają; oszukując jedynie samych siebie i władze, celu nie osiągną, a tylko doprowadzą kraj, wbrew swej woli, do nowych ofiar i nowych ludowych nieszczęść. Dopóki rząd nie wykaże zrozumienia i zgody dla dążeń warstw oświeconych tutejszej ludności, słowo 'Rosja' nie znajdzie oddźwięku w sercach Litwinów²”.

Doreczone natychmiast Murawjewowi pismo Kalinowskiego spowodowało, że nie zatwierdził on skazującego na rozstrzelanie wyroku sądu polowego, domagając się powieszenia, co też, po powtórnej rozprawie sądu, nastąpiło na Łukiszkach 22 marca 1864 roku.

Nie wykluczając możliwości, że Rosja zdoła kiedyś zająć miejsce Polski w sercach mieszkańców W. X. Litewskiego Kalinowski mówił o potrzebie w tym celu długoletniej, systematycznej i rozumnej pracy. Poczynania rosyjskie nie zawsze, być może, były rozumne, ale dwum pozostałym wymogom odpowiadały, i w ciągu następnego stulecia nie mogły nie dać pewnych konkretnych rezultatów. Były one największe i zostały najprędzej osiągnięte wśród Żydów.

W 1792 roku Żydzi wileńscy byli niemniejszymi patriotami Rzplitej od warszawskich; w 1863 znaleźli się „pomiędzy dwoma ogniami” i zaczęli się wahać między warszawską „matką” a petersburskim „ojcem”; w następnych dziesięcioleciach zapomnieli pod wpływem szkoły rosyjskiej całkowicie o swej przeszłości, ulegli urokowi rosyjskiej literatury oraz wielkości imperium i stali się jego mniej lub więcej świadomymi apologetami³.

W sercach innych mieszkańców Wielkiego Księstwa — Białorusinów, Litwinów, a nawet Polaków — proces wypierania Warszawy przez Petersburg odbywał się znacznie wolniej, ale pewne postępy czynił. Szło to w parze z wysuwaniem się Rosjan przed Polaków w ruchu rewolucyjnym. Do lat 60-tych pierwszeństwo w nim „urodzonych rewolucjonistów” — Polaków nie było kwestionowane; od lat 80-tych na czoło zaczynają wysuwać się Rosjanie i ku nim wówczas skłaniają się serca rewolucyjnej młodzieży Wielkiego Księstwa.

Powstała z inicjatywy Mazziniego w 1867 roku polska sekcja Powszechnego Aliansu Republikańskiego, Ognisko Rewolucyjne w Szwajcarii, w programowej odezwie pisała:

2. *Bełoruskaja Cerkwia*, Nr 26, Chicago, 1964, str. 160.

3. *Pamiętnik wileński*, str. 143-154.

„Wszyscy jesteście synami jednej Matki-Ojczyzny, obywatelami federacyjnej Rzplitej Polski, Litwy i Rusi, i na łonie tylko tej wspólnej matki czeka was rzeczywiste szczęście — wolność, równość i braterstwo”.

W 1870 roku w Paryżu ukazuje się wydawnictwo pod trójjęzycznym tytułem: *Zmowa — Kupos Susitarymas — Hromadzki Showor*; w innych rewolucyjnych wydawnictwach w języku polskim, paryskiej *Pobudce* i genewskiej *Równości* są działy litewski i białoruski. *Równość* jednak wypowiadała się przeciwko narodowemu patriotyzmowi i na urządzonym przez nią obchodzie 50-lecia powstania listopadowego, w odpowiedzi na przysłany przez Marksa i Engelsa list, stwierdzający, że Polacy byli wszędzie czołowymi bojownikami w walce o wyzwolenie proletariatu, i zakończony wezwaniem „aby powtórzyć dawny okrzyk: 'Niech żyje Polska!'”, — Ludwik Waryński wołał:

„Kiedy przyjdzie godzina naszego powstania, to już nie okrzyki 'Niech żyje Polska!' lub 'Pereat Moskwa!' witać nas będą, ale jeden wspólny okrzyk dla całego świata proletariuszy: 'Niech żyje socjalna rewolucja!'”.

W myśl takiej zasady, rewolucyjne organizacje rosyjskie nie były wcale gorsze, a może nawet lepsze, niż polskie i do nich zaczęli się garnąć rewolucjoniści z Wielkiego Xięstwa. W 1881 roku Ignacy Hryniewicki zabija Aleksandra II-go z ramienia rosyjskiej *Narodnej Woli*, a w sześć lat później z podobną organizacją współpracują bracia Bronisław i Józef Piłsudscy, dostarczając jej chemikaliów potrzebnych dla wyrobu dynamitu.

W powstałych pod wpływem PPS w latach 1895-6 litewskiej Socjałdemokracji i białoruskiej Hromadzie, w następnych dekadach wpływy rosyjskich esdeków i eserów stały się dominujące. Rozpoczęty za czasów *Narodnej Woli* proces dopełnia się w 1917 roku. Odtąd Rosja staje się symbolem rewolucji powszechnej, Polska zaś reprezentuje umiarkowanie, jeśli nie „reakcję”. Państwo rosyjskie, w teorii przynajmniej, przeistacza się w „związek” wielu korzystających z równych praw narodów, zaś państwo polskie chce się stać narodowym „monolitem” i, wyrzekając się dawnej tradycji Rzplitej, traktuje swoich obywateli nie-Polaków jako mniej lub więcej tolerowane „mniejszości”, a nie korzystających z pełni praw politycznych współbraci. Najwcześniej, bodaj, utożsamienie wszystkich w czambuł Polaków z „kontrrewolucjonistami” miało miejsce w Mińsku, gdzie, już w lipcu 1917 roku, wszystkie sprzyjające Polsce elementy zostały usunięte z powstałego w kwietniu Białoruskiego Komitetu Narodowego, po czym w jego imieniu ogłoszono, że:

„więzy ekonomiczne oraz otwarte przez rewolucję wielkie możliwości łączą

nas z Rosyjską Socjalistyczną Federacyjno-Demokratyczną Republiką. Wobec tego Białoruski Komitet Narodowy uważa za konieczne przestrzec przed osobnikami, którzy wykorzystując białoruskie brzmienie swych nazwisk, propagują połączenie z Polską lub jakimś innym państwem. Gdy osobnicy tacy występują w imieniu Białoruskiego Komitetu Narodowego, działają jako prowokatorzy⁴”.

Ta publiczna deklaracja całkowitej lojalności wobec rewolucyjnej Rosji nie zapobiegła jednak pomawianiu Białorusinów po bolszewickim przewrocie o spiskowanie z kontrewolucyjnymi Polakami przeciwko ustrojowi sowieckiemu i zwołany w końcu grudnia 1917 roku ogólnobiałoruski Kongres został po dwóch dniach rozpędzony przez ówczesnego wielkorządcę w Mińsku, Ormianina Miasnikianc-Miasnikowa.

W tym czasie, jak to stwierdza Władysław Glinka w *Pamiętniku z wielkiej wojny* (t. 3, str. 179-80), Polacy w Mińsku istotnie nosili się z zamiarem objęcia w oparciu o korpus Dowbora władzy na Białorusi i „przyłączenia” jej do „rządzonego” wówczas przez Radę Regencyjną „Królestwa Polskiego”. Plany te jednak rychło zostały poniechane i gdy, po zerwaniu rokowań w Brześciu, w lutym 1918 roku dowborczycy ścigali się z Niemcami o zajęcie Mińska, chodziło im raczej o „zdobycz wojenną”. Resztki kwaterujących w mieście do początku stycznia oddziałów oraz dość rozbudowana POW umożliwiły formalne wygranie wyścigu przez Polaków i 21 lutego zbliżające się do Mińska niemieckie patrole zostały spotkane przez oficerów polskich, którzy następnie oficjalnie przekazali miasto Niemcom. Przed odejściem z niego, w ciągu następnych kilku dni musieli im również przekazać większość swej „zdobyczy wojennej” z wyjątkiem bodaj tylko rosyjskich banknotów i papierów wartościowych „zdobytych” na poczcie, w *kaznaczejstwie* i innych urzędach miejscowych.

Czy jednak dla paki właściwie bezwartościowego papieru, uroczyście przekazanego następnie władzom w Warszawie, warto było psuć krew Białorusinom? Po ucieczce Miasnikowa proklamowali oni bowiem objęcie władzy nad Białorusią i uznali majątek państwowy za „dobro narodu białoruskiego”. O ile stosunki pomiędzy oddziałami polskimi i białoruskimi, na prędcę tworzonymi przez dopiero co zwolnionego z bolszewickiego więzienia por. K. Jezowitowa, nie układały się wrogo, to „smutny fakt wyjęcia z posiadania narodu białoruskiego” kilkunasu milionów rubli „przez naród sąsiedni nie pozostający z nim w stanie wojny”, wywołał 24 lutego groźną notę Sekretariatu Ludowego

4. R. P. Browder i A. F. Kierensky, *The Russian Provisional Government 1917*, Stanford, 1961, str. 402-3.

Białorusi, zapowiadającą „zastosowanie wszelkich pokojowych środków obrony”. Następnego dnia Polacy Mińsk opuścili, zaś Niemcy gorliwie pracowali nad możliwym pogorszeniem białogubernatorskiego pałacu.

Na wcześniej okupowanych terenach Wielkiego Xięstwa Niemcy gorliwie pracowali nad możliwym pogorszeniem białorusko-polskich stosunków. Początkowo Ludendorff nie mógł tam znaleźć Białorusinów, następnie zaś doszedł do wniosku, że „wiele czasu minie zanim będziemy mogli coś dla nich zrobić”. Pomimo tego rozpoczął wydawnictwo mało co prawda czytanego *Homana*, który niedługo został „gazetką specjalnie używaną do akcji skierowanej przeciwko Polakom i polskości kraju” (*Zeszyty Historyczne* Nr 28-my, str. 101-2).

Na terenie „nowej okupacji” w Mińsku stosunki się ułożyły nieco inaczej. Usunięte z białoruskiego przedstawicielstwa w lipcu 1917 roku elementy pro-polskie i „kontrrewolucyjne” wróciły do rozszerzonej Białoruskiej Rady i w nocy z 24 na 25 marca 1918 roku głosowały za wydaniem uniwersału o niezależności Białorusi i jej zerwaniu z Rosją. Elementy natomiast zdecydowanie prorosyjskie czy prosowieckie były temu przeciwnie i, znalazłszy się w mniejszości, ustąpiły z Rady. Dzięki temu Roman Skirmunt wysunął się na jej czoło i, będąc osobiście mile widziany przez lokalne niemieckie władze wojskowe, zdołał osiągnąć pozycję analogiczną nieomal do Skoropadskiego w Kijowie czy Rady Regencyjnej w Warszawie, z którymi też utrzymywał przyjazne stosunki. W obliczu klęski Niemiec, sytuacja uległa zmianie i były redaktor *Homana*, Antoni Łuckiewicz, zastąpił Skirmunta na stanowisku kierownika egzekutywy, nazywanej odtąd rządem. Przy nieudanej organizacji siły zbrojnej dla przeciwstawienia się wojskom czerwonym były jeszcze próby współpracy z POW, następnie jednak Białorusini zdecydowanie połączyli na pewien czas swój los z litewską anty-polską Tarybą, ignorując przy tym wszelkie zasady powszechnie przyjętego prawa konstytucyjnego. Teoretyczny Minister Spraw Narodowościowych w rządzie Łuckiewicza, Józef Woronko, został jednocześnie Ministrem Spraw Białoruskich w rządzie Waldemarasa; sześciu przedstawicieli Białorusinów z wileńszczyzny i grodzieńszczyzny: Wacław Łastowski, Dominik Siemaszko, Falkiewicz i Tołłoczko oraz duchowny prawosławny Joan Korczyński i dr R. Bielecki, weszło w skład Taryby, aczkolwiek niektórzy z nich byli już członkami białoruskiej Rady; Minister Wojny w rządzie Łuckiewicza, gen. Cyprian Kondratowicz, został wiceministrem spraw wojskowych w rządzie Waldemarasa i w tym charakterze organizował

wojsko litewskie w kowieńszczyźnie; podlegał mu również pułk białoruski formowany w Grodnie, które miało korzystać w państwie litewskim z autonomii. Tam też zaczął urzędować w charakterze wielkorządcy Minister Spraw Białoruskich Woronko oraz znalazł schronienie Łuckiewicz z paru innymi ministrami swego rządu. Ażkolwiek Premier i Minister Spraw Zagranicznych niezależnej Białorusi miał przebywać w Grodnie „w charakterze prywatnym”, będąc „w drodze” na konferencję pokojową, nie przeszkodziło mu to w wysyłaniu z Grodna białoruskich not dyplomatycznych w obronie rzekomo gwałconych „suwerennych praw narodu białoruskiego do jego ziem”. W trzech skierowanych do Ministra Spraw Zagranicznych Rzplitej Polskiej w Warszawie notach z 15 grudnia 1918 oraz 2 i 3 stycznia 1919 roku Łuckiewicz „najbardziej energicznie i zdecydowanie” protestował przeciwko rozpisanu wyborów do warszawskiego Sejmu Ustawodawczego w „etnicznie i historycznie białoruskich powiatach białostockim i bielskim”, przeciwko przyłączeniu do Polski „białoruskiego powiatu Augustowskiego z guberni suwalskiej” oraz przeciwko wydanemu przez gen. Wejtko 31 grudnia w Wilnie zarządzeniu „powszechnej mobilizacji wszystkich mężczyzn od lat 17-tu, w tej liczbie i Białorusinów”. Protesty poparte były zapowiedzią podjęcia „najbardziej poważnych kroków w walce z polskim gwałtem” jak również zwrócenia się do wszystkich wielkich mocarstw „z prośbą o wzięcie przez nie w obronę całości i niepodzielności Białorusi przed polskim imperializmem”. Zgodnie z tą zapowiedzią, w nocy adresowanej do „przedstawicieli dyplomatycznych Ameryki, Anglii, Francji i Włoch w Spa” a datowanej w Grodnie 8 stycznia 1919 roku, Łuckiewicz informował, że naród białoruski „wraz z Polską, która go zdradziecko ujarzmiła”, przez lat sto pozostawał pod panowaniem Rosji; opisywał doznane przez Białoruś po brzeskich traktatach krzywdy ze strony Ukrainy i Rosji, by wreszcie przejść do skargi na Polskę, która miała podjąć:

„kroki w celu zaboru zachodniej części Białorusi, guberni wileńskiej i grodzieńskiej, o ludności w przeważającej większości białoruskiej, co było stwierdzone zarówno przez oficjalną statystykę jak i wolne od wszelkiej tendencyjności przedwojenne studia naukowe”.

Nota stwierdzała dalej, że upatrując w tym „naruszenie suwerennych praw narodu białoruskiego i zamach na całość i niezależność Białorusi”, Rada Ministrów Białoruskiej Republiki Ludowej skierowała trzy noty protestacyjne do rządu polskiego, ale „nie posiadając dostatecznych sił zbrojnych dla poparcia swych kroków dyplomatycznych i odparcia wrogich wojsk”, „uważa

za konieczne oddać się pod opiekę Wielkich Mocarstw, Ameryki, Anglii, Francji i Włoch, i prosić je o wzięcie terytorium Białoruskiej Republiki Ludowej w obronę przed rozszarpaniem go przez sąsiadów”. Aczkolwiek wszystkie grodzieńskie noty Łuczkiewicza pozostały bez odpowiedzi i praktycznych skutków, zostały wydrukowane w broszurze K. Jezowitowa, *Bełorusy i Palaki*, Kowno, 1919, i dziś świadczą przeciwko Polsce we wszystkich większych bibliotekach świata.

W obliczu ścisłej współpracy białorusko-litewskiej, cieszącej się pełnym poparciem wciąż jeszcze pozostających na miejscu niemieckich władz okupacyjnych, jakakolwiek akcja polityczna elementów pro-polskich łątkwa nie była. Pomimo to w szeregu miejscowości odbywały się zebrania, wiece czy zjazdy domagające się łączności z Polską. W maju 1919 roku, w ogłoszonym następnie w Kownie memoriale *Sprawa białoruska w czasie wersalskiej konferencji pokojowej*, podwójny minister Woronko wspominał o „różnych samozwańczych delegacjach białoruskich”, zabiegających w Warszawie czy nawet w Paryżu o „przyłączenie do Polski to tych to innych białoruskich części Litwy”. Uważając to za karalną zbrodnię stanu, Woronko pisał dalej:

„Jedna z takich delegacji po dokonaniu przez nią tego podłego czynu (*gnusnego dzieła*) została ujawniona i jej przywódca (K. Godyckij-Cwirko) *popał w tiurmu*” (str. 35).

Chodziło o przewodniczącego zjazdu odbytego w dniach 28-30 stycznia 1919 roku w Nowogródku, Kazimierza Cwirko Godyckiego, który wraz z członkiem wyłonionej przez zjazd Rady Ziemi Nowogródzkiej, płk. Aleksandrem Jansonem, zdołał w kwietniu-maju dotrzeć do Warszawy i następnie Paryża, gdzie przedłożył uchwały zjazdu, stwierdzające, że z powodów „ekonomicznych, politycznych i innych” istnienie niezależnej Białorusi jest niemożliwe i musi ona wejść w związek z którymś z jej sąsiadów. Uważając, że ani zanarchizowana Rosja, ani nieukształtowane jeszcze i znajdujące się pod obcym wpływem państwa ukraińskie i litewskie nie są zdolne do zaspokojenia białoruskich „potrzeb i narodowych aspiracji”, zjazd uznał, że jedynie związek z odrodzoną demokratyczną Polską — a przez to i „ze wszystkimi demokracjami Zachodu”, — będzie zgodny zarówno z białoruską tradycją wielowiekowego z nią współistnienia, jak i zdoła zapewnić narodowi białoruskiemu większe korzyści i zagwarantować zachowanie odrębności białoruskiego terytorium. Po złożeniu w Paryżu tych rezolucji, które zostały następnie wydrukowane w dzienniku członka delegacji amerykańskiej Dawida H. Millera (*My Diary*, t. 18, str. 230-2), Godycki wrócił do kraju, gdzie

został przez białorusko-litewsko-niemieckie władze aresztowany i osadzony w więzieniu najprzód w Grodnie, następnie w Kownie.

Okazało się jednak, że zabiegi delegacji zjazdów, wieców i zebrań miejscowej ludności były wówczas skuteczniejsze niż noty Łuckiewicza czy represje Woronki, i na wiosnę 1919 roku wojska polskie, wraz z dwoma dywizjami litewsko-białoruskimi, złożonymi głównie z miejscowych ochotników, znalazły się w zachodniej części Wielkiego Xięstwa. Przed ich wejściem 28 kwietnia 1919 roku do Grodna, Woronko wyjechał do Kowna, a Łuckiewicz do Berlina, a stamtąd do Paryża, gdzie, w imieniu Rady Ministrów Białoruskiej Republiki Ludowej, 8 maja 1919 wysłał na imię Przewodniczącego Konferencji Pokojowej pismo protestujące przeciwko akcji wojsk polskich. Twierdząc, że Polacy „pod pozorem walki z bolszewizmem” zagarnęli za zgodą rządu niemieckiego grodzieńszczyznę i ostatnio okupowali:

„dawną stolicę białorusko-litewskiego mocarstwa, Wilno, skąd jego mieszkańcy sami już byli wypędzili bolszewików”,

pismo „najgoręcej protestowało” przeciwko zagarnianiu przez Polaków zarządu cywilnego na okupowanych ziemiach białoruskich oraz przygotowywaniu „w zupełnie nienormalnych warunkach” rzekomego „wyrazu woli” sterroryzowanej ludności. Zakończenie pisma Łuckiewicza, również wydrukowanego w dzienniku Millera (t. 18, str. 382-3), brzmiało jak następuje:

„Pokój na Wschodzie jest możliwy jedynie pod warunkiem pilnego uznania wszystkich nowopowstałych narodowych organizmów państwowych i ich sprawiedliwego rozgraniczenia według cech etnicznych. Zagarnianie natomiast takiej lub innej części ziemi białoruskiej, chociażby nawet uzasadniane zgodą ludności, wyrwaną gwałtem, bagnetami i intrygami, pozostawi nigdy niezagojoną ranę i będzie przyczyną niezwykle zaciętych walk narodowościowych, tworząc na wschodzie Europy nowe Bałkany.

Odpowiedzialnością za takie skutki spowodowanej przez Polaków akcji, rząd białoruski obciąża całkowicie rząd polski”.

Białorusini w kraju nie wydawali się podzielać stanowiska Łuckiewicza. Po ogłoszeniu odezwy Piłsudskiego „Do Mieszkańców byłego W. X. Litewskiego”, Wileńska Rada Białoruska; z której Łuckiewicz wyszedł na białoruskiego premiera, skierowała do „Jaho Miłości Hramadzanina Piłsudskoho, Hołownokomandujuszczego Polskich Wojsk” deklarację, w której m.in. pisała:

„Wileńska Rada Białoruska oraz różne lokalne rady, podobnie jak Rada Republiki Białoruskiej, walczyły do końca o wyzwolenie narodu białoruskiego z niewoli i obcego ucisku; nie sprostały jednak w walce i musiały

ulec przemocy wrogów narodu białoruskiego, którzy obecnie ogłosili o wyjęciu spod prawa wszystkich działaczy białoruskiego odrodzenia.

Obecnie wybiła nowa godzina i otworzyła nową stronę odrodzenia białoruskiego. Do Wilna i innych ziem Białorusi przyszły, i idą dalej, wojska polskie, głosząc w imieniu Waszej Miłości wolność i prawa dla wszystkich obywateli ziemi białoruskiej i Litwy. Wileńska Rada Białoruska chce wierzyć, że owe deklaracje o powszechnej wolności będą twardo wprowadzane w życie i że tak bardzo wyczerpany przez ucisk niemiecki i bolszewicki naród białoruski odpocznie i uzyska możliwość odbudowania swej niezależnej i niepodzielnej ojezyny.

Wileńska Rada Białoruska ma nadzieję, że Wasza Miłość dopomoże wileńskiej i innym białoruskim radom zjednoczyć całą Białoruś i odbudować ją w niezależne państwo, sąsiadujące i przyjaźne z Polską, która lepiej niż inne narody wie jak ciężko żyć w niewoli i być podzielonym na części.

Rada prosi Waszą Miłość aby:

- 1) we wszystkich sprawach białoruskich zwracać się tylko do Rady;
- 2) dać Wileńskiej Radzie możliwość swobodnego komunikowania się ze wszystkimi prowincjonalnymi radami białoruskimi;
- 3) dać możliwość zwołania rozpedzonej przez bolszewików Rady Republiki Białoruskiej, do której, do czasu zwołania wszechbiałoruskiego Sejmu Ustawodawczego, winna należeć całość władzy na Białorusi”.

Na parę dni przed wygotowaniem w Wilnie tej deklaracji, przechowywanej obecnie w aktach Adiutantury Generalnej w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku (t. 16, str. 744), przebywający w Paryżu przedstawiciele ludności polskiej Wielkiego Xięstwa, Bronisław Krzyżanowski, Leon Łubiński i Kazimierz Rybiński, złożyli na ręce Paderewskiego dla przekazania Piłsudskiemu swoje „Pro Memoria w sprawie Litwy” (*ibidem*, t. 56, str. 728). Wychodziło ono z założenia:

„że granica dawnego W. X. Litewskiego jest równocześnie granicą etnograficzną narodowości białoruskiej, jedyną granicą strategiczną od wschodu i obejmuje odrębny całokształt ekonomiczny”.

i zawierało następujące punkty:

„1) Zasadniczym żądaniem ludności polskiej na Litwie i Białej Rusi jest aby ziemie b. W. X. Litewskiego nie weszły ani w całości ani w części w skład Rosji lub Niemiec;

2) Ziemie te winny być jak najściślej związane z Polską. Z tych ziem powinno być utworzone osobne państwo, stale połączone z Polską;

3) W państwie litewskim winna być zastrzeżona zupełna równorzędność miejscowych narodowości i języków...”.

Po omówieniu w dalszych punktach pewnych szczegółów organizacji „związku państw polskiego i litewskiego” i odmówieniu Tarybie i „jakimkolwiek innym organom, stworzonym przez Niemców lub Rosjan” prawa reprezentacji ludności *Pro Memoria* w ostatnim punkcie oświadczało:

„7) Gdyby nie doszło do utworzenia związku Polski z Litwą historyczną i gdyby wysunął się projekt państwa etnograficznego litewskiego niezwiązanego z Polską, wówczas należy dążyć do wcielenia polskiej części Litwy z Wilnem w skład Polski i do ścisłego związania Białorusi z państwem polskim”.

Różnice pomiędzy białoruską deklaracją wileńską a polskim *Pro Memoria* paryskim nie były zasadnicze i przy dobrej woli stron obu znalezienie rozwiązania kompromisowego nie było wykluczone. Nie wszyscy jednak Polacy podzielali stanowisko autorów *Pro Memoria* i różnice w ich poglądach na stosunek do Białorusinów nie były mniejsze niż różnice między Białorusinami w sprawie stosunku do Polski.

W Paryżu Łuckiewicz większych sukcesów nie osiągnął. Był to zresztą okres powodzeń białych generałów rosyjskich i mocarstwa nosiły się z zamiarem formalnego uznania Kołczaka na warunkach sformułowanych w ich nocie z 26 maja.

Jednym z warunków było uznanie autonomii Estonii, Łotwy i Litwy oraz „terytoriów kaukaskich i za-kaspijskich” i zgoda na stosunki jakie się ustalą pomiędzy mocarstwami i istniejącymi na tych terenach rządami *de facto*. Odpowiedź Kołczaka z 4-go czerwca, że jest on gotów przystąpić do rozwiązywania spraw „grup narodowych” na wspomnianych terytoriach na zasadach autonomii, której zakres i warunki byłyby ustalane w każdym poszczególnym wypadku, była uważana za zadowalającą i 12-go czerwca mocarstwa zgodziły się na uznanie Kołczaka. Stanowiło to klęskę narodów pragnących całkowicie oderwać się od Rosji i 18 czerwca przewodniczący łotewskiej delegacji w Paryżu, Z. A. Mejerowicz skierował do Wilsona podpisane uprzedniego dnia oświadczenie przedstawicieli siedmiu zainteresowanych „grup narodowych”, stwierdzające, że reprezentowane przez nich republiki powstały zgodnie z zasadą samostanowienia narodów i stanowią niezależne i suwerenne państwa, których stosunki z Rosją nie mogą być regulowane przez decyzje rosyjskich organów państwowych. Prośba o bezzwłoczne uznanie przez konferencję pokojową oraz wielkie mocarstwa ich politycznej niezależności dopełniała ten łagodnie sformułowany protest przeciwko stanowisku mocarstw⁵.

Pod oświadczeniem nie było podpisu przedstawiciela wyrażnie wzmiankowanej w korespondencji mocarstw Litwy, natomiast podpisali ją reprezentanci rządów Ukrainy i Białorusi, które w ogóle wzmiankowane nie były. Obok podpisu pisma z 8 maja, podpis pod zbiorowym oświadczeniem z 17 czerwca stanowi

5. Dokument ten został wydrukowany w oficjalnym wydawnictwie amerykańskiego Departamentu Stanu *Russia 1919*, Waszyngton, t. 1, str. 380-1.

Jedyny bodaj ślad pobytu Łuckiewicza w Paryżu, zachowany w zbiorach dokumentów konferencji pokojowej. Zniekształcenie jego nazwiska pod notą — Antoine de Contschewitch (zaś Antoine de Loutckewitch pod oświadczeniem) — świadczy, że nie było ono zbyt popularne.

W „okupowanym przez Polaków” kraju akcja polityczna Białorusinów była mniej jałowa niż w Paryżu. Zaraz po zajęciu Grodna zgłosił się do Piłsudskiego Arkadiusz Smolicz, z zawodu agronom, były kierownik działu oświaty w pierwszym Sekretariacie Woronki w lutym 1918, następnie współpracownik Skirmunta w okresie okupacji i Minister Rolnictwa w rządzie Łuckiewicza. W Warszawie nie bardzo wiedziano kto to jest, ale jako „przedstawiciel Białorusinów” Smolicz audiencję uzyskał. Dobrego wrażenia nie zrobił; w liście do Leona Wasilewskiego z 4 maja, Piłsudski pisał, że „niejaki Smolicz” był „ustępliwy i skłonny do ugody, swobodnie zresztą żonglując, jak wszyscy bezsilni, pomiędzy 'wszystko' albo 'trościczkę’⁶”.

Tegoż 4 maja Piłsudski pisał o sprawach białoruskich w listach do Paderewskiego w Paryżu i generała Szeptyckiego w Lidzie, głównie o pułku białoruskim, który, pomimo nalegań Kowna, nie odszedł z Grodna z Niemcami, lecz:

„przy uroczystościach po zajęciu Grodna defilował przed naszym generałem na równo z baonami polskimi,... godząc się na to, by podczas swego pobytu w Grodnie był pod komendą polską, zastrzegając sobie jedynie prawo komunikować się z Kownem, jako swoim centrum”.

Pułk ten liczny nie był: „wraz z 5 czy 6 pułkownikami *summa summarum* 400 ludzi”, wśród których, według danych polskiego wywiadu z marca, było „30 % bolszewików, zamaskowanych na razie” (*Adj. Gen.*, t. 15, str. 626). Po pewnym wahaniu, Piłsudski zdecydował pułku nie rozbrajać i nie wysiedlać z Grodna; gdy jednak Polacy dowiedzieli się o nadeszłych z Kowna rozkazach aresztowania i odstawienia na Litwę kilku oficerów pułku, osoby, które chciały tego dokonać, zostały aresztowane, z intencją wymienienia ich na Cwirko Godyckiego i innych Białorusinów wziętych w Kownie za sprzyjanie Polsce.

Na początku czerwca zamierzano pułk przenieść do Słonima, by utrudnić jego kontakty z Kownem; gdy spotkało się to ze sprzeciwem, musiano pułk rozwiązać i rozbroić bez czynnego oporu z jego strony. Część żołnierzy udała się do Kowna, część umieszczono w obozie w Szczypiornie, reszta wróciła do domów lub wstąpiła do wojska polskiego.

6. *Pisma, mowy, rozkazy*, t. 5, str. 85.

W dniach 7-8 czerwca, z inicjatywy Wileńskiej Rady Białoruskiej, odbył się w Wilnie zjazd działaczy białoruskich z wileńszczyzny i grodzieńszczyzny. Uchwalone przez zjazd rezolucje m.in. domagały się:

„od narodów całego świata, od Wielkich Mocarstw i od wszystkich, którzy rządzą w naszym kraju, ażeby Białoruś była niepodzielna i żeby nikt z sąsiadów nie ośmielał się, korzystając z naszej chwilowej słabości, odrywać i przyłączać do siebie ziemie białoruskie... Naród białoruski musi żyć w jednej wielkiej 12-stomilionowej rodzinie na swojej ziemi, dzieląc razem wspólną dolę i niedolę. Rada Republiki, prawdziwy upełnomocniony przedstawiciel całej Białorusi, powinna jak najszybciej rozpocząć na nowo swoją chwalebna pracę nad odbudową białoruskiej państwowości...”.

W innych rezolucjach zjazd wypowiadał się w sprawie stosunków Białorusi z jej sąsiadami: kategorycznie protestował przeciwko sugerowanemu w korespondencji mocarstw z Kołczakiem „rozwiązaniu białoruskiego zagadnienia państwowego”, natomiast ze względów gospodarczych i historycznych, oraz ze względu na to, że Wilno stanowi „ośrodek [centr] całego kraju”, uznawał za:

„pożądaną odbudowę wspólnego białorusko-litewskiego państwa, w którym wszystkie narody tego państwa miałyby zapewnione jak największą niezależność i swobodę przy największej zgodzie i ekonomicznej łączności”.

Za pożądaną również zjazd uważał „ściśły sojusz ekonomiczny i polityczny z demokratycznym narodem łotewskim, sąsiadującym z nami i rozumiejącym nasze potrzeby i cele”, zaś o stosunkach z Polską w specjalnym punkcie mówił:

„Zjazd wierzy, że naród polski, który tak długo cierpiał ucisk zanim wywalczył sobie niezależność, zrozumie najlepiej nasze domaganie się państwowej niezależności i wolności. Zjazd wita odezwę Naczelnego Wodza W.P. Józefa Piłsudskiego o odbudowie wolnego białorusko-litewskiego państwa. Zjazd wierzy w szczerść odezwy i jej autora, który zawsze bronił interesów demokracji. Zjazd wierzy, że słowa odezwy będą wprowadzone w życie i że demokracja polska w czasie polskiej okupacji nie narazi na krzywdę interesów białoruskiego ludu wiejskiego i w ten sposób założy podwaliny pod przyjazne stosunki między obydwoma narodami w przyszłości”.

Uznając potrzebę „nadzwyczajnych wysiłków, ażeby uwolnić całą Białoruś aż do jej wschodnich granic od moskiewskiej niewoli”, zjazd wypowiedział się za natychmiastowym zorganizowaniem „białoruskiego wojska narodowego”, a dla wprowadzenia swych uchwał w życie wyłonił Centralną Radę Białoruską Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny. Po ukonstytuowaniu Centralna Rada większością głosów uznała, że oddziały polskie winny być uważane „za wojska przyjacielskie, dzięki którym część Biało-

rusi została uwolniona spod bolszewickiej przemocy” i że „pragnieniem jej jest rozpoczęcie w porozumieniu z Polską pracy nad odrodzeniem państwowości białoruskiej”, oraz postanowiła zwrócić się do Piłsudskiego:

„z prośbą: dopomóc w budowie wojska narodowego białoruskiego, które swym czynem orężnym, ramię przy ramieniu z wojskiem polskim, usunie wroga z tych białoruskich obszarów, jakie są dotychczas w ręku nieprzyjaciela. Z drugiej strony, — mówiła dalej uchwała Centralnej Rady — stojąc na stanowisku równouprawnienia narodów zamieszkujących obszary b. W. X. Litewskiego, Rada uważa za wskazane utworzenie takiego zarządu krajowego, który by dawał gwarancje, że interesy wszystkich narodów zostały należycie uwzględnione, a więc ze współudziałem przedstawicieli wszystkich narodów zamieszkujących tereny Litwy i Białorusi. Rada pozwala sobie wyrazić przekonanie, że dzięki wspólnemu wysiłkowi orężnemu i pomocy ze strony Polski powstanie niepodległe i niepodzielne Państwo Białoruskie, które będzie mogło zapewnić swobodny rozwój kulturalny pokrzywdzonemu dotychczas i prześladowanemu narodowi białoruskiemu” (*Adj. Gen.*, t. 16, str. 972 i 994).

Białoruscy eseryzy byli przeciwko tej uchwale i, po jej powzięciu, ich przedstawiciel Duszecki ustąpił ze stanowiska Prezesa Centralnej Rady, na które został jednogłośnie powołany Bronisław Taraszkiewicz.

28 lipca 1919, Piłsudski przyjął Taraszkewicza, P. Aleksiuka, Kochanowicza i Kuszniwa, którzy w imieniu Centralnej Rady prosili by:

„z całą zależną od niego siłą przyczynił się do realnego budownictwa białoruskiej państwowości, wziął na siebie odwojowanie i zjednoczenie ziem białoruskich i obronił niezależność i niepodzielność narodu białoruskiego od aneksjonistycznych napaści z jakiegokolwiek strony... [co] przyniesie obydwóm narodom jedynie korzyść, gdyż położy twardy fundament dla przyszłego zgodnego życia i przyjaznego zblżenia”.

Jednocześnie białoruscy delegaci złożyli opracowany przez nich projekt podstawowych zasad organizacji wojska białoruskiego w Polsce. Przewidywał on wyłonienie przez Centralną Radę „Komisji Wojskowej z miejscem pobytu przy Naczelnym Dowództwie W.P.”, która miała kierować „narodowym wychowaniem białoruskiego wojska” i skupiać „całokształt prac związanych z pomocą żołnierzowi białoruskiemu przez białoruskie społeczeństwo”. Na wniosek tej Komisji, lub za jej zgodą, Naczelną Wódz W.P. miał mianować „Naczelnika Białoruskiego Wojska” oraz innych jego oficerów, jak również, ewentualnie, ich z tego wojska „wydalać”. Specjalny punkt zastrzegał, że:

„Wojsko białoruskie może walczyć jedynie na białoruskim froncie i nie może być wyprowadzane z terytorium Białorusi” (*Adj. Gen.*, t. 18, str. 1269).

Podczas pobytu w Warszawie, białoruscy delegaci skierowali do prasy polskiej obszernie „Oświadczenie”, w którym pisali m.in.:

„Rozumiemy, iż tym interesem, który przyprowadził wojska polskie do naszej ojczyzny, było stworzenie placówki z ziem b. W. X. Litewskiego dla obrony Rzplitej Polskiej od zachłanności moskiewskiej. Polityka tego państwa była dotąd i należy przypuszczać długo jeszcze pozostanie wrogą państwowości białoruskiej. Stąd też wynika, iż tak rozumiany interes Polski jest i naszym interesem. Otóż owa wspólność interesu daje nam możliwość przysłać pracę odbudowania niepodzielnej i niezależnej Białej Rusi zakładać na fundamencie porozumienia z narodem polskim. Porozumienie takie... uważamy za pożądane i korzystne dla obu narodów... uważamy za niezbędne podkreślić o ile zgubnym dla obu narodów byłoby rozwiązanie sprawy polsko-białoruskiej w myśl koncepcji aneksjonistów. Tak rozumiejąc rozwiązanie sprawy, przyjechaliśmy do Naczelnika Państwa Polskiego. Ze smutkiem musimy jednak stwierdzić, iż koncepcja aneksjonistyczna zyskuje bodaj coraz więcej zwolenników...” (*Kurier Polski*, Nr 191 z niedzieli 27. VII. 1919).

W niecałe dwa tygodnie później, 8 sierpnia wojsko polskie bez białoruskiej pomocy, „usunęło wroga” z Mińska. Wywołało to ostry protest Woronki oraz zmianę frontu Łuckiewicza. „Jako Minister Spraw Białoruskich i jedyny ocalały białoruski przedstawiciel w Litewskiej Radzie Państwa” Woronko wysłał z Kowna 17 sierpnia pismo adresowane „do rządów Stanów Zjednoczonych Ameryki, Wielkiej Brytanii, Republiki Francuskiej, Włoch i innych państw Ententy”, zarzucając im, „a w szczególności Francji”, wydanie „na pastwę hajdamaków polskich zbroczonej krwią, spopiелonej i głodnej ziemi białoruskiej”. W zakończeniu Woronko pisał:

„Uważam, że wielomilionowy białoruski naród włościański ma równe co narody Armenii, Serbii czy Belgii prawo do zainteresowania się nim i sprawiedliwego doń stosunku, i że zasady krwi i żelaza, niesione przez polskich legionistów na francuskich szablach, pozostałych po wielkiej wojnie, nie skłonią narodu białoruskiego do uznania prawa polskiego feudalizmu do białoruskiej ziemi. PRECZ ZA NAREW!⁷”.

W Mińsku stanowisko Woronki podzielane nie było. *Dzwon* który tam zaczął wychodzić pod redakcją Janki Kupały, w numerze 3-cim pisał, że sławna przeszłość „świadczy, iż Białoruś, Litwa i Polska stanowiły zawsze jedną polityczną całość”, zaś redagowana przez Przewodniczącego Rady Białoruskiej J. Lesika *Białoruś*, Nr 44, wypowiedziała głęboką wiarę, że:

„Białoruś dojdzie do porozumienia z narodem polskim pomimo wszystkich przeszkód stawianych przez polskich imperialistów oraz tutejszych panów posiadaczy majątków” (cytaty za F. Turuk, *Bełoruskoje dżiżenje*, Moskwa, 1921, str. 51).

7. K. Jezowitow, *Bełorusy i Palaki*, Kowno, 1919, str. 115-6.

Licząc się z krajowymi nastrojami, Łuckiewicz jeszcze w lipcu zaczął szukać kontaktu z Polakami w Paryżu i uzyskał rozmowę z Paderewskim, niedługą ale przyjazną. Paderewski jeszcze w styczniu 1918 roku w memoriale dla Wilsona przewidywał stworzenie „Królestwa Polskiego”, połączonego z „królestwami” polskim, litewskim i halickim (*Zeszyty Historyczne* Nr 26, str. 179), był jednak na odjezdnym do Polski i zaproponował kontynuowanie rozmowy w Warszawie. Nie świadczyło to o zajęciu przez niego stanowiska pro-białoruskiego i anty-rosyjskiego, gdyż w tym samym czasie wysłał do reprezentującego w Paryżu rząd Kołczaka, ministra Sazonowa, zgodę na utworzenie w Warszawie przedstawicielstwa rosyjskiego; oryginał listu Paderewskiego do Sazonowa z 17. VII. 1919 roku znajduje się w archiwum M. Giersa, przechowywanym w Instytucie Hoovera.

Łuckiewicz natomiast do „zaprosin” Paderewskiego przywiązywał szczególną wagę, gdyż stwarzały one pozory polskiej inicjatywy. Tak jednak nie było i w Warszawie Łuckiewicz nie został przyjęty jako gość miły i oczekiwany. Już w Paryżu miał on kłopoty z uzyskaniem miejsca w pociągu i następnie w publicznym wywiadzie oskarżał ówczesnego posła we Francji, Maurycego Zamojskiego o stwarzanie mu trudności, co miało dowodzić, „że Narodowa Demokracja przeciwna jest porozumieniu polsko-białoruskiemu; wolałaby skórą naszą dzielić się z Denikinem”.

Nie myląc się, być może, w zasadzie, w tym konkretnym wypadku Łuckiewicz był na fałszywym tropie. Zresztą trudności w Paryżu nie były duże i już 1 września Łuckiewicz przybył do Warszawy, gdzie było znacznie gorzej. Przede wszystkim, nie zastał Paderewskiego, który tego samego dnia właśnie wyjechał z powrotem do Paryża: poza tym żadna z osób, do których się zwracał nie chciała z nim w ogóle mówić. Aleksandra Bergman w krajowym *Przeglądzie Historycznym*, 1974, str. 678, przytacza następujący zapis z 4 września w *Diariuszu* M. Kossakowskiego, reprezentującego wówczas w Warszawie Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich:

„Przyjechał Łuckiewicz i zapisał się do Zamku [Paderewskiego] — nie przyjęto go. Przeszedł do Ministerstwa — tam o niczym nie wiadano. Poszedł znów do Zamku, dowiedział się jednak, że minister Paderewski wyjechał do Paryża. Powrócił więc do MSZ wściekły, obrażony, a wtedy MSZ zwróciło się do Komisarza Generalnego [Z.W.] z prośbą o radę, jak się go pozbyć”.

Jest bardzo prawdopodobne, że to opinia, jakiej o nim udzielił dobrze go od lat znający demokrata wileński Bronisław Krzyżanowski, co najmniej się przyczyniła do, jeśli nie spowodowała, trudności, na jakie natrafił Łuckiewicz w Warszawie.

Krzyżanowski był wówczas w Paryżu jako mąż szczególnego zaufania Naczelnika Państwa i rządu i przysyłał odręcznie pisane przez kalkę listy przeznaczone dla Piłsudskiego, Paderewskiego i Skrzyńskiego. Dowiedziawszy się, że Łuckiewicz wybiera do Warszawy, uznał za właściwe 26 sierpnia wysłać następującą jego charakterystykę:

„Jest to człowiek bardzo chytry, fałszywy, zręczny, cichy, układny i nie głupi... Nie wiem czy jest taka cena w gotówce lub zaszczytach, za którą by można zdobyć jego względy, ale według mego zdania zawsze w ostateczności oszuka i zdradzi Polaków i pójdzie z naszymi wrogami” (*Adj. Gen.*, t. 19, str. 1407).

Z takich czy innych powodów przez prawie dwa miesiące pobyt Łuckiewicza w Warszawie był zupełnie jałowy; co gorzej, ponieważ jedynym jego dowodem osobistym był dyplomatyczny paszport Białoruskiej Republiki Ludowej, przez Polskę oficjalnie nie uznanej, władze administracyjne zaczęły kwestionować jego prawo do mieszkania w Warszawie. Sytuacja uległa zmianie dopiero pod koniec października, kiedy sprawy białoruskie weszły na porządek dzienny Piłsudskiego.

W ogłoszonym w 1962 roku w londyńskiej *Niepodległości*, (t. 7, str. 69), liście do Osmołowskiego, Piłsudski pisał:

„Był u mnie tutaj Raczkiewicz, poprzedzony przez Pana Łuckiewicza, w sprawie białoruskiej oraz zatargów i sporów wynikłych na terenie mińskim”.

Data tego listu nie jest pewna: w tekście jest on datowany „Belweder, dn. 21. IX. 1919”, w nagłówku „(21 listopada 1919)”. Sądzę, że obie daty nie są prawdziwe; list nie mógł być pisany we wrześniu, gdyż wspomina o rozmowie z włoskim posłem, który przyjechał do Warszawy 6 października; 19 listopada rozpoczął się kryzys gabinetu Paderewskiego i Piłsudski nie miał wówczas głowy do „zatargów i sporów wynikłych na terenie Mińska”. Najprawdopodobniej list był pisany w październiku, być może 21, kiedy sprawy białoruskie stały się w Warszawie szczególnie aktualne.

7 września odbyły się w Wilnie wybory do Rady Miejskiej. Głosowało około 50.000 ludzi, z nich na listę białoruską 400. Litwini do wyborów nie stanęli zaś demokraci i socjaliści polscy ponieśli porażkę, otrzymując zaledwie ok. 6 % głosów i 3 mandaty. Absolutną większość 65 % zdobyła lista „chrześcijańsko-narodowa”, „aneksjonistyczna” i niechętna „nie-polskim mniejszościom”; na listy żydowskie padło ok. 28 % głosów. Wyniki wyborów stanowiły klęskę Centralnej Rady Białoruskiej z siedzibą

w Wilnie, do Mińska natomiast zaczęli ściągać wybitni działacze białoruscy jak: Przewodniczący dawnej Rady, J. Lesik, Rak Michajłowski, Smolicz, Rodziewicz i inni (*Adj. Gen.*, t. 18, 1773). Po nawiązaniu kontaktu z miejscowymi władzami polskimi, rozpoczęli oni pracę polityczną i 19 września wystosowali do Piłsudskiego pismo, w którym w imieniu „Delegacji Konwentu Seniorów Rady Białoruskiej Republiki Ludowej”, zwracali się:

„w osobie Waszej Miłości do Polskiego Narodu i Polskiego Rządu, prosząc o ich zgodę na:

a) wznowienie na terytorium Białorusi, zajęтым przez wojsko polskie, czynności organów państwowych B.R.L. — Rady Republiki i jej rządu;

b) stopniowe przekazywanie władzy cywilnej rządowi białoruskiemu; niezwłoczne przekazanie spraw oświaty, w czasie najbliższym — administracji oraz spraw gospodarki miejscowej (ziemskiej);

c) udzielenie przez rząd polski rządowi białoruskiemu, do czasu aż się uregulują własne finanse Republiki, odpowiedniej pożyczki;

d) organizację wojska Republiki w kontakcie ze Sztabem Polskim dla obrony wschodnich granic i wyzwolenia od Moskali reszty Białorusi” (*Adj. Gen.*, t. 19, str. 1596).

Inicjatywa Mińska była konkurencyjna w stosunku do uprzednich poczynań Centralnej Rady, zaś władze polskie były bardziej skłonne uważać za centrum akcji białoruskiej nie Wilno lecz Mińsk, dokąd też został wysłany jako polityczny łącznik z Białorusinami Sylwester Wojewódzki, który z początkiem października rozpoczął wydawnictwo czasopisma *Zor'ka*, propagującego polsko-białoruską współpracę. Zaniepokojona rozwojem sytuacji, Centralna Rada w połowie października zdecydowała wysłać do Warszawy delegację w składzie: P. Aleksiuka; przewidzianego na „Naczelnika Białoruskiego Wojska płk. Konopackiego; Jakubowskiego i Ant. Owsianika (*Kurier Polski* Nr 279), dla ewentualnego usunięcia zarysowujących się nieporozumień i uzgodnienia białoruskiej akcji. Wówczas to sprawy białoruskie oparły się o Piłsudskiego i weszły na porządek dzienny jego prac.

Po wysłuchaniu wezwanego z Mińska Raczkiewicza i poinformowaniu Łuckiewicza o zasadach swojej polityki w sprawie białoruskiej, Piłsudski zdecydował wówczas zgodzić się na organizowanie białoruskich oddziałów i wyznaczył Komisję Wojskową spośród Białorusinów zarówno z Wilna (Aleksiuł, Owsianik) jak z Mińska (Rak Michajłowski). Wersja ogłoszona przez Łuckiewicza w 1920 w broszurze *Polskaja okupacyja u Betarusi* (str. 5) jest zasadniczo zgodna z treścią listu Piłsudskiego do Osmołowskiego; list ten posiada wagę źródła historycznego, gdyż stosunkowo obszernie streszcza ówczesne poglądy Piłsudskiego na „kwestię białoruską”: Piłsudski uważał ją za „najślabszą”, najmniej przygotowaną, „najmniej mającą tradycji” w zestawie-

niu z mającymi „większą wartość obiegową” kwestiami ukraińską i nadbałtycką. W sytuacji międzynarodowej, gdy nawet te ostatnie kwestie „chwiją się w swych posadach i poruszone naprzód być nie mogą”, mówił Piłsudski Łuckiewiczowi, „nie mogę brać na siebie podjęcia kwestii białoruskiej i jemu również nie radzę tego czynić”. Na razie, zdaniem Piłsudskiego, należało się zatrzymać „na organicznej pracy dla wytworzenia czegoś w rodzaju Piemontu białoruskiego i zaniechać do czasu wszelkich wystąpień w wielkim stylu, które teraz sprawie tylko szkodzić mogą”. Dopiero:

„z chwilą, gdy się poruszą odpowiednie sprawy na skrzydłach i staną mocno na nogach, to znaczy Ukraina i Bałtyk, to przez to samo stworzy się podstawa i dla odpowiedniego postawienia sprawy białoruskiej; wtedy będzie czas na wszelkiego rodzaju polityczne wystąpienia. Do tego zaś czasu musi być gotowa odskocznia choćby w postaci małego Piemontu dla odbudowy”.

„Sprowadzając te szumne frazesy na język zwykły”, Piłsudski radził Łuckiewiczowi:

a) cofnąć się ze stanowiska Rady niezależnej Republiki Białoruskiej na stanowisko Narodowej Rady Białoruskiej;

b) zająć się sprawami szkolnymi, organizacyjnymi i przygotowaniem do wyborów.

Aczkolwiek rozumowanie Piłsudskiego i jego „rady” były niewątpliwie „rozsądne”, można mieć wątpliwości, czy, gdyby o kilka lat wcześniej usłyszał je z ust jakiegoś męża stanu w odniesieniu do Polski, sam Piłsudski byłby się do nich zastosował. „Zręczny, cichy i układny” Łuckiewicz miał obiecać Piłsudskiemu zastosowanie się do jego rady „i z tym miał wyjechać do Mińska”. W rzeczywistości jednak było inaczej. W liście do Paderewskiego, który wrócił do Warszawy z Paryża 20 października, Łuckiewicz pisał 27-go; że jego wizyta „do P. Naczelnika Państwa” praktycznych wyników nie dała”.

„oprócz może rozkazu o formowaniu Wojska Białoruskiego, bynajmniej utwierdzenia zaczątku państwowości Białorusi nie zawierającego.

Natomiast wkrótce potem miał miejsce szereg faktów wprost wrogich idei białoruskiej państwowości, jak to: odmowa wizy dyplomatycznej na białoruskich paszportach dyplomatycznych..., niezliczone fakty przesładowań narodowych Białorusinów etc.

Fakty powyższe, jako też ujawniana dotąd niechęć Rządu Polskiego do pertraktacji w sprawie, dla której zostałem przez Pana Prezydenta zaproszony do Warszawy, dają powód do przypuszczeń o zmianie stosunku Rządu Polskiego do sprawy białoruskiej.

Wierząc głęboko w szczerść Pańskich zamierzeń, o których traktowaliśmy w Paryżu, w ciągu dwóch miesięcy czekałem na powrót Pana Prezy-

denta i obecnie zwracam się do Niego z uprzejmą prośbą o zawiadomienie mnie, czy istotnie zaszła zmiana taka w stanowisku Rządu Polskiego. O ile jest to faktem dokonany, prosilibym o wydanie zarządzenia, by mi dana była wiza dyplomatyczna na powrót do Paryża, jako też faktyczna możliwość wyjazdu⁸”.

Nie wiemy, czy i co Paderewski, który niedługo potem zapadł na ciężką influencję (Piłsudski również zachorował w tym czasie), na list ten odpowiedział, Łuckiewicz jednak z Polski nie wyjechał, lecz udzielił wywiadu *Kurierowi Polskiemu*, który wywiad ogłosił w sobotnim numerze 287, 1 listopada 1919 roku pod wydrukowanym dużymi literami tytułem:

BIAŁORUŚ CHCE ŻYĆ I WALCZYĆ RAMIĘ PRZY RAMIENIU Z POLSKĄ. Wywiad z prezesem Rady Ministrów Białoruskiej Republiki Ludowej.

Oto kilka wyjątków z tego wywiadu:

„Przybyłem tu zaproszony przez p. Paderewskiego... Sprawa Republiki Białoruskiej stoi tak mniej więcej jak sprawa Ukrainy... Główny cel mojej podróży to tworzenie białoruskiej siły zbrojnej... Właśnie otrzymałem odpis dekretu Naczelnego Wodza Piłsudskiego, wydanego dnia 22 b.m. [Na okazany mu „papierze” dziennikarz, przeprowadzający wywiad, przeczytał: „Biorąc pod uwagę...”, przychyliam się do tych prośb i polecam tworzenie białoruskich oddziałów; „dekret” ów nigdzie ogłoszony nie został]. Zaciąg ma być ochotniczy. Głównodowodzącym mianowany płk Konopacki. Miejsce formowania — Słonim. Miejsce pobytu komisji [wojskowej białoruskiej] — Mińsk. Spodziewam się, że ochotników będzie sporo... Materiał oficerski też mamy wśród istotnych, nie sztucznych, Białorusinów. Stworzyła go wojna, wciągając do szeregów nauczycieli... niecierpliwie oczekiwac będziemy na pobór przymusowy... Skoro zaś powstanie armia białoruska, zamilknąć muszą wszelkie pretensje o posuwanie się Polaków na Wschód... To my wówczas będziemy walczyli o naszą wolność, o nasze granice... O zachodnich na razie nie mówmy. Jest to kwestia przyszłego naszego porozumienia się z Polską i rodzaju wzajemnego stosunku dwóch bliskich sobie sąsiednich narodów... Na wschodzie żądamy dawnych granic wschodnich Rzplitej z roku 1772 z dodatkiem zachodniej smoleńszczyzny po Smoleńsk... Musimy ogarnąć basen Dniepru i zabezpieczyć sobie drogę wodną: Dźwina-Dniepr... połączenie Bałtyku z morzem Czarnym. Zwracałem na to uwagę w Paryżu i myśl ta bardzo zainteresowała koła finansowe Ameryki i Francji... W każdym razie Biała Ruś musi być stworzona, jako odrębna jednostka państwowa. Musi być stworzona, wbrew wszelkim zakusom wchłonięcia jej przez Moskwę...”.

Można mieć wątpliwości, czy publiczny wywiad Łuckiewicza pozostawał w zgodzie z udzielonymi mu przez Piłsudskiego „radami”. Ale to były „szumne frazesy”, praktycznie bardziej istotna była wypowiedziana w wywiadzie opinia o zmianach w postawie polityków białoruskich względem Rosji i Polski. O tym, mówił Łuckiewicz:

8. *Archiwum polityczne Paderewskiego*, Warszawa, t. II, str. 359.

„niechaj świadczy fakt, że 'esery' białoruskie, do niedawna będące pod urokiem 'eserów' rosyjskich, ostatnio wyciągają dłonie do PPS i nawiązują z nią kontakt zupełnie szczerzy. Jest to fakt znamieny”.

Istotnie, gdyby słowo „Polska” zaczęło znów znajdować w białoruskich sercach oddźwięk żywszy niż „Rosja”, byłby to fakt znamieny. Niestety, najbliższa przyszłość miała wykazać, że tak w rzeczywistości nie było.

Po rozmowie Piłsudskiego z Raczkiewiczem i Łuckiewiczem, władze polskie zgodziły się na oficjalne zwołanie do Mińska plenarnej sesji Białoruskiej Rady. Podkreślić trzeba, że ani skład Rady, ani zasady powoływania jej członków nie były nigdy dokładnie ustalone. Konstytucyjny Kongres w grudniu 1917 roku nie pochodził z powszechnych wyborów, lecz składał się z „przedstawicieli” gmin oraz różnego rodzaju organizacji: politycznych, społecznych, kulturalnych i innych. Po rozpędzeniu Kongresu, część jego uczestników na nieformalnym „podziemnym” zebraniu wyłoniła tzw. Radę Zjazdu, na którą przejść miały wszystkie uprawnienia niemogącego być dokończonym Kongresu. W myśl uchwały tego zebrania, Rada miała być uzupełniona przez „delegatów *ziemlaczestw* i innych grup, które by delegowały swych przedstawicieli na zjeździe do Rady” oraz posiadać prawo „*otwoda, otzywa i kooptacji*”⁹. Gdy, po ucieczce Miasnikowa w lutym 1918 roku, Rada się ujawniła i ogłosiła swą pierwszą *Ustaunaju Gramaty*, proklamującej zerwanie z Rosją i niepodległość Białorusi, 9 przedstawicieli Rady Wileńskiej, 20 przedstawicieli samorządów miejskich i wiejskich, oraz 15 przedstawicieli mniejszości narodowych. W czasie dyskusji nad sprawą wydania trzeciej *Gramaty*, proklamującej zerwanie z Rosją i niepodległość Białorusi, w marcu 1918 roku, Rada liczyła 71 osób, z których 28 ustąpiło z niej po powzięciu uchwały i wydaniu *Gramaty*. Na ich miejsce dokooptowywano nowych członków, na początku okupacji nie mieckiej z grup pravicowych, a przy jej końcu z demokratyczno-lewicowych. Dokładne ustalenie kto był pełnoprawnym członkiem Rady w chwili jej ucieczki z Mińska w grudniu 1918 roku było trudne czy nawet niemożliwe. Wynikały z tego poważne kłopoty przy zwoływaniu, po prawie rocznej przerwie obfitującej w historyczne wydarzenia, jej nowego plenum. Teoretycznie liczbę członków Rady obliczano wówczas na około 90 osób, z których jednak tylko około 50 znajdowało się w Mińsku i mogło wziąć udział w posiedzeniu plenum. Ponieważ wiele osób sympatyzujących z Rosją, bądź to sowiecką bądź „demokratyczną”, Mińsk opuściło przed wejściem wojsk polskich, stosunkowo naj-

9. F. Turuk, *Belorusskoje dwiżenije*, Moskwa, 1921, str. 108.

więcej nieobecnych było członków Rady z grup eserowskiej i „federalistycznej”, które byłyby reprezentowane na plenum pierwsza tylko przez trzy, a druga przez osiem osób. Wówczas przypomniano o uchwale „podziemnego” zebrania grudniowego, pozwalającej na uzupełnianie Rady przez delegatów grup, które miały w niej swoich przedstawicieli.

Zapowiedziane zwołanie plenum Rady po tak długiej przerwie wywołało wśród białoruskich polityków zrozumiałe zainteresowanie i podniecenie. Administracja polska, udzielając zezwolenia na zwołanie plenum, spodziewała się że, zgodnie z zaakceptowanymi w zasadzie przez Łuckiewicza „radami” Piłsudskiego, plenum wypowie się za zmianą charakteru Rady z *quasi*-parlamentu suwerennego państwa na Komitet Narodowy. Aczkolwiek białoruscy przywódcy utrzymywali swe plany w tajemnicy, plotki o tym, że Łuckiewicz „zdradził”, „sprzedał się Polakom” i wyrzekł białoruskiej niepodległości, kursowały szeroko i były podtrzymywane i podsycane przez sympatyków, czy nawet reprezentantów, przebywającej w Kownie grupy Woronki oraz agentów sowieckich, którzy, będąc w zasadzie przeciwni niepodległości Białorusi, popierali wszystko co mogło sprawić kłopot Polakom. Wytwarzało to atmosferę, sprzyjającą taktyce opozycji uzyskania większości na plenum przez wprowadzenie nań „nowych członków”.

Taktyka ta ujawniła się na prywatnej naradzie w przeddzień oficjalnego zebrania plenum; oprócz zaproszonych radnych, zjawiono się tam kilkadziesiąt osób, legitymujących się „mandatami”, żyrowanymi przez eserowskich i „federalistycznych” przywódców. Uważając, że mandaty te były wystawione w imieniu organizacji przeważnie faktycznie nieistniejących, Prezydium Rady z Lesikiem na czele odmówiło ich posiadaczom prawa uczestniczenia w naradzie. Jak następnie o tym donosił komunikat Białoruskiego Biura Prasowego, ogłoszony w Nrze 25 *Kuriera Polskiego* z 25. I. 1920 r., nazajutrz, 13 grudnia, na otwarte przez Przewodniczącego Rady posiedzenie Plenum wtargnęła, przy pomocy eserowskich radnych, grupa posiadaczy „nowych mandatów”, poparta przez jeszcze liczniejszą bojówkę. Sterroryzowana dotychczasowa większość zmuszona została do przeniesienia zebrania do prywatnego mieszkania redaktora *Sochy*, Aleksandra Ułasowa, pozostała zaś w opanowanym lokalu dawna mniejszość, powiększona przez „nowych radnych” do przeszło 50 osób, uchwaliła szereg politycznych uchwał i, po wyrażeniu wotum nieufności zarówno Łuckiewiczowi jak i dawnemu Prezydium Rady „w trybie rewolucyjnym” wyłoniła nowe eserowsko-federalistyczne Prezydium, złożone z trzech eserów: Badunowej, Kozicza i Mamońki, i dwóch

federalistów: Krečeuskiego i Zacharki. Nowym przewodniczącym Rady został Krečeuski, sformowanie zaś nowego rządu poruczono dawnemu eserowi, a ostatnio członkowi litewskiej Taryby, Wacławowi Łastowskiemu. Zaniepokojone takim rozwojem sytuacji, władze polskie w Mińsku zarządziły formalne rozwiązanie Białoruskiej Rady, „za uzurpowanie sobie nieprzystługujących jej uprawnień”, oraz aresztowały „za odbycie nielegalnego zebrania” Łastowskiego i paru członków nowowyłonionego Prezydium, nadając im przez to nimb męczenników za białorską sprawę. Po rychłym zwolnieniu, udali się oni do Kowna, skąd przez czas dłuższy prowadzili ożywioną akcję antypolską.

Na dokończonym w mieszkaniu Ułasowa zebraniu dawnego Plenum zastosowano się w praktyce do „rad” Piłsudskiego, powołując Białorską Radę Najwyższą w składzie Iwana Sereby, byłego przewodniczącego rozpedzonego Kongresu, Józefa Lesika, dotychczasowego Przewodniczącego Prezydium Rady, oraz Szymona Rak Michajłowskiego, Al. Ułasowa i Kuźmy Tereszczenko. Sytuacja Łuckiewicza stała się dość niewyraźna; wprowadziła Rada Najwyższa formalnie zatwierdziła dotychczasowy skład jego gabinetu, z wyjątkiem Ministra Finansów Zacharki, który odszedł z Krečeuskim i Łastowskim, większość jego ministrów weszła następnie do rządu sformowanego przez Łastowskiego w Kownie. Sam Łuckiewicz w lutym 1920 roku chciał wyjechać z Polski, co jednak spotkało się z trudnościami, gdyż władze polskie nie chciały honorować jego dawnego białoruskiego paszportu dyplomatycznego. W związku z tym powstały pogłoski, że został w Polsce „internowany”, co formalnie nie odpowiadało prawdzie i zostało zdementowane (*Kurier Polski* Nry 34, 36). Ostatecznie, 28 lutego 1920 roku Łuckiewicz złożył na ręce Rady Najwyższej formalną rezygnację ze stanowiska Premiera (*Kurier Polski* Nr 73) i, nie przymknąwszy (lub nie zostawszy przyjętym) do grona skupiającego się w Kownie, zrezygnował z wielkiej politycznej kariery. Do września 1939 mieszkał w Wilnie, zajmując stanowisko dyrektora miejscowego muzeum białoruskiego; po dostaniu się w ręce sowieckie, zginął w nieznanych okolicznościach gdzieś w Azji.

Wydarzenia w Mińsku w grudniu 1919 roku dobitnie stwierdziły, że słowo „Polska” nie wywołuje już pozytywnego oddźwięku w białoruskich sercach i stanowiły punkt zwrotny w rozwoju sprawy białoruskiej w ogóle a stosunków białorusko-polskich w szczególności. Po parumiesięcznej przerwie, wywołanej wynikiem zamieszaniem, Rada Najwyższa przystąpiła do próby wprowadzenia w życie faktycznie przyjętego przez nią a sugerowanego przez Piłsudskiego programu minimum: pracy organicznej w ewen-

tualnie stworzonym w Polsce białoruskim Piemoncie. W marcu 1920 roku rozpoczęła swą działalność Komisja Wojskowa popychając naprzód zapowiedziane w „dekrecie” z 22 października 1919 roku tworzenie białoruskich oddziałów. W tym samym czasie odbywały się w Mińsku „przewlekłe dyskusje zasadnicze i drobiazgowy targi” pomiędzy zasiloną przez przedstawicieli białoruskich chadeków, esdeków i części eserów Radą Najwyższą, a specjalną komisją powołaną przez warszawskie MSZ „dla opracowania projektu uregulowania stosunków polsko-białoruskich” w składzie Leona Wasilewskiego, Władysława Raczkiewicza i Sylwestra Wojewódzkiego. Komisja „uchyliła” wszystkie zgłaszane przez Białorusinów postulaty polityczne, w rodzaju: deklaracji w obronie całości Białorusi i zobowiązania się do rozwiązania jej losu zgodnie z wolą ludności; utworzenia rządu litewsko-białoruskiego w Wilnie; wprowadzenia delegacji od Białorusi na konferencję pokojową; równouprawnienia języka białoruskiego z polskim itp., natomiast „przyjęła” szereg postulatów dotyczących organizacji białoruskiego szkolnictwa oraz życia kulturalnego, społecznego i ekonomicznego, redukując jednak przeznaczony na to subsydia z żądanych przez Białorusinów prawie 30 milionów marek do 10,7 milionów¹⁰.

To z trudem osiągnięte pod koniec marca 1920 roku polsko-białoruskie *modus-vivendi* stało się po paru miesiącach bezprzedmiotowe na skutek niepomyślnego obrotu operacji wojennych. Od maja oddziały polskie zamiast iść dalej na wschód, zaczęły się cofać na zachód, by w lipcu — zgodnie z postulatem Woronki — przekroczyć Narew. Katastrofalnie odbiło się to na oddziałach białoruskich, formowanych pod dowództwem płk. Konopackiego i przy udziale kpt. F. Kuszela w Słonimie. Nie tylko ustał dopływ ochotników, lecz rozpoczęły się dezercje i stosunkowo nieznaczna tylko część białoruskich żołnierzy odeszła z wojskiem polskim na zachód i została ulokowana w Łodzi. Wbrew zapowiedziom i nadziejom, oddziały białoruskie oficjalnego udziału w wojnie polsko-rosyjskiej w ogóle nie wzięły. Jedynym, bodaj, ich bojowym wyczynem było tzw. Powstanie Słuckie w końcu listopada i grudniu 1920 roku. Ponieważ jednak miało ono miejsce już po oficjalnym zawieszeniu broni na froncie polsko-sowieckim, nosiło charakter „cicho-ciemny” i przez 20 laty spowite było mrokiem tajemnicy. Obecnie jego rocznica jest obchodzona na emigracji jako białoruskie święto narodowe — Dzień Bohaterów, natomiast jego historia, mniej lub więcej świadomie,

10. *Dokumenty i materiały do stosunków polsko-radzieckich*, Warszawa, t. 2, str. 687-91.

zniekształcana przez traktowanie wyczynu zorganizowanego, a może i zainicjowanego, przy polskiej pomocy, na równi z antypolskimi poczynaniami organizowanymi „przed i po Słucku”¹¹ przy pomocy kowieńskiej, czy nawet sowieckiej.

Pomimo odmiany fortuny wojennej od sierpnia, klęska polityki Piłsudskiego na obu „skrzydłach” przekreśliła wszelkie nadzieje na „odpowiednie postawienie sprawy białoruskiej” na międzynarodowej płaszczyźnie. Co więcej, w rezultacie tej klęski, głos decydujący w polityce polskiej uzyskali zdecydowani przeciwnicy „federacyjnych mrzonek” których sama myśl o tym, iż w państwie polskim mógłby powstać białoruski Piemont, napawała odrazą czy nawet przerażeniem. Toteż z lekkim sercem oddali oni w Rydze Mińsk Rosji, ciesząc się z pozbycia „białoruskiego wrzodu”. Na dłuższą; metę nie okazało się to rozsądne, gdyż kartę porzuconą przez Polaków podjęli inni, wygrywając ją, niekiedy z powodzeniem, na szkodę interesów polskich.

Aczkolwiek, z racjonalnego punktu widzenia, Piłsudski miał rację, uważając sprawę białoruskiej niepodległości za „najsłabszą” i najmniej przygotowaną”, niezależny rząd białoruski na emigracji był uznawany w latach 20-tych nie tylko przez kowieńską Litwę, ale także przez Łotwę, Finlandię, Czechosłowację i w pewnym stopniu przez Niemcy. Litwa przez kilka lat udzielała mu gościny oraz bardzo efektywnej pomocy w antypolskich poczynaniach. Oficjalny przedstawiciel białoruskiego rządu na Łotwie, K. Jezowitow, kilkudniowy komendant Mińska w lutym 1918 r., awansowany z porucznika na pułkownika, w 1920 r. usiłował organizować, ponoć nie bez pomocy sowieckiej, dywersyjną akcję na terenach zajmowanych przez wojska polskie (*Adj. Gen.*, t. 23, str. 3186). Po 1923 roku, Praga Czeska przejęła w znacznym stopniu funkcje dotąd spełniane w stosunku do rządu białoruskiego przez Kowno. Najbardziej jednak zrzęcznie rozegrała kartę białoruską Rosja; nie obawiając się podrzuconego jej przez Polskę „mińskiego wrzodu”, stworzyła w nim w połowie lat 20-tych pozory białoruskiego Piemontu, co najmniej kulturalnego, który wkrótce skusił wielu przebywających dotąd w Polsce lub na emigracji białoruskich patriotów. Przenieśli się oni na terytorium sowieckie, gdzie prawie wszyscy zostali następnie fizycznie zlikwidowani. Wśród nich byli nie tylko w gruncie rzeczy prorosyjscy: Badunowa, Cwikiewicz, Łastowski, Mamońko i inni

11. Wydawana w Monachium *Bačkauszczyna* w 1959-60, Nry 482-86, z okazji rocznicy Powstania Słuckiego pod ogólnym tytułem „Przed i po Słucku” wydrukowała szereg dokumentów o białoruskiej akcji zbrojnej przeciwko Polsce.

eserzy, ale także zasadniczo pro-polscy: Lesik, Rak Michajłowski, Smolicz i Taraszkiewicz. Był także Sylwester Wojewódzki, osobisty przyjaciel Taraszkiewicza i szczerzy sympatyk sprawy białoruskiej, który w marcu 1920 roku reprezentował stronę polską podczas rokowań z Białorusinami. Nimb rzekomej „rewolucyjności” i „postępowości” wzbudził w ich sercach oddźwięk dla Rosji przychylny, co w rezultacie spowodowało ich zgubę.

Masowe mordy sowieckie nie zdołały jednak całkowicie zlikwidować „Sprawy Białoruskiej”. W ciągu ostatniego półwiecza narodowy ruch białoruski zrobił olbrzymie postępy i dziś sprawa niepodległości Białorusi wydaje się być znacznie lepiej przygotowaną niż za czasów Piłsudskiego. Okazało się jednak, że, wbrew jego racjonalnym, wydawałoby się, „radom” większą rolę historyczną odegrały osoby, które tym „radom” stanowczo się przeciwstawiły. Stworzyły one, w dalszym ciągu mozolnie rozbudowywaną, choć niezgodną z historyczną prawdą, legendę, która chce widzieć w nich niezłomnych rycerzy białoruskiej sprawy. Zabrawszy z Mińska sztandar Białoruskiej Republiki Ludowej i przechowawszy go przez długie lata w Kownie i Pradze, Krečeuski czy Zacharko zajęli w historii Białorusi miejsca dużo wyższe niż znaczenie bardziej, wydawałoby się, od nich politycznie wyrobieni i zajmujący początkowo w ruchu białoruskim wyższe pozycje Lesik czy Sereda, względnie przewyższający ich zdolnościami, wykształceniem i inteligencją: Łuckiewicz, Rak Michajłowski, Taraszkiewicz czy Ułasow, nie mówiąc już o osobach takich jak Cwirko Godycki czy Prezes Wileńskiej Rady Białoruskiej i Komisji Wojskowej Paweł Aleksyuk, których białoruska historia odznacza piętnem quislingów, jak gdyby branie pieniędzy od Polaków było bardziej haniebne, niż od Litwinów czy Czechów, Ukraińców czy Niemców, względnie od Sowieckiej Rosji.

Nie było to bez związku ze zmianami w akustyce białoruskich serc. W miarę jak słowa „Białorus” i „Niezależność” zaczęły wywoływać w nich oddźwięk coraz żywszy, reakcja na słowo „Polska” malała i traciła swój dawny, jedyny w swoim rodzaju, charakter; stawała się mniej więcej analogiczną do reakcji na nazwy innych krajów czy narodów. Czasem, w zależności od koniunktury, inne słowa, jak „Litwa”, „Czechy” czy „Niemcy” budziły nawet oddźwięk żywszy i bardziej pozytywny.

W pewnym stopniu zagadką jest, że w 113 lat po „Listach spod szubienicy” słowo „Rosja” budzi w wielu białoruskich sercach oddźwięk żywszy niż „Polska”. Powoduje to, czy może jest spowodowane, przez dość dziwne zjawiska optyczne. Wypadki w Polsce widziane są w często monstrialnie wyolbrzymionej postaci, zaś wydarzenia w Rosji w stonowanych pastelowych

kolorach. W wyniku tego, w ogłoszonej w Ameryce pracy białoruskiego historyka czytamy, że los części Białorusi pod rządami polskimi był w 20-stoleciu *hardly less unfortunate* niż los Białorusi sowieckiej za czasów Stalina, i że GPU i Gestapo mogłyby się uczyć od polskiej policji¹².

Jest prawdą, że w Polsce nie wytworzono, i nawet nie chciano wytwarzać, Białoruskiego Piemontu; że, po uznaniu za ideał państwa narodowojednolitego, Białorusinom, czy innym nie-Polakom, którzy nie chcieli się stać Polakami, robiono takie lub inne przykrości. Czy jednak można niemądre szykany porównywać z masowymi mordami oraz planowym i systematycznym likwidowaniem białoruskich przywódców, o których już w kwietniu 1919 roku wileńscy Białorusini pisali, iż zostali wyjęci spod opieki prawa?

Polacy białoruskich przywódców nie mordowali i trzeba mieć poczucie odpowiedzialności za słowa, by na str. 137 pisać, że w 1920 roku białoruscy posłowie na Sejm polski, Dworczanin i Hauryluk *were beaten to death, and others were treated in a like manner*, potem gdy na str. 115 było się napisano, że w rzeczywistości zostali oni *shot as „Polish spies”* dopiero w Mińsku w 1933 roku. Białoruscy włościanie, w 1926 roku masowo zapisujący się do zmierzającej do połączenia z BSSR Hromady, zdali sobie sprawę z różnicy między rządami polskimi a sowieckimi w 1939 roku. Żyd piński o kulturze rosyjskiej, Polsce wcale nie życzliwy, Juliusz Margolin, we wspomnieniach z 1939 roku pisał, że chłopci polescy od ćwierć wieku dostarczający jego matce jajek i mleka, mówili jej w zaufaniu: „Panowie przez lat 20 nie zdołali nas zrobić Polakami, a bolszewicy zrobili to w dwa miesiące”. Była to przesada, ale nastroje mas wiejskich były wtedy istotnie Polsce przychylne. Potem przyszli Niemcy i Białorusini zastosowali się do zasady sformułowanej przez Łuckiewicza jeszcze w 1920 roku:

„Białoruś pójdzie ręką w rękę z tym, kto w chwili najważniejszej udzieli jej poparcia”.

Słowo „Polska” nie budziło przy tym oddźwięku, który by to utrudniał.

Wiktor SUKIENNICKI

12. I. S. Lubachko, *Belorussia Under Soviet Rule 1917-1957*, Kentucky, 1972, str. 127 i odsyłacz na str. 136; ob. *Zeszyty Historyczne* Nr 23.

Piotr WANDYCZ

MSZ W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM: ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ

W 35-tym numerze Zeszytów Historycznych zamieściłem krótki szkic wysuwający tezę o celowości przebadania struktury i funkcjonowania Ministerstwa Spraw Zagranicznych Drugiej Rzeczypospolitej. Szkic zawierał 19 pytań i w wyniku przeprowadzonej następnie dłuższej korespondencji udało się uzyskać odpowiedzi i komentarze od ośmiu osób, których pozycja i znajomość przedmiotu wnoszą istotne elementy do całokształtu zagadnienia.

Początkowe nadzieje, że uda się objąć ankietą szersze grono dyplomatów międzywojennej Polski nie zostały niestety zrealizowane. Stan zdrowia niektórych ewentualnych respondentów, trudności otrzymania wypowiedzi w określonym terminie, względy techniczno-korespondencyjne spowodowały, że postanowiłem nie opóźniać ankiety i ogłosić otrzymane, stosunkowo nieliczne, odpowiedzi. Trudno jest określić do jakiego stopnia są one reprezentatywne dla ogółu żyjących jeszcze współpracowników międzywojennego MSZ, należy jednak podkreślić, że respondenci nie zostali wybrani pod jakimś szczególnym kątem i celowo nie pominięto innych osób.

Przedstawiając poniżej wynik ankiety należy wyjaśnić po krótku sposób jej opracowania. Primo, odpowiedzi poszczególnych osób rozbiłem na grupy tematyczne według kolejności pytań. Secundo, ponieważ niektórzy z respondentów przekazali również uwagi ogólne i komentarze, te ostatnie zostały wyodrębnione i połączone w jedną całość pod nagłówkiem „Uwagi Wstępne”. W wypadku Zdzisława Szczerbińskiego połączyłem razem jego uwagi wstępne i konkluzję jak również skreśliłem ustęp mający charakter wspomnień. W tej części dokonałem także pewnych skrótów w miejscach gdzie jest mowa o samym pomysle ankiety, lub gdzie figurują dodatkowe wzmianki bibliograficzne lub su-

gestie odnośnie osób, które należałoby objąć ankietą. Tertio, odpowiedzi podawane są w miarę możliwości w pełnym brzmieniu. Skreśliłem jedynie występujący czasem zwrot powtarzający pytanie, skorygowałem wyraźne pomyłki dotyczące numeracji pytań (np. podanie dwa razy jednego numeru gdy chodzi o dwa następujące po sobie oraz opuściłem niektóre zdania odchodzące zbytnio od tematu. Wychodziłem z założenia, że kosztem nieuchronnych powtórzeń zachowany zostanie indywidualny charakter i styl wypowiedzi co wydało mi się najważniejsze. Ze swej strony nie wprowadziłem ani merytorycznych poprawek ani korekty pisowni i ograniczyłem się do paru przypisów (w formie komentarzy) oraz do zamieszczenia tabeli odnośnie pytania nr 5 (wojskowi w MSZ). Tę pozycję zasugerował mi Min. Jędrzejewicz, za co bardzo mu dziękuję.

Pozostawiając ocenę ankiety czytelnikom Zeszytów Historycznych pragnąłbym szczerze podziękować respondentom za ich udział w kwestionariuszu. Przygotowanie odpowiedzi na pytania wymagało czasu i wysiłku — nie tylko niżej podpisany, ale i czytelnicy Zeszytów winni są im wdzięczność.

W ankiecie wzięli udział:

Edward Borowski, dr praw, ur. 13. 10. 1909, P. Bern (K. H. Genewa) 16. 2. 37; Kazimierz Roman Dębicki, mgr praw, ur. 20. 1. 1896, pos. nadzw. i min. pełn. P. Belgrad; Wacław Jędrzejewicz, ur. 29. 1. 1893, dyr. D.K.; Stefan Lubomirski, mgr. praw, ur. 24. 12. 1894, radca amb. A. Berlin; Edward Raczyński, dr praw, ur. 19. 12. 1891, amb. A. Londyn; Tadeusz Romer, ur. 6. 12. 1894, amb. A. Tokio; Zdzisław Szczerbiński, ur. 25. 3. 1898, z-ca amb. A. Ankara i Jan Tomaszewski, ur. 27. 1. 1903. II sekr. amb. A. Londyn.

W poniższych odpowiedziach nazwiska ich podawane są w formie inicjałów: EB, RD, WJ, SL, ER, TR, ZS, JT. Dane personalne respondentów podane są według Rocznika Służby Zagranicznej: Stan z 1 kwietnia 1933, 1937 i 1938.

Uwagi Wstępne

WJ: Z MSZ miałem luźny kontakt w latach 1922-25, gdy byłem szefem Wydziału Ewidencyjnego (Studium armii obcych) w Oddz. II-gim Sztabu Gen. Potem gdy byłem attaché wojskowym w Tokio (1925-28) kontakt ten był ściślejszy, a gdy dalej pełniąc służbę attaché wojskowego zostałem chargé d'affaires a.i. od maja 1926 do lipca 1928, byłem już w pewnym stopniu urzędnikiem MSZ. 1928-31 byłem dyrektorem Depart. Administracyjnego MSZ, 1931-33 dyrektorem Dpt. Konsularnego.

SL: Moim zdaniem dzieje MSZ można podzielić na 4 okresy: I — od 1919 do 1921, II — od 1921 do 1926, III — od 1926 do 1931, IV — od 1931 do końca 1939. Okres I obejmuje powstanie i kształtowanie się MSZ, a ściślej Polskiej Służby Zagranicznej. Okres II — utwalenie i ustabilizowanie; z trudnych początków wyłoniła się wyrobiona fachowa już służba zagraniczna o własnym obliczu i charakterze. Okres III wprowadził z początku pewne przetasowanie i zamieszanie; wprawdzie oblicze i charakter służby nie zmieniły się, ale wewnętrzno-polityczne przemiany w kraju odbiły się poniekąd na ciągłości i składzie personalnym, przeważnie na płaszczyźnie kierowniczej. Okres IV odbił się najsilniej i na składzie i na metodach pracy ministerstwa. Nowy porządek, dosyć gwałtownie wprowadzony, zaważył też na charakterze i sprawności MSZ i dopiero stopniowo, gdzieś w połowie lat trzydziestych, ministerstwo w zmienionych okolicznościach dociągnęło do dawnej sprawności i fachowości. Opisanie dziejów MSZ w ciągu tych 4-ch okresów nie będzie łatwe. Brak bowiem źródeł, a co gorsze, ubyli aktorzy i świadkowie tych czasów. Jeżeli idzie o okres I, to sądzę że opracowanie Kajetana Morawskiego „Z pierwszych lat Ministerstwa Spraw Zagranicznych” powinno być najbardziej obiektywne. Dla pozostałych okresów *Dzienniki Urzędowe MSZ* i *Zbiór Przepisów konsularnych* stanowią w pewnej mierze bazę źródłową. Egzemplarze znajdują się w bibliotece Instytutu im. Sikorskiego w Londynie. Okresy III i IV są bardziej znane. Istnieją źródła i świadkowie. Ale źródła dotyczą więcej polityki zagranicznej niż spraw wewnętrznych MSZ. Szembek sprawami wewnętrznymi ministerstwa mało się interesował, a jego *Diariusz* tylko sporadycznie tych spraw dotyka. „*Wspomnienia Drymmera*” powinnyby normalnie być źródłem poznania okresu III a zwłaszcza okresu IV, ale są one do tego stopnia nieściśle i tendencyjne, iż dają spaczony obraz ministerstwa i są wobec tego dla badań historycznych bezwartościowe. Osobiście, choć byłem w centrali ministerstwa od 1919 do 1928 bez przerwy, mało mógłbym o dziejach wewnętrznych ministerstwa powiedzieć, po prostu dlatego, że nie interesowałem się wydarzeniami, a zwłaszcza rozgrywkami i ścieraniem się prądów wewnętrznych; potem od 1928, z roczną przerwą w 1934, byłem na placówkach za granicą, a więc z dala od tego, co się działo w ministerstwie. Nie mam nawet żadnych notatek czy zapisków, które by mogły odświeżyć mą pamięć. Dlatego odpowiadając poniżej na pytania ankiety ograniczę się z konieczności do ogólnych informacji i wrażeń.

ER: W sprawie dyplomatów przedwojennych napisałem artykuł, ogłoszony w *Kulturze* Nr. 11 z 1974 roku. Sprawę potraktow-

wałem tam jednak ogólnie, trochę z punktu widzenia „towarzystwa”. Zwróciłem w nim uwagę na jedną okoliczność, która wydaje mi się ważna, że wyższe stanowiska posłów, dyrektorów departamentów Centrali MSZ, radców na placówkach — zajęli zaraz po pierwszej wojnie ludzie, wprawdzie nie szkoleni w tym właśnie zawodzie, ale na ogół wybitni, wykształceni, odgrywający rolę w polityce lub też naukowcy.

Ekipa nasza wyszła na tym na ogół dobrze, natomiast niższe stanowiska i praktykanci nie zdążyli wykazać swoich talentów, i było tam, zdaniem moim, mniej dobrze. Nie mówię oczywiście o doborowych wyjątkach.

Organizacja MSZ i placówek przeprowadzona została w pierwszych latach powojennych, które spędziłem za granicą jako sekretarz poselstwa w Kopenhadze, a potem w Londynie — dlatego wiedza moja w przedmiocie organizacji jest ograniczona.

Do źródeł wyliczonych w artykule P. Wandycza dodam jedno, które niedawno ukazało się w mojej niewielkiej książce „Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla” nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie. Znajduje się tam ustęp dotyczący mojej pracy w Genewie i notatki pisane na gorąco w latach 1933 i 1934.

ZS: Zanim przejdę do samej ankiety, chciałbym przypomnieć, że MSZ — jak to się wówczas mówiło o całej Polsce — „wybuchło” w samym zaraniu naszej Niepodległości. Założnikiem MSZ za czasów Rady Regencyjnej był Departament Stanu. W swej „Wspólnej Drodze”, poświęconej pamięci Rogera Raczyńskiego, opisuje Kajetan Morawski, jak się tworzyło Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Morawski brał w tym bardzo czynny udział. Pisze on m.in., że MSZ przyjmował hrabiów i Żydów, ci bowiem tylko władali obcymi językami. Tak było na początku, ale w miarę organizowania się i rozrastania znalazły się w MSZ i inne też elementy. Ambasador Raczyński we wspomnianym wyżej artykule „Rola Dyplomatów” wymienia nazwiska tych, co przyszli ze służby austriackiej. Było ich nieco więcej (np. późniejszy Dyrektor Protokołu Dyplomatycznego Karol Romer, ale wkrótce odpadli Michał Straszewski, August Haller (rodzony brat generała Józefa). Za to o kilka lat dłużej pozostał na swym stanowisku dyr. Max (imienia już nie pamiętam). Oddał on Ministerstwu nieocenione usługi, organizując w nim Biuro Szyfrów i będąc w tej dziedzinie wielkim fachowcem. Nic dziwnego, że polecał go bardzo Agenor Gołuchowski, długoletni austro-węgierski minister Spraw Zagranicznych.

Wszyscy wyżej wymienieni urzędnicy otrzymali od razu — poza chyba Maxem — tytuły ministrów pełnomocnych. Ale najwyżej spośród urzędników Centrali z dawnej służby austriackiej zaszedł dr Karol Bertoni. Był on przez szereg lat dyrektorem Departamentu Administracyjnego, obejmującego wtedy również i sprawy personalne. Nadmienić wypada, że późniejszy wiceminister Spraw Zagranicznych, dr Alfred Wysocki, przyszedł do nas z wiedeńskiego Prezydium Rady Ministrów, a nie z dyplomacji czy służby konsularnej. Tak samo dr Władysław Wróblewski (wiceminister w naszym Prezydium, a następnie ambasador w Londynie i Waszyngtonie) nie był poprzednio zatrudniony w austriackiej służbie zagranicznej.

Tak się złożyło, że najwyższy rangą w dawnej dyplomacji austriackiej Adam (hrabia) Tarnowski (b. poseł w Sofii, potem mianowany do Stanów Zjednoczonych), właśnie dlatego nie mógł być użyty w służbie polskiej. Tak samo nie wszedł do niej ze służby rosyjskiej Stanisław Poklewski-Kozieł (b. poseł w Teheranie, a potem w Bukareszcie).

Filarem MSZ i ogromnie przez wszystkich lubianym był Stefan Przeździecki, obdarzony wielkim taktem i zdrowym rozsądkiem. Był on pierwszym dyrektorem Protokołu, a następnie również i Gabinetu Ministra. Dopiero w roku 1928 opuścił to stanowisko by zostać posłem a potem ambasadorem przy Kwirynale.

Dla jaśniejszego obrazu ówczesnych stosunków w MSZ muszę tu dodać parę słów o sobie.

Do MSZ dostałem się, że tak powiem, automatycznie, jako młodszy sekretarz Ignacego Paderewskiego i jego żony, Heleny, który znalazł się w Ministerstwie z chwilą objęcia przez swego pierwszego szefa stanowiska premiera i kierownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie myślałem wówczas zupełnie o służbie dyplomatycznej, ale, gdy mi zaproponowano wstąpienie do niej, skwapliwie się na to zgodziłem. Przyjęty zostałem warunkowo, to znaczy z zobowiązaniem ukończenia wydziału prawa i wykazania się dyplomem uniwersyteckim.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych było już wówczas zupełnie zorganizowane. Paderewskiego często nie było, gdyż przebywał w Paryżu na Konferencji Pokojowej. Wiceminister Wróblewski z Prezydium Rady Ministrów zastępował go wtedy w MSZ (aż do przybycia stałego wiceministra, Władysława Skrzyńskiego, który do Warszawy przyjechał znacznie później). Sekretarzo wałem mu wtedy przez jakiś czas.

1. I. 1923 wyjechałem na placówkę do Pragi. W Centrali byłem znów w okresie 1925-29, po czym spędziłem trzy lata

w Brukseli. W Warszawie pracowałem ponownie w latach 1932-34. Od tego czasu byłem stale na placówkach zagranicznych (Moskwa, Ankara i Stambuł).

Patrząc wstecz, nie zamykam bynajmniej oczów na ciemniejsze strony naszej „kariery”. „Czystka” za czasów Drymmera, którą on we wspomnieniach swych tak wychwala, doprowadziła do odejścia z MSZ wielu zdolnych, a najczęściej Bogu ducha winnych, młodych i starszych urzędników — w tej liczbie wielu posłów. Przedtem jeszcze pozbyto się współpracy tak świetnych urzędników, jak np. Kajetan Morawski i Jan Ciechanowski. Wyłynęli oni dopiero w czasie wojny i zajęli od razu bardzo odpowiedzialne stanowiska. Ci, co przychodzili z wojska na *stałą* służbę w MSZ poziomem swym nie dorastali do tamtych dwóch. Oczywiście, nie mam tu na myśli samego ministra Becka, lecz wprowadzanych przez niego innych wojskowych. Polityka personalna nie była więc najsilniejszą stroną MSZ w okresie pomajowym, nie była nią również i przedtem.

Zawiniła tu polityka wewnętrzna, utrudniająca wytworzenie odpowiedniej kadry urzędniczej. Mimo to MSZ, jako urząd państwowy, działało sprawnie i — mam wrażenie — spełniło swe zadanie.

1. *Czy i w jakim stopniu początkowy rozdział placówek pomiędzy członków Komitetu Narodowego Polskiego i przedstawicieli Lewicy zaważył na późniejszym rozwoju MSZ?*

RD: Liczna i doborowa delegacja Polski na Konferencję Pokojową w Paryżu w 1919 roku pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, z natury rzeczy dawała przewagę w formułowaniu polityki zagranicznej, co tłumaczy ówczesne obsadzanie przez jej członków większości placówek w państwach zachodnich. Jednakowoż już w ciągu 1919 roku zwiększała szeregi służby zagranicznej młodzież powracająca do kraju z armii państw zaborczych, uniwersytetów zagranicznych, placówek Rady Regencyjnej itp., młodzież w większości nie zaangażowana w akcji politycznej stronnictw, a której celem była praca w budowaniu państwa.

WJ: Nie mam elementów do odpowiedzi konkretnej.

SL: Nie sędzę, by początkowy rozdział placówek pomiędzy członków Komitetu Narodowego Polskiego i przedstawicieli Lewicy mógł być trwale zaważyć na późniejszym rozwoju MSZ. Niewątpliwie istniały między przedstawicielami obu grup różnice poglądów, rywalizacje, a nawet animozje, ale na działalność i kształtowanie się oblicza MSZ nie miało to, moim zdaniem,

większego wpływu, zwłaszcza że z czasem w miarę rozrostu i stabilizacji personelu służby zagranicznej, przedstawiciele rozbieżnych grup politycznych znaleźli się w mniejszości, a większość składała się z osób politycznie niezaangażowanych. Natomiast w okresie I i II na MSZ oddziaływały wpływy partyjne, sejmowe. W 1920 roku było dwóch podsekretarzy stanu: Dąbski — ludowiec i Dąbrowski — ze Stronnictwa Narodowego. Chociaż istniał między nimi rozdział kompetencji, działalność ich nieraz kolidowała. Również częste zmiany ministrów spraw zagranicznych nie przyczyniały się do konsolidacji i wyrobienia się tradycji służby zagranicznej.

ER: Nie wiem.

TR: Jeżeli w ogóle zaważył, to sądzę, że w nieznacznym stopniu. Bowiem w ostatnim roku swego istnienia Komitet Narodowy Polski w Paryżu przyjął do swego grona przedstawicieli Lewicy, którzy przybyli z Polski, a z drugiej strony pierwszym Posłem polskim w Paryżu został 1. VII. 1918 r. Wiceprezes Komitetu Narodowego Polskiego, Maurycy Zamoyski. Planowo wszystko zmierzało ku temu by różnice zacierały się szybko od czasu zakończenia wojny.

ZS: Początkowy rozdział placówek zagranicznych pomiędzy członków Komitetu Narodowego Polskiego, a przedstawicieli „Lewicy” nie zaważył — moim zdaniem — na późniejszym rozwoju MSZ.

Członkowie KNP, mający już nawiązane na miejscu stosunki polityczne i posiadający większą od innych znajomość terenu i rutynę dyplomatyczną byli szczególnie powołani do objęcia stanowisk posłów RP.

Tak więc, Maurycy Zamoyski otrzymał Paryż, Erazm Piltz — Belgrad, Konstanty Skirmunt — Rzym, Władysław Sobański — Brukselę, Jan Modzelewski — Berno. Jeden tylko prezes Komitetu, Roman Dmowski, wśród nich się nie znalazł, był on jednak wodzem wielkiego stronnictwa i nie nadawał się zupełnie do podporządkowywania się takiemu czy innemu ministrowi Spraw Zagranicznych.

W Komitecie pracowali też wybitni młodszy urzędnicy: Tadeusz Romer, Józef Lipski, Henryk Sokolnicki, Tadeusz Skowroński. Wszyscy oni doszli w MSZ do wysokich stanowisk, a niekiedy, jak w wypadku Romera i Lipskiego — do najwyższych urzędów.

Z pozostałych większych placówek: Waszyngton znalazł się w rękach ks. Kazimierza Lubomirskiego, uchodzącego za bardzo

zdołnego *businessman'a*, po którym spodziewano się, że uzyska dla Polski pożyczkę w Stanach Zjednoczonych.

Kandydatami na Londyn byli, jak słyszałem, kolejno: Józef Potocki ojciec (kandydatura ta nie utrzymała się), następnie zaś — Zygmunt Wielopolski, b. przewodniczący Koła Polskiego w rosyjskiej Radzie Państwa. Kandydatura ta też odpadła na skutek nagłej śmierci kandydata. W końcu mianowany został ks. Eustachy Sapieha (późniejszy minister Spraw Zagranicznych. Ani Lubomirski, ani Sapieha nie mieli powiązań partyjnych, wojnę zaś spędzili w Polsce.

Posłem przy Watykanie został prof. Józef Wierusz-Kowalski, też bezpartyjny, wykładający dawniej we Fryburgu i posiadający duże stosunki w sferach katolickich.

Placówki nie posiadały wpływu na politykę Centrali. Biegła ona własnym torem.

Na początku próbowano obsadzać placówki zagraniczne według klucza partyjnego, ale współpraca ówczesnej Lewicy z ludźmi Komitetu nie zawsze układała się harmonijnie. Z drugiej strony, po pewnym czasie, Michał Sokolnicki przeszedł z Londynu na posła w Finlandii, a Władysław Baranowski — z Rzymu do Sofii. Leon Wasilewski i Witold Jodko-Narkiewicz od razu mianowani zostali: pierwszy na posła w Estonii, a drugi — do Rygi, potem do Stambułu (Ankara nie była jeszcze stolicą państwa). Wreszcie — Filipowicz pojechał do Tyflisu a następnie do Moskwy.

W Centrali, Lewica skoncentrowana w Wydziale Wschodnim, odgrywała na tym odcinku ważną rolę, tworząc rodzaj samodzielnej komórki, mającej bliską styczność z Belwederem i kołami belwederskimi. Wymienię tu np. Romana Knolla, Juliusza Łukasiewicza i Mirosława Arciszewskiego. Doszli oni z czasem do czołowych stanowisk w służbie dyplomatycznej.

Rozwój MSZ dokonywał się w sposób organiczny. Sami ministrowie przeważnie mało interesowali się strukturą swego urzędu i nie brali bezpośredniego udziału w kolejnych reorganizacjach MSZ.

JT: Rozdział placówek według klucza partyjnego nie był korzystny dla normalnego rozwoju MSZ. Zresztą nie można pominąć Departamentu Spraw Zagranicznych Rady Regencyjnej z ks. Januszem Radziwiłłem na czele jako trzeciego ośrodka rekrutacji pierwszych polskich poroźbiorowych dyplomatów. O ile pamiętam, ci koledzy nie byli politycznie angażowani.

2. Czy polityka personalna przed majem 1926 dążyła do odzwierciedlenia w jakimkolwiek stopniu układu sił politycznych w kraju?

RD: Polityka personalna MSZ w pierwszym okresie jego istnienia streszczała się do oceny rozporządzalnego materiału ludzkiego, zakwalifikowania go do poszczególnych działów pracy w centrali i szybko powstających placówkach. Wpływy stronnictw politycznych w tym pierwszym okresie, jeśli chodzi o personalia MSZ, grały drugorzędą rolę.

WJ: Polityka personalna przed majem 1926. W 1923 roku, gdy ministrem Spraw Zagranicznych został Marian Seyda, przeprowadzono bardzo silną czystkę we wszystkich departamentach i na placówkach, usuwając urzędników sprzyjających Marszałkowi Piłsudskiemu. Głośna była sprawa zwolnionego Władysława Baranowskiego, który zaskarżył Ministerstwo do Trybunału Administracyjnego i sprawę wygrał, tak, że Ministerstwo musiało mu dać poselstwo w Sofii. Usunięty został Szymon Askenazy, delegat Polski przy Lidze Narodów, radca Władysław Neuman i szereg innych.

SL: Polityka personalna przed majem 1926 nie dążyła do odzwierciedlenia układu sił politycznych w kraju. Zresztą mam wątpliwości, czy przed majem 1926 a ściślej przed 1931, istniała jakaś wyraźna polityka personalna. MSZ powstało poniekąd samorzutnie, powiedziałbym z niczego. Poza członkami Komitetu Narodowego i rywalizującymi z nimi organizacjami lewicowymi oraz kilkoma b. urzędnikami ze służby zagranicznej austriackiej, nie było dla sformowania MSZ ani ludzi, spośród których można by dobrać odpowiedni personel, ani nie było fachowców, którzy by mogli takiego doboru dokonać. Stąd początkowy skład MSZ był w dużej mierze przypadkowy. Zwłaszcza w działach politycznych i konsularnych znaleźli się ludzie, którzy z tymi sprawami nie byli obznajomieni. Ideowość, dobra wola i zapał musiały zastąpić znajomość i fachowość. Z czasem personel służby zagranicznej nabrał jednak doświadczenia, wyrobił się nadspodziewanie szybko i rychło stanął na poziomie, który nie ustępował w niczym tradycyjnym służbom zagranicznym państw europejskich. Dla ilustracji powstania polskiej służby zagranicznej przytoczę własne dzieje. Do MSZ zgłosiłem się w 1919 roku z Francji, gdzie byłem na wydziale prawnym w Aix-en-Provence. Wojna przerwała mi studia, które potem dokończyłem na uniwersytecie w Warszawie. Wobec znajomości języków i pewnym otarciem się o sprawy zagraniczne przyjęty zostałem do MSZ w charakterze attaché i przydzielony do sekretariatu wiceministra Władysława Skrzyńskiego. Muszę szczerze przyznać, że pierwsze kroki stawiałem tam po omacku. Nie mając rutyny urzędniczej, ani doświadczenia politycznego, musiałem nabywać te znajomości w ramach

urzędu złożonego przeważnie z osób, które same tego doświadczenia nie miały. Zrazu istniały niedociągnięcia, które musiały doprowadzić do rozpaczliwych zawodowych byłych austriackich urzędników, którzy często znaleźli się w nowych nieznanym im warunkach sami nie wiedzieli od czego zacząć i jak improwizować. Po początkowych jednak trudnościach wyłoniła się szybko dobra i zwarta polska służba zagraniczna. Pod względem ideologicznym tworzyła całość ponad układem sił politycznych w kraju. Była na ogół apolityczna, patriotyczna, pełna poświęcenia, jak to rok 1920 wykazała. Natomiast układ sił politycznych, który się często zmieniał, odgrywał, zwłaszcza w okresie I, niepożądaną rolę jeśli idzie o obsadę kluczowych stanowisk i awansów. Objaw ten był ułatwiony częstymi zmianami rządów i ministrów spraw zagranicznych oraz brakiem stałego podsekretarza stanu, co byłoby zapewniło brakującą ciągłość polityki personalnej MSZ.

ER: Na pewno tak. Poszczególne partie polityczne dosyć brutalnie domagały się zaangażowania wysuniętych przez nie ludzi. Po 1926 roku podkreślano jako postęp, że ta praktyka minęła.

TR: Nie mam wrażenia, bowiem układ sił politycznych w Kraju ulegał częstym zmianom, a obsada naszej młodej sieci dyplomatycznej była sprawą pilną i absorbującą, wymagając od kandydatów całego szeregu niełatwych prac a w sumie kwalifikacji nie tylko politycznych.

ZS: Polityka personalna spoczywała formalnie w rękach właściwego dyrektora, jak na początku — min. Karola Bertonięgo, zawsze jednak był specjalny naczelnik Wydziału Osobowego. Na wyższe stanowiska z reguły brano osoby cieszące się poparciem Marsz. Piłsudskiego lub posiadających jego zgodę. Działo się tak aż do okresu sulejowskiego.

Za czasów tzw. Sejmowładztwa stronnictwa polityczne starały się forsować swych protegowanych, zwłaszcza na mniej ważne posterunki. Czasem presje takie odnosiły skutek.

Pierwsza „czystka” miała miejsce w roku 1923 za krótkiego urzędowania Mariana Seydy (jego następcą, Roman Dmowski — o ile wiem — tymi sprawami się nie zajmował). Większość usuniętych urzędników powróciła zresztą potem do Ministerstwa.

JT: Nie. Wszyscy się „pchali”. Nie było systematycznej polityki personalnej. Stosunki osobiste, nawet niepolityczne, grały dużą rolę. MSZ nie odzwierciedlało dokładnie układu sił politycznych w kraju.

3. Czy stosunkowo duża liczba przedstawicieli arystokracji i ziemiaństwa nadawała ton i charakter MSZ'owi?

EB: Dość znaczna liczba przedstawicieli arystokracji i ziemiaństwa w MSZ (zwłaszcza we wcześniejszych okresach) nadawała siłą rzeczy pewien ton temu Ministerstwu, ton wywołujący u czynników postronnych żywą nieraz irytację. Poza formami towarzyskimi wyższej klasy niż w innych resortach oraz większej znajomości języków obcych istniała tam niewątpliwie (podobnie jak i w MSZ'etach innych krajów zachodnich) pewna maniera wyrażająca się w pozornym traktowaniu z góry i jak gdyby lekceważąco pełniących funkcji — jak powtarzam jednak jedynie pozornym, gdyż pod względem oddania sprawie, pracowitości i sumienności personel MSZ nie ustępował, ogólnie biorąc, swym kolegom z innych resortów a może niekiedy ich przewyższał.

RD: Wzorem innych państw, starających się wyposażyć swe przedstawicielstwa zagraniczne w personel na wysokim poziomie, Polska czerpała dla swej służby za granicą materiał ludzki ze sfer towarzysko wyrobionych, obytych z zagranicą i znających obce języki. Takimi były rodziny arystokratyczne, ziemiaństwo i inteligencja miejska. Ze spisów urzędników nie wynika by dwie pierwsze klasy społeczne ilościowo przeważały. Miały natomiast niewątpliwą wpływ na poziom wyrobienia wymaganego na placówkach zagranicznych.

WJ: Wpływ arystokracji i ziemiaństwa po 1926 roku był bez znaczenia.

SL: Co do dużej ilości w MSZ przedstawicieli arystokracji i ziemiaństwa istniał mylny pogląd. Już w pierwszych latach dwudziestych pisano na ten temat w prasie. Pamiętam, że gdy pojawił się pierwszy wykaz imienny składu ministerstwa, prof. Stroński, który przedtem tę sprawę poruszył, stwierdził potem, że tak nie jest. W „Dzienniku Urzędowym MSZ” z 1928 roku (egzemplarz znajduje się w bibliotece Instytutu im. gen. Sikorskiego w Londynie) znajduje się dalszy wykaz imienny urzędników MSZ z podaniem kategorii, tytułu, stopnia służbowego, przydziału. Widać z niego jak znikoma była liczba utytułowanych osób w MSZ. Ilości osób z ziemiaństwa trudniej jest ustalić, ale i ich liczba była nieznaczna. W Protokole Dyplomatycznym w latach dwudziestych przeważali ludzie utytułowani. Dyrektorem był Stefan Przeździecki, jego zastępcą Jerzy Tarnowski, do Protokołu należał też Rajmund Przeździecki i ja przez jakiś czas byłem do niego przydzielony. Wtedy Protokół Dyplomatyczny

rzeczywiście składał się w większości osób utytułowanych o historycznych nazwiskach, było to jednak zrozumiałe, gdyż szło o osoby obeznane ze zwyczajami towarzyskimi i znające się na wymogach protokolarnych. Wyciąganie z tego wniosku, że arystokracja i ziemiaństwo nadawały ton MSZ — byłoby błędne.

ER: Nie! Przed 1926 r. ton nadawali „partyjnicy” którzy należeli lub nie należeli do optymatów, a po 1926 „Sanatorzy”. Tzw. „dobre towarzystwo” szukało sobie zajęcia czy to w protokole czy to w bardziej popularnych placówkach.

TR: Było to zjawisko raczej powierzchowne, występujące zwłaszcza na placówkach a nie tyle w Centrali i to pod kątem widzenia pewnego snobizmu a nie orientacji politycznych lub partyjnych.

ZS: Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie było instytucją elitarną, cieszyło się jednak w społeczeństwie pewnym prestiżem — mimo że czasem odzywano się o nim z przekąsem, że wspomnę tu wyrażenie: „bubek z MSZ” lub — Nowaczyńskiego: „synekurnik” (rok 1919).

Ze względu na znajomość języków, a również — na wyrobienie i ogładę towarzyską, tak bardzo ułatwiającą stosunki między ludźmi, względnie duży procent przedstawicieli arystokracji i ziemiaństwa sprawiać mógł wrażenie, że sfery te nadają ton i charakter Ministerstwu. Tak jednak było tylko po części, i to — zależnie od okoliczności.

Pamiętam np. że podsekretarzem stanu i negocjatorem traktatu pokojowego w Rydze był Jan Dąbski, ludowiec chłopskiego pochodzenia. B. naczelnik Wydziału Wschodniego, Tadeusz Hołwko, też nie zaliczał się do wyższych warstw społeczeństwa. Ale na ogół MSZ składało się na początku — poza wspomnianymi arystokratami i ziemianami — z inteligencji szlacheckiej i mieszczańskiej, nierzadko żydowskiej. Pod względem pochodzenia czy przynależności klasowej nie było w MSZ nigdy jakiegokolwiek dyskryminacji. Dość liczni byli w nim naukowcy, jak choćby Narutowicz, oraz inni profesorowie — ówcześni: J. Wierusz Kowalski, Stanisław Kętrzyński oraz późniejsi: Michał Sokolnicki, Wł. Günther, Wacław Lednicki.

JT: Owszem, dość liczni przedstawiciele ziemiaństwa nadawali pewien ton, ton większej kultury i obycia w sferach międzynarodowych, co było z korzyścią dla początkującej służby zagranicznej. Osobiście nigdy nie zauważyłem by ci koledzy kogokolwiek traktowali z góry. Raczej odznaczała się tym, że koniecznie chcieli się wszystkim pochodzącym ze skromniejszych środowisk przypodobać.

4. Czy istotnie byli dyplomaci austriaccy odgrywali dominującą rolę w MSZ i w jakim okresie?

EB: Jeśli rolę byłych dyplomatów austriackich można by uznać za szczególnie poważną w MSZ to chyba tylko w pierwszym okresie jego istnienia. Zresztą była ona na pewno mniejsza niż w tym samym czasie w innych resortach (np. MSWewn. czy Min. Skarbu). Już bowiem w tym pierwszym okresie pierwszoplanową rolę odgrywały tam osoby w żaden sposób nie związane z b. dyplomacją austriacką jak Kajetan Morawski, Roger i Edward Raczyńscy, Maurycy Zamoyski, Konstanty Skirmunt, Alfred Chłapowski. Filarami „Austriaków” byli w tym okresie chyba głównie Karol Bader, Władysław Skrzyński i Alfred Wysocki.

RD: Służba zagraniczna Austro-Węgier podzielona była na dwa całkowicie oddzielne działy, na dyplomację i służbę konsularną. Kryteria rekrutacji były różne. Aspirant do dyplomacji, poza studiami uniwersyteckimi, musiał wykazać się stanowiskiem społecznym i stanem majątkowym odpowiednim dla reprezentacji. Natomiast służba konsularna rekrutowała się wyłącznie z absolwentów Akademii Konsularnej w Wiedniu, którzy po 5-ciu latach wszechstronnych studiów w tej szkole-internacie, obejmujących wiele języków, przydzielani byli rok-rocznie w liczbie około 10-ciu do konsulatów za granicą. Przechodzenie ich do dyplomacji było raczej trudne i rzadko stosowane.

W chwili organizowania MSZ w Warszawie w dyplomacji Austro-Węgier służyło dwóch Polaków: Aleksander Skrzyński i, o ile wiem, Władysław Skrzyński, którzy natychmiast zostali do polskiej służby powołani. Natomiast ze służby konsularnej zostało przyjętych kilka osób z b. konsulem w Brazylii Karolem Bertonim na czele. Nie sędzę by ci ostatni, prócz może Bertoniego, który objął sprawy personalne i administracyjne, „odgrywali dominującą rolę”, podobnie jak to się działo w innych państwach sukcesyjnych — w Austrii, na Węgrzech i w Czechosłowacji; tam konsularni urzędnicy Austro-Węgier cieszyli się względami jako doświadczony element odnośnych narodowości. Czechosłowacja np. mianowała na dość ważne stanowiska pp. Lejhanec, Subrt, Krupka i innych.

WJ: W pewnych latach służby zagranicznej dyplomaci austriaccy na pewno odgrywali dużą rolę. Dyplomatów rosyjskich i niemieckich prawie nie było, polskich minimalnie. Urzędnicy austriaccy mieli rutynę pracy i oni organizowali bieg urzędowania aparatu ministerstwa, jak np. dyrektor Dept. Administracyjnego Karol Bertoni.

SL: Byli dyplomaci austriaccy odegrali rolę w kształtowaniu MSZ, ale nie była to rola dominująca. Władysław Skrzyński był podsekretarzem stanu w 1919 roku. W pierwszym rządzie dyplomata, a nie administrator, był bardzo zajęty kierownictwem ministerstwa, zwłaszcza w czasie Konferencji Wersalskiej. Natomiast znaczną rolę w formowaniu MSZ odegrał Bertoni. Był on typowym urzędnikiem, sumiennym, bez szerszych horyzontów. Chwiejny i bojaźliwy był typem dobrego administratora, bez ambicji twórczych. Aleksander Skrzyński, polityk i dyplomata, niewątpliwie najlepszy nasz minister Spraw Zagranicznych, był fachowcem, ale sprawom wewnętrznym ministerstwa nie wiele poświęcał czasu, chociaż za jego urzędowania wiele spraw związanych z organizacją i statusem urzędników służby zagranicznej zostało uporządkowanych, co przyczyniło się do stabilizacji stosunków w MSZ. Służbę sztyfrową zorganizował były urzędnik austriacki, wybitny fachowiec w tej dziedzinie. Wreszcie Jan Szembek. Został on podsekretarzem stanu za czasów Becka; przedtem był na placówkach zagranicznych. Wytrawny dyplomata był lojalnym i dokładnym wykonawcą woli ministra Spraw Zagranicznych i poza fachową techniką nie wpływał na sprawy wewnętrzne ministerstwa.

Na organizację i charakter MSZ wpłynął w okresach I i II bardzo dodatnio Stefan Przeździecki. Obok dyrektorstwa Protokołu Dyplomatycznego był on długotrwałym dyrektorem Gabinetu Ministra przy wielu zmieniających się ministrach i na tym stanowisku odegrał bardzo pożyteczną rolę w kształtowaniu ministerstwa oraz oblicza i charakteru polskiej służby zagranicznej. Dużą rolę w ukształtowaniu służby konsularnej odegrał Karol Poznański, autor ustawy konsularnej.

ER: Tak, w pierwszym okresie bardzo wydatna. Karol Bertoni był jednym z organizatorów Centrali i synonimem oświeconej biurokracji. Obaj Skrzyńscy, przede wszystkim Aleksander, odegrali rolę kierownicze. Wspomnieć tutaj muszę także Okęckiego i Zygmunta Michałowskiego. Ci dwaj nie odgrywali roli kierowniczej, ale uchodzili za kompetentnych szefów placówek. Jan Szembek wyróżnił się w czasie urzędowania Józefa Becka, podobno na skutek wyraźnego życzenia Marszałka Piłsudskiego, który go lubił i prawdopodobnie uważał że był on potrzebny dla dokończenia min. Becka.

TR: Pamiętać należy, że w służbie dyplomatycznej i konsularnej zaborów Polski nasi rodacy jedynie w Monarchii austro-węgierskiej bywali liczni i zajmowali nieraz wpływowe a nawet naczelne

stanowiska. W Rosji bywały to raczej rzadkie wypadki a w Niemczech zupełne wyjątki. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że zwłaszcza u zarania odrodzonej polskiej służby dyplomatycznej i konsularnej koledzy z dawnej szkoły austriackiej byli względnie liczni, dysponując cennym dla nas doświadczeniem i dobrą znajomością techniki. Tak więc pierwsze szyfry dyplomatyczne zawdzięczamy znawcom z dawnej służby austriackiej i rosyjskiej a problemy protokółarne, stylistyczno-korespondencyjne i organizacyjne były pomyślnie rozwiązywane w okresie wstępnym przy pomocy kolegów z dawnej dyplomacji austriackiej. Wiązały się z tym jednak czasem nieoczekiwane kłopoty. Przyglądałem się im z bliska, gdy do nowopowstałego Poselstwa polskiego w Paryżu przydzielono z Warszawy jako Radcę i mego bezpośredniego zwierzchnika, b. radcę legacyjnego ze służby austriackiej, Jurystowskiego, który długie lata spędził na placówkach bałkańskich. Ponieważ jednak ten teren był przedmiotem nieustannej i żaźartej walki między wpływami francuskimi i austriackimi, przeto Quai d'Orsay bojkotowało tego naszego wartościowego i miłego kolegę, który niejednego ważnego szczegółu służby nas nauczył. W rezultacie sam wyręczać go musiałem w odwiedzaniu francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

ZS: Co do dawnych dyplomatów austriackich, o których już była mowa, najwyżej zasłuli obaj Skrzyńscy, choć nie stanowili oni jakiegoś klanu. Po Bertonim, który odszedł po Maju, do Centrali przybyli: wspomniany już wyżej Alfred Wysocki, a później — Jan Szembek. Obaj zajęli to samo stanowisko: podsekretarza stanu, a jednocześnie i dyrektora Departamentu Politycznego. Wpływy austriackie zaznaczyły się raczej na samym początku. Wyraziły się one we wprowadzeniu pewnych norm i form urzędowania, jak również — swoistego języka biurowego.

JT: Najliczniejsi byli b. konsulowie austriaccy. Ci byli traktowani z góry przez b. austriackich dyplomatów z Ballplatzu. Ich rutyna administracyjna była bardzo pożyteczna. Prawdziwego wpływu nie mieli. Przeważnie byli bojaźliwi. Jeden z naszych najwybitniejszych dyplomatów „pochodzenia” austriackiego powinien był dojść, dzięki wspaniałej znajomości swego fachu i inteligencji, do najwyższych stanowisk. Mimo że bardzo się zbliżył a może nawet zapisał do partii Ludowej, skończył zaledwie jako ambasador przy Watykanie. Nie został odpowiednio wykorzystany. Alfred Wysocki był ex-Hofratem z Namiestnictwa (zdaje się), nigdy konsulem ani dyplomata. Jednak „Austriacy” trzymali się i wspierali wzajemnie.

5. Jak duży był wpływ osób, które przychodziły do MSZ z wojska i czy wprowadzały one odmienny styl czy przyjmowały styl MSZ?

EB: Sądzę że nie należałoby przeceniać wpływu osób przybyłych z wojska na „styl” MSZ. Oczywiście wtargnięcie tych „obcych ciał” w dużej ilości do organizmu zamkniętego i — jak mi mówiono — nieco wtedy sklerotycznego, nie odbywało się bezboleśnie tym bardziej że niektórzy z tych wojskowych poczynali sobie — jak mi opowiadano — dość hałaśliwie i buńczucznie (w stylu „my wam pokazemy”, „przysłano nas tu dla łamania kości”, „skończyć z tą bandą degeneratów”) i że temu „wpuszczaniu nowej krwi” towarzyszyło niekiedy dość bezceremonialne i bezwzględne usuwanie pracowników nieraz zasłużonych i doświadczonych, ale którzy „nie leżeli w linii” ówczesnego dyktatora personalnego MSZ. Ale już dość szybko (w każdym razie wiele szybciej niżby się tego można było spodziewać) owi „łamacze” zaczęli mówić tonem cichszym, mniej „wojskowym” przyswajając sobie maniery i sposoby bycia stosowane w MSZ.

Zauważmy, że w chwili wybuchu wojny na kierowniczych stanowiskach *politycznych* znajdował się tylko jeden wojskowy — dyrektor wydziału wschodniego Kobylański — „cywilami” natomiast byli zarówno wiceminister jak dyrektor gabinetu ministra oraz dyrektorowie wydziałów organizacji międzynarodowych, zachodniego i prasowego tudzież radca prawny. Wojskowi natomiast utrzymali się na stanowiskach kierowniczych głównie w departamencie konsularnym, pozostającym w rękach tego który kierował równocześnie Biurem Personalnym. Tak więc próby narzucenia MSZ’etowi „stylu wojskowego”, jeśli nawet takie istotnie były, należy uznać za zakończone niepowodzeniem co nie umniejsza w niczym bardzo istotnych nieraz osobistych wartości jakie wielu z tych wojskowych wniosło do resortu.

RD: Oficerowie odkomenderowani lub oddani do dyspozycji MSZ w latach 1931-33 mieli tylko niewielkie wpływy w Departamencie politycznym MSZ. Natomiast w dziale administracji, konsularnym i personalnym dała się odczuć różnica mentalności i zapleczka tej dość licznej grupy, niezharmonizowanej z większością urzędników, mających niemal 10-letnie doświadczenie.

WJ: Jak wykazuje prowizoryczna lista urzędników MSZ pochodzących z wojska (stan na 1 kwietnia 1937), liczba ich wynosiła 29 osób, co w stosunku do stanu liczebnego 497 etatowych

urzędników stanowi 6%¹. Mimo tak małej ilości, urzędnicy z wojska wprowadzili istotnie inny styl pracy, zwłaszcza w centrali w stosunku do poprzedniego. Mniej biurokracji, więcej decyzji. To samo było na placówkach, gdy kierownikiem jej był wojskowy, zwłaszcza w konsulatach.

SL: Dotychczasowe odpowiedzi na pytania ankiety dotyczyły okresów sprzed maja 1926; pytanie 5 wprowadza nas w okresy po maju 1926. Po wypadkach majowych ministrem Spraw Zagranicznych został August Zaleski. Zajął on w stosunku do MSZ stanowisko zachowawcze i nie dążył do przemian. Nie mniej, podobnie jak w całym kraju, wpływy „sejmowe” zostały w MSZ zastąpione przez wpływy „sanacyjne” lewicującego odłamu. W MSZ odegrał wtedy rolę wpierw Roman Knoll, potem Marian Szumlakowski, który miał dziwny, bezceremonialny wpływ na Zaleskiego. W tym okresie przybyło do MSZ kilku wojskowych. Była to pierwsza „militaryzacja” ministerstwa. Ale byli to wyżsi wojskowi, ludzie starsi, którzy nabyli już doświadczenia międzynarodowego i życiowego na stanowiskach attachés wojskowych lub innych. Szybko wciągnęli się oni w rodzaj pracy ministerstwa i w jego charakter i stali się pożytecznymi pracownikami MSZ. Natomiast nie można tego powiedzieć o kapitanie Drymmerze i innych młodszych wojskowych, którzy dostali się później do ministerstwa przez protekcję i nie mając kwalifikacji nie przyczynili się do podniesienia poziomu służby zagranicznej.

Drymmer został mianowany przez ministra Becka w 1931 r. szefem wydziału personalnego z zadaniem — jak to określił w swych Wspomnieniach — zrobienia „porządku” w MSZ. Zadanie to wypełniał przez masowe zwalnianie dawnych urzędników przede wszystkim należących lub związanych ideowo z partiami demokratycznymi, zwłaszcza z narodową demokracją, i przyjmowanie na ich miejsce młodszych ludzi subiektywnie przez siebie dobieranych. Tych przez Drymmera protegowanych ludzi przezywano „komsomolcami”. Po odbyciu praktyki miano-

1. Lista sporządzona przez W. Jędrzejewicza jest zastąpiona na str. 155 tabelą z artykułu Piotra Stawckiego, *O Dominacji wojskowych w państwowym aparacie cywilnym w Polsce w latach 1926-1939, Wojskowy Przegląd Historyczny*, nr 3 (35), 1965, str. 344-45. Porównując ją z tabelą Stawckiego w jego: *Następcy Komendanta* (Warszawa, 1969), str. 256-257 i listą Jędrzejewicza otrzymujemy jeszcze następujące nazwiska: Marian Uzdowski (1890) konsul w Czerniowcach, Jan Heleman (1894) radca w gabinecie ministra, Stanisław Hempel (1891) poseł w Teheranie, Adam Lisiewicz (1892) radca, Władysław Malinowski (1899) kierownik referatu i Adam Mikucki (1892) konsul w Bukareszcie.

wani oni byli przedwcześnie na różne stanowiska, do których nie byli dostatecznie przygotowani, co było niefortunne, zwłaszcza w wypadkach nieopatrznego wysyłania ich na placówki za granicę, gdzie nie mając wyrobienia lub nie nadając się do tego, obniżali opinię o polskiej służbie zagranicznej wśród obcych. Ponieważ jednak dawni urzędnicy nadal przeważali, szkoda wyrządzona polityką personalną Drymmera była ograniczona. Mimo to polityka „demokratyzacji” i „porządkowania” ministerstwa odbiła się ujemnie na charakterze i sprawności MSZ.

Nominacja Józefa Becka na stanowisko ministra Spraw Zagranicznych miała duży impakt na metodę pracy i charakter MSZ. Beck był zwolennikiem koncentracji pracy w małym gronie zaufanych współpracowników. Taką komórką stał się Gabinet Ministra w MSZ. Inne działy, nawet departament polityczny, skazane zostały faktycznie na techniczną pracę biurową. Zdarzało się, że dyrektorowie departamentów, a nawet podsekretarz stanu, nie byli poinformowani o sprawach załatwianych w Gabiniecie Ministra. Odbijało się to na stylu pracy ministerstwa. Nie chcę oceniać, czy taki system pracy był korzystny; w każdym razie odpowiadał on charakterowi Becka.

Było dla mnie zagadką, dlaczego Beck który umiał dobrać do swego Gabinetu najlepszych urzędników, wybrał na szefa personelu Drymmera, który do tego zupełnie się nie nadawał. Szefem personelu w ministerstwach spraw zagranicznych jest zawsze doświadczony długoletni urzędnik, o zrównoważonym charakterze, dobry psycholog posiadający znajomość ludzi i służby zagranicznej. Tych danych Drymmer nie posiadał w najmniejszym nawet stopniu. Jeżeli mimo to Beck wybrał Drymmera, to sądzę że kierował się względami na *security*. Beck miał uraz na tle zachowania tajemnicy. Uważał, że urzędnik powinien wiedzieć tylko o tych sprawach, które załatwia. W osobie Drymmera widział widocznie najlepszego człowieka dla zapewnienia bezpieczeństwa w MSZ. Czy i pod tym względem wybór był trafny — pozostawiam na boku. Jednak 3 sprawy o podłożu przestępczym, które zdarzyły się za czasów Drymmera, miały miejsce właśnie wśród bliskich współpracowników lub protegowanych Drymmera. A spośród „komsomolców” nikt się specjalnie w MSZ nie wybił.

ER. Sądzę, że przyjmowali styl MSZ, bo ci z wojska to byli przecież głównie politycy przez pewien czas w mundurach za czasów legionowych.

TR: W tym czasie byłem radcą Poselstwa RP przy Królu włoskim. Trudno mi zatem wypowiedzieć się miarodajnie o wpły-

wach i nastrojach w centrali. Wyczerpująco opisuje ten okres Tomir Drymmer we Wspomnieniach, które się ukazały w *Zeszytach Historycznych*. W pewnym stopniu ja sam padłem ofiarą tzw. „zaszerogowania”, wprowadzonego przez niego do MSZ a dotyczącego stopnia służbowego urzędników. Przy pierwszej mojej bytności w Warszawie zapytałem Ministra Becka czy miało to być wyrazem braku zaufania do mnie, bowiem w takim razie zmusiłoby mnie to do opuszczenia służby zagranicznej. Minister odpowiedział, że posiadam pełne zaufanie władz MSZ, o czym się wkrótce przekonam. Istotnie niebawem zostałem mianowany Posłem w Portugalii we właściwym stopniu służbowym. Jeśli chodzi o placówki to ich styl wzorował się nadal raczej na wzorach i atmosferze międzynarodowej dyplomacji dzięki stałemu przebywaniu w tym środowisku.

ZS: Do Maja 1926 roku wypadki przechodzenia do MSZ wprost z wojska były raczej wyjątkami; po Maju — z biegiem czasu — stały się niemal regułą. Tadeusz Kobyłański, Ignacy Matuszewski*, Wacław Jędrzejewicz, Wiktor Tomir Drymmer, Tadeusz Schaetzel odegrali lub odgrywali — aż do wojny — dużą rolę w zakresie powierzonych im spraw. Nie mówię już o Józefie Becku, najpierw podsekretarzu stanu, a potem ministrze Spraw Zagranicznych.

Styl Ministerstwa Spraw Zagranicznych po jego wejściu do niego zmienił się, oczywiście, znacznie. Przez pewien czas, w okresie wielkiej „czystki”, niejeden urzędnik dślał o swój los — niekiedy z pełnym uzasadnieniem. Działy się wówczas liczne niesprawiedliwości i samowole — jak i potem — z tzw. zaszerogowaniem, kiedy to odbierano prawa już nabyte, obniżając niektórym urzędnikom pobory odpowiadające ich stopniom służbowym, zastąpionym w tym celu tzw. kategoriami płac. Później jednak stosunki się ustabilizowały i wszystko powróciło do jakiejś normy. Nie było też — jak sądzę — nadal atmosfery policyjnej, która poprzednio panowała.

Większość stanowisk zarówno w Centrali, jak na placówkach, zajmowali nie wojskowi, lecz starzy urzędnicy, a sam Beck, w swym najbliższym otoczeniu, miał jako dyrektorów Gabinetu: najpierw Romana Dębickiego a potem Michała Łubieńskiego. Sekretarzami byli zawsze cywile. Zastępcą dyrektora, ale tylko dla administracji funduszu specjalnego, był wojskowy — kpt. Seweryn Sokołowski. Również Protokół Dyplomatyczny po

* „Cyrułik warszawski” (Jan Lechoń) napisał wtedy że MSZ oznacza: „Matuszewski Strzeże Zaleskiego”.

śmierci dyr. Karola Romera znalazł się w ręku mjr. Aleksandra Łubieńskiego.

Poza T. Kobylańskim, który po T. Schaetzlu objął kierownictwo Wydziału Wschodniego, innymi wicedyrektorami Dptu Politycznego byli cywile: Józef Potocki i Tadeusz Gwiazdowski.

Szczęśliwą innowacją za czasów Becka i Drymmera było założenie Klubu Urzędników MSZ, ułatwiającego kontakty osobiste i wzajemne poznawanie się na gruncie towarzyskim.

JT: Owszem wojskowi („najazd bandytów na idiotów” według powiedzenia Romana Knolla) wprowadzili początkowo zdumiewający styl. Nastąpiła moda by mówić „byczo jest”, „Rozkaz”, „wodzu”, „dobra jest jak jest” przy trzaskaniu kopytami, stawaniu na baczność przed tymi wojskowymi, jednym słowem przypodobanie się narzuconej, niekompetentnej elicie, co do której rząd po-majowy był pewny że „nie zdradzi” i że „kocha” Komendanta.

6. *Czy należy rozróżniać pomiędzy osobami, które przychodziły wprost z wojska a tymi, które uprzednio zajmowały stanowisko attaché wojskowego?*

RD: Na Attachés wojskowych Sztab gen. wyznaczał oficerów dyplomowanych, z wysokimi kwalifikacjami zawodowymi; tylko nieliczni, którym zawód wojskowy nie odpowiadał, lub nie widzieli dla siebie w nim przyszłości, przeszli do cywilnej służby.

WJ: Byli attachés wojskowi mieli z konieczności większe wyrobienie w służbie dyplomatycznej w stosunku do swych kolegów, którzy przyszli do MSZ wprost z wojska. Tak np. I. Matuszewski (attaché wojskowy w Rzymie), T. Schaetzel (w Ankarze), T. Kobylański (w Bukareszcie), R. Michałowski (Bukareszt i Londyn), W. T. Drymmer (Tallin), W. Jędrzejewicz (Tokio, gdzie był chargé d'affaires przez przeszło dwa lata) — na pewno wnieśli do MSZ duże doświadczenie z pracy dyplomatycznej za granicą. Inni wnieśli doświadczenie administracyjne, większą dyscyplinę pracy i jej odpowiedzialności (Chodacki — Komisarz Generalny w Gdańsku, Kawałkowski, Kara, Kwiatkowski, Lisiewicz — kierownicy konsulatów).

SL: Tak — między osobami, które przychodziły wprost z wojska, a tymi którzy byli attaché wojskowymi, należy niewątpliwie rozróżniać.

ER: Nie mam zdania.

TR: Oczywiście, ponieważ przystosowanie się do nowego śro-

dowiska i zwyczajów wymaga pewnego czasu nawet dla najpodatniejszych jednostek.

ZS: Wszyscy wojskowi — poza S. Sokołowskim — którzy zajmowali w MSZ odpowiedzialne stanowiska, byli oficerami dyplomowanymi i b. attachés wojskowymi lub ich zastępcami (Schaetzel był poprzednio radcą ambasady w Paryżu z tytułem ministra pełnomocnego).

JT: Tu trzeba by przytoczyć nazwiska, bo oba znane mi wypadki attachés wojskowych którzy zostali „odkomenderowani” do MSZ dostali się na Wierzbową, bo ich wydalono (*for all practical purposes*) z wojska.

Przeważnie jednak element wojskowy pochodził z Legionów i ta warstwa była wybitnie uprzywilejowana w międzywojennej Polsce, często niezależnie od kwalifikacji.

7. Czy polityka personalna, w sensie dopływu młodszej kadry upodabniała się do polityki stosowanej we Francji, Anglii lub jakimkolwiek innym państwie?

EB: O ile mogłem się przekonać (a utwierdziły mnie w tym mniemaniu nie tylko dokonane porównania ale i rozmowy przeprowadzone z odpowiedzialnymi czynnikami szeregu obcych Ministerstw Spraw Zagranicznych) polityka kształcenia młodych kadr była w polskim MSZ o wiele lepsza niż np. we Francji czy we Włoszech. Słynny „concours” *rozpoczął* we Francji karierę młodego kandydata na dyplomatę bez tego by nie wiedziano czy jego charakter, podejście do ludzi, takt, wyrobienie — predysponują go do pracy w resorcie stawiającym tak wielostronne wymagania. W Polsce natomiast konkursowy egzamin dyplomatyczny (poprzedzony praktyką w poszczególnych dykasteriach Centrali trwającą łącznie rok) był uwieńczeniem dwuletniej zwyczaj pracy na jednej lub kilku placówkach zagranicznych, gdzie młody kandydat zapoznawał się w teorii i praktyce z wszystkimi aspektami pracy tej placówki dając przy tym poznać przełożonym swe uzdolnienia i cechy charakteru. Można by powiedzieć że po zdaniu tego egzaminu młody polski dyplomata byłby właściwie już zdolny do samodzielnego kierowania mniejszą placówką konsularną (przypomnijmy że nie było u nas różnienia między „korpusem” dyplomatycznym a konsularnym a tylko jedna „służba zagraniczna” co należy uznać za fakt zdecydowanie dodatni), czego bezwarunkowo nie można by było powiedzieć np. o jego koleździe francuskim choćby zajął on w *concours* najbardziej zaszczytne miejsce. Ustalenie tej metody postę-

powania i konsekwentna jej realizacja jest wielką zasługą kierownika Biura Personalnego, cokolwiek można by było powiedzieć o stronnicych może niekiedy kryteriach jakie kierowały nim przy doborze tych młodych kandydatów a o których to kryteriach pisze on zresztą otwarcie w swych Wspomnieniach.

RD: Nie ma analogii między narodem, organizującym z niczego swoje urzędy a np. Anglią, gdzie napływ urzędników uregulowany jest od generacji tradycją (studia w Eton, po czym Oxford lub Cambridge) lub Francją, mającą doświadczenia takich tuzów dyplomacji jak Paul i Emile Cambon, Camille Barrère i in. Ale element ideowy i obserwacja służby zagranicznej innych państw doprowadziły, już w ciągu kilku lat istnienia MSZ, do ustalenia pewnych norm polityki personalnej, opartych głównie o wzory Zachodu.

WJ: Jednym z ważniejszych, zdaniem moim, elementem, jaki wnieśli wojskowi do centrali MSZ były wysiłki zlania służby dyplomatycznej i konsularnej w jedną całość służby zagranicznej. Znam ten problem dobrze, gdyż podczas mej pracy w centrali sam go bardzo silnie realizowałem przy pomocy i zrozumieniu Wydziału Osobowego (Antoni Roman) i wiceministra Wysokiego, a potem Becka.

Było to novum w międzynarodowej służbie dyplomatycznej, obserwującej bardzo ściśle podział tych dwóch służb z tym przekonaniem, że służba dyplomatyczna jest „czymś lepszym” od konsularnej.

Za moich czasów w MSZ stworzyliśmy Klub Urzędników Służby Zagranicznej z własnym lokalem i restauracją, gdzie urzędnicy centrali wszystkich departamentów (politycznego, konsularnego i administracyjnego) mogli się spotykać i bliżej kontaktować między sobą oraz z kolegami, przyjeżdżającymi z placówek.

Klub organizował wykłady, zapraszając także prelegentów z zewnątrz.

Zorganizowane zostały parutygodniowe kursy dla przeszkolenia urzędników nie tylko z centrali, lecz głównie z placówek (dostawali na to urlop i koszta przejazdu oraz diety na pobyt w Warszawie). Wykładali starsi urzędnicy centrali i zaproszeni znawcy polityki wewnętrznej, ekonomicznej i skarbowej, którzy informowali urzędników dłużej przebywających za granicą o sytuacji w Polsce, o której często mało wiedzieli. Pamiętam takie doskonałe wykłady pośła Miedzińskiego. To „przeszkolenie” było zaczerpnięte z metod wojska.

SL: Nie sędę, aby polityka personalna w MSZ upodobniała się do polityki stosowanej we Francji lub w Anglii. W pierwszych 3-ch okresach MSZ, z braku stałego podsekretarza do spraw personalnych, polityka personalna była nierówna, a w ostatnim okresie dyletancka.

ER: Starano się o upodobnienie stawiając wymagania ukończenia prawa i kursu ekonomii politycznej ponadto języków oraz odpowiedniego zachowania się. To ostatnie nie w tym stopniu w jakim wymagane jest np. w Anglii. W. T. Drymmer próbował ponadto wychowywać młody narybek „ideowo” — to ostatnie w wielu wypadkach niefortunnie.

TR: Polityka personalna w służbie zagranicznej wymaga, moim zdaniem, długiej i nieprzerwanej tradycji, której Polskę pozbawił okres rozbiorowy. Posiadały ją więc Francja i Anglia, a myśmy nie zdołali jej w pełni odzyskać w często zakłócanych warunkach życia publicznego w międzywojniu.

ZS: Do Maja dopływ młodych ludzi do MSZ był zupełnie przypadkowy. Wymagano, oczywiście, wyższych studiów. Protekcja (niekiedy partyjno-polityczna) też grała czasem rolę. Z upływem lat — już po Maju — wprowadzono dla nowowstępujących egzaminy — na wzór innych państw, np. Francji. Egzaminowani przechodzili przedtem praktykę dyplomatyczno-konsularną, a po pomyślnym zdaniu egzaminu otrzymywali z reguły „ósemkę” (to jest dawniej ósmy stopień służbowy, a potem kategorię płać).

Raz jeden — w zastępstwie nieobecnego kolegi, Pawła Morsztyna — należałem do jury komisji egzaminacyjnej, egzaminując z francuskiego. Muszę powiedzieć, że — poza nielicznymi wyjątkami — znajomość francuszczyzny nie była bardzo dobra.

Dodać tu należy, że wśród zgłaszających się byli tylko ci, których lojalność wobec reżymu pomajowego nie mogła budzić wątpliwości.

8. *Jakie kryteria odgrywały główną rolę w awansowaniu na wyższe szczeble?*

RD: Jak wszędzie o awansach decydowały nabyte doświadczenie, ilość lat służby, zasługi czy specjalne osiągnięcia oraz ocena pracy i postępu danego urzędnika przez bezpośredniego szefa.

WJ: Przy awansach stosowano kryterium odpowiedzialności w pracy, aktywności w stosunkach zewnętrznych, stosunek lojal-

ności do państwa, wyrobienie ogólne i przede wszystkim charakter urzędnika.

SL: Przy awansach zazwyczaj są brane w rachubę oceny kwalifikacyjne. W MSZ, podobnie jak w innych urzędach, istniał system corocznych kwalifikacji. Mam wrażenie, że w wyniku braku stałego podsekretarza stanu, kwalifikacje były czasami subiektywnie ustalane.

ER: W tym punkcie myślę przede wszystkim o erze Augusta Zaleskiego i Józefa Becka. Oni dobierali sobie współpracowników na wyższych szczeblach. Kilkoma stanowiskami specjalnie interesował się Marsz. Piłsudski (Naczelnik Wydz. Wschodniego, Ambasador w Moskwie etc.). Przed ich erą toczyły się o wyższe stanowiska boje partyjne.

TR: Kwalifikacje osobiste i zawodowe oraz uprzednie osiągnięcia, ale także względy materialne, stosunki, obrotność a czasem niestety przypadkowość, bo na rutynę prawidłową brakło czasu i spokoju.

ZS: Kryteria w awansowaniu na wyższe szczeble nie były sprecyzowane. Dawniej ludzie po prostu wybijali się własną pracą i zdolnościami; niekiedy — jak już pisałem — bywały wypadki protekcji. Do śmierci Marsz. Piłsudskiego minister A. Zaleski, a potem J. Beck, uzgadniali z nim nominacje na wyższe stanowiska w Centrali i na placówkach. Polityka personalna zależała w ostatnich latach od W. T. Drymmera, który na stanowiska od radcy czy konsula generalnego w dół — zwłaszcza na placówkach — przedkładał podobno min. Beckowi po trzy kandydatury do jego wyboru. Dodać należy, że dostęp do Becka był bardzo trudny i że pracował on w Ministerstwie z bardzo nielicznym gronem osób. Większości urzędników nie znał i znać nie mógł. Min. Szembek był od spraw personalnych odsunięty i zajmował się wyłącznie polityką zagraniczną.

JT: Bardzo trudne do określenia. Powiedziałbym, że na początku polityczne. Jednym z naszych najwybitniejszych ambasadatorów był niewątpliwie Konstanty Skirmunt, były członek z wyboru Cesarsko-Rosyjskiej Rady Państwa. Mimo wielkiego obycia, znajomości języków itp., przypisuję jego karierę temu, że nigdy nie wahał się pójść na audiencję do Cesarzowej-Matki, by u niej wyjednać łaskę dla skazanych na śmierć klientów adwokata Patka (chodziło naturalnie o skazańców politycznych, Polaków).

Jednym słowem kryteria były często rezultatem przypadku. Czasami nabierania władz.

9. *Jeśli chodzi o znajomość języków obcych, czy MSZ premiowało w jakiś sposób znajomość języków mniejszych krajów, np. Europy Środkowo-Wschodniej?*

EB: MSZ (co było niewątpliwie zjawiskiem niepomysłnym) nie premiowało znajomości języków mniejszych krajów.

RD: Znajomość języka lokalnego, nabyta w ciągu roku lub dwóch na placówce, była normalnie ułatwieniem pracy urzędnika, ale nie przynosiła mu żadnych korzyści ze strony MSZ.

WJ: W moich czasach nie zwracano na to większej uwagi, nie słyszałem o żadnych premiach. Opiekowaliśmy się specjalnie tymi, którzy znali języki egzotyczne (arabski, chiński) lecz nie kładziono na to dostatecznej uwagi.

SL: O ile mi wiadomo MSZ nie premiowało znajomości języków państw mniejszych.

ER: Nie. Premii u nas nie było, egzaminy z języków były dosyć luźne, ja np. egzaminowałem kandydatów z angielskiego.

TR: Nie spotkałem się z tym osobiście.

ZS: Znajomość obcych języków w MSZ nie stała zbyt wysoko. Dawni urzędnicy austriaccy mówili naturalnie bardzo dobrze po niemiecku, ale z francuszczyzną, a zwłaszcza z angielszczyzną, było o wiele gorzej. Byli oczywiście specjaliści w obu tych językach, a przy tym istniało Biuro Tłumaczeń (pani Wortmanowa). Języków środkowo-europejskich właściwie się nie uczono, a znajomość ich zdobywano niekiedy na samych placówkach (czeski, słowacki, serbski, rumuński). Rosyjski znali jedynie starsi wiekiem urzędnicy z b. zaboru rosyjskiego lub z Kresów. Oczywiście na placówki w Związku Sowieckim wybierano ludzi władających językiem rosyjskim, tak jak na placówki w Niemczech — językiem niemieckim.

10. *Czy podejmując studium socjologiczne personelu MSZ (pochodzenie, zamieszkanie, wykształcenie etc.) byłoby celowe — dla uzyskania reprezentatywnego obrazu MSZ — ograniczenie się do grupy najwyższej, obejmującej ambasadorów, posłów, radców ambasad i poselstw, pierwszych sekretarzy, a w centrali dyrektorów departamentu i naczelników wydziałów i ewentualnie ich zastępców?*

EB: Konsekwentna polityka personalna zaczęła w ostatnich latach przedwojennych dokonywać istotnych (choć może mniej

dalekosiężnych niż się to zdaje) zmian w strukturze socjologicznej MSZ. Z wyjątkiem jednak wojskowych (vide p. 5) nie zdołały one jeszcze osiągnąć wyższych szczebli w resorcie. Tym niemniej — dla pełnego jego obrazu — ograniczanie się jedynie do „grupy najwyższej” byłoby może niewskazane.

RD: Oczywiście odpowiedzi na to pytanie udzielić będą mogli raczej długoletni urzędnicy, którzy piastowali ważne pozycje w służbie MSZ.

WJ: Myślę, że wystarczy ograniczyć się do wyższych urzędników z tym, że trzeba to rozszerzyć na kierowników samodzielnych referatów.

SL: Przy podejmowaniu studium socjologicznego personelu MSZ nie należałoby się ograniczać do grupy najwyższej, lecz objąć nim też grupę średnią.

ER: Może tak.

TR: Sądzę, że raczej tak, bowiem okres normalny odzyskanej niepodległości Kraju był dostatecznie długi aby wybitniejsze jednostki w naszej służbie zagranicznej mogły w tym czasie dotrzeć do czołowych stanowisk.

ZS: Studium socjologiczne, o którym pisze prof. Wańdycz, nie byłoby — moim zdaniem — zupełnie miarodajne, gdyż młody narybek, powołany do zastąpienia kiedyś starszych roczników, też się liczył. Przy tym ruch służbowy wprowadzał ciągle jakieś zmiany, tak że przy opracowywaniu podobnego studium nie wiadomo jaki moment miałyby być wybrany dla zgromadzenia potrzebnych danych. Studium takie po tylu latach nastęrczałoby poza tym wiele trudności.

JT: Jak najbardziej celowe. Np. pamiętam trzech lekarzy z wykształcenia w naszym MSZ: Antoniego Jazdzewskiego, Dubicz-Penthera i ... Wieniawę Długoszowskiego. Pamiętam innych którzy (*nach meinem besten Wissen und Gewissen*), nie ukończyli nic: Juliusz Łukasiewicz, Jerzy Potocki, Józef Potocki był w Oxfordzie ale nie skończył studiów.

Młodsze pokolenie musiało się wykazywać dyplomami i zdać tzw. egzamin dyplomatyczno-konsularny.

11. Czy w tej najwyższej grupie pochodzenie społeczne różniło się zasadniczo od podobnych grup wysokich urzędników w innych *ministerstwach*?

TB: Już rzut oka na „Rocznik polskiej służby zagranicznej” wykaże iż procent osób pochodzenia arystokratycznego czy ziemiańskiego był na pewno w MSZ (w najwyższej grupie) większy niż w innych ministerstwach.

RD: Kwalifikacje wymagane w MSZ były oczywiście różne od tych, których wymagano w ministerstwach fachowych; stąd pewne, ale nie zasadnicze różnice pochodzenia społecznego urzędników.

WJ: Wydaje mi się, że nie było różnicy w stosunku do innych ministerstw. Wewnątrz ministerstwa pochodzenie społeczne w latach po 1926 roku nie odgrywało żadnej roli: pracowali najściślej ze sobą hrabiowie Raczyński, Potocki czy Szembek z socjalistą Hołówką, Schatzlem czy Drymmerem.

SL: Z początku pochodzenie społeczne może różniło się, później chyba nie.

ER: Tak, sfery ziemiańskie i arystokracja były mocniej reprezentowane w MSZ.

TR: Wydaje mi się, że tak, ponieważ MSZ z natury rzeczy przyciągało bardziej selektywne jednostki.

ZS: Sądzę, że pochodzenie społeczne w MSZ różniło się jednak od takiegoż pochodzenia w innych ministerstwach. Chodziło bądź co bądź o specjalne kwalifikacje i pewną zamożność, umożliwiającą złe płatne pobyty w Centrali. W innych resortach stan urzędniczy był na pewno bardziej mieszany niż w MSZ, gdzie ludzie pochodzenia chłopskiego czy robotniczego było bardzo niewiele.

JT: Nie.

12. Czy celowe byłoby dla uzyskania pełniejszego obrazu prześledzenie procentowe (w powyższej grupie) ludzi, którzy ukończyli wydziały prawa, humanistyki, École des Sciences Politiques i inne uczelnie zagraniczne?

RD: Nie sądzą, by tego rodzaju statystyka służyła obiektywnej ocenie wartości urzędników; walory osobiste jak charakter, wrodzone zdolności, zręczność negocjacyjna itp. są w pracy więcej pomocne niż dyplomy i stopnie naukowe.

WJ: Na pewno byłoby celowe prześledzenie procentowe, choć wątpię, czy to wpływało zasadniczo na bieg pracy w polskiej

służbie zagranicznej. Ogólny poziom wykształcenia urzędników podnosił się z biegiem lat i dopływem młodszych z wyższym wykształceniem naukowym. Wielu wojskowych, przydzielonych do MSZ, było oficerami dyplomowanymi.

SL: Sądzę, że byłoby celowe przesłedzenie procentowe ludzi, którzy ukończyli nauki na uniwersytetach lub innych wyższych uczelniach. Jednakże należałoby przy tym rozróżniać między wartościami uczelni i ich uprawnieniami.

ER: Tak.

TR: Myślę że raczej tak. Mogłoby to może przynieść niejedną niespodziankę.

ZS: Przesłedzenie procentowe wśród wyższych urzędników MSZ wychowanków obcych uczelni, wymagałoby zmusznej pracy. W swoim czasie (przed Majem) MSZ udzielało stypendiów dla młodych urzędników, pragnących ukończyć Szkołę Nauk Politycznych w Paryżu.

JT: Tak. [vide też odpowiedź na pytanie 10, które wydaje się odnosić do tegoż — P.W.].

13. Jak ocenić można wpływ poszczególnych ministrów spraw zagranicznych na formowanie się i ukształtowanie charakteru MSZ?

RD: W okresie częstych zmian na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych mógł on tylko sporadycznie i jedynie w obsadzie najważniejszych stanowisk decydować sprawy personalne. Ostatni dwaj Ministrowie mieli więcej czasu dla wpłynięcia na politykę personalną w ogóle. Jednakowoż obaj zajęci byli głównie akcją polityczną wobec rozwoju sytuacji światowej i, z konieczności, wobec częstych rozjazdów, pozostawiali wpływ na usprawnienie aparatu służby zagranicznej swoim najbliższym współpracownikom, wiceministrowi Wysockiemu i następnie Szembekowi.

WJ: Mogę mówić tylko o ostatnich dwóch ministrach: A. Zaleski nie interesował się sprawą charakteru MSZ, J. Beck — bardzo. Sam interesował się obsadzaniem stanowisk poselstw i ambasad, uzgadniając je z Marszałkiem Piłsudskim, a potem z marszałkiem Śmigłym.

SL: Odpowiedź na to pytanie znaleźć można już w odpowiedziach na poprzednie pytania. Wpływ ministra na formowanie się charakteru MSZ zależał przeważnie od długości piastowania

przez ministra urzędu. Niezależnie od tego kryterium wymieniałbym ministra Becka.

ER: Najsilniejszy wpływ wywarł Józef Beck i to po kilku pomyłkach w pierwszych latach — dobór jego był trafny, a w każdym razie podyktowany dążeniem wyróżnienia kompetencji. A. Zaleski interesował się również nominacjami przy czym, jak mi się zdaje, dużą rolę odgrywały dla niego względy taktyczne, a może i powiązania.

TR: Trudno mi jest na to pytanie odpowiedzieć ponieważ od 1926 roku przebywałem na placówkach. Poza tym kandydacje ministrów były różne, nieraz krótkotrwałe a w specyficznie polskich warunkach niezmiernie absorbujące a zatem nie pozostawiające wiele czasu na kontakty ministrów z personelem.

ZS: Ministrowie Spraw Zagranicznych — jak to już zaznaczyłem — na ogół mało interesowali się rozwojem Ministerstwa, jako urzędu, polegając w tym na właściwych kierownikach odpowiednich działów MSZ.

Pamiętam szereg reorganizacji MSZ przed Majem i po Maju. Główne zręby tej roboty — zarówno w Departamencie Politycznym, jak i Administracyjnym — położone zostały jeszcze w roku 1919. Potem — w drodze ewolucji — następowały kolejne zmiany. Ustrój wewnętrzny MSZ w ostatnich czasach jego egzystencji w Polsce uwidocznił się w Rocznikach Służby MSZ.

JT: Przed r. 1926 niestałość rządów nie pozwalała Ministrom Spraw Zagr. na wykazanie się pod tym względem. Jedyń, o ile wiem, ks. Eustachy Sapieha, wykazał zainteresowanie w tym kierunku.

14. Od listopada 1918 do maja 1926 było czternastu ministrów lub kierowników MSZ; od maja 1926 do 1939 roku tylko dwóch. Czy fakt ten odbijał się i w jakim stopniu na wewnętrznej strukturze i charakterze MSZ?

RD: Długotrwałość urzędowania ministrów Zaleskiego i Becka stabilizowała linie ich polityki — z wyjątkiem napływu elementu obcego z armii — stabilizowała formy współpracy, szczególnie wskutek więzów koleżeństwa i współpracy między urzędnikami wysokich rang od zarania MSZ'tu nad ulepszeniem pracy aparatu pracujących.

WJ: Obecność tylko dwóch ministrów od maja 1926, czyli w ciągu 13 lat wprowadziła stabilizację aparatu ministerstwa,

nie liczenie na szybką zmianę koniunktury politycznej. To był **niewątpliwie czynnik dodatni dla służby.**

SL: Często zmiany na stanowisku ministra Spraw Zagranicznych nie mogły pozostać bez wpływu na strukturę i charakter MSZ.

ER: Tak, oczywiście — jak wspomniałem powyżej ustały targi o miejsca.

TR: W pierwszej części tego drugiego okresu ster polskiej polityki zagranicznej przesunął się widocznie z MSZ do Belwederu, co pozwoliło w pewnym stopniu kierownikom MSZ poświęcić więcej czasu i uwagi potrzebom organizacyjnym i wewnętrznym, często nie bez korzyści dla służby zagranicznej. W tymże okresie zaznaczył się większy napływ sił wojskowych do MSZ.

ZS: Istnienie po Maju jedynie dwóch ministrów Spraw Zagranicznych nadało mu cechy większej stabilizacji. Wewnętrzna struktura zmieniała się wprawdzie od czasu do czasu, charakter jego pozostał jednak ten sam. Powstał specjalny *esprit de corps*. Wojskowi przystosowali się do pewnych niezbędnych ram, w jakich się znaleźli. Stosunki w MSZ między kolegami były zawsze bardzo miłe i przyjacielskie. Zawiązywały się głębokie przyjaźnie, zarówno na tle wspólnej pracy na jednej placówce lub w Centrali, jak również i poza Ministerstwem.

JT: Rzecz jasna że stałość korzystnie się odbijała na strukturze i na morale urzędników. Ci, którzy nie zostali „drymnięci” (jak np. wybitnie zdolny młody Marchwiński, za należenie za czasów studenckich do pro-endeckiej korporacji, lub Bolesław Leitgeber dlatego, że jego rodzina wydawała „Dziennik Poznański”, organ endecki), byli spokojni o swój los.

15. *Jak ważna była teoretycznie i praktycznie rola wiceministra (urząd nieistniejący na przykład w Czechosłowacji)?*

EB: Osobą, która najlepiej mogłaby chyba odpowiedzieć na to pytanie, jest wieloletni zaufany współpracownik i sekretarz min. Szembeka, p. Janusz Zembrzuski.

RD: Dokumenty Szembeka dają odpowiedź na to pytanie: Zapewnienie ciągłości polityki przez częste rozmowy z Ambasadorami i Posłami obcymi oraz konferencjami z kierownikami poszczególnych działów MSZ; wyjazdy zagranicę w zastępstwie Ministra lub w specjalnych, zwykle trudnych, okolicznościach.

W ogóle zastępstwo Ministra w ważniejszych sprawach politycznych. W wypadku Szembeka jego charakter i takt podyktowały mu abstynencję od spraw personalnych, w których widział — z napływem elementu wojskowego — trudności i możliwość konfliktów.

WJ: Za czasów min. Zaleskiego bardzo duża. Poza pracą z Departamentem Politycznym wiceminister opiekował się specjalnie departamentami administracyjnym, konsularnym i Biurem Personalnym, czym się min. Zaleski nie interesował.

Za czasów min. Becka Departament Konsularny i Administracyjny oraz Biuro Personalne pracowały więcej samodzielnie. Wiceminister Szembek był raczej pomocnikiem ministra w sprawach politycznych i dopilnowywał wykonywania poleceń ministra przez zainteresowane wydziały polityczne.

SL: Rola wiceministra zależała od charakteru wiceministra i jego stosunku do ministra.

ER: Tu nasuwa się głównie rola J. Szembeka. Jego znaczenie opierało się na zaufaniu Marszałka Piłsudskiego.

TR: W przeważnie trudnym położeniu zewnętrznym Polski odciążenie uwagi i czasu ministra Spraw Zagranicznych od zagadnień administracyjnych, organizacyjnych i personalnych przez wiceministra przynosi znaczne usprawnienie zadań i czynności MSZ.

ZS: Urząd wiceministra czy podsekretarza stanu nie zawsze u nas istniał. Kiedyś mieliśmy ich aż trzech naraz, w innych zaś okresach — nie było z nich żadnego. Od Maja byli nimi: Roman Knoll, Alfred Wysocki, Józef Beck i Jan Szembek. Wpływy ich nie były jednakowe. Zależały one od danych okoliczności i od indywidualności danego ministra Spraw Zagranicznych.

JT: W teorii ważna, w praktyce, za długiego urzędowania hr. Jana Szembeka mało ważna, bo Szembek zgadzał się nie mieć wpływu na politykę, akceptując tezy Becka.

16. *Jaką funkcję w MSZ można by porównać z rolą sekretarza generalnego na Quai d'Orsay?*

EB: W ostatnim okresie rola dyrektora Gabinetu Ministra, w którego rękę skupiały się wszystkie problemy polityczne i który był łącznikiem między ministrem a wielu szefami wydziałów oraz placówek dyplomatycznych (min. Beck udzielał osobistych audien-

cji tylko szefom głównych spośród tych placówek na co inni nieraz się użalali) — dałaby się chyba porównać z rolą Sekretarza Generalnego na Quai d'Orsay.

RD: Rola Podsekretarza Stanu odpowiadała dość ściśle roli pp. Léger czy Paléologue na Quai d'Orsay, mniej może niż p. Berthelot, którego kontakty z czynnikami polityki wewnętrznej były głębsze.

WJ: W polskim MSZ nie było stanowiska odpowiadającego generalnemu sekretarzowi na Quai d'Orsay. Za czasów urzędowania ministra Becka zagadnienie organizacji Departamentu Politycznego było chaotyczne. Nie było dyrektora departamentu, złożonego z pięciu wydziałów i stanowiska radcy ekonomicznego. Naczelnicy wydziałów organizacji międzynarodowych (P. I), zachodniego (P. II) i wschodniego (P. III) posiadali tytuły wicedyrektorów departamentu, ale nie byli stale koordynowani przez jednego urzędnika w randze dyrektora. Byli oni w bezpośrednim kontakcie z wiceministrem Szembekiem lub też bezpośrednio z ministrem. Widać to jasno z *Diariusza* Szembeka.

W 1938 roku b. poseł w Bukareszcie Mirosław Arciszewski objął bliżej nieokreśloną funkcję przy ministrze Becku, częściowo koordynując prace Departamentu Politycznego, częściowo zastępując ministra w rozmowach z dyplomatami obcymi. Nie był on jednak ani dyrektorem Departamentu Politycznego ani podsekretarzem stanu (wiceministrem), jak niesłusznie jest czasem nazywany w raportach obcych dyplomatów.

Jednak minister Beck, może dzięki fenomenalnej swej pamięci, dobrze sobie radził w tej dość mgławicowej organizacji Departamentu Politycznego.

SL: Z wyraźną szkodą dla MSZ nie było w ministerstwie funkcji, którą by można porównać ze sekretarzem generalnym na Quai d'Orsay.

ER: Dyrektorowie Departamentów i Dyrektor Gabinetu Ministra?

TR: Podsekretarza Stanu czyli Wiceministra.

ZS: U nas wiceministrowie zmieniali się częściej, niż sekretarze generalni we Francji, którzy na swym stanowisku pozostawali latami, zapewniając w ten sposób tak pożądaną ciągłość urzędowania. Stanowisko sekretarza generalnego MSZ powstało dopiero na emigracji (najpierw w Angers — i potem utrzymało się w Londynie).

JT: Dyrektora politycznego a później Dyr. Gabinetu Ministra.

17. *Czy można stwierdzić świadome wzorowanie się MSZ na jakimś modelu zagranicznym jeśli chodzi o strukturę pierwotną i jej zmiany w latach późniejszych?*

RD: W okresie ustalania struktury MSZ były robione poszukiwania form stosowanych przez Polskę w przeszłości. I tak była mowa o wznowieniu tytułu Radcy Stanu dla urzędników wyższych stopni odwołanych do centrali. Z okazji wizyty Króla Rumunii w Warszawie wznowiono pewne formy stosowane w przeszłości w dziedzinie protokolarnej. Ale wobec braku precedensów w innych dziedzinach ewolucja struktury MSZ poszła po linii nowoczesnych wzorów zagranicznych, z przewagą Quai d'Orsay jako system praktyczny i łatwy do naśladowania.

WJ: Nie potrafię na to odpowiedzieć. Wszystkie obce ministerstwa spraw zagranicznych miały tak czy inaczej podział na służbę dyplomatyczną, konsularną i administracyjną. Mam wrażenie, że polska służba miała swoistą organizację.

SL: Nie sądzę, aby świadomie kierowano się jakimś modelem zagranicznym.

TR: Niejedno zapożyczono w swoim czasie z Paryża i w mniejszym stopniu z Londynu.

ZS: MSZ wzorowało się prawdopodobnie na francuskim Quai d'Orsay, ale wpływy austriackie na początku też się zaznaczały. Żadne Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie może zresztą wzorować się zupełnie na tym samym urzędzie w innym kraju: warunki wszędzie są różne, a tym samym i struktura MSZ nie może być nigdzie identyczna.

JT: W roku 1939-40 w Angers, zreorganizowano MSZ według wzoru — mniej więcej — francuskiego, chyba raczej z nienawiści do niedawnej przeszłości aniżeli z innego powodu.

18. *Czy déformation professionnelle, zauważalna u dyplomatów europejskich, miała jakieś szczególnie polskie cechy w MSZ?*

RD: W latach między dwoma wojnami światowymi formy stosowane w dyplomacji wraz z przyjętym ogólnie językiem francuskim zostały mniej więcej wszędzie zachowane. Młoda polska służba zagraniczna szybko do form tych dostosowała się, mimo trudności polegających — szczególnie w okresie inflacji —

na słabym zaopatrzeniu finansowym placówek, nielicznym wskutek tego ich personelu i rzadko spotykanym dopływie dochodów od rodzin urzędników. Może więc mniej niż w innych państwach młodszy urzędnicy ulegali cechom snobizmu i zarozumiałości, spotykanym nieraz w korpusach dyplomatycznych za granicą.

WJ: Myślę, że *déformation professionnelle* odgrywała w polskiej służbie zagranicznej znacznie mniejszą rolę niż w innych służbach. Polska służba, bardzo młoda jeśli chodzi o czas jej istnienia (kilkanaście lat tylko) cechowała się pewną egzageracją odnośnie wysuwania stale na czoło zagadnień spraw Polski. Ale w całości była, zdaniem moim, dobrą służbą.

SL: Nie zauważyłem. Może zresztą polska służba zagraniczna istniała nie dosyć długo, by powstała polska *déformation professionnelle*.

ER: Tradycja u nas była zbyt krótka.

TR: Snobizm zdarzał się niewątpliwie ale na głębsze zmiany charakteru i stylu za mało było zapewne czasu.

ZS: Tzw. deformacja zawodowa była w Polsce mniejsza, niż w krajach, w których długoletnia tradycja i pewne skostnienie — zwłaszcza form i języka dyplomatycznego — były psychologicznie zrozumiałe. Oczywiście, dyplomaci nasi na wielkich placówkach (Paryż, Londyn, Waszyngton, Rzym-Watykan i Rzym-Kwirynał) musieli się do tych sztywnych ram przystosować. Tadeusz Romer w Paryżu i Jan Ciechanowski w Londynie osiągnęli w dziedzinie stylu dyplomatycznego: pierwszy — francuskiego, drugi — angielskiego prawdziwą perfekcję. Polskie cechy istniały o tyle, że każdy Polak pozostawał zawsze Polakiem, naśladownictwo było zatem czysto formalne i, niewątpliwie, w interesie służby.

JT: Raczej nie. Pochodzenie polskich dyptomatów i ich wykształcenie były wyjątkowo różnorodne, co zresztą było interesujące i stanowiło pewien awantaż.

19. Czy przeciętna wieku polskich dyptomatów najwyższej grupy (według definicji w pyt. 10) odbiegała w jakiś rażący sposób od przeciętnej wieku dyptomatów Francji, Anglii, Włoch, Niemiec czy ZSSR?

RD: Polska służba zagraniczna nie posiadała starszej generacji dyptomatów francuskich, angielskich czy belgijskich; stąd w pierw-

szym dziesięcioleciu po wojnie placówki zagraniczne obsadzone były przez ludzi względnie młodych, ale następnie różnice te czas wyrównał i wiek urzędników służby zagranicznej też uległ adaptacji do zagranicznych kolegów. Zaznaczyć muszę, że szefowie placówek polskich należeli wszędzie jako pozycja osobista, polityczna i towarzyska, do jednej z pierwszych kategorii dyplomatów akredytowanych w większości krajów.

WJ: Ten punkt nadaje się do rozpracowania pod względem statystycznym biorąc jako materiał jeden z ostatnich roczników służby zagranicznej i porównyując z analogicznymi wydawnictwami służb innych państw (jeśli istnieją).

SL: Wzrokowo sądząc przeciętna wieku dyplomatów polskich nie odbiegała w sposób rażący od wieku dyplomatów Francji, Anglii, Włoch, Niemiec lub ZSSR.

ER: Kilku szefów placówek w tem np. Lipski, Łukasiewicz i ja byliśmy ambasadorami dosyć młodymi.

TR: Pod koniec dwudziestolecia chyba nie, ale to by wymagało sprawdzenia.

ZS: Przeciętna wieku dyplomatów polskich w pierwszym okresie naszej niepodległości była z konieczności niższa niż gdzie indziej. Odpowiedzialne stanowiska zajmowali zupełnie młodzi ludzie, którzy albo już byli dojrzałi (np. Kajetan Morawski), albo dojrzewali szybko, aby móc sprostać zadaniom, przed jakimi stawali. Z biegiem czasu MSZ unormowało się i pod tym względem, zaś dawni młodzi ludzie nabierali z wiekiem doświadczenia. Obok Morawskiego i Łukasiewicza w Centrali, wymienić tu trzeba, zaczynających swą pracę na placówkach: obu Raczyńskich, Lipskiego, T. Romera. Byli też i inni, których już nie cytuję.

JT: Przeciętny wiek na ogół młodszy na naczelnych stanowiskach dzięki dość szybkiemu pozbyciu się starszych, zastępowąc ich wojskowymi. Fachowe kadry ściśle polskiej rekrutacji stopniowo obejmowały stanowiska do stopnia Radcy MSZ (VII-VI stopień służbowy).

Piotr WANDYCZ

MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH

Nazwisko i imię	Stopień wojskowy	Stanowisko	Z jakiej armii po- chodził	Rok urodz.	Rok odejścia z wojska
1	2	3	4	5	6
Beck Józef	płk dypl.	minister	L	1894	1930
Belina-Prażmowski Zbigniew	ppłk dypl.	konsul RP w Lenin- gradzie (1933-35)	R	1892	1931
Chodacki Marian	kpt. dypl.	komisarz generalny RP w Gdańsku	L	1898	1932
Drymmer Wiktor Tomir	kpt.	dyr. Dep. Konsul. (1933-1939)	POW	1896	1929
Dubicz-Penther Karol ..	mjr	poseł RP w Portugalii	L	1892	1928
Jałowiecki Bohdan	kpt.	radca Wydz. Polaków Zagr.	R	1897	1931
Jezierski Zygmunt	por.	konsul RP w Užhoro- dzie		1902	
Kalinowski Edward Ksawery	mjr dypl.	sekr. Konsul. w Nicei	R	1891	1926
Kara Stanisław	ppłk dypl.	konsul gen. w Lille, Paryżu	L	1893	1931
Kawalec Tadeusz	kpt.			1895	IV.1935
Kawałkowski Aleksander	kpt. dypl.	konsul gen. w Lille	POW	1899	1933
Kłopotowski Jerzy, inż.	por. (?)	konsul kierujący kon- sul. w Tyflisie (?)		1892	1932
Kobyłański Tadeusz ..	płk	wicedyrektor Dep. Polit. (1935-39)	R	1895	1929
Kowalski Tadeusz Alfred	por.	radca zast. nacz. Wydz. Pol. Emigr.	POW R	1896 1894	ok.1931 ok.1932
Kwiatkowski Aleksander Libicki Konrad	mjr mjr	poseł w Tallinie (1929-33); nacz. Wydz. Pers. 1927-29	L R	1891 1894	1927 1933
Łubieński Aleksander ..	mjr dypl.	z-ca dyr. prot. dypl.			
Michałowski Roman ..	ppłk	I sekr. ambasady w Londynie		1895	1935
Nagórny Tadeusz	kpt.	konsul w Brukseli		1895	1932
Nałęcz-Korzeniowski Stanisław	por.	konsul KG Frank- furt n. M.	R	1899	1931
Narzymiski Tadeusz	por.	II sekr. poselstwa w Helsinkach		1902	1932
Poncet de Sandon Aleksander	kpt. dypl.	konsul w Kiszyniowie		1895	1932
Ryszaneek Władysław ..	ppłk	konsul gen. w Ham- burgu	L	1893	ok.1927
Schätzel Tadeusz	płk dypl.	wicedyr. Dep. Polit.	L	1891	1929
Skarzyński Władysław ..	kpt.	radca Wydz. Gospod.		1898	1931
Sokołowski Seweryn ...	kpt.	wicedyr. gabinetu	R	1889	1930
Sośnicki Stanisław	kpt.	konsul kierujący kon- sul. w Charkowie	R	1896	1931
Stebłowski Adam, mgr ..	mjr dypl.	konsul gen. w Chark- owie i Tyflisie	R	1896	ok.1928
Unrug Michał	rtm.	II sekr. poselstwa w Sztokholmie	N	1895	1934
Wieniawa-Długoszowski Bolesław, dr	gen. bryg.	amb. PR w Rzymie	L	1881	1938
Zarychta Apoloniusz, dr	por.	naczelnik Wydz. Po- lityki Emigr.	POW	1899	1931
Zieliński Włodzimierz ..	mjr	konsul gen. w Paryżu		1893	

Baltazar SZCZUCKI

TRZYDZIEŚCI LAT W SŁUŻBIE NAUKI POLSKIEJ
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO W RZYMIE

3 marca 1976 minęło trzydzieści lat od daty inauguracji Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie. Twórcą jego a nadto inicjatorem dwu serii wydawniczych, o których będzie mowa, był ks. prałat Walerian Meysztowicz, b. profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i radca kanoniczny Ambasady R.P. przy Watykanie. W okresie wojny, kontynuując *Studia Teologiczne*, wydawane w Wilnie, zaczął ogłaszać dotyczące Polski dokumenty przechowywane w Archivum Secretum Vaticanum oraz akta Nuncjatury papieskiej w Polsce przechowywane w archiwum Sekretariatu Stanu. Te ostatnie opracował P. Savio. Już w owym wczesnym rzymskim okresie do wydawnictwa weszły akty marginesowo tylko związane z historią Kościoła a dotyczące dziejów Polski.

Po kilku latach działalności odczytowej Instytut podjął akcję wydawniczą, której pierwszym przejawem był ukazujący się do dziś rocznik *Antemurale*. Tom I ukazał się w r. 1954, t. XX — w listopadzie br. W r. 1960 ukazał się t. I równoległego wydawnictwa pt. „Elementa ad Fontium Editiones” doprowadzonego w bież. roku do t. XXXVIII.

Na posiedzeniu inauguracyjnym oprócz inicjatora i kilku księży polskich pracujących naukowo w Rzymie byli obecni: prof. Karolina Lanckorońska — z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, prof. Henryk Paszkiewicz — z Uniwersytetu Warszawskiego i śp. Józef Michałowski, dyrektor rzymskiej stacji istniejącej jeszcze wówczas Polskiej Akademii Umiejętności. Instytut był ponadto związany od początku z przebywającym w Stanach Zjednoczonych prof. Oskarem Haleckim, niegdyś również z Uniwersytetu Warszawskiego. Jako cel postawiono Instytutowi krzewienie i popieranie obiektywnych studiów nad historią Polski, pojętej jako „przedmurze” cywilizacji chrześcijańskiej.

Pojęcie „antemurale Christianitatis” utarło się jako określenie roli politycznej Polski na Wschodzie Europy. Tym tłumaczy się, że grono naukowców przebywających na Emigracji w krajach wolnych, a skupionych wokół Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie (właśnie w Rzymie!) sięgnęło po jedyny dostępny oręż słowa drukowanego, powołując do życia pismo historyczno-naukowe pt. *Antemurale*. Tom I został uhonorowany subwencją papieską; od t. V-tego (1959) koszt wydawnictwa przejęła Fundacja im. Karola z Brzezia Lanckorońskiego, zapoczątkowując coraz ściślejszą współpracę Instytutu z Fundacją. Związki personalne istniały już wcześniej, bo już w t. I *Antemurale* ukazała się obszerna rozprawa prof. Karoliny Lanckorońskiej o śladach obrządku słowiańskiego w Polsce w XI-tym wieku.

Poszczególne tomy rocznika otwiera zazwyczaj dział „Fontes”, w którym publikowane są luźne mniejszych rozmiarów dokumenty, ujawniające się w zbiorach obcych, w najbardziej nieoczekiwanych miejscach np. w kolekcji Kazimierza Mycielskiego w Johannesburgu. Tu także ogłasza się dokumenty nowsze, XIX-wieczne, np. w wydanej ostatnio tomie „Un mémorandum français d'Octobre 1863” z Archiwum francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Duże zespoły aktów publikowane są, o czym niżej, w serii „Elementa ad Fontium Editiones”.

Zasadniczy zręb poszczególnych tomów *Antemurale* stanowią rozprawy — „Studia” — ogłaszane w językach obcych, głównie angielskim i francuskim; karta tytułowa i komunikaty redakcyjne redagowane są po łacinie. W języku polskim ogłoszono jedynie kilka krótkich rozpraw np. ks. J. T. Milika („Imiona zakonne św. Swierada” i „Chrześcijaństwo w państwie Gotszalka” oraz przesłaną z Kraju, po zgonie autora, rozprawę prof. Witolda Kamienieckiego pt. „Chorążowie w parlamentarzmie litewskim przed Unią Litewską” (w t. IX). Władze Instytutu Historycznego wychodzą z założenia, że rozprawy w języku polskim mogą być ogłaszane w innych wydawnictwach np. londyńskich *Tekach Historycznych* czy paryskich *Zeszytach Historycznych*, podczas gdy boleśniej daje się odczuwać brak czasopisma naukowego udostępniającego cudzoziemcom prace o tematyce polskiej (zwłaszcza rozprawy większych rozmiarów). Rolę tę spełnia do pewnego stopnia nowojorski kwartalnik *The Polish Review*; ze względu na ograniczone możliwości finansowe publikuje on artykuły małych rozmiarów, unikając tematyki zbyt specjalnej, „ciężkiej”. W teorii powinno by się znaleźć miejsce dla prac na tematy dotyczące Polski w różnojęzycznych pismach slawistycznych typu *Oxford Slavonic Papers* czy *The Slavic Review*. W praktyce dominuje w nich tematyka rosyjska, czego pośrednim efektem jest unikanie tematów polskich przez studentów, gdyż obawiają się trudności związanych z ogłoszeniem wyników prac. Jest to błędne koło, bo np. w Stanach Zjednoczonych warunkiem rozpoczęcia kariery uniwersyteckiej jest przedstawienie drukowanych prac ze specjalności kandydata. Redakcja „An-

temurale" wcześniej dostrzegła tę sytuację i zwraca baczną uwagę na rozprawy dyplomowe opracowywane na uniwersytetach angielskich i amerykańskich i nawiązuje kontakty z autorami, często przed ukończeniem pisania pracy. Rezultaty tej akcji są już widoczne. W *Antemurale* ukazały się np. Andrzeja Buszy rozprawa o polskim podłożu twórczości Josepha Conrada (w t. X, który miał z tej racji dwa wydania!), śp. Danuty Bienkowskiej o wczesnej recepcji utworów Żeromskiego (w t. XVI), dr Ireny M. Roseveare o reformach Wielopolskiego przed r. 1863; Marii Copson-Niećko — o stosunku różnych grup wyznaniowych do emigrantów polskich w Anglii w XIX-tym wieku. Wszystkie te prace a nadto Davida J. Welsa o technice pisarskiej Sienkiewicza na przykładzie „Trylogii” pochodzą z różnych wydziałów Uniwersytetu Londyńskiego a przede wszystkim Szkoły Studiów Słowiańskich.

Do tej samej kategorii należą prace młodych naukowców amerykańskich o bardzo ciekawej i bardzo polskiej tematyce np. rozprawa Franka Corlissa o wpływie myśli św. Augustyna na Norwida (w t. XVI) oraz odkrywca rozprawa Joachima Baera o życiu i pismach Wacława Berenta (w t. XVIII), nie mająca odpowiednika w literaturze krajowej. W t. XIX Frank Mocha, ruchliwy organizator Sekcji Literackiej Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, ogłosił rozprawę o wczesnej działalności Tadeusza Bułharyna, renegata, którego nazwisko występuje często w życiorysie Mickiewicza z okresu rosyjskiego i w otoczeniu Puszkina.

Trzy rozprawy napisane zostały przez wychowanków Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO): H. Graniewskiego — o misji gen. Chrzanowskiego w Turcji w latach 1836-40; Józefa Kasparka-Obsta — porównanie konstytucji 3 Maja z konstytucją Stanów Zjednoczonych i Michała Kruszyńskiego — o polskim szpitalu w Teheranie w okresie ewakuacji zesłańców polskich w Rosji.

Fakt, że *Antemurale* ogłasza rozprawy młodych naukowców nie oznacza bynajmniej zaniedbania kontaktów z autorami starszych generacji. Prace swe publikowali np. prof. Oskar Halecki — o idei jagiellońskiej (w t. XIII), gen. M. Kukiel (o powstaniach w XIX wieku — w t. II), prof. Władysław Folkierski (o Zygmuncie Krasińskim i jego przewidywaniach politycznych — w t. V), prof. Henryk Paszkiewicz — „Are the Russians Slavs?” (w t. XIV), prof. L. Koczy — o słynnej mapie vinlandzkiej (w t. XIV) itd.

Na oddzielną wzmiankę zasługuje wkład prof. Stanisława Bobra-Tylingi w formie rozpraw i materiałów źródłowych dotyczących stosunku wielkich mocarstw europejskich do sprawy polskiej w okresie powstania styczniowego. Szczególnie cenna jest rozprawa pr. „Napoléon III, l'Europe et la Pologne en 1863-1864” wypełniająca *gros* podwójnego tomu VII-VIII (1963).

Przeważa tematyka historyczna i historyczno-literacka. Cza-sem dochodzi do głosu historia sztuki (np. w rozprawie prof.

Karoliny Lanckorońskiej o portrecie Władysława IV pędzla Rubensa, w t. XI). Nieuniknionym Mickiewiczianum jest rozprawa prof. Władysława Wielhorskiego o „The nationality of Mickiewicz in the light of modern sociological and ethnological studies” (w t. XI). Językoznawstwo reprezentuje wydana pośmiertnie rozprawa Stanisława Westfala „The Polish Language” (w t. X). Historii literatury dotyczą rozprawy i artykuły prof. Mieczysława Giergielewicza — o recepcji Sienkiewicza w Ameryce (w t. X), prof. Z. L. Zaleskiego i Z. Markiewicza — o stosunku Balzaca do Polski (w t. X i XI), J. A. Teslara (o polonicach w twórczości Thomasa Campbella — w t. XII), Tymona Terleckiego (o wykładach Mickiewicza o teatrze — w t. XII i o Wyspiańskim — w t. XV).

Wśród uczonych obcych na szczególne wyróżnienie zasługuje Portugalczyk, prof. Uniwersytetu w Coimbrze — Luis Ferrand de Almeida, który w t. XVII ogłosił rewelacyjny artykuł o kandydaturze Jana Kazimierza na stanowisko wicekróla Portugalii a wcześniej, w t. XI omówił echa batalii wiedeńskiej 1683 roku w Portugalii. Duńczyk J. Steen Jensen pisał (w t. XIV) o bałtyckim wojażu Jana Tęczyńskiego (1563). W wydanym ostatnio tomie XX-tym ogłoszony został pośmiertnie artykuł Keith Sutherlanda pt. „America views Poland”. Autor zginął przed kilku miesiącami w wypadku samochodowym w Stanach; wielka strata, bo żywo interesował się tematyką polską.

Bardzo wartościową pozycją są ogłoszone w t. XIX przez Mieczysława Paszkiewicza wykazy Polaków lub osób pochodzenia polskiego, które wjechały do Anglii w latach 1826-1852. Autor wyzyskał tzw. „Alliens certificates” ze zbiorów Public Record Office. W wielu wypadkach, zwłaszcza gdy idzie o, dosłownie, setki Żydów polskich są to cenne przyczynki do historii rodzinnych, stwierdzające datę przybycia pierwszych członków rodziny do Wielkiej Brytanii.

Na obserwacjach świeżej daty opiera się ciekawy artykuł Krzysztofa Rowińskiego o „Polish words in English” (w t. XVIII).

Niespodzianką dla historyków okresu powstania styczniowego jest ujawnienie sporego zespołu wierszy portugalskich o Polsce. Są one odpowiednikiem „Polenlieder” niemieckich z okresu powstania listopadowego a wśród autorów pojawia się Anthero de Quental, jeden z najwybitniejszych poetów portugalskich. Wiersze wydał i poprzedził przedmową Adam K. Zieliński, któremu śp. płk Henrique de Campos Ferreira Lima przekazał zebrane przez siebie materiały.

W wydanym ostatnio tomie występują po raz pierwszy artykuły dotyczące najnowszej historii Polski, w tym prof. A. M. Cieniąły „The German propaganda for the revision of the Polish-German frontier in Danzig and the Corridor: its effect on British opinion and the British policy-making élite in 1919-1933”. Precedens ten otwiera autorom naukowych rozpraw z zakresu najnow-

szej historii, Polski możliwości wystąpienia na forum międzynarodowym. Redakcja domaga się jednak rękopisów w poprawnej wersji obcojęzycznej (francuskiej albo angielskiej) — i nie płaci honorariów. Koszty druku pokrywa Fundacja Lanckorońskich.

Pierwszy tom *Antemurale* obejmował 156 stron. Firmował go ks. Meysztowicz jako prezes Instytutu, księży Józef Warszawski, Piotr Naruszewicz i Stanisław Jezierski oraz prof. Władysław Kujawski, sekretarz wydawnictwa. Tom drugi miał charakter specjalny — obejmował sześć referatów polskich historyków emigracyjnych wygłoszonych na X Kongresie Nauk Historycznych w Rzymie w 1955 roku. Od t. V-go zaczyna się stały wzrost wydawnictwa. Poszczególne tomy zamykają się w granicach 220 do 380 stron. Roczniki ukazują się w listopadzie.

W t. X-tym zaznaczyła się zasadnicza, choć tylko przejściowa, zmiana. Wydawcą naukowym *Antemurale* były łącznie: Instytut Historyczny w Rzymie i Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie w Londynie. Wiązało się z tym rozszerzenie tematyki na studia z zakresu językoznawstwa i historii literatury, co weszło w życie, poczynając od t. X-tego. Współpraca z Tow. Naukowym urwała się jednak na t. XIV-tym i odtąd stronę wydawniczą firmuje wyłącznie Instytut Rzymski a koszty wydawnictwa pokrywa Fundacja im. Lanckorońskich z siedzibą we Fryburgu w Szwajcarii. Od t. XV począwszy pismem kieruje „Consilium moderatorum” w składzie: ks. prof. W. Meysztowicz (prezes), Maria Danilewicz Zielińska, Karolina Lanckorońska, Henryk Paszkiewicz i Wanda Wyhowska de Andreis.

Wydanych dotąd dwadzieścia tomów obejmuje około 5.000 stron. „Międzynarodowy” charakter wydawnictwa ilustruje fakt, że wydawcą jest Instytut z siedzibą we Włoszech, nakładcą Fundacja zarejestrowana w Szwajcarii, techniczne prace redakcyjne koncentrują się w Portugalii a pismo drukowane jest w Anglii.

Jeżeli wydawanie *Antemurale* jest już poważnym przedsięwzięciem naukowym, to schodzi ono na drugi plan wobec *opus magnum* Instytutu, jakim są jeszcze mniej znane i bardziej ekskluzywne ale niezwykle cenne i prawdziwie pomnikowe „Elementa ad Fontium Editiones”.

Parę słów wyjaśnień wstępnych, wprowadzających w meritum sprawy, wydaje się użyteczne. Poza materiałami historycznymi, które znalazły się poza Krajem na skutek działań wojennych, rabunków i konfiskat, w zbiorach zagranicznych kryje się ogromne bogactwo dokumentów odnoszących się do stosunków Polski z krajami obcymi. Dotyczą one, jak i za dni naszych, spraw politycznych, handlowych, kulturalnych i wiążą z oficjalną działalnością polityczną i jej marginesami. Wartość takich poloniców archiwalnych jest pierwszorzędna a dotarcie do nich z reguły najeżone trudnościami. Korzystanie na miejscu połączone jest z kosztami podróży i pobytu w obcych krajach, mikrofilmy i fotokopie są kosztowne, a archiwalia są niemal zawsze rozproszone po różnych działach i tylko niekiedy właściwie skatalogowane.

Wielokrotnie podejmowano próby systematycznego objęcia poszukiwaniami naukowymi owych archiwaliów historycznych. Jedną z wczesnych prób wiąże się z biskupem Adamem Naruszewiczem, który za Stanisława Augusta gromadził materiały do opracowywanej na zlecenie króla historii Polski. Niemal współcześnie podjął podobne prace Tadeusz Czacki a nieco później Edward Raczyński i Działyński. Potrzebę, jeśli nie odpisów dokumentów to przynajmniej ich ewidencji odczuwali nasi poprzednicy w czasach Wielkiej Emigracji. W roku 1838 Karol Sienkiewicz sformułował w Paryżu program stworzenia „archiwum historycznego polskiego” widząc w historii „najistotniejszy pierwiastek narodowości”. Konkretnym śladem tego programu są cztery roczniki pisma pt. „Skarbiec Historii Polskiej” z lat 1839-1842 i kilka tysięcy arkuszy wypisów ze zbiorów rękopiśmiennych francuskich i angielskich przechowywanych w zbiorach rękopiśmiennych francuskich i angielskich przechowywanych w zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu. Na mniejszą skalę akcje podobne podejmowali indywidualni uczeni np. Adolf Pawiński, August Bielowski i in. W drugiej połowie XIX wieku Akademia Umiejętności w Krakowie rozpoczęła planową rejestrację archiwaliów w zbiorach obcych (z rosyjskimi włącznie) i wysłała specjalne ekspedycje naukowe do Szwecji, Rosji, na Węgry, do archiwów watykańskich itp., ogłaszając następnie wyniki poszukiwań. Prace te kontynuowano na mniejszą skalę w 20-leciu Niepodległości, uświadamiając sobie coraz wyraźniej, jak wiele jest jeszcze do zrobienia i jak bogate plony przynosi takie systematyczne przekopywanie się przez archiwa obce.

Do prac tych nawiązał Instytut Polski w Rzymie, podejmując w roku 1960 wydawanie materiałów, które posłużyć mają z kolei do krytycznych wydań źródeł z pełnym aparatem przypisów, przekładów itp. „Elementa” ogłaszają pełne teksty dokumentów odnoszących się do Polski starannie odczytane z oryginałów lub dawnych odpisów. Poszukiwaniami objęte zostały dotychczas archiwa angielskie, duńskie, hiszpańskie, niemieckie i włoskie. Uwaga wydawców skupia się na Polsce Jagiellońskiej i wczesnym okresie królów elekcyjnych. W nielicznych tylko wypadkach udaje się wyzyskać wszystko, co dane archiwum posiada: dotyczy to np. archiwów związanych z działalnością papieskich tzw. protektorów Polski jak kardynał Orsini czy de Torres. W innych, a więc np. w prawie nietkniętym przez historyków polskich Archiwum Państwowym w Simancas w Hiszpanii, w siedmiu tomach, po kilkaset stron każdy, ks. Meysztowicz ujął olbrzymią dokumentację dotyczącą stosunków Polski z ówczesną Hiszpanią sięgającą w XVI czy XVII swymi wpływami i flotą daleko na teren Europy środkowej i zachodniej. Dzieje Polski na Bałtyku otrzymały nowe oświetlenie, gdy „Elementa” ogłosiły dwa potężne zastrzyki źródeł do dziejów handlu polskiego z Anglią i Danią: sześć tomów „duńskich” (w opracowaniu prof. Lanckorońskiej

i dobrze znającego polski Duńczyka G. Steen Jensena) i cztery angielskie (w opracowaniu C. H. Talbota). Tomy te dotarły do Kraju i są często cytowane w pracach naukowych.

Przedsięwzięciem największej wagi jest rozpoczęte w XXX-ym tomie „Elementów” ogłaszanie dokumentów z dawnego archiwum w Królewcu znajdującego się obecnie w Getyndze. Dotarcie do nich i uzyskanie pozwolenia na zmikrofilmowanie i opublikowanie dosłownie tysięcy aktów jest osobistym tryumfem prof. Karoliny Lanckorońskiej. Wielokrotnie spędziła ona długie tygodnie wyszukując do mikrofilmowania dokumenty, odczytując je i sprawdzając z mikrofilmami. Mamy tu do czynienia z okresem panowania ostatnich Jagiellonów i problemem Prus Książęcych związanych ze schyłkiem Zakonu Krzyżackiego i „hołdem pruskim” ks. Albrechta. Owże Albrecht, tak dobrze znany ze słynnego obrazu Matejki, był synem Zofii Jagiellonki i siostrzeńcem Zygmunta Starego: stąd korespondencja w sprawach państwowych przeplata się z listami rodzinnymi adresowanymi do wuja, króla Zygmunta, ciotki-królowej Bony i brata ciotecznego Zygmunta Augusta. Znane są powszechnie konsekwencje faktu uzyskania przez Albrechta naprzód tytułu dziedzicznego księcia lennego Prus, rozszerzonego następnie na dalszych krewnych-Hohenzollernów. Dokumentacja dotycząca tego okresu obfituje w zastanawiające luki, które wydawnictwo „Elementów” wypełnia, stając się podstawą nowych gruntownie zrewidowanych opracowań dziejów Polski w XVI wieku. Dotąd ukazało się 8 tomów, doprowadzających korespondencję królewską do roku 1549. Dalsze obejmą okres do roku 1572 i są już w druku lub przygotowaniu. Czuwa nad nimi osobiście prof. Lanckorońska, pragnąca jak najprędzej doprowadzić do końca to olbrzymie przedsięwzięcie, jej — jak to ujmuje — zadanie życiowe.

Równolegle prowadzone były poszukiwania poloniców we włoskich archiwach w Parmie i Florencji. Bardzo ważny zespół stanowią dokumenty z lat 1541-1655 z archiwum Medyceuszów we Florencji przygotowane do druku przez Wandę Wyhowską de Andreis. Dotyczą one polskich spraw dynastycznych i wewnętrznych oraz wojen Polski z Moskwą, Turcją i Tatarami.

Wartość „Elementów” rośnie z każdym nowo wydanym tomem. Już dziś kieruje się ku nim uwaga coraz szerszego grona historyków polskich i obcych, u których emigracyjne przedsięwzięcie polskie budzi niekłamany podziw. „Elementa” przetrwają nas — i świadczyć będą wymownie o trosce historyków emigracyjnych i stworzonych przez nich instytucji o wspólne dobro polskich nauk historycznych.

Baltazar SZCZUCKI

Józef LEWANDOWSKI

DZIEJE SPRZED DWUDZIESTU LAT

Działo się to dwadzieścia lat temu. W nocy z 18 na 19 października 1956 roku ruszyły na Warszawę sowieckie kolumny pancerne. W południe 19 października na lotnisku w Okęciu wylądowali członkowie sowieckiego Biura Politycznego, by w asyście marszałków osobiście kierować ukróceniem polskiej frondy. Z godziny na godzinę duszący pancerny pierścień zaciskał się wokół stolicy. Po południu czołówka dywizji idącej z Dolnego Śląska dotarła do rejonu Podłębie. Tylko kilka godzin dzieliło ją od przedpola Warszawy.

Później podano do wierzenia, że cofnięcie się wojsk sowieckich było osiągnięciem Gomułki i wyrazem dobrej woli Chruszczowa, ale w tym wyjaśnieniu była tylko część prawdy o jednym z najdramatyczniejszych dni w historii Polski. Pojedynawcze stanowisko Chruszczowa było podyktowane nie tylko porozumieniem z Gomułką. Wydaje się nawet, że odwrotnie, Chruszczow był zmuszony do zawarcia pozwalającego na odwrót porozumienia przez przezeń nie przewidziany rozwój wydarzeń. Mieszkańcy stolicy, która dwanaście lat temu podniosła powstanie przeciwko Hitlerowi, również i teraz gotowi byli bronić swej, nawet kusej niepodległości i zawodnych nadziei na demokrację. Lepsza część pezetperowców w tym momencie stanęła w jednym szeregu z narodem. Na rozkaz Edwarda Ochaba podjęto gorączkowe przygotowania do improwizowanej obrony Warszawy. Na prędko przystosowywano plan obrony przed NATO do walki przeciwko wojskom sowieckim. Zanosilo się na nowe wydanie Powstania Warszawskiego, co zupełnie nie leżało w planach sowieckiego kierownictwa. To zdecydowało...

(Nawiasem mówiąc, była to lekcja, której — choć ją znali — nie potrafili zrozumieć przywódcy czechosłowaccy z Dubczekiem na czele. Zbierają za to pochwały, że „nie postawili na kartę pokoju światowego”. Jak gdyby niebezpieczeństwa wojny nie stwarzał napadający lecz napadnięty!).

Ale w grę wchodził jeszcze jeden czynnik, o istnieniu którego wówczas nie wiedzieliśmy. Krótko po tych wydarzeniach zaczęły krążyć wieści, potwierdzone kilka miesięcy później, gdy w Warszawie złożył oficjalną wizytę Czou En-lai. Na spotkaniu z Gomułką i Rapackim oznajmił on, że gdy tylko w Pekinie dowiedziano się o sowieckiej interwencji, Mao Tse-tung natychmiast zażądał jej zaprzestania. Chiński premier nie ujawnił oczywiście, w jaki sposób Mao miał zamiar egzekwować wykonanie swego żądania, ale w jego relacji chińskie wystąpienie nosiło charakter ultimatum.

Władzom sowieckim wówczas jeszcze bardzo zależało, by ich narastający konflikt z Chińską Partią Komunistyczną, maskowany jako „nieporozumienia w rodzinie” nie ujawnił się przed światem w pełnym świetle.

Ciekawe były również poglądy chińskiego przywódcy na przyszłość stosunków polsko-sowieckich. Ostrożnie ważąc słowa, Czou dowodził, że niebezpieczeństwo sowieckie nie minęło, że należy unikać kroków jęczących i dostarczających pretekstów do nowej interwencji. Jednocześnie wyrażał uznanie dla polskich dążeń i zachęcał do wytrwałości. Protokół spotkania podano do wiadomości tzw. „aktywowi centralnemu”, czyli w praktyce dość szerokiemu gronu. (Po latach, czerpiąc z pamięci, nie odpowiadam za dosłowność sformułowań, pamiętam jednak na tyle przeczytany tekst by nie skazać jego sensu).

Prasa, oczywiście, podała tylko szablonowy komunikat, niewiele, czy też nawet nic nie mówiący, ale treść rozmów szybko stała się publiczną tajemnicą. W ówczesnej sytuacji, gdy naciski Moskwy stawały się coraz bardziej systematyczne a wpływy Natolina coraz bardziej ciężące, przyjazd Czou był poważnym wsparciem dla linii demokratycznej i chyba tak był pomysłany.

Polska w tym czasie przeżywała „chińską” euforię. W postulacie „stu kwiatów” Mao Tse-tung widziano zapowiedź komunizmu humanitarnego i demokratycznego i przezwycięzenie izolacji Polski wśród państw komunistycznych. Popularna kawiarenka „Czytelnika” w piwnicy na Wiejskiej otrzymała nazwę „Stu kwiatów” i to bez żadnego nakazu władz. Była ona wówczas chyba najbardziej popularnym lokalem w Warszawie.

Tak było dwadzieścia lat temu. Dlaczego o tym piszę? Przecież i „Polski Październik” szybko zamienił się w VIII plenum a „sto kwiatów” chińskich zwiędło, nim zdążyły zakwitnąć. I nie trudno dowiedzieć, że w dniu 19 października Chiny działały bynajmniej nie z sympatii dla Polski i Polaków ale powodowane coraz głębszym antagonizmem wobec Związku Sowieckiego.

Piszę o tym dlatego, że jest to nieznany spizod, przeoczony przez autorów wszystkich znanych mi ujęć najnowszej historii Polski. Piszę również dlatego, że śmierć Mao Tse-tunga wywołała wspomnienia z tych lat, gdy jego wystąpienie w obronie Polski w znacznej mierze przyczyniło się do tego, że Warszawy nie spotkał los, który kilka tygodni później stał się udziałem Budapesztu lub dwanaście lat później — Pragi, że ofensywa neostalinizmu potoczyła się w tempie, o wiele powolniejszym niż zamierzone. A to jest nie mało.

Józef LEWANDOWSKI

WSPOMNIENIA

Józef JAKLICZ

FRAGMENTY Z PAMIĘTNIKA

PIERWSZY LIST WYSŁANY DO GENERAŁA SIKORSKIEGO PRZEZ POCZTĘ DYPLOMATYCZNĄ FRANCUSKĄ

Bukareszt, dnia 17. X. 1939 r.

Panie Generale!

Najgłębsza troska, aby nie stracić tego co jest jeszcze do uratowania dyktuje mi ten list. I świadomość, że nie mógł jeszcze dojść bezstronny raport z terenu rumuńskiego. Segreguję zagadnienia:

1. Przyjechał tutaj gen. Kleeberg z instrukcjami i pełnomocnictwami: „Do Francji mają wyjechać tylko oficerowie młodszy i nieliczni oficerowie sztabowi. Reszta ma pozostać na miejscu w obozach. Może kiedyś będą powołani i ci, którzy pozostają. W tej chwili nie ma dla nich miejsca i etatów”. Cały szereg nazwisk został wyeliminowany.

Nie wiem, czy instrukcje te są wiernym odbiciem rozkazów Pana Generała. Powołał się bowiem tylko na pełnomocnictwa, które otrzymał.

Zarówno z punktu widzenia przyszłości Armii Polskiej formowanej we Francji, jak również sytuacji panującej tutaj na miejscu uważam, że polityka ta może w skutkach swych doprowadzić do nieobliczalnych następstw.

a) Przyszłość Armii Polskiej nie pozwala nam patrzeć na organizowaną w tej chwili tylko jedną dywizję. Będzie ich może

więcej. Jeżeli nie zapewni się stąd natychmiastowego odpływu jeżeli nie wszystkich, to w każdym razie przeważającego gros, to wyjątkowo cenny element tutaj się znajdujący będzie stracony. Represje rumuńskie się zaostrzają, a demoralizacja czyni gwałtowne postępy. Cenny jeszcze dzisiaj element kadrowy, jutro może się stać destrukcyjny.

b) Różnice w wyborze oficerów z jakichkolwiek bądź względów, politycznych, wojskowych czy wreszcie osobistych, to błąd, który się zemści kiedyś, w dającej się łatwo przewidzieć formie. Opinia nasza (tj. oficerów nie należących nigdy do żadnych obozów, ani partii czy klik) żąda aby armia formowana we Francji była apolityczna, mająca jedyny cel: odzyskanie wolności. Powinna się składać ze wszystkich elementów bez różnicy pochodzenia czy działalności przedwojennej. Eliminowanie oficerów I, II czy innej Bgdy, lub tych których się uważa w jakiegokolwiek bądź formie za winnych naszej katastrofy dziejowej, to wytwarzanie napięcia, które rosnąc nabierze takiej dynamiki, że rozsądzi podstawę zaledwie organizującej się armii.

c) Instrukcje Kleeberga przenikają już do tych, którzy zdążyli zwać do Bukaresztu. Poszły również w złagodzonej formie (dzięki gen. Malinowskiemu) do obozów. Ferment się zaczyna. Jednostki wyeliminowane rozpoczną agitację. Nikt ich nie wstrzyma, aby tą czy inną drogą nie dotarły do Francji. Nie trudno przewidzieć jaką tam prowadzić będą robotę.

d) Nim przyszły instrukcje Kleeberga rozpoczęliśmy z Malinowskim organizację rozładowania obozów i ucieczki do Francji na podstawie wytycznych Stachiewicza i Marszałka. Streszczam je: wysłać wszystkich bez żadnej różnicy, którzy przedstawiają wartość ideową, moralną, charakteru i wojskową. Wysłać jak najwięcej. Widzieć przed sobą jedyny cel: interes Polski. Pozostawić jednostki bezwartościowe.

Pracę tę rozpoczęliśmy. Bukareszt jest przepelniony, obozy zaczynają się wypróżniać. Czy wolno zatrzymać tę falę i pozostawić ją własnemu losowi? Czy fala ta w powrotnej drodze nie rozbije wszelkich zapór, które jej stawia Paryż, aby później obrócić się przeciwko niemu? Pozostawiam to ocenie Pana Generała.

2. Miałem jechać do Paryża i ustnie przedstawić Panu Generałowi opinię zdrowego jeszcze elementu. Lecz pozostaję w Rumunii, przedstawiam ją więc pisemnie.

Zdrowy element wojskowy i cywilny pozostał wierny Marszałkowi. Uznaje jego najwyższy autorytet wojskowy i państwowy. Pana Generała uznaje jako wojskowego Zastępcę Marszałka na terenie Francji i dlatego całkowicie się podporządkowuje. Zna

mnie Pan Generał nie od dzisiaj i wie, że kierują mną pobudki natury wyższej. Nie podlegałem nigdy wpływom postronnym i sam w sobie szukałem decyzji czystej i jasnej.

Jeżeli Pan Generał wzniosł się na najwyższy szczyt idei narodowej, jeżeli Pan Generał stanął na czele rządu, który ma nas prowadzić do nowej przyszłości, jeżeli Pan Generał pragnie zespolić cały naród i wojsko ku jednemu wysiłkowi i celowi, jeżeli Pan Generał pragnie zbawienia i odzyskania Wolnej Polski, to droga ku temu prowadzi poprzez uznanie Marszałka jako duchowego przewodnika narodu i przez zespolenie narodu i wojska bez różnic dzielących nas w czasach dawnych.

To jest moje credo i credo tych, którzy wolni od osobistych ambicji widzą nie tylko cel, ale i środki prowadzące do tego celu.

3. Sytuacja, która się wytwarza w Rumunii zaczyna być wręcz tragiczna. Wydobycie się stąd zaczyna być rzadkim wydarzeniem. Granica zamknęła się przed kilku dniami na skutek wprowadzenia wiz wyjazdowych, których otrzymanie w sposób legalny jest, może chwilowo, wprost niemożliwe. Spowodowało to zapchanie Bukaresztu uciekinierami wojskowymi. Jeżeli nie odpłyną, to w najbliższych dniach braknie im pieniędzy. Ci, którzy zostali przez Kleeberga zaparafowani, żyją nadzieją otrzymania paszportu, wiz i pieniędzy. Inni pozostają na bruku.

W obozach zażądano do wtorku, godz. 12-ta, podpisania deklaracji zobowiązującej oficerów do zaniechania wszelkich prób ucieczki. W przeciwnym razie zostaną zamknięci w innym obozie w całkowitym odosobnieniu. Gen. Malinowski wydał instrukcje niepodpisywania tej deklaracji. Gen. Faury, z którym przed chwilą o tym rozmawiałem, całkowicie to potwierdził. W związku z tym mamy wiadomości, że zaczną się masowe ucieczki i nowy przypływ do Bukaresztu. Co stanie się z tym tłumem rzuconym na bruk bez dachu nad głową i pieniędzy w kieszeni? Obserwuję bezsilność attaché'atu i bezradność Ambasady.

Widzę następujące rozwiązanie:

a) Rząd w Paryżu musi z niezwykłą energią wpłynąć czy to sam, czy przez Francję lub Anglię na Rumunię, aby pod jakimikolwiek pozorami ułatwiała nasz odpływ legalny czy nielegalny.

b) Pan Generał musi wydać rozkaz tutejszemu Attaché'atowi, anulujący instrukcję Kleeberga i polecający wysyłanie wszystkich, którzy chcą jechać. Segregację i selekcję można robić we Francji w spokojniejszych warunkach. Jedni pójdą do armii, drudzy do robót, inni do życia cywilnego. Jedno jest pewne; rząd musi się zaopiekować wszystkimi bez wyjątku, jeżeli jest rządem pol-

skim, — wtedy zyska uznanie i aplauz. Przecież wszystkim należą się za ich 25-letnią pracę najminimalniejsze warunki egzystencji. Przechodzili granicę rumuńską na rozkaz, nie zaś z własnej ochoty. I wszyscy wiedzą, że złoto polskie odplynęło do Francji. Jeżeli Rumunii się nie rozładuje to powtórzy się San-Domingo.

c) Wszyscy bez wyjątku uciekinierzy z obozów znajdujący się w Bukareszcie muszą znaleźć opiekę Attaché'atu w pierwszym rzędzie pieniężną. Oficerowie i żołnierze zaczynają być bez grosza natomiast urzędnicy państwowi otrzymują 10.000-22.000 leji miesięcznie, wypłacanych przez Korsaka. Musi być ustanowiony jakiś ekwiwalent dzienny również i dla wojskowych. I rozkaz ten musi przyjść z Paryża i to jak najszybciej — i pieniądze również. Jeżeli to nie nastąpi, następstwa mogą być fatalne.

d) W obozach zaczyna być bardzo niedobrze. W niektórych wręcz katastrofalnie — bolszewizm jest u ich progów. Z Rumunami do ładu dojść trudno. Nie żywią żołnierzy i nie płacą regularnie. I w tym względzie interwencja rządu paryskiego wydaje mi się niezbędną. Ambasador albo jest bezsilny, albo bezczynny, albo bez autorytetu. Naciśnięty przez Malinowskiego był wprawdzie u Gafenco — rezultatów nie widzę. Człowiek z głową, rozumem, energią, autorytetem i sercem, przysłany z Paryża jako pełnomocnik Pana Generała dla spraw opieki nad obozami i uchodźcami wojskowymi, może mógłby poprawić sytuację.

Troska o przyszłość upoważniła mnie do skreślenia tych słów.

Łączę wyrazy szczerego poważania i przepraszam za chaos, lecz kurier czeka.



17 września 1942 roku

Boję się. Drzę na samą myśl. Stałem przed uczuciem, które obudziło się we mnie, a następnie rosło i olbrzymiało przez szeregi, szeregi miesięcy, przed uczuciem, które nigdy przedtem we mnie w ogóle nie istniało. Straciłem swoją wiarę w człowieka.

Tym człowiekiem jest gen. dywizji Władysław Sikorski, któremu oddany byłem najserdeczniej, najszczerzej, najgłębiej przez właściwie całe moje życie wojskowe — od czasu jego poznania — koniec 1916 roku — do 1939 włącznie. Miałem dla niego

kult najwyższy, staczałem namiętne walki z jego wrogami w czasie pokoju, walczyłem o niego dn. 17 września 1939 roku z Marszałkiem Rydz-Śmigłym w Kossowie, w dn. 29 września 1939 roku z Szefem Sztabu Głównego gen. Stachiewiczem (w obecności płk. dypl. Smoleńskiego) w obozie rumuńskim w Tulcea, aby go uznać za Wodza Naczelnego wojska formującego się we Francji.

Zawiodłem się na nim z dwóch przyczyn:

1-sza, gdyż okazał się małym Polakiem, mizernym Naczelnym Wodzem, słabym charakterem. Gdy los uśmiechnął się do niego i pozwolił mu w jednym ręku zjednoczyć władzę naczelną, gdy Bóg rozpoczął Swą wielką próbę nad nieszczęśliwym naszym narodem i pokazał Swą karzącą dłoń za popełnione i niepopełnione winy, aby wypróbować siłę naszą, ducha naszego, charakter nasz, Wódz Naczelnny i Premier w jednej osobie posiadał w swych rękach wszystkie atuty, aby naród zespolić, dźwigając z upadku w jaki pograżyła go nieszczęśliwa wojna, pokazać mu wielką drogę przyszłości. Chyba nie było w dziejach naszych człowieka, którego przypadek, splot tragicznych okoliczności, wyniosły kiedykolwiek na takie stanowisko i w tak wyjątkowych warunkach.

Polska leżała pokonana u stóp najeźdźcy. Upadł dawny Rząd, Wódz Naczelnny i wszystko, co wiązało się z dobrem i złem przedwojennych rządów. Zarówno wrogowie, jak i przyjaciele czy sympatycy, widzieli źródło zła, źródło kłęski w Prezydencie, Rządzie, Wodzu Naczelnym i w tych wszystkich, którzy stali blisko nich w przygotowaniach wojny. Najwierniejsi przyjaciele odstąpili ich, aby dołączyć swój głos do szali przekleństw i złorzeczeń. Lecz wszyscy, bez żadnych różnic gotowi byli podporządkować się i pójść za opatrnościowym mężem, który by ich na nowo zorganizował i poprowadził w bój.

Nie trzeba było szukać opatrnościowego męża stanu, bo wziął już w swoje ręce władzę. Wszak był jedynym — w tych dramatycznych dniach drugiej połowy września — wolnym na paryskim bruku. Był ponadto przyjacielem Daladier i Gamelin. Prezydent i Wódz Naczelnny — internowani, dobrowolnie na niego przelali swoje zwierzchnictwo. Warunki więc ogólne składały się dla niego jak najpomyślniej. Lecz ten opatrnościowy mąż stanu nie spojrział głębokim wzrokiem na właściwe położenie i znalazł drogę, którą podszeptał mu diabeł zemsty, najgorszą jaką tylko można było wynaleźć dla działania.

Kraj i uchodźstwo było rozbite, rozdarte w najkrwawszy sposób goryczą kłęski, przepełnione słusznie, czy niesłusznie żalem przeciw dawnym przewodnikom narodu, żalem wynikającym z rozpaczki po stracie Polski.

Istniała wtedy tylko jedna, jedyna droga — uspokoić kraj i uchodzić przez wspólny jednolity wysiłek dla prowadzenia dalszej walki, przez powołanie wszystkich bez różnicy przekonań, bez różnicy win do jednego warsztatu — dla pracy przyszłości Polski. Jedynym kryterium mogła się stać tylko zdolność do dobrego wykonywania powierzonego zakresu działania. Lecz Wódz Naczelny wybrał drogę wręcz przeciwną. Zamiast uspakajać, łagodzić i łączyć, wzniecał nowy pożar, rozognił niezablężnione rany, szczuł jednych przeciw drugim, szukał winowajców klęski aby ich rzucić na pożarcie opinii publicznej, zamiast szukać przyczyn klęski.

Nie wiem co działo się w innych resortach, lecz wiem co działo się w Armii — Wódz Naczelny zdemoralizował Armię.

1) Odsunął wszystkich tych, którzy pośrednio lub bezpośrednio stali w jakimkolwiek związku z dawnymi głowami wojska: Naczelnym Wodzem, Szefem Sztabu Głównego, Ministrem Wojny, bez względu na ich kwalifikacje, zdolności, przeszłość wojskową i dotychczasową pracę. W ten sposób pozbawił Armię znakomitych oficerów (płk Wiatr i setki innych, gen. Stachewicza — szefa Sztabu Głównego, zesłał na wygnanie do Algieru) i wprowadził ferment i niepokój. Przeciwwstawiał sobie wzajemnie dawnych dowódców i podkomendnych.

2) Podzielił wojskowych na dawnych swoich sympatyków i dawnych swoich wrogów. Pierwszym otworzył na oścież drzwi do władzy, bez względu na ich kwalifikacje, drugich czekała jego zemsta. Rozpoczęły się sądy (gen. Rayski) i deportacje do obozu Cerisay.

3) Zmuszał wojskowych (a sukurs niósł mu w tym dziele płk dypl. dr Modelski) do sprawozdań, z których wynikałoby wino ich przełożonych. Im więcej oskarżany był przełożony, tym szybsza była weryfikacja, tym szybszy przydział.

Wewnętrzna wartość moralna armii polskiej odtwarzanej we Francji pod koniec 1939 i z początkiem 1940 roku przedstawiała smutny obraz.

Mnie żołnierza frontowego z krwi i kości, który szczeniakiem będąc ruszył ochotniczo w 1914 roku na wojnę z Rosją, który nie przepuścił z własnej woli ani jednego dnia pobytu na froncie od 1914 do 1920 roku włącznie, który całe życie pokojowe poświęcił wyłącznie polskiej sprawie wojskowej, odsunął — w dniach tragedii, lecz równocześnie w dniach na nowo zarysowującej się przyszłości tej wielkiej sprawy — od armii, odmówił mi, należnego i wywalzonego moją przeszłością bojową, honoru walki z wrogiem.

Nigdy nie mieszałem się do zagadnień polityki ani kraju ani wojska. Byłem tylko i wyłącznie żołnierzem. I chciałem wyrobić się na dobrego żołnierza.

Z pochodzenia należałem do 3-go Pułku Legionów, a więc II-giej Brygady, zwalczającej Brygadę Pierwszą Piłsudskiego. Nie trudno mi było 19-stoletniemu chłopakowi, który we wczesnej młodości zarabiał lekcjami na życie i nie otrzymał przygotowania i nastawienia ideowo-politycznego w domu rodzinnym, prześiąknąć motywami jakże zbędnej i szkodliwej walki i uznać ich słusność, skoro głosili je starsi oficerowie, moi d-cy prowadzący mnie w bój, do których miałem zaufanie. Motyw szczególnie trafiający mi do przekonania był następujący: Posłannictwem Legionów jest stać się kadrą przyszłego wojska polskiego. Piłsudski rozbija Legiony (okres przełomu przysięgowego), tym samym rozbija przyszłe wojsko polskie. Druga Brygada musi przetrwać wierna swemu ideałowi. Przejrzałem znacznie później. Jedynym człowiekiem, który posiadał wzrok przyszłości i Wojsko Polskie budował, był Piłsudski.

W tym okresie legionowym, gdzieś w październiku, a może we wrześniu 1916 roku, gdy 3-ci pułk Legionów znajdował się na pozycjach na Wołyniu, objął na krótko D-two tego pułku płk Władysław Sikorski. Sprawowałem wtedy funkcję adiutanta pułkownika. Sikorski przyjechał po południu, gdy na noc przygotowana już była akcja bojowa pułku dla wsparcia wypadu mjr. Burhardt-Bukackiego. Nie była to akcja specjalnie poważna, lecz ogień był gęsty. W pewnej chwili Sikorski kazał mi prowadzić się linią okopów. Ziemianka D-twa pułku była od niej odległa o 200-300 m., połączona z nią siecią głębokich rowów dobiegowych. W tym momencie trysnęła mi frywolna myśl. Poprowadzę go nie rowem lecz górą, zobaczę jak się zachowa. I już śmiałem się wewnętrznie na myśl jego reweransu świszczącym kulkom. Wszak przesiedział całą wojnę w NKN, na froncie jest po raz pierwszy. I poprowadziłem go górą. Sikorski kulkom się nie kłaniał. Nabrałem dla niego szacunku, zawiązała się nić, na przyszłość nierozzerwalna, sympatii, następnie przyjaźni. Przeszedł przy mnie pierwszy, lekki chrzest ogniowy. Przejdzie drugi, już tym razem ciężki, również przy mnie.

Na krótko przed 6 listopada odwołano Sikorskiego do Warszawy, do Komisji Werbunkowej. Równocześnie z aktem 6-to listopadowym miało się tworzyć przy boku Niemiec wojsko polskie. Lecz Sikorski już mnie nie zapomniał. W Warszawie z końcem listopada lub początkiem grudnia zaszczycił mnie zaufaniem (łącznie z kpt. dr. Zającem) powierzając nam prowadzenie jego sprawy honorowej z Sieroszewskim.

W 1917 roku, gdy II-ga Brygada po przełomie przysięgowym zamieniła się w Korpus Posiłkowy i poszła na front Galicyjski, dowodziłem Kompanią. Sikorski objął tzw. D-two Uzupełnień tego Korpusu w Bolechowie. Dosłownie przemocą przeniósł mnie z pułku do Bolechowa w charakterze swego adiutanta i referenta wyszkoleniowego.

W listopadzie 1918 roku, pospieszyłem jako kapitan, z ówczesnym nie kim innym jak mjr. dr. Modelskim, jako ochotnik na odsiecz Lwowa. Wyjazd nasz z Warszawy był dramatyczny. Szefem kielkującego Sztabu Generalnego został Zagórski. Drużym jego rozkazem zostałem przydzielony do tworzącego się Sztabu i otrzymałem odpowiednie zaświadczenie. Ono pozwoliło mi na otrzymanie transportu kolejowego. Porucznik Pokorny dosłownie wykradł z Cytadeli 12 karabinów maszynowych, ja rozbiłem świetny Batalion garnizonu Warszawa dawnego Polnische Wehrmacht kpt. Płoszajskiego, zabrałem mu, raczej zwerbowałem całą jedną kompanię i najlepszych oficerów i podoficerów, załadowaliśmy się i nie pytając o żadne pozwolenia pojechaliśmy przez Kraków pod Lwów. Działo się to w dniach między 15-22 listopada.

Z całej tej imprezy wyniknęła sprawa sądowa. Zostałem skazany zaocznie na więzienie (oczywiście nie zgłosiłem się) i grzywnę w wysokości 1.600 Mk. za zabrany prowiant (grzywnę tę odesłałem do Sądu w Warszawie ze składek oficerów mego baonu). Amnestia lutowa 1919 roku umorzyła wyrok.

Z uzupełnień otrzymanych w Krakowie zorganizowałem batalion, powstała oficjalnie Grupa mjr. Modelskiego, w składzie mego baonu i lotnego Oddziału Kar. Masz. Grupą tą nigdy w ogniu nie dowodził Modelski, zawsze ja. Lubiliśmy się bardzo. Był lotny, energiczny, dobry organizator, pełen inicjatywy, lecz panicznie bał się kulek i nigdy nie potrafił się zdobyć na jakąkolwiek decyzję bojową. W ten sposób doskonale się uzupełnialiśmy. Za walki pod Lwowem, zostałem mianowany pod koniec grudnia majorem, Modelski podpułkownikiem.

W styczniu przyjechał do Lwowa płk Sikorski, objął D-two Grupy bojowej w składzie około 6 baonów i 2 lub 3 baterii. Zaprosił mnie do objęcia szefostwa sztabu. Zgodziłem się pod warunkiem, że zachowam d-two mego baonu i będę nim dowodził gdy wejdzie do akcji. Płk Sikorski przeszedł w tym czasie przy mnie po raz drugi chrzest ogniowy, lecz tym razem niezwykle ciężki i niebywale trudne i emocjonujące chwile pod Bartatowem (stracenie i odzyskanie 2 baterii).

W lutym rozchorowałem się, wróciłem na front w kwietniu, Grupa Sikorskiego zamieniła się w Dywizję. Objąłem w niej pułk

i do końca wojny ukraińskiej z Dywizją tą przeszedłem wszystkie jej dobre i złe chwile. Były dni tryumfu, były dni klęski. Tryumfalny marsz na Seret, Tarnopol, Podhajce, Buczacz, Czortków. W pierwszych dniach czerwca 1919 roku, nudząc się z pułkiem w Podhajcach, zły na Sikorskiego, że nie mnie wyznaczył na zdobycie Tarnopola, ruszyłem sam bez rozkazu na Czortków.

Czortków zdobyłem atakiem nocnym z 2/3 lub z 3/4 czerwca. Olbrzymia zdobycz sprzętu, cała bateria z zaprzęgami etc. Lecz nazajutrz rozpoczęła się ofensywa ukraińska. Broniełem się rozpaczliwie przez 3 dni. Wzywałem z Buczacza na pomoc 4-tą Dywizję gen. Aleksandrowicza, która odpoczywała w Monasterzyskach. Nie ruszała się naprzód, bo istniał taki zakaz jakiejś Komisji alianckiej. Jedynie Sikorski nie słucał zakazu i wysunął się naprzód. Aleksandrowicz kazał mi odpowiedzieć „że skoro tam (tzn. do Czortkowa) wlaź sam, to niech sam siedzi”. Trzeciego dnia po południu, gdy przerwano mi linię pod Jagielnicą rzuciłem baon odwodowy do przeciwnatarcia. Baon załamał się moralnie i prawie bez strat, prawie bez walki cofnął się. Bitwa była przegrana. Zarządziłem natychmiastowy odwrót baonu Legii Akademickiej (późniejszy 36 p.p.) z Wygnanki (dowodził nim ówczesny kpt. Sawicki, późniejszy generał). Lecz cofnięcie w dzień, z drugiej strony Seretu, było prawie niemożliwe. Dwa baony cofały się w nieładzie na Buczacz. Z nimi właściwie jako gros powinienem się być cofnąć. Lecz wróciłem do Czortkowa do baonu Sawickiego. Zostaliśmy pod wieczór otoczeni i zamknięci. Burza nas uratowała. W nocy przedarliśmy się wzdłuż Seretu, tracąc cały ciężki sprzęt (wszystkie k.m.-y, wozy, konie) i dużo ludzi. Pułk mój był rozbity. Była to moja pierwsza, lecz równocześnie i ostatnia w ubiegłej wojnie, bitwa czy walka przegrana. Szereg dni później w czasie odwrotu przybyła do Sikorskiego Komisja sejmowa, dla zbadania przyczyn klęski. Wszak zaczęło się na Czortkowie a skończyło prawie pod Lwowem. Sikorski znalazł się godnie. Jakkolwiek ruszyłem na Czortków bez jego rozkazu, stwierdził że tego wymagało położenie i że on taki rozkaz dał. Pozostawiono mnie w spokoju.

Po odrocie z Czortkowa, Sikorski powierzył mi obronę Tarnopola przez okres cofania Dywizji, następnie straż tylną Dywizji. Poprzez Zborów cofnęliśmy się na Gołogóry.

W Krasnem rozpoczęło się wyładowywanie jednostek Halerowskich, które spieszyły nam na pomoc. Chodziło o utrzymanie rejonu Gołogór przez 2-3 dni do ukończenia wyładowań. Lecz prawe skrzydło Dywizji trzaśło. Sikorski z na prędcę zebranymi oddziałami posyła mnie do kontrataku. W drodze spotykam D-cę Op. gen. Jędrzejowskiego, który mówi mi, że od

udania się przeciwnatarcia zależy los Małopolski Wschodniej i los Lwowa — błogostawi mnie (dosłownie — był to świetny żołnierz bojowy, dawny oficer rosyjski, który później z nieznanymi mi powodów, pozał się z Sikorskim).

Kontratak przeprowadziłem w nocy, na białą broń, z powodzeniem. Przez kilka jeszcze dni broniliśmy się w górach Gołogórkich. Ruszyła nasza nowa ofensywa. Otrzymałem nowy pułk i tym razem ja zdobywałem Tarnopol. Dotarliśmy do Zbrucza, wojna z Ukraińcami była skończona.

Wojna ukraińska, odbyta przeze mnie pod D-twem Sikorskiego pozostawiła węzły łączące nas, zdawałoby się nierozzerwalnie. Był to wspaniały D-ca bojowy, z niezwykle szybką decyzją i niepospolitą odwagą osobistą. We mnie ceniał dobrego, może trochę z nadmiernym temperamentem, lecz wążącego się na wszystko, **podkomendnego**. Nabrałem pewności, że w jakiegokolwiek się znajdę sytuacji, poda mi rękę. Odwrotnie on wiedział, że może na mnie liczyć w najtrudniejszych chwilach. Z okresu wojny ukraińskiej posiadam 7 rozkazów pochwalnych D-cy Dywizji, za czyny bojowe mego pułku.

Po wojnie ukraińskiej, Sikorski przeniesiony został na front bolszewicki, gdzie na Polesiu objął D-two 9-tej Dywizji. Ściągnął mnie tam na szefa sztabu, na którym to stanowisku pozostałem do końca grudnia, tj. do czasu powołania mnie na Kurs Szkoły Sztabu Generalnego w Warszawie.

Spotkaliśmy się następnie w 1920 roku. On jako D-ca 3-ciej Armii (krótco przed bitwą nad Wisłą), ja jako d-ca 25-go pułku piechoty. Za liczne i szczęśliwie wykonane wypadki zostałem przez niego odznaczony 2-ma Krzyżami Walecznych.

Wojna się skończyła. Zasadniczo nie miałem zamiaru pozostać w wojsku. Pociągała mnie natomiast wojna, pozwalała wyładować się temperamentowi i energii. Pragnąłem ukończyć studia medyczne, rozpoczęte w 1913 roku i kontynuowane w czasie nielicznych urlopów. Miałem skończone 4-ry półrocza należało zasiać do 1-go egzaminu. Lecz tuż przed zawieszeniem broni (początek października) zostaje wezwany do Warszawy. Na wniosek już ówczesnego gen. Sikorskiego i na skutek decyzji gen. Rozwadowskiego, Szefa Sztabu Gen. (znał mnie z okresu walk pod Lwowem), zostałem odkomenderowany na studia do École Supérieure de Guerre w Paryżu. Los mój został przypieczętowany, pozostałem oficerem zawodowym.

Gen. Sikorski nie należał do typu dowódców, którzy dbali o swoich podkomendnych, zwłaszcza wtedy, gdy ci zesłali z jego horyzontu działania. W 1921 roku jest on przewodniczącym

2-giej Komisji Weryfikacyjnej. Majorzy, którzy dowodzili w czasie wojny pułkami, zostawali podpułkownikami. Dowodziłem pułkiem przez cały prawie czas wojny polskiej. Lecz w tym okresie jestem daleko, w Paryżu. Nie staram się, ani nie dbam o moją szarżę, przeciwnie uważam że stopień majora jest dla mnie za wysoki. Moi D-cy zaś o mnie zapomnieli. Mimo tego, że Sikorski był Szefem Komisji Weryfikacyjnej i mimo tego, że płk Szubert d-ca 7-mej Dywizji Piechoty — kiedy odmeldowałem się u niego oddawszy 25-ty pułk — zawiadomił mnie, że za doskonałe dowodzenie pułkiem w boju podał mnie do awansu na podpułkownika — pozostałem majorem.

Lecz to nie był dla mnie żaden cios, nawet nie zwróciłem na to uwagi.

Cios pierwszy przyszedł w 1924 roku. Sikorski był Ministrem Wojny. Przy awansie zostałem nie tylko pominięty, lecz przeskokczony o 132 lokaty przez majorów, którzy nie dowodzili nawet baonami.

Mam jedno zadowolenie: nie zawdzięczam w mej służbie wojskowej Sikorskiemu absolutnie nic.

W okresie nieministrowania Sikorskiego, towarzyszę mu w charakterze doraźnego szefa sztabu w czasie podróży inspekcyjnej na Pomorzu. Kiedy zaproponował mi przyjęcie na szefa gabinetu odmówiłem, wołałem poświęcić się pracy naukowej, jako wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej.

Nastąpiły wypadki majowe 1926 roku i usunięcie Sikorskiego z czynnej służby wojskowej. Osiadł w swej willi przy ul. Belwederskiej.

Jakkolwiek miałem w armii opinię zdecydowanego sikorszczyka, podobnie jak po 1939 roku — piłsudczyka (w rzeczywistości nigdy nie byłem ani jednym ani drugim, lecz tylko niezależnym wojskowym) powołany zostaje przez Piłsudskiego na grę wojenną, i przydzielony w następstwie do Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych.

W tym okresie widuję się z Sikorskim dosyć często. Pierwsza moja wizyta u niego jest burzliwa. Zarzuciłem mu, że w okresie wypadków majowych, będąc D-cą Okręgu Korpusu Lwów, nie zachował się jak Dowódca. Albowiem według mojego zdania miał prawo powziąć tylko jedną z dwóch decyzji: pójść przeciw Piłsudskiemu lub pójść z nim. On wyłgał się rzekomymi rozruchami ukraińskimi.

Pracując w GISZ'u dostarczam mu szeregu materiałów do jego książki. Często rozmawiam telefonicznie. Pewnego dnia pułkownik (którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć) przyszedł do mnie do biura: wiemy — powiedział — że pozostaje

pan w kontakcie z Sikorskim, ostrzegamy, że źle się to dla pana skończy. Odpowiedziałem mu, że moim pierwszym przełożonym jest gen. Romer, drugim Piłsudski, przed nim tylko będę składał sprawozdanie z moich stosunków z gen. Sikorskim.

Kiedyś w 1934 lub 1935 roku spotkaliśmy się z Zakopanem. Dał mi dowody niezwykłej przyjaźni. W roku 1939, już w okresie zagrożenia, spotkałem go na Placu Piłsudskiego, idąc do południowej pracy w Sztapie. Wziął mnie pod rękę i przez godzinę paradowaliśmy, okrążając plac. Umówiliśmy się na następne spotkanie. Gen. Malinowski 1-szy D-ca Szefa Sztabu był z tych spotkań mocno niezadowolony. Lecz nie było w nich nic, poza przyjaźnią D-cy frontowego z podkomendnym.

Wreszcie nadszedł dzień 17 i 18 września 1939 roku. Spotkałem go dwukrotnie, lecz o tym wolno mi będzie pisać dopiero po wojnie*. Mogę tylko nadmienić, że wylewność jego uczuć pod moim adresem była niezwykła.

Dnia 29 września w obozie dla internowanych polskich oficerów w Rumunii, w Tulcea, w długiej dyskusji z gen. Stachiewiczem (był przy niej obecny płk Smoleński), starałem się wywalczyć u niego, aby przekonał Marszałka Śmigłego, że Sikorski winien być mianowany Naczelnym Wodzem wojska, które formować się będzie we Francji.

W październiku, z Bukaresztu, po ucieczce z obozu, napisałem do Sikorskiego długi emocjonalny list. Poszedł drogą dyplomatyczną francuską i dotarł. Przedstawiłem w nim położenie naszego wojska w Rumunii, rozpoczynające się wewnątrz niego rozdarcie. Stwierdziłem, że zdrowa część wojska uznaje jedynie Śmigłego jako Naczelnego Wodza. Żądałem aby dla dobra sprawy podporządkował się Marszałkowi. Żądałem dalej, aby nie robił żadnych różnic między 1-szą, 2-gą czy 10-tą Brygadą, aby nie odtrącał oficerów tzw. dawnego *régime'u*, aby przyjął wszystkich do armii i wszystkich jednakowo potraktował, aby wojsko zespałał a nie dzielił. Stwierdziłem, że patrzy na niego historia, która go będzie sądziła.

Dnia 4 listopada zameldowałem się u Sikorskiego w Paryżu.

Według karnetu przyjąć „audiencja” moja miała trwać kwadras. Pozostałem w jego gabinecie przeszło godzinę. Przyjął mnie początkowo z wysokości dostojeństwa Naczelnego Wodza, Premiera, Dyktatora. Nic w nim nie było z dawnego przyjaciela z tych tak niedawnych czasów, zaledwie 6 tygodni temu, kiedy jeszcze dnia 18 września prowadził mnie pod rękę po rynku Storożynieckim i pytał się co ma robić. Zaledwie zaprosił abym

* Patrz *Zeszyt Historyczny* Nr 12.

usiadł. Pierwsze jego słowa podniesionym głosem były: jakim prawem pan śmiał tego rodzaju list do mnie wystosować, jakim prawem stawia mi pan jakieś niedorzeczne żądania? Spoglądałem na niego spokojnie, zimno, z ironią. Odpowiedziałem: prawem uczciwego żołnierza, który pragnie tylko dobra armii i prawem stosunku, który nas kiedyś łączył. Powiedział mi następnie, że wśród błędów i win, które spowodowały klęskę, są błędy i winy operacyjne. Za nie będzie odpowiadał Stachiewicz i ja, jako jego bezpośredni pomocnik. Zawiadomiłem go, że sądów się nie lękam i mogę przed nimi stanąć chociażby dzisiaj, nie tylko mogę lecz pragnę, bo wiele zagadnień mogę wyjaśnić. Lecz ostrzegam go przed sądami, bo spowodują one rozkład armii. Wywiązała się między nami ostra wymiana zdań, nastąpił moment tak silnego naprężenia, że czekałem kiedy wyrzuci mnie za drzwi. Lecz się opanował. W międzyczasie dwukrotnie wchodził adiutant z meldunkiem, że jakiś dygnitarz czeka. Polecił sobie nie przyszkadzać.

Kiedy atmosfera nieco zelżała, prosiłem aby powierzył mi d-ty pułku w pierwszej dywizji, która pójdzie na front. Motywowałem między innymi tym, że przecież zna moje kwalifikacje na d-cę pułku z frontu. Roześmiał się wtedy: przecież dowodził pan pułkiem u mnie 20 lat temu. Zawiadomił mnie następnie, że do armii przyjęty być nie mogę (wyraził się chwilowo), jestem czerwoną płachtą, która będzie wszystkich drażniła.

Rozmawialiśmy następnie o drugorzędnych sprawach:

Zorientowałem go w sytuacji w Rumunii, prosiłem o ściągnięcie stamtąd płk. Wiatra, świetnego szefa Oddziału I-go (zanotował, lecz go nie ściągnął). Mówiłem o uratowaniu całego archiwum Oddziału III-go, które należy ściągnąć do Paryża (istotnie ściągnął).

Na zakończenie napisał dwa listy do Min. Skarbu: pierwszy, aby zmieniano wojskowym przybywającym po 1 listopada złote na franki. Zaniósłem ten list bezpośrednio do wiceministra lecz odmówił ze względów budżetowych. Drugi list czek dla mnie na 3.000 F., na poczet przyszłych moich poborów. Odmówiłem przyjęcia, motywując, że mogę przyjąć tylko to, co się wszystkim należy. Dosłownie prawie zmusił mnie do zabrania czeku. Wiedziałem, że go nie zrealizuję.

Złożyłem w biurze koszar Bessières wymagane do weryfikacji dane osobiste. Weryfikacja moja była niezwykle prosta. Wszak od Nacz. Wodza, poprzez gen. Kukiela, płk. Modelskiego, szefa sztabu płk. Kędziora, szefa Biura Personalnego mjr. Tokarza, a skończywszy na woźnym wszyscy mnie znali. Od weryfikacji zależały pobory. Czekałem tydzień, miesiąc, dwa miesiące. Skrom-

ne zasoby finansowe się wyczerpały. Przeszedłem okres nędzy. Był tydzień, w którym jedynym moim pożywieniem była owsianka, gotowana przeze mnie. Równocześnie pisałem sprawozdanie historyczne, dotyczące Kampanii w Polsce.

21 grudnia, gen. Faury z którym utrzymywałem kontakt i który znał niestety moje położenie finansowe, wbrew mojej woli interweniował u Sikorskiego.

22 grudnia zostałem wezwany przed oblicze Nacz. Wodza.

— Czy prawdą jest, że Pan dotychczas nie został zweryfikowany?

— Pan Generał powinien o tym wiedzieć lepiej ode mnie, nie ja podpisuję Dziennik Personalny.

— Co Pan robi?

— Piszę sprawozdanie historyczne, o to jego pierwsza część, dotycząca przygotowań do wojny (wręczyłem mu 90 stron maszynowego pisma).

— Zostanie Pan natychmiast zweryfikowany. Czy zna Pan język angielski?

— Nie.

— Szkoda, chciałem Pana przydzielić do misji polskiej przy D-twie angielskim.

Prosiłem wtedy, aby skoro nie mogę służyć w linii, dał mi przydział do Biura Historycznego. Mogę na podstawie uratowanych dokumentów i pamięci odtworzyć wojnę polską i wyciągnąć wnioski, mogące się przydać dla Kampanii Francuskiej. Odpowiedział, że znajdzie dla mnie inny przydział.

Na zakończenie wręczyłem, raczej zwróciłem jego czek na 3.000 F., którego nie zrealizowałem. Zerwał się z klubowego fotela w najwyższym podnieceniu, zaczął chodzić przez dłuższą chwilę po pokoju, wreszcie chwycił czek ze stolika podał go i rzucił na biurko:

— Pozostał Pan takie same rogate bydłę, jakim Pan był w 1919 roku.

Odpowiedziałem: — Wolno mi przyjmować tylko to, co mi się należy jako oficerowi.

Przecież suma ta miała być Panu wypłacona na poczet przyszłych poborów.

— A więc powinny mi być wypłacone pobory, czekam na nie już od dwóch miesięcy.

Wyciągnął z portfela 1.000 F.: — Od Naczelnego Wodza nie przyjął Pan poborów, lecz od „przyjaciela” przyjmie Pan pożyczkę.

(Nie mogłem jej nie przyjąć, lecz zwróciłem mu ją 22 marca

1940 roku). Rozstaliśmy się. W międzyczasie zapytał mnie dlaczego nie używam mego nazwiska. Istotnie wyrobiłem sobie papiery na inne nazwisko. Odpowiedziałem, że zamknąć się do Cerisay nie pozwolę, a zamknąć można tylko płk. Jaklicza, nie zaś pana X.

Nazajutrz dnia 23 grudnia, oficer Régine'y przyniósł mi pismo, podpisane przez płk. dr. Modelskiego z moją weryfikacją.

Minął styczeń, luty i marzec. W międzyczasie nazwisko moje pokazało się w Dzienniku Personalnym, przydzielając mnie do Min. Spraw Wojsk., potem tajemniczo wycofano kartkę zastępując ją inną, pozostawiającą mnie w dyspozycji Kdta Koszar Besières. Gdzieś w lutym wezwał mnie mjr Borkowski, of. ord. Sikorskiego i oświadczył:

1. Gen Sikorski żałuje, lecz żadnego przydziału mi w tej chwili dać nie może;
2. Gen. Sikorski wie, że tworzę jakieś *complot* przeciw niemu i w jakimś towarzystwie źle się o nim wyraziłem (coś w rodzaju: słaby człowiek).

Odpowiedziałem i potwierdziłem to listem odręcznym do Sikorskiego, że mam dosyć charakteru, aby występować otwarcie i jeżeli kiedykolwiek wystąpię, to pierwszy Sikorski zostanie o tym przeze mnie powiadomiony.

22 marca widziałem Sikorskiego po raz ostatni. Wizyta ta wyniknęła z mojej inicjatywy. Posiadałem z trudem przewiezione z Polski i Rumunii oryginały konwencji francusko-polskiej i protokoły rozmów polsko-angielskich. Po naradzie z gen. Malinowskim postanowiłem mu je wręczyć, mogły dla niego jako Nacz. Wodza i Premiera mieć znaczenie w rozgrywce z Francuzami i Anglikami.

— Dlaczego nie wręczył mi Pan ich wcześniej?

— Wszak wiedział Pan Generał, że brałem udział w rozmowach międzysztabowych polsko-francuskich w Paryżu i polsko-angielskich w Warszawie, wszak wiedział Pan Generał, że byłem szefem Oddziału III-go, a następnie Zcą Szefa Sztabu, złożyłem w tych sprawach sprawozdanie. Nikt nigdy nie zainteresował się tym, ani nie postawił żadnego pytania.

Wrócił znowu do zagadnienia mojego przydziału. Mówił, że pragnie mnie posłać na *stage* do korpusu francuskiego na linię Maginot'a, lub oddać mi D-two Brygady Polskiej, mającej się tworzyć w Syrii. Odpowiedziałem, że do Syrii, jeżeli nie mogę objąć pułku w 1-szej Dywizji, gotów jestem jechać dzisiaj. Natomiast zamiast na *stage* w Korpusie francuskim wolałbym pójść na *Cycle d'Information des Généraux et Colonels* w Wersalu, celem zaznajomienia się z nowoczesną doktryną francuską.

23 marca przypadkowo spotkałem płk. Klimeckiego ówczesnego szefa Oddziału III-go. Powiedział mi co następuje: — Wczoraj o godz. 14-tej mieliśmy odprawę celem wyboru kandydata na D-cę Brygady Syryjskiej. Gen. Sikorski zapowiedział: moim kandydatem jest Jaklicz. Przyjąłem to jako decyzję. Przygotuj się do wyjazdu.

W kilka dni później (już po Świątach Wielkiej Nocy) zaprosił mnie Klimecki do siebie, zawiadamiając, że D-cą Brygady został Kopański. Podobno Kot sprzeciwił się mojej kandydaturze.

W połowie kwietnia usunięto mnie z Paryża, polecając się zgłosić do Dépôt Of. w Vichy. Nic nie robiąc, pozostałem tam do rozpoczęcia ofensywy w dniu 10 maja.

W połowie maja otrzymałem nagle D-two 10-go pułku w 4-tej Dywizji, która prócz kadry oficerskiej nie posiadała ani kadry podoficerskiej, ani żołnierzy.

W pierwszych dniach czerwca otrzymałem na skutek interwencji gen. Faury D-two Piech. Dyw. w 3-ciej Dywizji Piechoty. Nim zdołałem objąć nowy posterunek (12 czerwca) i zaznajomić się z ludźmi, nastąpiła klęska i odcięcie 3-ciej Dywizji (18-go czerwca).

Szerzej zająłem się tym zagadnieniem w raporcie do generała Sikorskiego z grudnia 1940 roku.

Józef JAKLICZ

Stanisław LIS-KOZŁOWSKI
(kpt. Mścigiewicz)

T E O D O R

(WYJĄTEK Z „FRAGMENTÓW WSPOMIENI Z OKUPACJI
I POWSTANIA”)

Kedyw była to ostatnia — używana dopiero od wiosny 1943 roku — nazwa organizacji stworzonej dla prowadzenia sabotażu i dywersji; istniała ona jednak i działała pod innymi kryptonimami już od 27 września 1939 roku. Mniej są znane szerszemu ogółowi kolejne dzieje sektora sabotażu i dywersji. Jeszcze mniej, sądząc z dotąd opublikowanej literatury, znana jest postać jego twórcy.

Franciszek Niepokólczycki urodził się w Żytomierzu (27. 10. 1902). Tamże, jeszcze jako uczeń gimnazjalny, już w 1917 roku jest w P.O.W. Kijowszczyzny. W latach 1919-1920 służy w 5 p.p. Leg. „Zuchowatych”, jako podchorąży — stopień wówczas oficerski. Po wojnie zostaje w służbie czynnej. Przenosi się do saperów. Jest w 4 bat. w Przemyślu, w Centrum Wyszkożenia Saperów w Modlinie, w Gen. Insp. Sił Zbrojnych. Potem przez 7 lat dowodzi 3 bat. w Wilnie. Jest nie tylko cenionym przez zwierzchników i lubianym przez kolegów i podkomendnych oficerem, ale i zasłużonym społecznikiem. Dopiero jednak Druga Wojna Światowa — kampania 1939 roku, a przede wszystkim służba w Armii Krajowej w różnych jej etapach — dały możliwość zabłyśnięcia jego wyjątkowym talentom dowodzenia i organizacyjnym.

Rok 1939 застаје go na stanowisku dowódcy saperów Armii „Modlin”. Po zwycięskiej walce pod Ciechanowem, stoczonej na czele swego batalionu z oddziałem dywizji pancerniej „Kempf”, odkomenderowany (15 września 1939) do dyspozycji gen. Rómmla, bierze udział w obronie Warszawy.

Przed kapitulacją Stolicy jest wybrany do nielicznej grupy kilkunastu oficerów, których zadaniem miało być pozostanie w kraju i zorganizowanie prowadzenia dalszej walki. Dowódcą tej grupy został gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz. Na odprawie w P.K.O. 27 września, w której brało udział 14 osób, została powzięta decyzja stworzenia konspiracyjnej organizacji „Służba Zwycięstwu Polski”.

Niepokólczycki na tymże zebraniu jest mianowany szefem „Referatu C”, którego zadaniem były „Organizacja i Kierownictwo Walki Czynnej”; nieco później zmieniono nazwę organizacji na „Sabotaż i Dywersja” skierowane przeciwko okupantowi, uruchomionej przez Niemców produkcji wojennej etc.

Szef „Referatu C” (Oddział III Sztabu S.Z.P.), czyli według określenia gen. Tokarzewskiego — „Szef Dywersji” — Niepokólczycki miał powierzone następujące zadania: uformowanie kierownictwa walki z okupantem, opracowanie instrukcji walki, dowodzenia i łączności, opracowanie sposobów walki bieżącej, stworzenie ośrodków konspiracyjnych produkujących materiały i sprzęt oraz przejęcie i scalenie istniejących już związków dywersyjno-bojowych.

„Referat C” zostaje wkrótce ponownie przemianowany na „Szefostwo Dywersji”. Niepokólczycki — pseudonim „Franek”, później „Szubert”, a w ostatnim okresie „Teodor” — już w listopadzie-grudniu 1939 roku powołuje do życia „Sztab Dywersji” złożony z 8 saperów, oficerów służby czynnej, przeważnie swoich

wileńskich kolegów. „Franek” jest bowiem jednocześnie przez 5 lat, od początku do końca konspiracji, Szefem Wydziału Saperów w Sztabie Głównym kolejno S.Z.P., później Z.W.Z., a w końcu A.K.¹

Już 6 października 1939 roku przygotowany jest przez niego zamach na Hitlera — mina na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i Nowego Światu². Już w pierwszych miesiącach 1940 roku mają miejsce liczne sabotaże w fabrykach broni, w transportach kolejowych: wykołajenia, katastrofy, palenie składów, wysadzanie mostów.

W kwietniu 1940 roku Rowecki melduje gen. Sosnkowskiemu, że: „Po opracowaniu instrukcji dla sabotażu i dywersji został stworzony aparat pod nazwą 'Związek Odvetu'. Komendantem 'Z.O.' mianowany jest 'Franek' — Niepokólczycki”.

Niepokólczycki nie tylko opracował w ciągu paru miesięcy te instrukcje, ale miał już gotową całą organizację (aparat — jak to nazwał Rowecki) — sztab, zespoły wykonawcze, grupy fachowców, naukowców, etc. — która już działała i to dwoma torami — przez „Szefostwo Saperów” i przez „Sabotaż i Dywersję”, w Oddziale III Sztabu Komendy Głównej Z.W.Z. Zadania, powierzone mu w końcu września 1939 roku, wypełnił więc w niespełna 6 miesięcy.

Utworzony rozkazem gen. Roweckiego z dn. 20. 4. 1940 r. „Związek Odvetu”, ten nowy „Organ walki bieżącej przez działania sabotażowe, dywersyjne i bojowe”, dawał zespołowi Niepokólczyckiego dużo szerszy zakres działania — dawał nowy formalny status i znacznie rozbudowane ramy organizacyjne tej już istniejącej i działającej grupie. Najważniejszą zmianą było wy-

1. W skład tego pierwszego Sztabu Dywersji wchodził: majorowie — Mizerek i Szreyer, kapitanowie — Kiwerski, Januszek, Lewiński, porucznicy — Andrzejewski, Lewandowski, Wąsikowski. Są to najstarsi współpracownicy „Teodora” na odcinku sabotażu i dywersji, którzy zajmowali w różnych jego fazach wybitne stanowiska kierowników i dowódców w rozbudowujących się komórkach i oddziałach. M.in. kpt. Jan Wojciech Kiwerski był kolejno oficerem operacyjnym, zastępcą Komendanta, dowódcą pułku dywersyjnego „Motor” — w „Związku Odvetu” (później w Kedywie), w skład którego wchodził batalion szturmowy Szarych Szeregów, znany powszechnie pod jego późniejszym pseudonimem „Zośka”. Kiwerski, już ppłk, zginął w kwietniu 1944 roku na Wołyniu jako dowódca 27 Dyw. Piech. A.K. Jan Kajus Andrzejewski, też już ppłk, V.M. IV i V kl., dwukr. K.W., zginął w Powstaniu jako dowódca grupy „Broda” w Śródmieściu. Wszyscy wyżej wymienieni stanowili trzon tak później szeroko rozbudowanej organizacji. Również ze sztabu „Teodora” wyszedł jego zastępca w „Związku Odvetu”, mjr Henryk Krajewski, późniejszy dowódca 30 Dyw. Piech. A.K. na Polesiu.

2. Na skutek nagłej ewakuacji przez Niemców ludności z tej dzielnicy nie zdołano na czas powiadomić posterunku, który miał minę odpalić.

dzielenie jej ze Sztabu Gł. Z.W.Z. i bezpośrednio podporządkowanie Komendantowi Głównemu. Miało to na celu uchronić całość organizacji wojskowej od zagrożeń (tzw. ewentualnych wysp i wpadek), na które szczególnie były narażone zespoły najbardziej eksponowane, w pewnym sensie ujawniające się przez stałą walkę.

Związek Odwetu (formalna nazwa brzmiała początkowo „Związek Odwetowy”) posiadał swoją własną sieć Komend Okręgowych i Obwodowych z lokalnymi grupami dywersyjnymi. Dysponował tymi grupami wykonawczymi bądź niezależnie, bądź powiadamiając lokalne władze Z.W.Z. Pracował zawsze na odrębnej, własnej sieci łączności. Był więc organizacją równoległą do Z.W.Z., z którą łączyła ją jedynie osoba Komendanta Głównego — gen. Roweckiego.

Niepokólczycki, obecnie Komendant Z.O., otrzymuje nowe, dodatkowe zadania i rozszerza dawniejsze, które wykonywał jako Szef „Sabotażu i Dywersji”. M.in. organizuje specjalne biura studiów, biura badań naukowych, grupy specjalistów: chemików, pirotechników, radiotechników, lekarzy bakteriologów i toksykologów et. etc. Nawiązuje w tym celu kontakty i ścisłą współpracę z naukowcami — z najaktywniejszych należy wymienić Rektora Politechniki Warszawskiej, prof. J. Zawadzkiego (ojciec „Zośki”) oraz profesorów Gnoińskiego, Szymanowskiego, Maternowską. Rozszerza się kursy szkoleniowe; rozbudowuje produkcję materiałów i broni. Opracowano kilkanaście typów granatów ręcznych i zapalników. Najbardziej znany, prócz popularnych „Sidolówek”, to granat — dzieło inż. S. Krasnodębskiego — „Filipinka”³. Powiększa się ilość patrolów dywersyjnych, minerskich (przeważnie kobiecych), zespołów sabotażowych w ważniejszych zakładach przemysłowych. Tworzy się specjalne zespoły dyspozycyjne Kom. Gł. Z.O., organizuje zakup broni. Trudno tu wyliczyć wszystkie sektory Z.O. O różnorodności i rozmiarach zagadnień niech świadczy fakt, że dawny „Sztab Dywersji” czyli „Walki Czynnej”, który już w pierwszej połowie 1940 roku powiększył się do 12 osób, rozrasta się tak, że pod koniec 1942 roku razem z łącznością liczy 62 osoby. Ważnym osiągnięciem było włączenie do współpracy z Z.O. luźnych grup sabotażowych i uderzeniowych z innych organizacji konspiracyjnych jak Tajna Organizacja Wojskowa, Polska Organizacja Zbrojna, Organizacja

3. Nazwany tak na wniosek „Teodora” od pseudonimu ppłk. Stanisława Krasnodębskiego — „Filip”. Przy produkcji „Filipinek” współpracowała m.in. Henryka Landy (pseud. „Maria”). Warsztat, doskonale zakonspirowany przez całą chyba okupację, mieścił się niedaleko placu Żelaznej Bramy (na Grzybowskiej czy Krochmalnej) aż do zbombardowania go w czasie Powstania.

Polskich Socjalistów, Związek Syndykalistów Polskich, „Pobudka” i innych, działających niezależnie od Komendy Głównej Z.W.Z.

Oddziały dyspozycyjne Z.O. zostały zorganizowane w większą jednostkę, zespół „Motor”, na szczeblu pułku, który został zasilony m.in. batalionem harcerskich Grup Szturmowych, wyselekcjonowanym z Szarych Szeregów. Rozszerza się też teren działania Z.O. — na zachód na Niemcy, na stary Reich (Berlin, Wrocław) i — pod koniec roku 1941 — na wschód: pierwsze studia nad montażem „Wachlarza” na Ukrainę, Białoruś, Inflanty (później wydzielone) mają miejsce w ramach Z.O.

Działalności sabotażu i dywersji poświęca ponad 100 stron dzieło „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej”, tom III-ci — Armia Krajowa (Londyn, 1950). Oddzielnie kilkanaście stron zajmują rezultaty pracy Z.O. Suche wykazy, zestawienia cyfrowe — choć redakcja zastrzega się, że są to dane niepełne — wyglądają jednak imponująco. Na przykład druga połowa 1941 roku: uszkodzono około 2.000 parowozów, podpalono 237 taboru w Gen. Guberni), około 3.000 wagonów, podpalono 237 transportów, wykolejono 91, wysadzono trzy mosty. Albo druga połowa 1942 roku: uszkodzono 1.600 parowozów, spalono 5.400 wagonów etc. Zestawienie za trzy lata — 1941 do 1943 — uszkodzono 7.000 parowozów, 20.000 wagonów, zniszczono 1.600 cystern z benzyną, 5.000 ton benzyny w składach, wykonano wadliwie 100.000 pocisków artyleryjskich, 570.000 (90 %) kondensatorów elektrycznych, 1.700 obrabiarek etc. Łącznie dokonano około 25.000 aktów sabotażu; nadto dokonano 5.700 zamachów na Niemców.

Pod koniec 1942 roku krystalizuje się w Kom. Gł. A.K. koncepcja przejścia do „walki organicznej”. Wiosną 1943 roku następuje nowa reorganizacja. Powstaje „Kierownictwo Dywersji” — Kedyw. Jest to ten sam dawny „Związek Odwetu”, ale bez Wydziału Saperów; te dwa niezależne sektory łączyła dotąd osoba „Teodora”. Szefem Kedywu zostaje płk Fieldorf („Nil”) a Niepokólczycki — wówczas jeszcze podpułkownik — jego zastępcą. Cała stworzona przez „Teodora” organizacja, którą samodzielnie kierował przez trzy i pół roku, kontynuuje teraz swą akcję znów pod nową nazwą. „Teodor” pozostaje natomiast nadal dowódcą Szefostwa Saperów — jednostki organizacyjnie równorzędnej z Kedywem; obie stanowią Oddział IV Sztabu Komendy Głównej A.K.

Kedyw ma teraz powierzone jeszcze jedno nowe zadanie: organizację związków oddziałów partyzanckich.

Działalności Kedywu poświęcono oddzielny rozdział we wspomnianej wyżej historii A.K. O niektórych jej fragmentach istnieje obszerna literatura. Książki Kamińskiego („Kamienie na szaniec”, „Zośka” i „Parasol”) i innych autorów, filmy („Zamach”) nie miało przyczyniły się do stworzenia wokół Kedywu famy, na jaką słusznie zasługuje. Należy jednak znów przypomnieć, że dzisiaj potocznie nazwy Kedyw używa się nie od daty jego formalnego powstania, ale w ogóle w odniesieniu do sabotażu i dywersji w całym okresie okupacji⁴.

Zbliża się akcja „Burza” — do niej to właśnie organizował Kedyw oddziały partyzanckie — z której Warszawa miała być wyłączona. Wbrew uprzednim projektom zostaje zarządzane Powstanie, które przeradza się w trwającą 63 dni Bitwę o Warszawę.

W tych ciężkich chwilach „Teodorowi” dane jest kierowanie jednym z najważniejszych — zwłaszcza w nowoczesnej wojnie — odcinkiem: produkcją materiału wojennego i zaopatrzenia.

Cały Kedyw i większość saperów walczą w pierwszej linii; Oddziały minerskie umożliwiają zdobycie PASTY i innych obiektów; saperzy budują tunele, m.in. pod al. Sikorskiego, z dużymi stratami i mają mnóstwo roboty poza frontem, w drugiej linii, jeżeli w ogóle można o niej mówić, w czasie Powstania.

„Teodor” wkrótce — w połowie sierpnia — otrzymuje dodatkowe zadanie: na rozkaz Bora i Grzegorza przejmując działą „Denhoffa” (płk Z. Miłkowski) — komórkę kwatermistrzowską „Drzewo” etc. i obejmuje teraz całość produkcji uzbrojenia⁵. W uzbrojeniu pracowało na terenie Warszawy kilkuset ludzi. W czasie Powstania liczba ta zwiększa się znacznie — zwiększyło się zapotrzebowanie .

4. M.in. na przykład tzw. „Akcja pod Arsenalem” w marcu 1943 roku to jeszcze, ściśle biorąc, „Związek Odwetu” a nie Kedyw.

5. Szefem uzbrojenia został później mianowany gen. Kossobudzki (pseud. Kossakowski), zrzucony na krótko przed Powstaniem, który nie miał możliwości (technicznie biorąc — po prostu czasu) zapoznać się z poszczególnymi organami A.K., a tym mniej z tym tak rozbudowanym działem; zwłaszcza że przez pierwszych kilka dni Powstania zapomniano o nim jakoś w Kom. Gł. i generał, jako prosty żołnierz-ochotnik, pracował przy budowie barykad, nosząc płyty wyjęte z chodnika — doszło to jednak do wiadomości dowództwa i poproszono go do sztabu. Stanowisko to zatem zajmował czysto nominalnie. Do „Teodora”, który w rzeczywistości wszystko prowadził, ustosunkował się niezwykle lojalnie.

6. Jako przykład można przytoczyć produkcję miotaczy płomieni: prowadzona przez rtm. Jana Hirszla, przy współpracy por. Jana Karwowskiego, por. Ludwika Vaqueret i in. wzrosła tak, że w ciągu niespełna miesiąca tylko na Starówce zmontowano ich ponad 100.

Produkcja min i granatów, bez której nie do pomyślenia była jakakolwiek akcja, prowadzona była zawsze, przez cały okres okupacji i w czasie Powstania, wyłącznie przez Szefostwo Saperów. Obecnie urasta ona do najważniejszego zagadnienia. Skromne zapasy amunicji (wyposażono bowiem niedawno 27-mą dywizję wołyńską) wyczerpały się szybko⁷. Zaopatrzenie ze zrzutów skończyło się. Kończyło się również zdobywcze. Granaty stały się prawie jedyną bronią powstańców. Do ostatnich więc granic możliwości powiększa się produkcję różnego typu granatów: „klasycznych”, w żeliwnych skorupach, „Filipinek”, „Sidelówek” etc. i uruchamia wyrób „granatów woreczkowych” (wynalazek powstańczy). Ale potrzebne są do tego materiały wybuchowe, których zapasy wystarczyły na kilkanaście dni, kiedy jeszcze była amunicja. Zapotrzebowanie wynosi teraz ponad 1.000 kg. trotylu dziennie. Samych granatów „woreczkowych” potrzeba około 800 do 1.000 sztuk, a na każdy zużywa się ok. 400 gramów materiału wybuchowego, a na „Filipinkę” aż do 1 kg. Jedyne jego źródło na terenie zajęтым przez A.K. to niewypały bomb lotniczych i pocisków ciężkiej artylerii. Powstaje więc swoista „produkcja” materiałów wybuchowych. Zostaje utworzony Samodzielny Oddział Rozładowywania Niewypałów i Dział Zaopatrzenia w Materiały Wybuchowe, które podlegają bezpośrednio „Teodorowi”, a należą do Oddziału IV Sztabu Głównego A.K. Rozbraja się i rozładowuje niewypały, pod ostrzałem artylerii, granatników, nalotami bombowymi — z ogromnymi stratami w ludziach. Uzyskany materiał służy do produkcji granatów, których w czasie Powstania wyprodukowano łącznie około 50.000⁸.

W tej „Bitwie o Warszawę” granaty były czynnikiem decydującym o jej losach, a nigdy nie było większego ich zapasu jak na dwa-trzy dni. Bez granatów Powstanie skończyłoby się w ciągu

7. Już 4 sierpnia 1944 D-ca A.K. depešował do Londynu: „Za wszelką cenę dajcie nam zrzuty amunicji do miasta na trzy punkty: Cmentarz Żydowski, Plac Napoleona, i małe Getto. Od otrzymania od was amunicji zależy nasze wytrwanie w walce”.

8. Informacje niektórych pamiętnikarzy, jak np. m.in. E. Kumora („Wy-cinek z historii jednego życia”, Warszawa, 1969), są w tych sprawach zupełnie nieścisłe. Takich „nieścisłości” jest więcej. Na przykład duża wytwórnia różnorodnego sprzętu, często improwizowanego, wykonywanego według własnych pomysłów i konstrukcji, prowadzona przez mjr. Michała Bucza, por. Wiśniewskiego i in. na ul. Hożej 59 (?) w lokalu zakładu mleczarskiego, kierowana była przez Szefostwo Saperów A.K. Obecnie usiłuje się ją przedstawić jako dzieło i komórkę Armii Ludowej, co jest całkowicie niezgodne z prawdą. Podobnie przedstawia się sprawa szeregu akcji dywersyjnych, które były prowadzone wyłącznie przez A.K.

trzech dni⁹. Za to kluczowe zadanie odpowiedzialny był znowu Niepokólczycki.

Po kapitulacji „Teodor” idzie z Komendą Główną do niewoli. Przez ulicę Śniadeckich, pieszo do Ożarkowa, potem w bydłych wagonach do Reichu.



We wspomnieniach żołnierzy A.K., Kedywu, nie wymienia się wyższych dowódców. Na ogół nie orientowano się nawet w górnych szczeblach organizacji. Wymagały tego względy konspiracyjne — znało się swego bezpośredniego dowódcę, co najwyżej następnego w starszeństwie, znało się podkomendnych i to często jedynie najbliższych. Żołnierze „Zośki” znali się między sobą, ale nie znali zwierzchników powyżej dowódcy batalionu. Kamiński napisał „Kamienie na szaniec” jeszcze w konspiracji. Nie wiedział kto kierował dywersją, a nawet gdyby wiedział, to nie mógłby o tym pisać. Saperzy — później kedywcy „Chwackiego” — wiedzieli jedynie o dowódcy Saperów Okręgu, późniejszym dowódcy Kedywu Okręgu Warszawskiego (kpt. później mjr sap. Jerzy Lewiński, przed utworzeniem Kedywu szef Związku Odwetu na Okręg Warszawski). I jedni i drudzy zdawali sobie oczywiście sprawę, że istniał ośrodek kierujący całością, wszystkimi akcjami — tak w Warszawie, jak i w innych Okręgach — i że miał swego szefa. Ale opisywali tylko te działania, w których sami brali udział lub z którymi byli blisko związani i wymieniali te osoby, z którymi się osobiście stykali.

I jest tak nadal. W ogromnej większości publikacji wydanych w Kraju, dotyczących A.K., ani nazwisko ani pseudonimy „Teodora” nie są nawet wspomniane.

[Wyjątkiem jest książka braci Witkowskich „Kedywcy”, wydana w 1973 roku. W skromnym odsyłaczu wspomina się, że szefem Związku Odwetu był Niepokólczycki i raz jeden jest mowa o tym, że „inicjatorem akcji, znanej jako odwet kolejowy, był szef Związku Odwetu płk „Teodor”. A jednak całą książkę wypełniają opisy organizowania grupy, szkolenia i akcji, nakazanych i przygotowywanych przez naczelne kierownictwo Z.O., Szefostwo Saperów, Kedyw, i wykonywanych przez zgrupowania saperskie.

9. Po kilku pierwszych dniach akcji zaczepnej (z nikłymi zresztą wynikami — opanowano zaledwie kilka ważniejszych obiektów z paru dziesiątków planowanych) walka miała charakter typowo obronny i główną w niej rolę odgrywały właśnie granaty.

Drugim wyjątkiem jest praca doc. dr. Tomasza Strzembosza pt. „Piony walki bieżącej warszawskich organizacji konspiracyjnych w latach 1939-1942” (Warszawa, 1971), a więc omawiająca tylko fragment — tak w terminie, jak i w czasie. W żaden sposób nie było możliwe pominąć tu „Teodora”. Praca ta, wymagająca zresztą obszerniejszego omówienia i uzupełnień, nie jest jednak pozbawiona pewnej tendencyjności. Zgodnie z obowiązującą receptą, grupy dywersyjne muszą być przedstawione jako samorzutnie powstające organizacje — co w tym przypadku jest zgodne z prawdą, ale tylko w odniesieniu do fazy początkowej; nie mówi się jednak, albo wspomina tylko marginesowo, o ich scalaniu, ani o tym kto osiągnął w pionie Z.O. to, co następnie w Z.W.Z. (a później w A.K.) ciągnęło się latami. Na korzyść autora — co kwalifikuje go jako sumiennego historyka — przemawia fakt, że na 55 stron całości tylko na 4 i pół stronach omawia (powstała dopiero w 1942 roku) Gwardię Ludową — reszta poświęcona jest działalności Z.O., Szefostwa Saperów i innych organizacji, podległych im w ten lub inny sposób. Działalność ta jednak jest tak rozczłonkowana podziałem rozdziałów na okresy chronologiczne, że może zdezorientować czytelnika co do doniosłości pozycji zajmowanej przez Z.O. Oddzielnie omawiane są np. batalion „Zośka”, pułk „Motor” i inne człony Związku Odwetu. Również w oddzielnym rozdziale są wydzielone „Zespoły dywersyjne Okręgu Warszawskiego Z.W.Z. (A.K.), znajdujące się poza Związkiem Odwetu”. Choć autor lojalnie zastrzega się w odsyłaczu, że nie można z całą pewnością stwierdzić czy któryś z wymienionych zespołów nie był zespołem Z.O., omawia tu np. „Patrole dywersyjne bat. saperów Chwackiego”, „Dysk”, „Oddziały likwidacyjne” etc. — niewątpliwie należące do Z.O. Jako przykład można przytoczyć właśnie Organizację Saperów Okręgu Warszawskiego. Jest ona dobrze znana i opisana. Nie ulega wątpliwości, że była to jedna i ta sama, stale się rozrastająca organizacja o czym najlepiej świadczy fakt, że przez cztery lata — od początku 1940 do listopada 1943 roku (gdy został rozstrzelany) — na jej czele stał bezpośrednio podległy „Teodorowi”, kpt., później mjr, Jerzy Lewiński. Tylko jego tytuły ulegały zmianom: Dowódca bat. saperów m.st. Warszawy, potem dowódca Saperów, Szef Związku Odwetu, Dowódca Kedywu — zawsze okręgu warszawskiego. Nie można się więc zgodzić z autorem, że Patrole Dywersyjne bat. saperów „Chwackiego” nie należały do Związku Odwetu. To samo odnosi się do „Dysku” i in. Wymienione w tymże rozdziale grupy sabotażowo-dywersyjne innych organizacji polityczno-wojskowych podlegały jednak Związkowi Odwetu, skoro otrzymywały od

niego: a) wykształcenie saperskie i minerskie, b) broń i materiały, c) subwencje, d) zadania do wykonania. Zresztą sam autor pisze w innym miejscu o „zespoleniu” niektórych organizacji (m.in. oenerowskiej „Pobudki” czy socjalistycznych „Syndykalistów”) — „na odcinku Z.O. i na odcinku saperskim”. Należy tu przypomnieć, że Niepokólczycki działał przez dwie organizacje — nazwane przez autora pionami — Z.O. i Szefostwo Saperów. Bądź przez pierwszą, bądź przez drugą, wymienione grupy „znajdujące się poza Z.O.” podlegały „Teodorowi”.

Tak więc, mimo że autor wymienia wielokrotnie nazwisko Niepokólczyckiego, to jego rola nie jest należycie naświetlona].

Ukazują się wspomnienia i opracowania, które mówią o bohaterstwie żołnierza, małych oddziałów — plutonów, kompanii, batalionów. Ale „nie wypada” chwalić, ba, wspominać nawet wyższych dowódców, naczelnych kierowników organizacji. Jest w tym specjalny cel, konsekwentna zasada, która stosowana jest również w publikacjach dotyczących kampanii 1939 roku i ująć ją można w obowiązujący, swoisty slogan: Żołnierz był znakomity, ale dowództwo nawaliło.

Dziwić może natomiast fakt, że w publikacjach ukazujących się na Zachodzie nazwisko „Teodora” pomijane jest milczeniem. Wysoko oceniana jest działalność Sabotażu i Dywersji, Związku Odwetu, Szefostwa Saperów — również i we wspomnianej wyżej, oficjalnej Historii A.K. — ale ani razu nie wymienia się ich dowódcy — nawet używając jego pseudonimów. Gen. Tokarzewski w swoich krótkich wspomnieniach, wydanych przez *Kulturę* w *Zeszytach Historycznych* w Paryżu (w 1954 r.) wspomina o „koleździe wyznaczonym na Dywersję” — nie podając o kogo tu chodzi.

Jedynie w wydanych przez Studium Polski Podziemnej w Londynie (w 1970 r.) „Dokumentach” tom I, pojawia się nazwisko Niepokólczyckiego i to zaledwie dwa razy: na str. 3 — mjr Jadwiga Karaś podaje w swej relacji, że w dn. 27. 9. 1939 r. Niepokólczycki został wyznaczony na Dywersję oraz na str. 553 figuruje w spisie Sztabu Komendy Głównej Z.W.Z. jako komendant Związku Odwetu.

A jednak zwierzchnicy wiedzieli o jego zasługach i oceniali je. „Teodor” otrzymuje (podobnie jak w latach 1919-1920) liczne wyróżnienia: *Virtuti Militari* V i IV klasy, kilkakrotnie Krzyż Walecznych, Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Armii Krajowej, czterokrotnie Medal Wojska Polskiego. Awansuje na podpułkownika i na pułkownika. Wreszcie otrzymuje — za późno — należny mu dawno awans na generała brygady.

Trudno jest ryzykować jakąkolwiek ocenę co było „ważniejsze” czy „niebezpieczniejsze” — mogłaby wypaść niesprawiedliwie. Wywiad, który oddał aliantom bezcenne usługi dostarczając w początkowej fazie wojny do 80 % najważniejszych informacji, zorganizowanie armii, wyszkolenie jej i przygotowanie do „Burzy”, walka cywilna, prasa konspiracyjna podtrzymująca ducha Narodu przez całą okupację, Delegatura Rządu ze wszystkimi resortami, tajne szkolnictwo — całe „Państwo Podziemne”, były niezwykle ważnym osiągnięciem, były jednakowo potrzebne. I na każdym odcinku niebezpieczeństwo było jednakowe i jednakowe groziły za to konsekwencje. Niemniej jednak, nie umniejszając w niczym innym postaci walki z okupantem, należy zdać sobie sprawę, że sabotaż i dywersja były „codzienną, bieżącą” walką czynną, walką z bronią w ręku. Można by ją porównać do walki w pierwszej linii frontu.

Niepokólczycki przez cały czas okupacji był naczelną postacią na tym odcinku polskiego podziemia.



W lutym 1945 roku powraca „Teodor” z obozu w Woldenbergu. Niestrudzony żołnierz znów staje do służby — do walki z nowym okupantem. Zostaje najpierw zastępcą, później Naczelnym Dowódcą (2-giej) Komendy W. i N.¹⁰. Akcja, rozpoczęta jako walka z zaborcą, zamienia się w walkę z nowymi targowicznymi i w nowy rozlew krwi polskich patriotów — jak pokazała wkrótce historia — zupełnie niepotrzebny. Zachód nie mógł się zdecydować. Prawie dwa lata toczy się ten nierówny bój, w którym Niepokólczycki osiąga najwyższe stanowisko. Ale — „Teodor” wypełnia rozkaz. Nie działa pod wpływem jakiejś nieprzemyślanej reakcji emocjonalnej.

Należy przypomnieć sobie ówczesną sytuację polityczną. Rosja spodziewała się natychmiastowego ataku ze strony mocarstw zachodnich. Żołnierz sowiecki, zwłaszcza drugiej linii, szedł przez Polskę przygotowany propagandowo nie do walki z Niemcami, które — jak mu to wbito do głowy — już były pokonane, ale z „kapitalistycznym Zachodem”. Że wojna ta „wisiła na włosku” oświadczył później oficjalnie (w związku z blokadą Berlina) sekretarz stanu, Foster Dulles.

10. Krótko działającym szefem poprzedniej (1-szej) Komendy W. i N.-u był płk Jan Rzepecki, aresztowany w listopadzie 1945 roku, pokajał się, przyznał do „błędów” i w śledztwie (*nota-bene* bez tortur) ujawnił całą organizację, podając nazwiska i adresy swoich podwładnych, składów broni etc. Prosił o łagodny wymiar kary. Został ułaskawiony przez Bieruta i zwolniony zaraz po procesie, gdy reszta skazanych pozostała w więzieniu.

Kto wie czy w innych okolicznościach Niepokólczycki podjąłby się kierowania akcją, która narażała i kosztowała życie wielu jego podkomendnych w nierównej, beznadziejnej walce.

Aresztowany jesienią 1946 roku w tzw. „procesie krakowskim” (11. VIII. - 10. X. 1947) nie załamał się. Jak zawsze całą odpowiedzialność wziął na siebie. Nie winił nikogo i bronił swoich podwładnych. Na zarzut „wysługiwania się zachodnim państwom” odpowiada z godnością: „Nie wysługiwałem się obcym. Jako żołnierz spełniłem rozkaz”. Bo służbę w konspiracji pod niemiecką okupacją i później uważał za kontynuację służby w Armii Polskiej. I z równą godnością i spokojem prosi o sprawiedliwy wyrok. Skazany na śmierć odmawia podpisania prośby o ułaskawienie. Od wykonania wyroku uratowała go petycja, złożona przez byłych kolegów i podkomendnych i prośba podpisana przez jego obrońcę. Wyrok zamieniono mu na 12 lat więzienia. Został uwolniony po 10-ciu latach, w grudniu 1956 roku, w wyniku ogólnej amnestii w związku z „przewrotem Gomułki”.

Nadal pozostał wierny swym ideałom. Nie przez jakiś upór, czy zatwardziałość, czy zawężenie horyzontów, lecz z głęboko przemyślanego przeświadczenia o słuszności swego stanowiska. Z żelazną konsekwencją odrzucał wielokrotnie wszelkie sugestie, odpowiadał odmownie na propozycje, które nie zgadzały się z linią jego dotychczasowego postępowania, nie były zgodne z jego pojęciem żołnierskiego honoru. A propozycje te mogłyby mu zapewnić nie tylko dużo dostatniejsze i wygodniejsze bytowanie, ale przede wszystkim bezpieczniejsze i spokojniejsze ostatnie lata życia.

Do ostatnich niemal godzin życia pracował w niewielkiej spółdzielni, którą kierował. Odszedł nagle, po bardzo krótkiej, nieuleczalnej chorobie, w dniu 11 czerwca 1974 roku.

Na mszy żałobnej w Katerze Warszawskiej ks. prałat Wacław Karłowicz wygłosił długie i wzruszające przemówienie. Nad otwartym grobem na cmentarzu w Brwinowie, do tłumu towarzyszy broni, którzy zjechali się pożegnać swego dowódcę, przemawiali Julian Kulski, b. wiceprezydent m.st. Warszawy, towarzysz Stefana Starzyńskiego w obronie Stolicy w 1939 roku, płk Jan Ziętarski, senior Akowców w Kraju, płk dypl. inż. Bolesław Bronisz, płk sap. Włodzimierz Godek, prof. dr Tomasz Strzembosz, mjr kaw. dr Zygmunt Augustowski, kpt. pilot Tadeusz Garliński, koledzy ze spółdzielni, sąsiedzi z Brwinowa.

Niepokólczycki był ożeniony z Anną Obuch-Woszczatyńską, również z Kresów, z Nowogródziny. Urodziła się ona w majątku Niedźwiadka (w tym samym dworze, w którym przyszedł na świat Ignacy Domeyko), ostatnio należącym do jej stryja, płk. kaw. Władysława Obuch-Woszczatyńskiego, rozstrzelanego także przez sowieciarzy w 1939 roku. Wychowana została w tradycjach podobnych jak jej mąż. A „Teodor” był tradycjonalistą w najlepszym tego słowa znaczeniu. Tradycję zachowywał i tworzył. W pokoju, w którym przyjmował odwiedzających go, w skromnym mieszkanku w Brwinowie, na pustych poza tym ścianach wisały jedynie dwie duże fotografie Marszałka, Częstochowska i przy drzwiach wejściowych symbol Polskiej Walczącej — kuta w żelazie kotwica, pod nią także mały kinkiet z woskową świecą. Zapalało się ją — a był to przywilej wnuka — tylko wówczas, gdy gościem był dawny towarzysz broni — Akowiec.

Stanisław LIS-KOZŁOWSKI
(kpt. Mścigniewicz)

Buenos Aires, maj 1975 r.

Wojciech KRZYŻANOWSKI

LATA BUKARESZTEŃSKIE (1)

Wstęp do wstępu

Piętnaście miesięcy w naszej ambasadzie w Bukareszcie, od września 1939 do listopada 1940 roku, były specjalnym okresem w moim życiu; okresem szczególnie intensywnym i trudnym, który jednak w perspektywie lat dał mi najwięcej zadowolenia. Położenie geo-polityczne Rumunii w tym czasie sprawiło, że sekretarz polskiej ambasady w tym kraju musiał zetknąć się bezpośrednio z całym przekrojem Polski, prawie ze wszystkimi, którzy wówczas stali na czele państwa, uczestniczył w wielu ważnych wydarzeniach.

Kiedy ulegając namowię Jerzego Giedroycia zabrałem się do porządkowania wspomnień z tych miesięcy, chciałem ująć je

w jakąś syntezę, nadać im nagłówek: wydaje mi się, że najwłaściwszym byłby jeden krótki wyraz „wojna”: jednostki i cały naród czasu wojny.

Ludzi mojego pokolenia, które ma za sobą dwie wojny światowe i kilka pomniejszych, nie trzeba pouczać, czym jest wojenna katastrofa. O jej tragediach istnieje cała literatura, z samych utworów pacyfistycznych można utworzyć sporą bibliotekę. A jednak; a jednak wojna, jak każda katastrofa, jak zresztą wszelkie zjawiska tego świata, nie jest sumą elementów wyłącznie negatywnych. W czasach pokoju sfory podskakiewiczów, krętaaczy, kombinatorów, politycznych i towarzyskich kuglarzy potrafią latami balansować na pograniczu rzeczy zabronionych przez prawo i zwyczaj. Aż przychodzi wojna i wówczas, kiedy krok w prawo oznacza życie, krok w lewo śmierć, ukazujemy się przeraźliwie nadzy.

Ale nie tylko jednostki obnaża wojna: jest ona również kamieniem probierczym wartości okrzyków, nadymania się i strojenia min przez całe reżymy w bezkarnych okresach pokoju.

Wrzesień 1939 obnażył i nasz naród. Zabłyły nasze zalety: zaradność, ofiarność, fantazja, optymizm, odporność, humor. Ale uwydatniły się i nasze przywary: niesforność, kłótniwość, subiektywizm, powierzchowność, niesłowność, emocjonalizm.



Wstęp

1 września 1939 roku zastał mnie w Bratysławie, stolicy niedawno kreowanej, *de iure* niepodległej Słowacji, pospiesznie przez Polskę uznanej. Formalnie byłem sekretarzem naszego poselstwa i kierownikiem jego wydziału konsularnego, faktycznie jednak kierowałem całym poselstwem, mój szef bowiem, poseł Chałupczyński, inteligentny, obdarzony prawdziwym zmysłem politycznym, ale sybaryta i wygodnicki, spychał wszystko na moje „młode barki”, jak się wyrażał.

(Tadeusz Chałupczyński, uczeń Romana Knolla, zdolny dyplomata czasów pokoju, zesłany uprzednio przez Becka i Drymmera do konsulatu w Użhorodzie na Rusi podkarpackiej, usiłował rozwinąć w Bratysławie polityczne skrzydła: 1 września przeciął te próby. Mianowany przez Augusta Zaleskiego posłem w kilku jednocześnie krajach południowej Ameryki, zmarł tam w czasie wojny. O stylu jego pracy niech zaświadczą takie dwa przykłady:

Do moich zadań należały również i szyfry. Depesze szyfrowe przychodziły najczęściej w nocy. Byłem młody i ambitny: po odszyfrowaniu depeszy, od razu układałem prawdopodobną odpowiedź,

zaszyfrowywałem ją i przygotowywałem do wysłania. Rankiem, przedstawiając depesze z Warszawy Chałupczyńskiemu, dodawałem: „A jeżeli Pan Minister się zgodzi, proponuję taką odpowiedź, już przygotowałem ją do wysłania”. Chałupczyński cofał się wówczas z fotelem, obrzucał mnie całego krytycznym spojrzeniem: „Młody człowieku, jeżeli Pan tak lubi się spieszyć, dlaczego się Pan nie zapisze do straży pożarnej?”.

„Wydawało mi się, że ta sprawa jest pilna, Panie Ministrze”.

„Młody człowieku, sprawy pilne dzielą się na normalnie pilne i bardzo pilne. Normalnie pilne nie są pilne, a bardzo pilne załatwiają się same”.

Ale przeważnie mój projekt odpowiedzi akceptował.

Telefon od Chałupczyńskiego (jego pokój pracy był o jedno piętro nad moim): „Co Pan teraz robi? ... to nie takie ważne. Niech Pan weźmie samochód, niech Pan pojedzie do kawiarni, wie Pan, tej położonej naprzeciwko Ministerstwa Wojny, niech Pan tam wypije kawę, *ale tak, aby Pana wszyscy widzieli*, potem niech Pan przejdzie do Ministerstwa, do wiceministra X, i niech mu Pan powie: 'Nie mam do Pana żadnego interesu, ale właśnie piłem kawę w kawiarni naprzeciwko, więc skorzystałem z okazji, aby Panu powiedzieć dzień dobry, bo Pan jest mi sympatyczny'”.

Ta pozorna komedyjka była nie bez kozery: ten sam wiceminister udzielił nam bez zmrżenia oka, dwa tygodnie później, zezwolenia na przelot do Polski czterech hydroplanów, zakupionych przez nas we Włoszech).

Ostatnie dni sierpnia były okresem wyjątkowej pracy. Przesiadywałem w poselstwie, na ulicy Palisady, całymi dniami, musiałem nawet zarywać wiele godzin nocnych. Nie miałem nawet czasu na słuchanie radia, robiła to za mnie, inteligentnie notując co najważniejsze, moja dzielna żona Zofia.

30 sierpnia mogłem opuścić poselstwo dopiero o zmierzchu. Już w drodze samochodem do domu (mieszkaliśmy na ulicy Puškinównej, niedaleko dworca kolejowego) skusiło mnie, po szczególnie upalnym dniu, aby przynajmniej na chwilę skoczyć na pływalnię. Nie było na niej o tak późnej porze ani żywej duszy, ale znalazłem jeszcze boczną furtkę otwartą, szybko rozebrałem się, ale biegnąc po niskiej trampolinie w pośpiechu nie zauważyłem, że zdjęto już z niej kokosowy chodnik, pośliznąłem się na mokrym drzewie i upadłem na płytkie jeszcze w tym miejscu dno pływalni tak niefortunnie na lewą rękę, że łokieć zwiśł bezwładnie i boleśnie. Z trudem ubrałem się jedną ręką i pojechałem wprost do szpitala. Młody chirurg stwierdził złamanie i od razu łokieć zagipsował. Był dziwnie podniecony; na pożegnanie wyznał, że właśnie otrzymał powołanie do wojska: w domu zostawia żonę świeżo po połogu.

Zartowano potem ze mnie, że zostałem inwalidą jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych.

1 września obudziłem się około 5-tej rano i, jak zawsze, przede wszystkim nastawiłem radio. Berlin oznajmiał, że Reichswehra zajmuje Gdańsk. Przetawiłem aparat na Warszawę: dziwaczne, niezwykle zdania: „Do wszystkich Jasiów i Antków! Wracajcie!” albo „Uwaga! Uwaga! Przeszedł!”. Działo się coś niezwykłego. Przyodziałem się z najwyższym pośpiechem i pobiegłem do mieszkania Chałupczyńskich, o kilka kroków od nas, klucz od ich drzwi wejściowych miałem zawsze przy sobie. Obudzeni moim wtargnięciem do ich sypialni, oboje usiedli na mój widok. Powtórzyłem, co przed chwilą usłyszałem. „Wojna!” od razu zorientował się Chałupczyński.

Parę minut później byłem już w poselstwie. Otworzyłem „wojenną” instrukcję: zgodnie z jej nakazem, zacząłem palić szyfry i wszystkie poufne akty. Dym wypełnił budynek, zaalarmowani sąsiedzi zaczęli się dowiadywać, czy u nas nie wybuchł pożar?

(„Wojenna” instrukcja zawierała również istotne dla mnie postanowienie: przewidywała bowiem „na wypadek rozpoczęcia działań wojennych między Polską a Słowacją”, przeniesienie mnie do Bukaresztu jako sekretarza ambasady; było to postanowienie o tyle logiczne, że jako wicekonsul w Czerniowcach w latach 1936-1938 znałem już ten kraj i język).

Zaledwie uporałem się z paleniem (była godzina siódma rano), gdy nasz woźny, mieszkający w poselstwie, zawiadomił mnie z dramatyczną miną: „Niemcy już są!”. Wyszedłem na balkon: rzeczywiście przed bramą poselstwa stał otwarty wojskowy niemiecki samochód, z tyłu siedziało dwóch sztywnie wyprostowanych żołnierzy, w hełmach i z karabinami; z samochodu właśnie wysiadł oficer — zadzwonił do drzwi wejściowych. Zszedłem z woźnym, aby mu otworzyć. Był to młody kapitan Reichswehry — najpierw rzucił okiem na moje lewe ramię na temblaku, zasałutował, zapytał kim jestem i wręczył mi arkusz papieru bez koperty, zawierający jedno krótkie zdanie, że kapitan XY jest upoważniony do towarzyszenia (*begleiten*) członkom Poselstwa R.P. do granicy węgierskiej. Uderzyło mnie, że nieczytelny podpis był zrobiony ołówkiem. Oświadczyłem, że potrzebujemy trochę czasu na przygotowanie się do drogi. „Proszę dać mi znać, kiedy Panowie będziecie gotowi”, spokojnie odpowiedział, wrócił do samochodu, którego już ani on, ani żołnierze nie opuścili, ale więcej mnie nie nagabywał.

Zaalarmowałem posła i kolegów: wszyscy byli zmotoryzowani i mieli się zebrać przed poselstwem. Jedyne attaché prawosowy, dr Sroka, zdecydował się w ostatniej chwili zostać w Bra-

tysławie. Był ożeniony ze Słowaczką i całe życie mieszkał na Słowacji. Poradziłem mu nie przyjeżdżać do poselstwa i pożegnałem się z nim przez telefon. Zawiadomiłem o wydarzeniach u nas naszych przyjaciół Francuzów i Anglików. Poseł francuski, starszy chorowity pan, oświadczył: „Nie mam żadnych instrukcji, ale na własną rękę decyduję się wyjechać z Wami”.

Poseł brytyjski, młody Irlandczyk, zareagował inaczej: „Nie mam żadnej instrukcji, a bez instrukcji nie mogę opuścić mojej placówki”.

Również telefonicznie pożegnałem się bardzo serdecznie z przyjaciółmi z poselstwa węgierskiego i jugosłowiańskiego. Znajomi Słowacy reagowali na moje telefony przeważnie powściągliwie.

Odwiedza mnie konsul honorowy turecki, polski Żyd: i on decyduje się dołączyć samochodem do naszej kawalkady.

Około godziny 10-tej telefon z Wiednia: dzwoni nasz konsul Józef Zarański.

(Żona Zarańskiego Maria była u nas przed paroma dniami, w drodze do Polski, z ukochanym kotem w koszyku. Jechała przezornie nie do Warszawy, ale „gdzieś na wschód”. Dałem jej kilka słów do mojego ojca Czesława we Lwowie. Jak się później dowiedziałem, ojciec przyjął Zarańską jak najserdeczniej, zatrzymał u siebie w mieszkaniu na Mochnackiego aż do jej połączenia się z mężem, wymienionym z całym polskim korpusem dyplomatycznym i konsularnym dziesięć dni później).

Głos Zarańskiego w telefonie:

„Czy ma Pan już u siebie gości?”

„Tak, mam — odpowiadam — ale czekają na mnie przed domem”.

Zarański: „Moi goście siedzą już u mnie w pokoju, ale pozwolili mi jeszcze zatelefonować do Pana. Niech się Pan trzyma — wszystko będzie dobrze!”

(Józef Zarański, jeden z najinteligentniejszych naszych dyplomatów młodego pokolenia, trzymany przez Becka i Drymmera na bocznym torze, długoletni szef polskiej sekcji BBC, zmarł niedawno w Londynie).

Zgłasza się zastępca żupana Bratysławy, formalnie zawiadamia o „stanie wojny między Słowacją i Polską” (o czym już wiedzieliśmy przedtem z prasy i radia), po czym zaraz „prywatnie” wyraża ubolewanie, że do wojny dojść musiało, ale co robić, „my słabi” podkreśla. Umawiamy się, że mu zdam budynek poselstwa popołudniu, około trzeciej. Rozstajemy się niemal życzliwie. Zaraz po nim zupełnie inna wizyta, która mimo kalejdoskopu wydarzeń tego dnia utkwiła mi na długo w pamięci:

niedawno mianowany i świeżo do Bratysławy przybyły chargé d'affaires hiszpański, przystojny młody człowiek. Widzimy się po raz pierwszy, mimo to wita się ze mną jak z przyjacielem. „Zgłaszam się do Pana z własnej inicjatywy, bo nie mogę otrzymać połączenia z Madrytem. Jeżeli mogę być Panu w czymkolwiek pomocny, oficjalnie lub prywatnie, jestem do Pana dyspozycji”. Podziękowałem nie bez wzruszenia.

Około 1-szej popołudniu mogłem wreszcie pojechać po żonę do naszego mieszkania na Puškinovej. Żona skleciła improwizowany posiłek, ale z przejścia mogłem tylko przełknąć szklankę mleka. Z żalem żegnamy się pospiesznie z sąsiadami, zabieramy najważniejsze rzeczy do naszej „Škody - Popular”.

Przed poselstwem duże zmiany; nieliczna grupka gapiów z godzin rannych urosła w międzyczasie do sporego tłumu, który teraz oddziela od budynku kordon policji, wyglądającej niezwykle marsowo, w hełmach i z karabinami. Po raz ostatni wchodzę do poselstwa, aby z zastępcą żupana, który też odprowadzi nas do granicy, podpisać protokół zdania budynku. Z balkonu symbolicznie zdejmują tablicę urzędu R.P.

Sprawdzam, że wszystkie samochody są już zebrane; tłum przygląda się likwidacji polskiego poselstwa spokojnie, jedyne wrocie okrzyki padają z okien położonego naprzeciwko domu akademickiego „Svoradov”, zamieszkałego przez nacjonalistów-antysemitych spod znaku księdza Tiso. Terkoczą aparaty filmowe. Wydało mi się, że nie można opuścić Bratysławy bez jakiegoś szczególnego gestu. Podchodzę do „naszego” policjanta, który od lat dzień w dzień pełnił służbę przed naszym poselstwem, a teraz, w hełmie i z karabinem, stał w kordonie jak inni. Podałem mu rękę: przez chwilę wahał się, co zrobić z przeszkadzającym mu karabinem, wreszcie po prostu oparł go o ścianę i uchwycił moją dłoń obydwoma rękami. *Sa vratite jeste!*, zawołał aby mnie pocieszyć. *Sa vratime* — pocieszyłem jego z kolei.

Pani Chałupczyńska wybuchnęła głośnym płaczem.



Na granicy węgierskiej oczekiwała nas niespodzianka: wiejska kapela gra na naszą część „Marsza Rakoczego”. Kapitan Reichswéry zasalutował z daleka, ale zastępca żupana uściśnął mi serdecznie rękę i pochylając się konfidencjonalnie — oficjalny przedstawiciel kraju, który wypowiedział nam wojnę — szepnął: *Ale dajte dobre tym boszom!*



W połowie drogi do Budapesztu niemiła przygoda: silnik „Škody” przestaje pracować. Zatrzymuję się, wszystkie nasze samochody mnie mijają, rozglądam się bezradnie na pustej szosie. Ale pierwszy nadjeżdżający obcy samochód zatrzymuje się z własnej inicjatywy: młody inżynier — Węgier, zatrudniony jak się okazuje, w pobliskiej fabryce i mieszkający niedaleko. Obiecuję sprowadzić pomoc — w pół godziny później nadjeżdża z ciągnikiem z warsztatu, nasz samochód zostaje odholowany, nas zabiera do siebie, następnego ranka samochód jest gotów; właściciel warsztatu, dowiedziawszy się, kim jesteśmy, wzbrania się przyjąć jakkolwiek zapłatę.

Po południu jesteśmy nareszcie w Budapeszcie, gdzie zatrzymujemy się w znanym nam z uprzednich wypadów hotelu Bellevue na tak zwanej Krwawej Łące. Wieczorem w hallu hotelowym słuchamy ze ściśniętym sercem komunikatu wojennego z Warszawy: „Naczelnny Wódz pozdrawia bohaterskich obrońców Westerplatte i spodziewa się, że wypełnią swój obowiązek do końca” — i zaraz potem — „Na całym froncie wojska nasze cofają się wobec przewagi nieprzyjaciela”. Żona moja, która dotąd dzielnie się trzymała, teraz nie może powstrzymać łez. Jakiś obcy mężczyzna obejmuje ją ramieniem: *Ne pleurez pas, Madame, on les aura, les boches!*. Okazuje się, że jest to Belg nazwiskiem Demuyter.

(Ernest Demuyter, kapitan lotnictwa, światowej sławy specjalista lotów balonowych, utknął wobec wybuchu wojny w Budapeszcie, w drodze do Warszawy na zawody balonowe o puchar Gordon-Benneta, jakie miały odbyć się w Polsce na początku września. Wobec napiętej sytuacji politycznej jechał do Warszawy drogą okrężną, omijając terytorium Niemiec).

3 września zegnamy się z Chałupczyńskimi, którzy zostają na razie w Budapeszcie. Poseł Leon Orłowski życzy nam powodzenia, na moje pytanie o sytuacji w Polsce odpowiada wymijająco. Ruszamy w drogę na Debreczyn, po dwóch godzinach przejeżdżamy bez kłopotów przez granicę rumuńską. Teraz na jedynej w tym czasie w Rumunii szosie asfaltowej ruch słaby, możemy więc posuwać się wcale raźnie, mimo, że prowadzę samochód tylko jedną ręką. Dookoła życie niesamowicie normalne, nic nie zdradza, że zaledwie o 200 kilometrów na północ w innym kraju toczy się wojna.

Z południowego posiłku rezygnujemy, aby dotrzeć do stolicy Rumunii jak najprędzej. Zatrzymujemy się jedynie krótko w Cluj (Klausenburg), aby napić się kawy. Kelner, zapytuje nas o narodowość, robi dramatyczną minę: „Właśnie radio niemieckie dało

znać o zajęciu Warszawy”. Na szczęście wiadomość fałszywa, ale dowiedzieliśmy się o tym dopiero dnia następnego.

Drugi postój w Brasovie (Kronstad) — nie wiedziałem jeszcze nic o roli, jaką to miasto miało odegrać i w historii Polski i w moim życiu prywatnym.

Późnym wieczorem mijamy światła zagłębia naftowego Ploesti; po lewej stronie lotnisko Baneasa, potem Parcul Filipescu, gdzie mieści się nasza ambasada. Około 10 wieczorem osiągamy w centrum miasta położony hotel Stanescu, również nam znany z dojazdów do Bukaresztu w okresie mojej pracy w Czerniowcach.

Wojciech KRZYŻANOWSKI

(d.c.n.)

Zygmunt WOJCIK

WSPOMNIENIA Z ARMII LUDOWEJ

Jest słoneczne przedpołudnie 20 lipca 1944 roku. Partyzancki oddział szkolny BCH Rafała stacjonujący w odośobnionych chłopskim zabudowaniu intensywnie przygotowuje się do likwidacji. Pełnię służbę obserwacyjną siedząc na wysokim drzewie rosnącym przy płocie. Przez lornetkę mogę obserwować ruch na szosie Lublin-Warszawa, a od drugiej zaś strony podejrzaną poczynania zapadłego gdzieś w sąsiedztwie sowieckiego oddziału Serafina. Od czasu do czasu konny zwiadowca z pepeszą przewieszoną przez ramię podjeżdża pod nasz obóz korzystając z osłony pagórka od tamtej strony. Z mojego jednak stanowiska widzę go doskonale i każdorazowe jego pojawienie melduję na dół. Oddział Serafina włączył się w tej samej okolicy co i nasz oddział, był doskonale uzbrojony, Niemców nie zaczepiał i oni go nie zaczepiali, oficerowie ich z fasonem jeździli bryczką. Jakiś miesiąc temu chłopcy z naszej organizacji terenowej pomogli około 70-ciu „Kałmykom” z oddziału ochraniającego stację kolejową Życzyn ująć spod opieki niemieckiej i przejść do naszego oddziału. „Kałmycy” zabrali przy tym najlepszą i najcięższą broń pochodzenia sowieckiego. Reszta „Kałmyków” — około 150 ludzi wraz z niemiecką żandarmerią poszła ich śladem i niespodziewanie

pojawiła się tuż pod naszym oddziałem, rozwijając się w linię bojową.

Nasi „Kałmycy” uczynili to samo z tyłu naszego obozu ustawiając broń na stanowiskach i wymieniając groźne okrzyki ze swoimi pobratymcami po stronie niemieckiej. Sytuacja stawała się groźna gdyż nasi wcale nie byli pewni lojalności swoich „Kałmyków”, zaś od strony niemieckiej zaczęto strzelać z granatników i karabinów maszynowych. Część oddziału nie wytrzymała nerwowo i zaczęła uciekać kryjąc się wśród krzaków i pagórków, przy czym jeden został zabity i kilkoro rannych. W tym krytycznym momencie przemówili wreszcie nasi „Kałmycy” strzelając z wszystkiej broni maszynowej i z granatników. Niemcy wycofali się szybko porzucając ciężkie skrzynie z pociskami do granatników i z amunicją. Odtąd chodziliśmy razem z „Kałmykami”, lecz niedługo, gdyż nasze dowództwo nawiązało kontakt z Serafinem, i po długich pertraktacjach, przy obopólnym żalu, „Kałmycy” przeszli do oddziału sowieckiego. Oni odchodzili od nas niepewni swojego losu z powodu swojej służby dla Niemców. Myśmy pozbawiali się świetnie wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy, z którymi zdążyliśmy się już zaprzyjaźnić. Kilku z nich także już zdążyło odnieść rany w naszych akcjach na posterunki żandarmskie. Mimo oporu Serafina zostawili nam także jeden ckm „Maxim”, parę lkm „Dichtiarewa”, oraz kilka pepeszy.

Nasz następny kontakt był całkowicie przypadkowy gdyż oba oddziały wybrały to samo miejsce postoju w odosobnionych zabudowaniach chłopskich pod lasem. Sowietci byli zaskoczeni i widocznie niezadowoleni tym spotkaniem, jednak przenocowaliśmy osobno w dwóch zabudowaniach. Z jednej strony płotu stał wartownik sowiecki a z drugiej zaś nasz. Nasz sanitariusz — student z podziemnej Akademii Medycznej — opatrzył ich „ranego”. Nosił on w tylnej kieszeni spodni stężony kwas octowy w szklanej butelce. Butelka się strzeliła i kwas dotkliwie poparzył tylną część ciała dzielnego bojca. Wczesnym rankiem Serafin pospiesznie się wyniósł.

Na szosie lubelskiej nie ma wielkiego ruchu. Ruch jest w ogóle jednostronny, uciekają pojedyncze samochody ciężarowe i osobowe. Zorganizowanych wojskowych oddziałów niemieckich prawie nie widać. Zostali w olbrzymich kotłach na Białorusi.

Przychodzą przedstawiciele miejscowej sieci podziemnej. Zabierają ekwipunek. Krótka uroczystość rozdania stopni wojskowych. Pożegnanie z dowództwem, które wraz z kilkoma kolegami warszawiakami udaje się do Warszawy. Wszyscy mówią że w Warszawie będzie „gorąco”. Ja wraz z moim kolegą sanitariuszem wyruszamy do jego domu nad Wisłą niedaleko

Dęblina. Wyruszamy przygodną bryczką z komórki terenowej jadącą w naszym kierunku, potem piechotą. Niesiemy apteczkę polową i karabin do obrony. Dochodząc do szosy lubelskiej spotykamy pierwsze czołgi sowieckie. Umazani smarem i spoceni czołgisti starają się wyciągnąć z rowu czołg przy pomocy innego czołgu. Dlaczego sam nie może wyjechać trudno zrozumieć, bo rów niegłęboki. Bez odpoczynku maszerujemy ku Wiśle wśród zapadającej nocy.

Toczy się bój o pobliską twierdzę w Dęblinie. Niebo usiane świecami oświetlającymi wskutek czego jest całkowicie widno. Niemiecka artyleria przeciwlotnicza strzela różnokolorowymi pociskami, ryk bombardujących samolotów, wybuchy bomb, grzmot ciężkiej artylerii z obu stron. Równoległe z nami uciekają tłumy obywateli sowieckich, piechotą lub na wozach zaprzężonych w małe koniki, poprzez pola z ustawionymi mendlami zbóż ku Wiśle. To nic że tam nie ma mostu, może ludność pomoże się przeprawić, byle uciec od swojej zwycięskiej armii. Słychać podniecone głosy mężczyzn, zawođenje kobiet i płacz dzieci. Gdzieś wśród nich przesuwa się także oddział Serafina, by kontynuować „walkę” na tyłach niemieckiej armii.

Rano wyspany i najedzony zostaje wezwany by rozmówić się z jakimś cywilnym Niemcem, który także chce za Wisłę. Niemiec siedzi za stołem otoczony chłopami, kobietami i dziećmi. Stoł zastawiony jest wszystkimi wiejskimi dobrociami: chleb, masło, twaróg i jakaś kawa. Niemiec zajada z miną człowieka, któremu się to wszystko rzetelnie należy. Na mój widok bez słowa podaje mi papier na którym wypisane jest na maszynie że posiadacz niniejszego jest niemieckim żołnierzem rozbrojonym przez placówkę AK w Garwolinie i udaje się do swego wojska (a gdzie się miał udać?). Niemiec na wszystkie „Hitler kaput”, „Krieg kaput” odpowiada że on nie po raz pierwszy znajduje się w takiej sytuacji i zawsze potem wszystko było *in besten Ordnung*. Koło południa zostaje łódką przewieziony na drugi brzeg. Ja sam muszę powziąć decyzję gdzie się udać. Rodzina moja znajduje się hen za Wisłą. Wojna wydaje się kończyć. Iść znów pod niemiecką okupację? Samo wspomnienie ich mundurów przyprawia o młodości. Zostaje na miejscu przy nowej władzy. Dopiero po paru dniach gościmy pierwszy niewielki patrol żołnierzy sowieckich. Sołdaty są wyraźnie skrępowane widokiem białego chleba, masła, kiełbasy i innych wiejskich specjałów. Jeden z nich wprost mówi, że owszem, są bardzo głodni, bo kuchnie zostały nie wiadomo gdzie, ale im wystarczy kawałek czarnego chleba, nie trzeba białego. Mają też na pewno w pamięci świeży przykaz by zachowywać się przyzwoicie wobec lud-

ności polskiej. Niedługo potem to zachowanie radykalnie się zmieni.

Patrol sowiecki odszedł i przez sześć tygodni żadnych wojsk nie widzieliśmy. A po drugiej stronie rzeki sytuacja się całkowicie zmieniła. Niemcy utworzyli regularny front obsadzony gęsto ckmami, haubicami i artylerią. Widocznie nie wiedzą, że we wsi Sowietów nie ma, bo strzelają do ludności krzątającej się wśród zabudowań. W końcu kilka chałup zostaje spalonych i większość ludności uchodzi z dobytkiem (jak to u chłopów bywa — zwlekając do ostatniej minuty — w czasie największej strzelaniny pod naciskiem rozpaczających kobiet). Pozostają sam na gospodarstwie wraz z potężnym bykiem przywiązany dwoma łańcuchami do żłobu, oraz kilkoma kurami, które skryły się wśród strzelaniny. Napady artyleryjskie powtarzają się za dnia i w nocy. Zrezygnowani chłopci nie sprzątają zbóż z pól, wywożą co mogą z zabudowań, które skazane są na spalenie. Gdzieś w sierpniu odprowadzam na tyły 11 niemieckich „Kałmyków” którzy przeszli Wisłę w ciągu nocy obładowani sowiecką bronią, oraz wszelkim dobrem (zegarki, lornetki, pistolety, torby polowe, papierosy itp.) dla prześlągania pierwszych napotkanych oddziałów sowieckich. Pierwszym oddziałem sowieckim, który po wielu godzinach szukania znalazłem była pralnia polowa w lasku, obsługiwana przez staryków i kobiety. Moi „Kałmycy” stracili tam w niesławny sposób wszystko co z takim trudem przenieśli. Pod koniec sierpnia sprowadza się na stałe mały oddziałek sowiecki aż z dwoma oficerami politycznymi. Jeden starszy — kapitan — nie udziela się zbyt, drugi młodszy — lejtnant — ciągle wyciąga na dyskusje, usiłując nawrócić mnie na sowiecki punkt widzenia odnośnie sytuacji w Polsce. Dochodzi do ostrych scysji. Było to już po tym jak nasza prasa podziemna, której kolportaż przetrwał zmianę okupantów, doniosła o wydarzeniach we Lwowie i Wilnie, oraz o rozbrajaniu i aresztowaniach działaczy podziemia. W końcu pewnego razu kapitan ostrzegł mnie na stronie, że lepiej będzie dla mnie jeśli takich dyskusji z lejtnantem zaprzestanę. Życzliwej rady zawsze słuchać trzeba.

Sytuacja z Niemcami stawała się coraz bardziej niebezpieczna, wieś paliła się prawie ciągle i przybywało coraz więcej wojsk sowieckich. Poczynania sowieckich żołnierzy całkiem się zmieniły. Gwałty, rabunki i mordowanie ludzi były na porządku dziennym. Aresztowania ludzi związanych z podziemiem przeprowadzane były na taką skalę, że wszelkie akcje niemieckie wydawały się dziecinadą. Aresztowani znikali bez śladu; były wieści, sprawdzające się potem, że wywożono ich do Rosji. Przebywałem u krewnych moich gospodarzy pracując przy zniwach i pracach gospodarskich.

Jednakże moja sytuacja stawała się coraz cięższa i trzeba było postanowić co robić dalej. Każdy wokoło wiedział że powróciłem z partyzantki. Trzeba więc zmienić środowisko. Mówiono wprawdzie o otwarciu Uniwersytetu w Lublinie, ale jak się utrzymać i z czego żyć w zniszczonym kraju? W tej sytuacji najlepszym wyjściem wydało mi się zaciągnąć się do nowo formowanego wojska by jakoś przetrwać. Z góry nie uważałem tego wojska za moje wojsko i przygotowałem dokumenty osobiste na inne nazwisko, z datą urodzenia 1925, tj. rocznika nie podlegającego mobilizacji. Postanowiłem bowiem zgłosić się na ochotnika. W tym celu wybrałem się do Garwolina. Z okna niskiego budynku wystaje głowa w żołnierskiej rogatywce z jakimś dziwnym orłem i dystynkcjami sierżanta. Pytam gdzie się tu zgłosić do wojska. Pyta mnie z jakiego rocznika. Odpowiadam — 1925. Lwowiak poucza mnie że przecież ja nie podlegam mobilizacji. — Ale ja na ochotnika. — Oburzenie trysnęło mu z twarzy: — Czy wy oszaleli? Wy lepiej idźcie stąd! — Nie, ja chcę do wojska! — Potrząsnął głową.

Przy komisji wojskowej byłem bohaterem dnia. Umundurowane osobistości oglądały mnie, stojącego nago, jak jakiś rzadki i cenny okaz, jako pierwszego reprezentanta owych mitycznych mas ludowych, istniejących tylko w ich propagandzie, które czekają tylko by pójść za nimi tłumnie i posłusznie. Mogłem wybierać broń jaką chciałem. To samo zresztą proponowano każdemu z jakimkolwiek wykształceniem. I tak wpakowano wszystkich do piechoty.

Pociągami wędrującymi na sowiecki sposób od stacji do stacji, a czasem stojącymi godzinami między stacjami, nie wiadomo dlaczego, przewieziono nas do zniszczonego Łukowa, potem zaś piechotą około 18 km do wsi Trzebieszów. Wieś ta była bardzo duża i właściwie składała się z trzech wsi.

Partia młodych ludzi która przyjechała ze mną z Garwolina wcielona została prawie całkowicie do Batalionu Szkolnego Podoficerów, wchodzącego w skład tworzącej się tu 5 DP.

Podoficerów mieliśmy z prawdziwego zdarzenia, bardzo sympatycznych, oczywiście ze stażem w AK. Pojmowali oni swe zadanie wprost przeciwnie do intencji władz. Najbardziej lapidarnie wyrażał to sierżant B.: „Chłopcy czuj duch! Dostaniecie umundurowanie i broń, a my was wyćwiczymy! Tylko czuj duch!“. A takich co czuli tego ducha była większość. Byli żołnierze z lubelskich oddziałów i z organizacji AK i BCh, dużo Polaków zesłańców z Rosji, szczególnie wśród podoficerów i trzymający się zawsze razem żołnierze rozbrojonej w Krasnymstawie Wołyńskiej 27 DP AK. Niektórzy z jeszcze niezaleczonymi rana-

mi. Dowódcą mojej kompanii był por. Zatoński, żołnierz w każdym calu. W takim towarzystwie praca szkoleniowa posuwała się bardzo szybko i po miesiącu, gdyśmy dostali umundurowanie i broń, przemarsz naszego batalionu wywoływał niebywałe zdumienie wśród przejeżdżających żołnierzy sowieckich. Wyrównane czwórkami szeregi, równo pochylone karabiny, ręce poruszające się jak za pociągnięciem sznurka — według przedwojennego polskiego regulaminu — wszystko to tak odmienne od ich szyku marszowego. Batalion stacjonował wciąż na wsi w stodółach, spichrzach i komórkach. Stosunki z ludnością wsi układały się bardzo dobrze. Jesień tego roku była na Lubelszczyźnie bardzo pogodna, ale nocami dokuczało zimno. Koców nie mieliśmy i sowiecką modą płaszcz służył do przykrycia. Po rozejrzeniu się wśród towarzystwa wkrótce okazało się, że osobników takich jak ja, odbywających incognito służbę wojskową, jest znaczna ilość. Szczególnie dużo takich było wśród żołnierzy byłej Wołyńskiej Dywizji AK, wielu z nich dumnie podkreślających swoje pochodzenie ze szlachty zagrodowej. Listy przychodzące do nich z Wołynia pełne były opisów rzezi ukraińskich przy całkowitej bezczynności władz sowieckich. Listy te były adresowane na prawdziwe nazwiska, a osoby rozdzielające pocztę już wiedziały kto jest kto. W teje samej wsi w dużym parterowym, prawdopodobnie szkolnym budynku mieścił się sztab 5 DP. Wielkie wrażenie wywarł na mnie w pierwszym razem widok tłumnie kręcących się oficerów w polskich mundurach z doskonałego angielskiego sukna, z dystynkcjami kapitanów, majorów i pułkowników. Skąd oni i aż tak wielu? Przecież polski oficer w czasie okupacji to było coś niezmiernie rzadkiego i cennego! Ciekawość moja została zaspokojona bardzo szybko. Wszyscy ci polscy oficerowie mówili tylko po rosyjsku. Dowódcą dywizji był generał Waszkiewicz, który chętnie wspominał swoje polskie pochodzenie, niestety z wyglądu i postępowania był typowym rosyjskim generałem. Jak się wkrótce mogłem przekonać, językiem urzędowym 5 DP w piśmie i słowie był rosyjski. Jedynie na niższych stopniach używano języka polskiego.

Przy końcu października nastąpiło odebranie przysięgi od całej dywizji. Uroczystość odbyła się na dużym pastwisku niedaleko kościoła. Wojsko ustawiło się w czworobok, w którego jednym rogu ustawiono ołtarz polowy i ksiądz w randze kapitana odprawił Mszę. Tuż za ołtarzem stał sztab dywizji z wysuniętym naprzód wydziałem politycznym. Ten ostatni składał się prawie wyłącznie z Rosjan i Żydów. Mój batalion stał tuż obok sztabu. Uwaga moja przez cały czas skierowana była na kornie schylone karki politruków i sowieckich oficerów ze sztabu z gen. Waszkie-

wiczem na czele. Zadziwiająca była ich znajomość mszalnej liturgii. Bez wahania wiedzieli kiedy klękać jak i kiedy się zęgnąć. Czyżby księżulo urządzał z nimi przedtem ćwiczenia? No i oczywiście w przysiędze też była mowa o Chrystusie i niewinnej męce Jego.

Niedługo potem poszukiwano pomocnika pisarza do magazynu żywnościowego przy naszym batalionie. Zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Kierownikiem biura i magazynu był starszy, wiecznie zaafcerowany Żyd w randze porucznika. Magazynierem był także Żyd, młody i bardzo zrównoważony. Natomiast pisarzem był nieco starszy ode mnie osobnik zajęty wyłącznie wyglądem swego munduru i uganianiem się za dziewczynkami. Praca biurowa przeszkadzała mu w obu tych czynnościach i dlatego potrzebował pomocnika. Jemu też zawdzięczam przebieg mojej całej kariery wojskowej. Od razu też zwalono na mnie całą robotę biurową, jak przygotowanie kwitów na wydawanie żywności dla wojska oraz prowadzenie ksiąg bieżącego stanu magazynu. O robocie tego rodzaju nie miałem najmniejszego pojęcia. Nawet nie umiałem posługiwać się nieodzownym liczydłem. Na kwaterze dość często odbywały się uczyty czasem z dziewczynkami. Stół był zastawiony wódkami i amerykańskimi specjałami w ilościach znacznie przekraczających normy, przepisane przez Głównego Kwatermistrza Czerwonej Armii Marszałka Budionnego. Pisarz uważał się za człowieka stojącego o wiele wyżej w hierarchii wojskowej ode mnie, ale musiał tolerować moją obecność, bo przecież byliśmy jakoś powiązani losem ze względu na te amerykańskie puszki. Muszę zresztą ze skruchą przyznać, że nie byłem pracownikiem na poziomie. Buchalteria mnie nie interesowała bo przecież dokoła działo się tyle interesujących rzeczy. W podliczeniach długich kolumn cyfr zdarzały się więc omyłki, co doprowadzało do rozpaczki drżącego o swoje stanowisko porucznika. Toteż gdy pewnego razu zjawił się sierżant Ceve z biura magazynów dywizyjnych, zostałem, jak to często w wojsku bywa, wypchnięty na wyższe stanowisko. Sierżant Ceve, mimo swego francuskiego nazwiska pochodził ze Stanisławowa i był postacią jakby żywcem wyjętą z komedii Bałuckiego. Zawsze uśmiechnięta szeroka twarz z wyłupiastymi oczyma, z których jedno było wyraźnie zezowate, miał dobroduszną naturę pijaka. Właściwym kierownikiem biura był doński kozak, kapitan Gordienko. W tym czasie gdy zawitałem na nowe miejsce pracy, kapitan miał jakieś kłopoty i był przez pewien czas nieobecny. Nikt nie mógł a raczej nie chciał mi wytłumaczyć na czym polegały te kłopoty. Wkrótce kapitan przysłał krótką telegraficzną zapowiedź swego przybycia i niedługo pojawił się sam. Nosił się w mieszany sposób polsko-

kozacki. Był postawny, prawdziwy typ ukraińskiego mołojca z oczyma jak dwa węgle i sumiastymi węsami. Przypadliśmy sobie od razu do smaku, zwłaszcza że kapitan lubił Polaków i nienawdził bolszewików. Pierwszy dzień mojej pracy na nowym stanowisku miał bardzo burzliwy przebieg. Sierżant Ceve tylko w ogólny sposób powiedział mi, co mam robić. Najważniejszym moim zadaniem było codzienne sporządzanie wykazu stanu magazynu wraz z ilościami, które zaprzychodowano i wydawano dnia poprzedniego. Raport ten trzeba było przesać telegraficznie prostym cyfrowym szyfrem do sztabu Armii przed godziną 10-tą rano. Gdy zabrałem się do robienia wykazu okazało się że nie ma żadnych dokumentów. Magazyn po prostu nie uważał za stosowne przysyłać ich do biura. A może i ich nie mieli, jako że przyjmowanie i wydawanie produktów odbywało się w taki sposób, by ilość zorientowanych osób była jak najmniejsza. Gdy domagałem się dokumentów, potężny i czerwony na twarzy magazynier, Reich, kazał mi się po prostu wynosić do licha. Siedziałem jeszcze nad wykazem, gdy rozwarły się na oścież drzwi i ukazała się w nich wysoka postać majora w sowieckim mundurze. Twarz miał długą i bladą jak papier, opadnięte policzki, oczy nabiegłe krwią i rozczochrane siwe włosy na głowie, pochylonej naprzód wśród szerokich bar, jak u byka szykującego się do ataku. W wyciągniętej przed siebie ręce trzymał bębnekowy rewolwer. Był to major Siemielnikow, dowódca sztabu kwatermistrzostwa dywizji (*naczelnik sztaba po tyłach*). Jak się potem dowiedziałem, przygotowywał się on do swoich występów przed lustrem, wichrząc włosy i nacierając oczy. Rewolwer majora też należał do jego rekwizytów teatralnych, bowiem w tym czasie naboju do niego nie było. Wiedząc o tym, spokojnie i pewnie trochę ironicznie spoglądałem w twarz majora, gdy przykładał mi do głowy ten rewolwer pociągając raz po raz za spust. Doprowadziło go to do prawdziwej pasji. Tak zaczęła się moja współpraca z majorem Siemielnikowem pełna intryg i pułapek z jego i uników z mojej strony. Musiałem mieć kilka zakonspirowanych kwater do nocowania, gdyż inaczej mogłem oczekiwać gdzieś po północy gońca od majora, który wysyłał mnie natychmiast z pilnym listem np. do sztabu Armii, tj. ponad 20 km., w chwili gdy nie istniał żaden transport, a list musiał być dostarczony wczesnym rankiem. Albo rozkaz przekazywania dziennego wykazu dodatkowo telefonicznie do sztabu Armii w czasie gdy linia była bez przerwy zajęta. Połowy telefon stał na jego biurku. W tym przypadku radziłem sobie zwykle w ten sposób, że wyłączałem telefon i grzmiałem cały wykaz po rosyjsku do słuchawki pod wzrokiem zadowolonego majora.

Zabierał też mnie na dekadowe konferencje z oficerami odpowiedzialnymi za zbieranie kontyngentów zbożowych i mięsnych (a raczej rabunku) z polskiej ludności. Podejrzewam że produkty te były wysyłane wprost do Rosji. Oficerowie ustawiali się dookoła pod ścianami, zaś major, o wyglądzie jak wyżej, chodził od jednego do drugiego szarpiąc ich za kołnierz, uderzając ich głowami o ścianę i przykładając im swój często szczekający rewolwer do twarzy. Wszyscy oni byli Rosjanami w rangach poruczników i kapitanów. Na twarzach ich malował się strach, a pot spływał im z czoła. Nie bardzo mogłem sobie to wytłumaczyć. Mało prawdopodobne by bali się jego rewolweru. Sądzę raczej, że drżeli o swoje zaciszne stanowiska poza frontem. A tu major — jeśliby zechciał — mógł zniszczyć każdego z nich. Moim zadaniem było protokołowanie zebrania, przy czym major miał także okazje przykładania mi rewolweru do głowy.

Szybko zorientowawszy się w tych stosunkach, uprościłem swą pracę w biurze. Moje wykazy stanu magazynu stały się czystą fikcją, ale za to były wykonane zawsze na czas. Nigdy też nie było kłopotów z brakiem jakiegokolwiek produktu. Jeśli rzeczywistość zachodziła jakieś niedobory, łatwo je rozwiązywaliśmy stosując kaloryczne odpowiedniki różnych produktów wedle instrukcji marszałka Budionnego. Tak więc np. mięso można było zamieniać odpowiednią ilością ziemniaków, chleb tymiż ziemniakami, mąką lub wręcz kaszą. Faktycznie jednak, dzięki wydajności amerykańskich dostaw, kłopotów z zaopatrzeniem nie było. Tak więc fikcja mogła trwać do końca mojego pobytu w wojsku ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Sierżant Ceve mógł poświęcić się całkowicie wódczanemu kultywowaniu swoich rozległych stosunków, zaś kapitan Gordienko także nie wylewał za kołnierz, ściśle przestrzegając by żyć w najlepszej komitywie z wysoko postawionymi osobistościami spośród sowieckich oficerów kwatermistrzostwa.

Biuro nasze mieściło się w murowanym budynku gminy. Było tam dość miejsca, by urządzać kilka razy w tygodniu prawdziwe przyjęcia dla szerokiego grona rosyjskich i polskich gości. Pierwsze miejsce wśród nich zajmował Naczprod (*naczelnik prodowlstwiennoo oddieta*) oraz Naczfin (*naczelnik finansowogo oddieta*). Bywali także oficerowie ze sztabu oraz, dla urozmaicenia, artyści z dywizyjnej grupy artystycznej. Były więc śpiewy, deklamacje wierszy polskich i rosyjskich, gra na instrumentach muzycznych itp. Jedynie ukradkiem bywał porucznik Okulibaba pełniący jakieś nieokreślone funkcje. Paradował w polskim mundurze podwyższając sobie przy okazji szarżę z rosyjskiego młodszego lejtnanta na polskiego porucznika. Nawiazał on romans

z żoną sekretarza gminy i pewnego razu tylko cudem uniknąłem ciężkiego obrażenia a może śmierci, gdy ciężkie krzesło rzucone przez rozsierdzonego męża w Okulibabę przeleciało tuż nad moją głową. Krzesło nie trafiło w Okulibabę, który skrył się pod stół, lecz rykoszetem uderzyło w skroń młodego pułkownika rosyjskiego, bodajże adiutanta generała Żymierskiego. Pułkownik stracił przytomność i trzeba było sprowadzać wojskowe pogotowie sanitarne.

Nasze sielankowe życie trwało do końca grudnia 1944 roku, tj. do czasu gdy należało komisyjnie sprawdzić zgodność stanu magazynu ze stanem wykazywanym przez księgowość. Na tę okazję przyjechał ze sztabu Armii dla kontroli pewien kapitan w rosyjskim mundurze. Specjalnie zainteresowała go moja osoba gdyż — jak potem wyznał — jedynie w naszej dywizji zaopatrzenie magazynu żywnościowego było zawsze idealne. Żadnych żądań, żadnych reklamacji. Wystarczyło mi spojrzeć w oczy kapitana by wiedzieć jakie organy on reprezentuje. Dla pokrzepienia ducha pomyślałem sobie, że zawsze mogę uciec do polskich leśnych oddziałów przebywających w okolicznych lasach i żyjących w jakiejś dziwnej symbiozie z oficjalną armią. Kapitan jednak okazał się człowiekiem o szerszych poglądach i mogłem skierować jego zainteresowania na niemieckie dokumenty przechowywane w gminnym archiwum. Ponieważ po niemiecku nie umiał, służyłem mu za tłumacza czym zasłużyłem sobie na jego szacunek. W międzyczasie wszyscy pracowali dzień i noc, by doprowadzić do jakiegoś porządku księgowość co jednak okazało się pracą bardzo ciężką. Trzeba było fałszować dokumenty by stan magazynu choć w przybliżeniu odzwierciedlał stan księgowości. Pamiętam np. że zaprzychodowano do magazynu ponad 100 kg. rosyjskich cukierków (produkt nie nadający się do jedzenia) i nie wiadomo było co się z nimi stało. Ponieważ po rosyjsku cukierki i kapusta pisze się podobnie, sierżant Ceve przerobił kwit wydania kapusty na cukierki. Takich przypadków z konieczności było wiele.

W końcu nadszedł wielki dzień pracy komisji. Członkowie komisji wybrani przez samego kpt. Gordienkę, byli naszymi stałymi gośćmi. Mimo to kpt. Gordienko wyglądał na bardzo zafrasowanego. I rzeczywiście, członkowie komisji okazali się bardzo dobrymi specjalistami. Nasze fałszerstwa i kombinacje były wykrywane jedne po drugich, przy czym gońców natychmiast posyłało po duplikaty zakwestionowanych dokumentów. W ten sposób rosła ilość dowodów przeciwko nam, a każdy z nich oznaczał karłą kompanię, obóz koncentracyjny, a nawet karę śmierci. Zastanawiała mnie gorliwość z jaką najlepsi przyjaciele kpt. Gor-

dienki starali się wynaleźć dowody przeciwko niemu. W pewnej chwili kapitan każe mi zawiadomić magazynierów że komisja udaje się do nich. Mając wciąż w pamięci katastrofę zachodzącą przed moimi oczyma, oczekiwałem na komisję, która jakoś długo nie wychodziła z magazynu. W końcu są: kompletnie pijani, trzymają się jeden drugiego i podtrzymywani przez magazynierów z trudem pakują się do jeep'ów.

W biurze na stole stoi wykwintny obiad, a obok każdego krzesła — worek z podarkami. Jedzenie i picie w odprężonej atmosferze, przeciąga się do późnej nocy. Jednakże praca jest pracą i trzeba napisać protokół z posiedzenia komisji. Protokół jest bez zarzutu. Wszystko w naszej księgowości zgadza się co do grama ze stanem magazynów. Nawet w przypadku ziemniaków gdzie instrukcje pozwalały odpisać 10 % na straty magazynowania. Odzwierciedla to zadowolenie komisji z podarków, których ilość jest w odpowiedniej proporcji do ilości wykrytych nadużyć. Była to krótka lekcja pogładowa działania sowieckiego systemu. W czasie postoju w Lubelskim, wyżywienie 2-giej Armii — tak jak i całej Czerwonej Armii — składało się prawie całkowicie z produktów amerykańskich i angielskich. Amerykanie dostarczali więc mąkę pszenną i sojową, cukier trzcinowy, masło, oleje roślinne, szmalce, konserwy mięsne i kaszę, Anglicy zaś głównie szmalce i masło. Można bez żadnej przesady powiedzieć, że produkty te, wraz z ziemniakami miejscowego pochodzenia pokrywały w 100 % zaopatrzenie żywnościowe armii i nie przypominam sobie, by były jakieś poważniejsze trudności w dostawach. Produkty żywnościowe pochodzenia sowieckiego, na które składały się nedorafinowany cukier, konserwy rybne, koncentrat zupowy, oraz tytoń nie odgrywały, prócz tego ostatniego, żadnej roli w zaopatrzeniu armii z powodu swych nikłych ilości. Szczególną rolę wśród tych sowieckich produktów odgrywał spirytus, mętna żółtawa ciecz „ochrzczona” niezliczoną ilość razy w drodze na front. Produkt ten stanowił niezbędny składnik morale sowieckiego żołnierza. Wydawany był tuż przed ofensywą i — ze względu na przymusową wstrzemięźliwość w okresach między ofensywami — jego działanie było uwielokrotnione. Tytoń żołnierski stanowiła tzw. „krupczatka” składająca się głównie z grubszych części rośliny. Oficerowie sztabowi otrzymywali papierosy, ale także w niewielkiej ilości. „Krupczatkę” można było palić tylko w papierze gazetowym (innego i tak nie było), stąd wielki popyt na sowiecką prasę. Gazety niemieckie nie nadawały się do tego celu. Widziałem żołnierzy sowieckich siedzących na mrozie i śniegu o godz. 4-tej rano czekających w kolejce na poranną prasę. Gdy ta nadeszła ok. godz. 7-ej rano, nikt nawet

nie zainteresował się treścią wielkich nagłówków na pierwszej stronie. Gazety pocięto od razu na odpowiedni dla „krupczatki” format. Zapałki były także pochodzenia sowieckiego, zapakowane w duże paczki z lichego papieru. Do paczek były dołączone kawałki drewna pomazane masą do pocierania. Zdarzało się, że paczki się rozlatywały, zapałki wchodziły w kontakt z masą wywołując pożar. W ten sposób spalił się magazyn żywnościowy w jednym z pododdziałów. W miarę posuwania się frontu na zachód, polskie magazyny dostarczały także dużo produktów.

Z innego wyposażenia Czerwonej Armii sprzęt łącznościowy był także całkowicie amerykański. Natomiast broń, czołgi i samoloty były wyrobu sowieckiego. Oczywiście wiele można by napisać o amerykańskiej pomocy dla przemysłu, która w ogóle umożliwiła tę produkcję. Wszystkie sowieckie fabryki samochodów i traktorów zostały zamienione na fabryki czołgów i samochodów pancernych. Własnych samochodów ciężarowych lub osobowych w czasie wojny nie produkowano. Cały transport Czerwonej Armii oparty był o park samochodowy pochodzenia amerykańskiego o kilku standartowych pojemnościach, z których największa nie przekraczała trzech ton. Słynne wyrzutnie pocisków rakietowych „katiusze” były także umieszczone na amerykańskich samochodach ciężarowych. To samo dotyczy wojskowych samochodów osobowych, którymi były amerykański jeep’y.

Należy podkreślić, że przeciętny żołnierz sowiecki całkowicie zdawał sobie sprawę z zasięgu amerykańskiej pomocy i słyszałem wiele wypowiedzi, w których wyrażano podziw dla potencjału amerykańskiego obok kpín z sowieckiej nieudolności. Nie trzeba być wojskowym by móc stwierdzić, że bez pomocy amerykańskiej Armia Czerwona byłaby absolutnie niezdolna do samodzielnego prowadzenia wojny. W tej sytuacji jest także absolutnie nieprawdą że alianci zachodni musieli się godzić na wszystkie fakty dokonane i żądania Stalina w Europie Centralnej. Nawet po zakończeniu wojny amerykańskiej dostawy trwały dalej do końca 1946 roku w ramach tzw. *pipeline agreements*. Wystarczyło tylko trochę rozeznania w sytuacji, umiejętnej polityki w dozowaniu dostaw wojskowych i stanowczości, by po wojnie zaprowadzić Pax Americana w Europie. Niestety dalekowzrocznej polityki zagranicznej nie ma w USA do tej pory.

Na początku stycznia 1945 roku nadchodzi rozkaz wymarszu całej 2-ej Armii na front. Oddziały liniowe maszerują piechotą wśród ostrej śnieżnej zimy w kierunku Warszawy. Nasze magazyny wydają produkty na drogę, jednakże wyznaczeni jesteśmy prawie w ostatnim rzucie ze względu na brak samochodów ciężarowych w dywizyjnej kolumnie samochodowej, które mają

dopiero nadejść z Żytomierza. Dużo pożegnań z miejscową ludnością i trochę tragicznych rozstań. Żona naszego pisarza gminnego znika po wyruszeniu pierwszych oddziałów. Mąż wprawia w ruch, poprzez gen. Waszkiewicza, całą żandarmerię armii na jej poszukiwanie. Zostaje odnaleziona, już w mundurze, w batalionie sanitarnym. W końcu wyruszamy wszyscy. Major Siemielnikow czuje się wyraźnie nieswojo, że znów musi jechać w kierunku frontu. Mimo że przedtem pokpiwał ze świętych obrazów wiszących w naszym biurze, teraz zachodzi przy okazji do kościoła. W drodze doganiają nas nowe samochody ciężarowe przeznaczone dla naszej kolumny samochodowej. Wskutek niedbalstwa czy niedopatrzenia, wielu kierowców pozostawiło wodę na noc, wskutek czego popękały chłodnice i bloki silników.

Pozostawiam moją pracę nowoprzyjętemu młodemu Żydowi, który w 1939 roku uciekł z Warszawy do Sowietów, a teraz wraca jako zacięty antykomunista. Sam gnany ciekawością jadę prosto do Warszawy. Mosty na Wiśle zwalone, przechodzę po łódzie na warszawską stronę. Okopy niemieckie z częściowo pozostawioną bronią, zasieki z drutu kolczastego i pola minowe. Miasto w ruinie. Kolumna Zygmunta zwalona, król leży w śniegu z wygiętą szablą. Ludzie modlący się przed Matką Boską Passawską. Powstańcze odezwy na murach.

Dopiero po tygodniu przybywają oddziały mojej dywizji. Zajmujemy koszary na Rakowieckiej. Kapitan Gordienko został mianowany majorem i wysłał mnie do Polskiej Woli, wsi niedaleko Radzimia Podl., gdzie jeszcze pozostały niektóre służby sztabu 2-ej Armii. Wracając z powrotem jadę wprost poprzez Maciejowice, Radom by odwiedzić rodzinę zamieszkałą koło Piotrkowa Tryb. Po niemieckiej stronie Wisły olbrzymie pola minowe, bunkry i lasy wycięte na wysokość około jednego metra. Ludność wysiedlona na wiele kilometrów po obu stronach Wisły. Wzdłuż dróg masa porzuconego ciężkiego sprzętu niemieckiego. Czołgi i samochody jadą wprost przez rozwałkowane trupy żołnierzy niemieckich. Od Tomaszowa Maz. ślady świeżych walk. Okazuje się że w spalskich lasach odcięto kilka niemieckich dywizji pancernych. Jest jeszcze dużo rozproszonych żołnierzy niemieckich obok wałęsających się wszędzie sowieckich maruderów. W sumie bardzo niebezpieczna sytuacja. Poza tym każdy kto chce posiada broń i amunicję wszelkiego rodzaju. Po paru dniach pobytu w domu rodziców odnajduję moje biuro w Brzezinach już w drodze do Łodzi. Zajmujemy ponemieckie mieszkanie na biuro. Major Gordienko używa znalezioną elektromagnetyczną ręczną maszynę do leczenia reumatyzmu do torturowania swoich klientów — sowieckich oficerów — przychodzą-

cych po kwity na żywność. Podskakują, oczy im wychodzą na wierzch ale nie protestują.

Na początku lutego dywizja znów wyrusza w dalszą drogę na Aleksandrów, Turek, Wrześnię, Poznań. Ze sztabu wiadomo że idziemy na zacięcie broniony Kołobrzeg. Docieramy jednak tylko do Gorzowa Wielkopolskiego. Co dalej nikt nie wie. W końcu po kilku dniach postoju dywizja została z powrotem przesunięta w okolice Śmigła i Kościana. Tu został wydany rozkaz by usunąć z wojska wszystkie osoby które nie przeszły przez Komisje Uzupelnień. Dotyczyło to przede wszystkim wielu kobiet, które ciągnęły za wojskiem. Major Gordienko musiał się tam pozbyć niejakej Stasi z Łodzi, co nie było wcale rzeczą łatwą. Po krótkim postoju wyruszyliśmy znów, tym razem pod oblężony Wrocław. Stanęliśmy w podmiejskiej miejscowości Oborniki. Tu obchodziliśmy uroczyste Wielkanoc, która wypadała tego roku 1 kwietnia. Wystawna uczta z udziałem ok. 50 osób przeciągnęła się do samego rana. Wczesnym rankiem 2 kwietnia major Siemielnikow postanowił osobiście chwycić majora Gordienkę *in flagranti* i w tym celu udał się w kierunku naszej kwatery, o czym zostaliśmy natychmiast uprzedzeni. Szybko usunięto wszystkie ślady uczty. Major wpadł jak bomba po stromych schodach na trzecie piętro do naszego biura, ale zadyszał się i już od drzwi wołał wody. Współprytomny sierżant Ceve podał mu karafkę ze stołu, która okazała się nie z wodą lecz ze spirytusem. Major wydając nieludzkie krzyki popędził z powrotem na dół. W pierwszych dniach kwietnia otrzymaliśmy rozkaz wydania żołnierzom po 100 gr. wódki co było nieomylnym znakiem przygotowania do ataku. W ostatniej jednak chwili rozkaz został odwołany i cała 2-ga Armia dostała rozkaz wymarszu nad rzekę Nysę, tj. dalszych kilkaset km. na zachód. Jechaliśmy przez Środę Śląską, Legnicę i Bolesławiec. Wojsko jak zwykle piechotą. W połowie kwietnia zajęliśmy kwatery w nędznych miejscowościach wśród sosnowych lasów na wschód od Nysy Łużyckiej. Wszystkie poniemieckie tereny przez które dotychczas przechodziliśmy były prawie puste, prócz nielicznych kobiet i starców, którzy kryli się wśród ruin lub piwnic. Hordy sowieckich maruderów buszowały wśród opuszczonych miast i wsi. Tutaj zaś, nad Nysą, można się było rozmówić po polsku — mieszkańcy byli Łużyczanami. Tutaj też major Gordienko zastał pewnego dnia na swojej kwaterze Stasię z Łodzi, która w niedobrowolny sposób musiała się z nim rozstać koło Śmigła. Jak zdołała przewędrować ok. 400 km. bez dokumentów, mając tylko czapkę i płaszcz wojskowy? Jak się zdołała dowiedzieć w jakim kierunku jedzie nasza jednostka? Major przez swoje

znajomości umieścił ją w batalionie sanitarnym. Dniem i nocą trwa koncentracja wojsk sowieckich marszałka Koniewa. Nieprzerwanie ciągną czołgi, samochody pancerne oblepione piechotą, „katusze”, artyleria i piechota. Niemieckie samoloty wywiadowcze pojawiają się tylko nocami i to bardzo nieśmiało. Jest oczywiste, że taka koncentracja wojska nie może ujść uwadze nieprzyjaciela. Nie widać też by Sowietci z tym się zbyt kryli. Zgromadzono tu cztery dywizje 2-ej Armii, dochodzą nas wieści o nieporozumieniach między dowódcą tej armii gen. Świerczewskim i dowództwem sowieckim.

Tutaj też nadszedł moment by pożegnać się z wojskiem. W zasadzie miałem to uczynić zaraz po wyzwoleniu Polski, jednakże poszedłem dalej niż pierwotnie zamierzałem z ciekawości, której przyczynę postaram się wyjaśnić niżej. Byłbym prawdopodobnie służył trochę dłużej, co najmniej do końca wojny, gdyby nie major Siemielnikow, który umieścił mnie na liście osób przenoszonych z kwatermistrzostwa do oddziałów liniowych. To już było zbyt wiele. Nie zamierzałem narażać swojego życia za nieswoją sprawę. Były także i inne przyczyny dla których należało opuścić wojsko raczej jak najszybciej. W ostatnich mianowicie czasach było bardzo dużo osób, pragnących odjechać bezpiecznie na tyły. Pierwszymi byli aktorzy dywizyjni, Reich i wielu, wielu innych. Otóż rozeszła się zbyt szeroko wieść że wystawiam dokumenty podróży do jakiej kto sobie życzy miejscowości. Z takimi dokumentami można było podróżować wygodnie, korzystając z sowieckiego transportu i stołówek przy wojennych komendanturach. Najważniejsza była magiczna dla władz sowieckich okrągła pieczętka. Taka prywatna demobilizacja nie mogła jednak trwać długo bezkarnie. Krótkie pożegnania przez wtajemniczonych kolegów, którzy odprowadzają mnie na skrzyżowanie dróg, gdzie po sprawdzeniu moich dokumentów żołnierz sowiecki regulujący ruch wsadza mnie na samochód udający się w kierunku Bolesławca. Żegnaj Druga Armio!



Jak wspominałem, 5 DP wchodząca w skład 2-ej Armii została sformowana w okolicach Łukowa i Radzyna Podl. Składała się ona, obok wymienionego już Batalionu Szkolnego, z 13-go, 15-go, 17-go pułków piechoty i 28-go pułku artylerii. Prócz tego w skład jej wchodził samodzielny batalion czołgów, oddział obrony przeciwgazowej, oraz służby sanitarne, łączności i inne. Łącznie dywizja liczyła nieco ponad 6 tys. ludzi.

Wojsko było kwaterowane przeważnie w ziemiankach po

lasach. Ćwiczeń wojskowych odbywano bardzo mało. W czasie mojego stażu w Batalionie Szkolnym odbyły się tylko raz ćwiczenia w składzie całej dywizji. Rzadko tylko słychać było ćwiczebne strzelanie ostrą amunicją. Zresztą w ogóle czasu na ćwiczenia było bardzo niewiele — zaledwie kilka miesięcy. Można więc stwierdzić, że żołnierz naszej dywizji, tak jak i całej Drugiej Armii, był tylko dlatego żołnierzem że był umundurowany. Dla ponad 90 % żołnierzy ofensywa która, rozpoczęła się dnia 16 kwietnia 1945 roku nad Nysą, była pierwszym doświadczeniem frontowym i dla wielu, bardzo wielu — ostatnim.

Jeśli np. chodzi o tak poważny czynnik w nowoczesnej wojnie jak transport to był on przy końcu tego długiego marszu w opłakany stan. Większość ciężarówek wojskowych została unieruchomiona na skutek niefachowej obsługi, braku części zamiennych itp. Oczywiście były naprawcze warsztaty polowe, ale były one obsadzone przez sowieckich techników, którzy naprawiali tylko za wódkę. Przy końcu drogi stan parku samochodowego był taki, że każdy samochód na chodzie ciągnął jeden lub dwa zepsute. Z braku samochodów zaczęto uruchamiać porzucone niemieckie ciężarówki z silnikiem Diesla. Końcowy etap drogi odbyłem na takim samochodzie. Wiózł on ok. 6 ton ładunku i ciągnął dwa zepsute samochody ciężarowe amerykańskie, także załadowane.

W opłakany stan znajdowało się także obuwie maszerujące bez przerwy wojska. Tylko jeden pułk skorzystał z transportu kolejowego między Łodzią a Kaliszem. Reszta wojska szła piechotą przez trzy i pół miesiąca, wędrując spod jednego marszałka pod drugiego. Chodziły słuchy, że nikt nie chciał przyjąć wojska w takim stanie pod swoją komendę. Osobiście wydaje mi się, że dla wojska tego szukano odpowiedniego miejsca by je wygubić. Żołnierze pochodzący z Lubelskiego i Wołynia, byli żołnierze BCh i AK, byli nastawieni zdecydowanie wrogo do nowej władzy. Trzeba jednak także przyznać, że przy sowieckim sposobie prowadzenia wojny naprawdę trudno się rozeznąć, gdzie niekompetencja przechodzi w złą wolę, a gdzie jest tylko typowe nieliczenie się z własnymi stratami.



Dalsze losy Drugiej Armii podaję według chwalczy reżymu Jana Gerharda zamieszczonych w książce *Zwycięstwo*¹. Zadania

1. Jan Gerhard, *Zwycięstwo*, Wyd. MON, Warszawa, 1970, wydanie 2-gie, cena t. I-III zł. 90.

tej armii zostały wyznaczone przez marszałka Koniewa. Miała ona nacierać w kierunku Drezna, jednocześnie osłaniając lewe skrzydło wojsk sowieckich nacierających na całym froncie. 52-ga Armia sowiecka będąca na lewym skrzydle nacierającej 2-ej Armii miała pozostać w defensywie.

Do uderzenia dnia 16 kwietnia rzucono 7-mą, 8-mą i 9-tą DP, które sforsowały Nysę ponosząc ciężkie straty. 10-ta DP nie mogła sforsować rzeki mimo dużych strat. Zmieniono dowódcę i dywizja przeszła do obrony. 5-ta DP przeszła Nysę w ślad za 8-mą DP. W drugim i trzecim dniu walczące oddziały posuwały się powoli z powodu silnego oporu przeciwnika². Generał Schörner, dowódca niemieckiego frontu „Mitte” postanowił wykorzystać sytuację stworzoną przez 2-gą Armię, która zbytnio rozciągnęła się na zachód bez należytej ochrony od południowej flanki. Pierwsze próbne kontrataki zostały dokonane już pod koniec trzeciego dnia walki. Zamiary nieprzyjaciela zostały wcześniej rozpoznane przez wzięcie jeńców i rozpoznanie lotnicze³. Gen. Świerczewski, po porozumieniu się ze sztabem frontu przedstawił część wojsk na obronę lewej flanki. Jednakże marszałek Koniew rozkazał mu dalej rozwijać natarcie w kierunku Drezna, przy jednoczesnym osłanianiu lewego skrzydła frontu⁴. Zgodnie z tym rozkazem 7-ma, 8-ma, 9-ta i 5-ta DP zostały skierowane na zachód wraz z 1-szym Korpusem Pancernym, który walczył w obronie od południa, lecz następnego dnia został kluzowany przez 116-tą i 214-tą dywizje z sowieckiego 48-go korpusu piechoty⁵. 21 kwietnia 8-ma i 9-ta DP znajdują się niedaleko Drezna. Natomiast, na skutek uprzedniej decyzji gen. Waszkiewicza, pułki 5-tej DP nacierały bez łączności z sąsiednimi dywizjami a nawet między własnymi oddziałami⁶. Między 13-ym pp. a 15-ym i 17-ym pp. wytworzyła się luka ok. 50 km. Łączność między sztabem armii i sztabem 5-tej DP urwała się. Mimo to gen. Świerczewski, pobudzany przez sztab marszałka Koniewa pcha dalej wszystkie rozporządzalne siły na Drezno, włączając najbardziej ruchliwą jednostkę — 1-szy Korpus Panc. W sztabie 2-ej Armii jeszcze nie wiadomo, że zgrupowanie uderzeniowe gen. Schörnera rozpoczęło uderzenie na wielką skalę, którego celem było rozbicie 2-ej Armii i wyjście na tyły nacierających na Berlin armii sowieckich. Gen. Waszkiewicz nie zgodził się na wycofanie pod osłoną nocy sztabu i stosunkowo słabych sił

2. *idem*, t. 3, str. 47.

3. *idem*, t. 3, str. 48.

4. *idem*, t. 3, str. 54.

5. *idem*, t. 3, str. 78.

6. *idem*, t. 3, str. 38.

zgrupowanych w okolicy celem dołączenia do większego zgrupowania. Na drugi dzień rano, tj. 22 kwietnia, oddziały polskie były już porozdzielane i otoczone zaś wszelkie wysiłki przebicia nie udawały się. Sztab 5-tej DP został rozbity. Gen. Waszkiewicz wzięty do niewoli a następnie zamordowany, tak jak i inni jeńcy polscy wzięci do niewoli w tej ofensywie. Dopiero teraz gen. Świerczewski wstrzymał ruch na zachód (1-szy Korpus Panc. był już 8 km. od Drezna).

W poniedziałek 23 kwietnia klin wbity przez Niemców miał szerokość 22 km. i taką samą głębokość. Główne walki toczyły się o Budziszyn. We wtorek, 24 kwietnia, sam gen. Świerczewski na czele oficerskiej tyraliery musiał nawracać pierzchających żołnierzy. Lotnictwo nieprzyjaciela przejawiało silną działalność i rozbiło kilkanaście czołgów. Mimo ciągłych wezwań, żadna pomoc od marszałka Koniewa nie nadchodziła. Tu nawet autor nie wytrzymuje i ustami jakiegoś anonimowego chorążego mówi: „że wszystko wyglądałoby inaczej gdyby ci ludzie byli bardziej ostrzelani, mieli większe doświadczenie w sytuacji na polu walki. Tymczasem co? Oni są przecież zaledwie od ośmiu dni w boju”⁷.

W środę po całonocnej walce, wojsko znów zaczęło pierzchać i znów gen. Świerczewski na czele oficerskiej tyraliery powstrzymywał uciekających, używając czasem lufy rewolweru jako argumentu przekonywującego⁸. Budziszyn broniony przez oddziały sowieckie został zdobyty przez Niemców. 2-ga Brygada Pancerna została otoczona i rozbita. Gen. Świerczewski stał kogo mógł na pomoc znajdującemu się w ciężkiej sytuacji 1-mu Korpusowi Pancernemu. Sztab 32-go PP został odcięty od reszty sił. Szef Sztabu zabity. Jednostki były zmuszone do cofania się w obronę. Oficer sztabu armii mjr Fiedosiejew dostał się do niewoli wraz z mają, na której naszkicowane były linie odwrotu 9-tej DP. Niemcy wykorzystali tę zdobycz do urządzenia szeregu zasadzek, w wyniku których zabito kilkudziesięciu oficerów i żołnierzy 26-go PP, oraz spłonęło 11 samochodów sztabu dywizji⁹. Żołnierze 30-go PP szarpani atakami ze wszystkich stron wpadali w panikę¹⁰. Cała 9-ta DP została odcięta od głównych sił¹¹. Cały następny dzień, tj. 27 kwietnia, dywizja ta usiłowała przebić się w kierunku wschodnim, tzn. wchodzić coraz głębiej w obszar zajęty przez Niemców. Dopiero dzięki lotniczemu kontaktowi dywizja zmieniła kierunek przebijania się na północny,

7. *idem*, t. 3, str. 138.

8. *idem*, t. 3, str. 137.

9. *idem*, t. 3, str. 172.

10. *idem*, t. 3, str. 173.

11. *idem*, t. 3, str. 178.

dzięki czemu część zdołała się przebić. Dowódca dywizji został ranny i dostał się do niewoli. Pozostałe oddziały 2-iej Armii znajdowały się w dalszym ciągu pod silnym naciskiem nieprzyjaciela stosującego zmasowane ataki bronią pancerną i lotnictwem. Pod koniec 27-go i w ciągu 28-go kwietnia nasilenie walk osłabło. Potem przysłyły dalsze walki z cofającymi się ugrupowaniami gen. Schörnera, oraz operacja praska. W obydwóch operacjach 2-ga Armia straciła 4.189 zabitych i 18.301 rannych¹². Taki był bilans walki armii umundurowanych i uzbrojonych cywilów pod dowództwem niekompetentnych lub specjalnie źle dowodzących sowieckich oficerów.

Tuż po wojnie nawiązałem ponowny kontakt z kolegami, pozostającymi w dalszym ciągu w wojsku. Dowiedziałem się, że zginęło dwóch moich dobrych przyjaciół, których dzięki moim znajomościom umieściłem w sztabie dywizji. Mjr Siemielnikow w dalszym ciągu poruszał wszelkie przeznaczone ku temu organy, by mnie odnaleźć. Byłem naprawdę wzruszony jego, niestety z mojej strony nieodwzajemnioną, chęcią ponownego zobaczenia się.

Zygmunt WÓJCIK

12. *idem*, t. 3, str. 417.

RECENZJE

CZYTELNIK Z KRAJU

ARMIA KRAJOWA W DOKUMENTACH

Ukazał się obecnie III-ci tom wydawnictwa Studium Polski Podziemnej. Ostatnie dokumenty mają datę 1 sierpnia 1944 roku, a jednak ani jeden z nich nie wspomina o przygotowaniach do Powstania, chociaż począwszy od 21 lipca 1944 roku wydano wiele dokumentów zarówno w Warszawie jak i w Londynie, a nawet we Włoszech, w m.p. Naczelnego Wodza i jego szefa operacyjnego, przebywających tam na inspekcji 2-go Korpusu. Ta słuszna decyzja Komitetu Redakcyjnego pozwoli czytelnikom łatwiej prześledzić niezwykle kontrowersyjną sprawę podjęcia i zrealizowania decyzji Powstania Warszawskiego po ukazaniu się IV-go tomu. Przy opracowywaniu tego typu wydawnictw o ich wartości decyduje wybór dokumentów. Wyselekcjonowanie spośród masy kilkudziesięciu tysięcy numerów dziennika podawczego Oddziału VI Sztabu Nacz. Wodza (rocznie od 5 tysięcy w 1940 do 15-tu tysięcy w 1944 roku) stanowiło zadanie trudne i skomplikowane. Wydaje się, że Komitet Redakcyjny wywiązał się z niego dobrze. Zestaw ponad 700 dotychczas ogłoszonych dokumentów zawiera dostateczną ilość materiału do wyrobienia sobie poglądu jak w rzeczywistości wyglądały organizacyjne wysiłki ruchu oporu cywilnego i wojskowego w Kraju, i jak przebiegała ewolucja w zamierzeniach i usiłowaniach zagranicznych ośrodków dyspozycyjnych. Szczególnie cenną decyzją było włączenie do wybranych dokumentów korespondencji między polskimi władzami w Londynie a władzami politycznymi i wojskowymi Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych (dotyczącej pomocy dla naszego ruchu oporu w walce przeciw okupantowi). Chociaż w tym wypadku byłaby zapewne możliwość wybrania jeszcze kilku charakterystycznych dokumentów, wymienionych między Oddziałem VI-tym (specjalnym) Sztabu N.W. a angielską S.O.E., oraz między

polskim przedstawicielem w Międzyaliantckim Sztabie (C.C.S.) w Waszyngtonie i amerykańskimi generałami. Jest to istotne z dwóch względów: brak na ten temat informacji w Kraju; istniały różne poglądy na zadania ruchu oporu w Polsce między Polakami i Anglosasami. Oni widzieli tylko dywersję, sabotaż i szpiegostwo, my natomiast chcieliśmy przygotować warunki do wywalczenia niepodległości. Jest to przecież problem nie tylko historyczny, ale jak najbardziej aktualna rzeczywistość w życiu dzisiejszym polskiego społeczeństwa.

Działalność Armii Krajowej stanowiła w całości polskie działań jeden z najważniejszych prądów walki z hitlerowskim okupantem. Zazębiała się ona ściśle z pracami polskiego Naczelnego Dowództwa i Rządu w Londynie. Znajduje to potwierdzenie w niektórych ogłoszonych dokumentach spoza archiwum Studium Polski Podziemnej. Dotyczą one przeważnie szczebla Naczelnego Wodza i Premiera, a przecież można by znaleźć w archiwach Naczelnego Dowództwa i Rządu (oddziały operacyjne i wywiadowczy, M.O.N., Ministerstwo Skarbu, ambasady polskie w Londynie i w Waszyngtonie) choćby kilka jeszcze dodatkowych, które wskazywałyby jak problem ruchu oporu przewijał się przez wszystkie polskie poczynania.

Cenny materiał historyczny zawierają meldunki Komendy Głównej A.K. Wyróżniają się pod tym względem „Meldunki organizacyjne”, np. pod numerami redakcyjnymi 482 i 564 w tomie III-cim, oraz 396 w tomie II-gim: odzwierciedlają one w pełni wysiłek członków ruchu oporu i zawierają wielką ilość danych liczbowych, relacji z życia pod okupacją, jak też unikalne dane personalne, np. o skoczkach i kurierach zamordowanych przez okupantów. Niektóre z nich, jak Meldunek Specjalny 1/R nr 242 (numer redakcyjny 658) o pociskach raketowych V-2, pokazują jak cenny był wkład Armii Krajowej do działań wojennych na najwyższym szczeblu dowództwa zachodnich aliantów. Wiarygodność powyższych dokumentów nie nasuwa najmniejszych nawet wątpliwości.

Inną wartość historyczną przedstawiają dokumenty w rodzaju „Meldunków tygodniowych” czy też „Meldunków sytuacyjnych”, np. numer redakcyjny 582, 587, 591, 596 itd. Zawierają one wiadomości z przebiegu wydarzeń „gorących” (walki partyzanckie, wykonanie „Burzy”, kolizje z partyzantką sowiecką i oddziałami A.L.). Meldunki te są zabarwione emocjonalnymi przeżyciami uczestników, a fakty w nich podane są dziś czasem bezsporne, kiedy „indziej wątpliwe, i tylko niewiele zapewne uda się tu uściślić. Stąd, choć w pełni oddają atmosferę panującą w ruchu oporu, nie posiadają pełnej wartości argumentu historycznego.

Cały ten dokumentarny materiał zainteresuje i ucieszy historyków, a pamiętnikarzy zachęci do przedłużenia fali wspomnień

i uzupełnienia w szczegółach tak istotnych dla nas wydarzeń. Należałoby tylko życzyć Komitetowi Redakcyjnemu, aby następne zapowiedziane dwa tomy ukazały się wkrótce.

Czytelnik z Kraju

Józef LEWANDOWSKI

„PRZECHOWYWAĆ NA ZAWSZE” *

Przyzwyczajiliśmy się w ostatnich latach, że z małymi, potwierdzającymi regułę wyjątkami, wszystko co ciekawe i wartościowe w literaturze rosyjskiej jest wydawane wbrew władzom, to jest za granicą lub w samizdacie. Literatura sowiecka, kilkadziesiąt lat temu fascynująca dziełami Gorkiego, Erenburga, Babla, pseudo-Szołochowa zdolność tę utraciła bodajże bezpowrotnie. Wśród wielu strachów, gnębiących sowiecką elitę władzy jednym z najbardziej dokuczliwych jest lęk przed literaturą i pisarzami. To, co było legalne lub dopuszczalne za czasów Chruszczowa okazało się antypaństwowe lub antypartyjne za czasów Breżniewa. Nawet gorzej. Co prawda Szołochowowi niedawno wyprawiono szumny jubileusz, ale nie ulega wątpliwości, że *Cichy Don* nie miałby teraz żadnej szansy ukazania się, gdyby nie to, że został wydrukowany za Stalina.

Utrzymanie się w ramach legalności staje się dla sowieckich pisarzy coraz trudniejsze. Podporządkowanie się wymogom władz jest równoznaczne z przekreśleniem samego siebie jako pisarza, a to często jest niezależne nawet od subiektywnego pragnienia — impulsy twórcze utalentowanych twórców są często silniejsze niż pragnienie spokojnego i dostatniego trybu życia. „Na każdego — twierdzi jeden z najciekawszych pisarzy młodego pokolenia, Władimir Maramzin — przychodzi czas, kiedy musi zrobić swoje”.

Lew Kopielew, pisząc swe wspomnienia, starannie ważył słowa, by nie wypaść poza ramy sowieckiej legalności. Uważny czytelnik bez trudu dostrzeże ślady ołówka samocenzury jak i zdania przesadnie wyjaśniające, osadzające myśli autora w stalinowskiej przeszłości i uchylające podejrzenia o oceny aktualne. Czy autor miał złudzenia, że *Chranit' wieczno** przebrnie przez ucho igielne

* Kopielew Lew, *Chranit' wieczno*. Wyd. Ardis, Ann Arbor, str. 729, 5, ilustr.

sowieckiej cenzury? Takie złudzenia wydają się mało prawdopodobne, ale utrzymanie się w ramach ma znaczenie również w wypadku publikowania wbrew państwu. Nie zapominajmy, że jest to taktyka, która przed dziesięciu laty z niewątpliwym powodzeniem stosował Sołżenicyn, dostosowując do wymogów sowieckiej legalności publikowane za granicą powieści *W kręgu pierwszym* i *Oddział chorych na raka*.

Lew Kopielew jest postacią, której rozgłos dawno przekroczył granice ZSSR. Co prawda autor jest wybitnym germanistą i czołową osobistością moskiewskiego świata intelektualnego, ale popularność zdobył głównie jako jeden z bohaterów *Kręgu pierwszego*. Sołżenicyn-Nierżyn i Kopielew-Rubin poznali się i zaprzyjaźnili w szaraszce w Mawrino. Łączyła ich wspólna codzienna praca, zainteresowania literackie (Sołżenicyn tuż przed wybuchem wojny o mały włos nie został studentem doc. Kopielewa) oraz podobne przeżycia frontowe. Jak pamiętamy, Rubin i Nierżyn prowadzili długie, zaciekle dyskusje polityczne, w których pierwszy brał na siebie niewdzięczną rolę obrońcy komunizmu i sowieckiej polityki. Rozbieżności polityczne nie stanęły na przeszkodzie trwałej przyjaźni — po latach, na wolności Kopielew przełamał opory Sołżenicyna przed publikowaniem swoich prac i zanieś rękopis *Jednego dnia w życiu Iwana Denisowicza* do redakcji *Nowego miru*¹.

Przyczyny aresztowania Kopielewa zasługują na odnotowanie: ...Końcowa faza Drugiej Wojny Światowej. Armia Sowiecka wkracza na teren Prus Wschodnich. Rozpoczyna się orgia powszechnego rabunku, gwałtów, niszczenia, morderstw. Posuwaniu się wojsk towarzyszą łuny bezmyślnych pożarów. Ślepa zemsta za zbrodnie hitlerowskie, dużo wojennego zdżwolenia i niemała tradycji żołdakiej. Również odwet na Niemcach za własną, sowiecką biedę. Oficerowie walczący przeciwko zezwierzęceniu są niedostrzegalni w cieniu tych, którzy właśnie teraz widzą swą niepowtarzalną okazję zdobycia łupów. Generałowie wywożą łupy wagonami, pułkownicy szabrują w skali samochodów, niższe szczebla zadawalają się walizkami, tobołkami.

Kopielew służył jako major w wydziale, którego zadaniem było rozkładanie wojsk niemieckich. Jak pisze Sołżenicyn: „z obozów jenieckich wyławiał takich Niemców, którzy gotowi byli mu pomagać [...]. Niektórych przerzucał później przez front z trotylem, fałszywymi reichsmarkami, podrobionymi kartami urlopowymi i książeczkami wojskowymi [...]. Z pozostałymi dyskutował o Goethem i Schillerze, uzgadniał podpisy pod ulotkami i poprzez aparaturę wideofoniczną namawiał ich rodaków, by skierowali broń przeciwko Hitlerowi. Z innymi wreszcie sam

1. Kopielewa w szaraszce opisuje również w *Zapiskach Sołogdina* Dimitr Panin, nie szczędząc mu, mimo głębokich rozbieżności politycznych, słów szczerzego szacunku.

przekraczał linię frontu i oszczędzając sowieckie bataliony, perswazją zdobywał fortyfikacje²”.

Kopielew nie oczekiwał takiego zachowania się wojsk sowieckich jakie zobaczył zimą 1945 roku w Prusach. Jest przerażony. W postępowaniu wojsk widzi również niebezpieczeństwo dla sowieckiej polityki, która — jak mu się dotychczas wydawało — dążyła do pozyskania wpływów w Niemczech. Usiłuje ratować kobiety przed gwałtem, chroni ludność cywilną, a nade wszystko usiłuje pozyskać dla swych racji wyższych przełożonych. Groch o ścianę. Naczelnstwo nie jest lepsze od szeregowych szabrowników.

W pewnym momencie wydaje się jednak, że racje Kopielewa biorą górę. Dowódca Pierwszego Frontu Białoruskiego, Rokossowski, wydaje rozkaz nakazujący rozstrzeliwanie maruderów na miejscu³.

Rozkaz Rokossowskiego zahamował maruderstwo ale przypieczętował losy Kopielewa. Z Don Kichota przekształcił się on w niebezpiecznego świadka, którego należało wykończyć. Przełożeni zarzucają Kopielewowi oczernianie armii i jej żołnierzy, przeszkadzanie w wykonywaniu rozkazów bojowych, dyskusje nad rozkazami itd. Następuje wydalenie z partii, aresztowanie, śledztwo, przewlekła procedura sądowa. O tym wszystkim opowiada Kopielew w pamiętniku, którego akcja urywa się w 1947 a więc zanim Nierzyn i Rubin spotkali się w tajnym instytucie badawczym w Mawrino.

Te ramy chronologiczne powodują, że nasza ciekawość, jak wyglądał ówczesny Sołżenicyn widziany oczyma drugiego humanisty, nie zostaje zaspokojona. A szkoda, bo w Mawrino toczyły się nie tylko spory ideologiczne. W obozie Sołżenicyn dużo pracował nad sobą i podejmował pierwsze próby literackie. Jedną z nich, poemat „Pruskie noce”, ukazała się niedawno drukiem. Jest to opis sowieckiego wkroczenia do tych samych Prus Wschodnich, opis równie drastyczny, jak relacja Kopielewa. Obydwaj autorzy walczyli na tym samym odcinku frontu, z natury rzeczy więc widzieli te same zjawiska, ale odnosi się wrażenie, że Sołżenicyn ubrał w literacką formę nie tylko własne obserwacje ale i relację przyjaciela.

Potężną rozmiarami książka Kopielewa porusza szereg ważnych problemów. Do najważniejszych należy analiza struktury myślowej ideowego komunisty. Problem nie nowy, podejmowany

2. Sołżenicyn A., *Krąg pierwszy*. Instytut Lit., Paryż, 1970, str. 32.

3. Gwoli historycznej ścisłości należy dodać że rozkaz ten nie wyrażał intencji sowieckiego naczelnego dowództwa, o czym przekonał się w tym samym czasie Dżilas, referujący Stalinowi jugosłowiańskie skargi na maruderstwo wojsk sowieckich. Prawo wojska do gwałtów, morderstw i grabieży uznał Stalin jako naturalne a skargi potraktował jako czarną niewdzięczność komunistów jugosłowiańskich (Dżilas M., *Rozmowy ze Stalinem*, Instytut Literacki, Paryż 1962, str. 62 pass).

przez wielu wybitnych pisarzy. Nowością jednak jest to, że miast badać *cudze* poglądy, autor bierze na warsztat i pod lupę *swoje* własne. Pozwolę sobie przytoczyć fragment szczególnie drastyczny:

„Wówczas byłem przekonany: *cel uświęca środki* . Naszym wielkim celem jest światowe zwycięstwo komunizmu i w imię tego można i należy robić wszystko — kłamać, rabować, mordować setki, nawet miliony ludzi, wszystkich, którzy przeszkadzają lub mogą przeszkodzić, wszystkich stojących na drodze. By uratować pułk trzeba czasem poświęcić, pluton, dla uratowania armii — pułk... Ci co giną nie mogą tego zrozumieć. Wszelkie wahania i wątpliwości są tylko rezultatem „inteligenckiego przeczulenia”, rezultatem ciasnoty horyzontów tych, którzy spoza drzew nie widzą lasu [...]. Przerażającą wiosną 1933 roku widziałem umierających z głodu, widziałem spuchnięte kobiety i dzieci, jeszcze oddychające lecz już bez spojrzenia w obojętnych, umierających oczach. Trupy, dziesiątki trupów w ubraniach, podartych kożuchach, w zdeptanych walonkach i łapciach... trupy w chatkach, na piecach, na podłodze, na dworze na śniegu w starej Wołogdzie, pod mostami w Charkowie... Widziałem a jednak nie zwariowałem, nie popełniłem samobójstwa, nie przekląłem tych, co skazali na zagładę 'ciemnych' chłopów, nie odciąłem się od tych, co zimą posyłałi mnie by zabierać im chleb a wiosną namawiać ledwo poruszających się, chudych jak szkielety ludzi by szli w pole 'bojowo' wypełniać plany bolszewickiej kampanii siewnej”.

Jak słusznie zauważył bynajmniej nie liberalny recenzent *Kontinientu* : „chwilami pragnie się, by autor okazał więcej wyrozumiałości dla swego bohatera. Ale autor tego nie czyni i ciągle jest bezlitosny a dyskutować z nim trudno, bowiem autor jest zarazem i bohaterem”.

Dla polskiego czytelnika nie jest sprawą obojętną, że Kopielew ma żywe sympatie dla Polski i Polaków, zresztą zna język i często przytacza polskie zdania w rosyjskiej, dobrej transkrypcji. W swych obozowo-więziennych wędrownkach Kopielew raz za razem napotykał na Polaków, przeważnie żołnierzy AK. Opisuje ich z szacunkiem, akcentując dumną postawę, zachowaną w najbardziej niesprzyjających warunkach. Być może, że z kart jego książki niejedna rodzina w Polsce dowie się o losach swoich najbliższych, zaginionych w 1944 i 1945 r.

Józef LEWANDOWSKI

Z. S. SIEMASZKO

SPRAWA BERLINGA

Już od dawna krążą pogłoski jakoby Berling na własną rękę, bez rozkazów dowództwa sowieckiego, usiłował przyjść z pomocą powstańcom warszawskim we wrześniu 1944. Hipoteza ta zakłada wielką swobodę działania w sowieckim systemie dowodzenia i zapomina o tym, iż Berling był całkowicie zależny od sowieckich dostaw materiałowych, a większość podległych mu oficerów była oficerami sowieckimi. Mimo to jednak wersja niezależnej inicjatywy Berlinga została ostatnio znowu powtórzona przez p. Jana Nowaka w 37-ych *Zeszytach Historycznych*, który jednocześnie przedstawia lądowania oddziałów Ludowego Wojska Polskiego (LWP) na przyczółku czerniakowskim w nieco krzywym zwierciadle. Na przykład p. Nowak pisze:

„Jeszcze tego samego dnia (14 września) Berling wydał rozkaz gen. Galickiemu, by rozpoczął desant na Czerniakowie. Akcja desantowa rozpoczęła się o 2-iej nad ranem 15 września pod osobistym nadzorem Berlinga. ... Wczesnym rankiem 15 września lądują na Czerniakowie oddziały armii Berlinga pod komendą mjr. Łatyszonka. Składają się one z plutonu fizylierów uzbrojonego w ckm-y, jednego plutonu sztabu i zwiadu dywizji w składzie nieco większym niż pluton. W ciągu następnej nocy z 15-go na 16-go ląduje część kompanii moździerzy z 4-ma moździerzami, a prócz tego kilkudziesięciu żołnierzy i 2 działka przeciwpancerne. Na tym kończy się desant” (str. 58).

W rzeczywistości wypadki tu poruszone przedstawiały się następująco.

Wyłączona z 1-szej armii LWP (a tym samym i spod dowództwa Berlinga) i podporządkowana bezpośrednio dowództwu sowieckiemu 1 d.p., którą dowodził oficer sowiecki gen. Bewziuk, brała udział w zdobywaniu Pragi, w tym czasie kiedy 2 d.p. i

3 d.p. (dowódcy oficerowie sowieccy, płk Rotkiewicz i gen. Galicki), podlegające Berlingowi, znajdowały się na przyczółku magnuszewskim na południe od Warszawy. Dowództwo sowieckiego 125 korpusu, w skład którego wchodziła 1 d.p. nakazało jej przeprowadzenie wypadu z Saskiej Kępy na Czerniaków, przy pomocy sowieckiej 143 d.p. znajdującej się na Saskiej Kępie. Zadanie to zostało wykonane 15 września nad ranem przez kilkadziesiąt zwiadowców 1 d.p. pod dowództwem por. Minuczycy (oficer sowiecki). Nawiązali oni kontakt z powstańcami na przyczółku czerniakowskim i powrócili na prawy brzeg Wisły tracąc 9 zabitych i 3 rannych. Dowódca 1 d.p. Bewziuk donosił o tym dowódcy sowieckiego 125 korpusu w swym meldunku bojowym nr 1065 z 15 września 1944. Nie ulega więc wątpliwości, że ten pierwszy kontakt z powstańcami na Czerniakowie zaistniał na skutek rozkazów sowieckich i miał niewiele wspólnego z Berlingiem.

Jednocześnie, na skutek rozkazów sowieckich, 2 i 3 d.p., znajdujące się pod osobistym dowództwem Berlinga, zostały przeniesione z przyczółka magnuszewskiego na Pragę i umieszczone nad Wisłą. W nocy z 15 na 16 września 3 d.p. zluźowała sowiecką 143 d.p. na Saskiej Kępie. Tej samej nocy, na skutek zarządzenia bojowego nr 00168, wydanego przez gen. Galickiego, 1 batalion 9 p.p., (wchodzący w skład 3 d.p.), pod dowództwem por. Kononkowa (oficer sowiecki — poległ on potem na Czerniakowie) przeprowadził desant na przyczółek czerniakowski. Natomiast szef sztabu 9 p.p. mjr Łatyszonok wylądował na Czerniakowie z 16 na 17 września, a nie z 14 na 15 jak podaje p. Nowak.

Próby utrzymania przyczółka czerniakowskiego przez 3 d.p. trwały do 22 września. W akcji tej brały czynny udział również oddziały sowieckie, dostarczając ogień artyleryjski i zasłony dymne. Z 3 d.p. wzięło udział w forsowaniu Wisły 2.078 ludzi. Spośród nich poległo, lub zaginęło bez wieści na zachodnim brzegu Wisły 1.621 ludzi. Niepowodzenia w utrzymaniu przyczółka czerniakowskiego doprowadziły do zwolnienia gen. Galickiego ze stanowiska dowódcy 3 d.p. w dniu 21 września 1944. Berling składał codziennie pisemne meldunki bojowe (w języku rosyjskim) Rokossowskiemu o przebiegu forsowania Wisły.

Nie ulega więc wątpliwości, że cała ta akcja została rozpoczęta i była kontynuowana na skutek rozkazów sowieckich i była w pełni kontrolowana przez dowództwo sowieckie. Gdyby Berling ośmielił się zapoczątkować tę akcję na własną rękę, niewątpliwie dowództwo sowieckie zdołałoby przywołać go do porządku w ciągu tygodnia, między 15 i 22 września. W tej sytuacji trudno przyjąć opinię p. Nowaka:

„Operacja desantowa była samowolną akcją podjętą przez Berlinga” (str. 59).

Zakończenie tej akcji miało miejsce również na skutek rozka-

zów sowieckich. W dniu 22 września, rozkazem nr 00986 Rokossowski nakazał Berlingowi przegrupowanie i przejście do obrony. Berling potwierdził rozpoczęcie wykonywania tego rozkazu w swym meldunku z dnia następnego.

Berling pozostał na stanowisku dowódcy 1 armii LWP do pierwszych dni października 1944. Ostatni znany rozkaz 1 armii podpisany przez niego nosi datę 30 września, a pierwszy podpisany przez jego następcę, gen. Korczyca — 16 października. Daty te sugerują, iż Berling nie popełnił poważnych przestępstw z punktu widzenia dowództwa sowieckiego, bo gdyby był winien samowoli, i to samowoli o charakterze wybitnie politycznym, niewątpliwie zostałyby usunięty natychmiast.

W świetle przytoczonych faktów, zachodzi pytanie, jak należy traktować relację o rozmowie Rokossowski-Berling przytoczoną przez p. Nowaka (str. 60). Niestety nie wiadomo, kiedy ta rozmowa miała mieć miejsce, podano jedynie, iż odbyła się ona „w kwaterze sztabu 1 d.p. przy ul. Kawęczyńskiej na Pradze” (str. 60). Z opublikowanych dokumentów wynika, że 15 września 1944 kwatera główna 1 d.p. znajdowała się przy ulicy Kawęczyńskiej 16, ale już od następnego dnia, na skutek przeniesienia 1 d.p. do odwodu, kwatera gł. ulokowała się w Rembertowie. Można więc wnioskować, że jeżeli przytoczona przez p. Nowaka rozmowa miała miejsce, to mogła ona odbyć się przed 16 września i mogła dotyczyć ewentualnego użycia 1 d.p. do celów desantowych, o co mógł zabiegać Berling, wbrew rozkazom przeniesienia jej do odwodu. Przypuszczenie to ma pewne podstawy, gdyż według uprzednich planów, desant w nocy z 15 na 16 września miała przeprowadzać 1 d.p. z pomocą sowieckiej 143 d.p., a nie 3 d.p. LWP, która była w trakcie transportowania na Saską Kępę.

Wreszcie zostaje ostatnia sprawa. Pan Nowak pisze:

„Znaczenie listu z 1956 roku polega na wyraźnym stwierdzeniu przez samego Berlinga, że przyczyną odwołania go do Lublina z linii frontu pod Warszawą była jego próba przyścia z pomocą Powstaniu Warszawskiemu” (str. 46).

Przeczytałem dokładnie cały ten list i znalazłem tylko jedno zdanie dotyczące tej sprawy, brzmi ono następująco:

„Prawdą jest, że nie zostałem aresztowany w 1944 roku w wyniku próby przyścia z pomocą Powstaniu Warszawskiemu, ale prawdą jest, że zostałem usunięty z dowództwa Pierwszej Armii i odesłany do Lublina, gdzie zacząłem pracę jako członek Polskiego Komitetu Wyzwolenia i członek Krajowej Rady Narodowej” (str. 41).

Zdanie zawile, ale wydawałoby się, iż wniosek wręcz przeciwny do tego jaki wyciągnął p. Nowak byłby bardziej słuszny.

Sądzę, że powodów usunięcia Berlinga z dowództwa 1 armii LWP należy dopatrywać się nie w jego samowoli dowódczej,

a w zadawnionych zatargach z działaczami partyjnymi na co zwraca uwagę Feliks Mantel (*Zeszyty Historyczne* Nr 16, str. 42), jak również sam Berling w zacytowanym przez p. Nowaka liście z 1956 roku. Przeciwnicy Berlinga mogli wykorzystać wielkie straty i niepowodzenia przy forsowaniu Wisły, a szczególnie wysadzenie 19 września na północ od przyczółka czerniakowskiego dwóch batalionów 8 p.p. i sowieckiej kompanii miotaczy płomieni bez nadrzędnego dowództwa, bez artylerii i bez nawiązania łączności z prawym brzegiem Wisły. Desant ten uległ całkowitemu zniszczeniu*.



Krótki życiorys Berlinga podany przez p. Nowaka zawiera również pewne nieścisłości i nieudomowienia. Oto niektóre z nich:

Pan Nowak podaje, że drugą żoną Berlinga była Rumunka, ale „małżeństwo... zakończyło się bliżej nieznanym skandalem obyczajowym” (str. 47). Natomiast według „chronicznego adiu-tanta” Berlinga, a późniejszego pułkownika NSZ, Tadeusza Boguszewskiego, była to Węgierka, flama Berlinga z okresu służby w II-giej Brygadzie Legionów w czasie pierwszej wojny światowej. Zjechała ona do Wilna wraz z meblami, za odesłanie których na Węgry, po zerwaniu małżeństwa, Berling nie chciał płacić. Sprawa oparła się o ambasadę węgerską w Warszawie i o Sąd Honorowy dla Oficerów Sztabowych przy DOK X. Berling został ukarany surową naganą.



Według p. Nowaka bezpośrednim powodem odejścia z wojska były „konflikty z oficerami 4 p.p., którym Berling wówczas dowodził” (str. 47). Natomiast Boguszewski przedstawia te sprawy inaczej (*Zeszyty do historii NSZ*, Zeszyt 4). Według niego na początku 1937 roku znany ze swej ordynarności dotychczasowy protektor Berlinga, gen. Dąb-Biernacki, w czasie omawiania gry wojennej, zwrócił się do oficerów 6 p.p. Legionów, którym wówczas Berling dowodził, „używając najbardziej wulgarnych i obraźliwych słów i porównań”. Berling z miejsca zaprotestował, co doprowadziło do raportu karnego, w czasie którego Berling rąbnął swoją rogatywkę pod nogi generała-inspektora” i wyszedł z gabinetu. Dąb-Biernacki żądał natychmiastowego zwolnienia Berlinga z wojska. Mimo to jednak w marcu 1937 został on wyznaczony dowódcą swego macierzystego 4 p.p. Legionów. Na tym stanowisku, podjudzani przez Dąb-Biernackiego, wyżsi ofice-

* Powyższe uwagi oparte są na następujących pracach: Borkiewicz, *Powstanie warszawskie*; Komornicki, *Na barykadach Warszawy*; Margules, *Przyczółki warszawskie*; Wołoszyn, *Na warszawskim kierunku operacyjnym*, oraz *Organizacja i działania bojowe LWP w latach 1943-45*, tom II, część I.

rowie legionowi utrudniali Berlingowi życie, co doprowadziło do jego rezygnacji ze służby wojskowej w 1939 roku. Jednocześnie zwrócił się on z prośbą o awansowanie go, przy zwolnieniu, do stopnia pełnego pułkownika, „to było w polskim korpusie oficerskim bez precedensu” — pisze Boguszewski. Prośba ta nie została spełniona.

◆

Pisząc o herbatce z kanapkami (podobno koniak też podano), którą Beria i Mierkułow podejmowali Berlinga, Bukojemskiego i Górczyńskiego 30 października 1940 roku (str. 49), należałoby dodać, iż właśnie wówczas przedstawiciele sowieccy stwierdzili, że nie można liczyć na tych oficerów, którzy znajdowali się w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkwie, jako na przyszłych oficerów dywizji pod dowództwem sowieckim. „*My sdielali z nimi balszuju oszibku*” — stwierdzili Beria i Mierkułow. To był pierwszy znak, że ci oficerowie już nie żyją. (Sprawę tę omawiają: Zawodny, *Death in the Forest*; Mackiewicz, *The Katyn Wood Murders*; Czapski, *Dwugłos wspomnień*).

◆

Według relacji gen. Andersa (*Kultura*, nr 7/274-8/275) nie znał on działalności Berlinga w latach 1939-41 przy pierwszym z nim spotkaniu w sierpniu 1941 roku. Dopiero przy drugim spotkaniu, jak pisze p. Nowak, „Anders był dokładnie poinformowany” (str. 53). Przyczyniło się do tego to, iż w obecności gen. Szyszki-Bohusza, gen. Przeździecki odmówił podania ręki Berlingowi. Dopiero wówczas najpierw Szyszko-Bohusz, a potem Anders dowiedzieli się jaką rolę spełniał Berling w niewoli.

◆

Również na podstawie relacji gen. Andersa należałoby wyjaśnić, iż Berling został szefem sztabu 5 d.p. dlatego, że Boruta-Spiechowicz, który znał Berlinga z II-giej Brygady Legionów, zażądał go na swego szefa sztabu w czasie konferencji z oficerami sowieckimi, bez uprzedniego porozumienia się z Andersem. A to, iż później „Berling popadł w konflikt z gen. Borutą-Spiechowiczem” (str. 54) miało swe bardzo proste przyczyny. Obaj zalecali się do tej samej „pięknej ochotniczki” i w ordynarnych słowach nawzajem nawymyślali sobie publicznie, w kasynie oficerskim. Jak zwykle, młodszy stopniem, Berling, został ukarany. Ale w nagrodę „piękna ochotniczka” wybrała jego, a nie Borutę-Spiechowicza.

◆

Wyznaczenie Berlinga na komendanta bazy ewakuacyjnej w Krasnowodsku nie miało aż tak wielkiego znaczenia, jakie przy-

pisuje mu p. Nowak (str. 54). Po pierwsze, Berling został skierowany na tę funkcję w kwietniu 1942 roku, kiedy pierwsza ewakuacja dobiegała już końca, a nie było jeszcze wówczas wiadome, czy druga i ostateczna ewakuacja będzie miała kiedykolwiek miejsce. A po drugie, tak pierwszą, jak i drugą ewakuacją kierowało NKWD, więc taki, czy inny polski komendant w Krasnowodsku nie miał zbyt wiele do powiedzenia.



Na zakończenie należy dodać, że spośród tych wszystkich, którzy przeszli przez „willę szczęścia”, a których p. Nowak wymienił z wielką precyzją, zaledwie trzech pozostało w ZSSR — Berling, Bukojemski i Wicherkiewicz, a jako czwarta ta „piękna ochotniczka”, która „wybrała Berlinga”. Wicherkiewicz zginął jako pilot nad Warszawą we wrześniu 1944 roku. Wszyscy pozostali mieszkańcy „willi szczęścia” wyjechali na Środkowy Wschód. Spośród nich Rozen-Zawadzki był sądzony i skazany za szpiegostwo. Morawski natomiast zmarł w hotelu w Jerozolimie (zdaniem niektórych osób, w tajemniczych okolicznościach), a jego syn, eks-hubalczyk i oficer Brygady Karpackiej, zastrzelił się w restauracji hotelu King David w Jerozolimie. Musiała to być jakaś niezrównoważona rodzina.

Z. S. SIEMASZKO

Tadeusz BOGUSZEWSKI

Los Angeles, 4 października 1976.

SPRAWA BERLINGA

Nawiązując do artykułu p. Jana Nowaka w 37-ym *Zeszytcie Historycznym* widzę konieczność zilustrowania ponownie momentu i przyczyn usunięcia ppłk. dypl. Zygmunta Berlinga z szeregów oficerów Stanu Czynnego w marcu 1939 roku.

W 4 p.p. Leg. trzech ludzi orientowało się dokładnie w perypetiach Berlinga w latach 1937-39. On sam, jego ostatni adiutant (autor niniejszej notatki) i st. sierż. Woźniak, szef kancelarii pułkowej, mrurowanie dyskretny, któremu adiutant dyktował na osobności wszystkie pisma poufne związane z aferą d-cy pułku. St. sierż. Woźniak zmarł w roku 1941. Został Berling i jego dawny pomocnik wtajemniczony siłą rzeczy w całą korespondencję z tego okresu. Ze szczebli hierarchicznie wyższych (Dywizja, Korpus, Min. Spraw Wojskowych) większość orientujących się nie żyje.

Nie będę wyliczał co w artykule p. Nowaka jest prawdziwe, a co mylne. Podam swoją wersję fragmentu z przekonaniem, że każdy paperek dotyczący perypetii Berlinga był mi znany. Pomijam rozmowy na ten temat w aktualnym czasie.

Zygmunt Berling, syn pracownika kolejowego (nauczyciela? Może) ur. w roku 1896, w Sączu, był podoficerem w 4 p.p. Leg. w czasie Pierwszej Wojny Światowej. W latach 1918-1924 był oficerem w 4 p.p. Leg. w Kielcach. Ożenił się również w Kielcach. Małżeństwo rozpadło się. Aż do roku 1939 większość swojej gaży wydawał na wychowanie i kształcenie dwóch córek, które prawdziwie kochał. Córki mieszkaly z matką w Warszawie.

Skończył Wyższą Szkołę Wojenną. Był Szefem Sztabu 15-tej dywizji, Szefem Sztabu DOK Kraków, z-cą d-cy 6 p.p. Leg., *d-cą 6 p.p. Leg.*, d-cą 4 p.p. Leg.

Miałem okazję przeczytania jednej z opinii mjr. dypl. Berlinga wystawionej przez gen. Thomme: „Ma głowę na karku a w głowie olej”.

Okres „podpułkownikowski” był w życiu Berlinga najciekawszy, najbardziej znamieny i zawierał związki przyczynowe z zaistnieniem stalinowskiego generała B.

Na wszystkich stanowiskach w sztabach Berling zyskał sobie opinię zdolnego sztabowca i kierownika sztabu. Jako d-ca musiał też wyróżnić się skoro gen. Dąb-Biernacki promował go z funkcji z-cy d-cy na d-cę 6 p.p. Leg. To było bardzo wyraźnym wyróżnieniem, bo dowódcami pułków w 1-szej dywizji piechoty Legionów, tylko oficerowie z I-szej Brygady, i to najlepsi, byli wyznaczani na d-ców pułków. Musiał Dąb bardzo wysoko oceniać zdolności Berlinga-Czwartaka.

Późniejsza niełaska Dęba zdruzgotała Berlinga.

Na początku roku 1937, w czasie omawiania gry wojennej dla oficerów 6 p.p. Leg., inspektor Armii, gen. Dąb-Biernacki, zmieszał z błotem korpus oficerski pułku, używając najbardziej obraźliwych słów i porównań. D-ca pułku, Berling, z miejsca i z dużą odwagą cywilną zameldował generałowi, że jego oficerowie nie są „g.no” i że generał przekroczył wszelkie normy w sposobie wystawiania się.

Wściekły Dąb kazał gen. Kowalskiemu, d-cy 1-szej dywizji piechoty Leg., przedstawić Berlinga do raportu. Raport skończył się tym, że Berling rąbnął rogatywkę pod nogi generała-inspektora i opuścił gabinet.

Dąb zażądał od ministra Spraw Wojskowych natychmiastowego zwolnienia Berlinga ze Stanu Czynnego. Akurat w tym czasie stanowisko d-cy 4 p.p. Leg. było do obsadzenia.

W marcu 1937 roku ppłk dypl. Berling został zwolniony ze stanowiska d-cy 6 p.p. Leg. i mianowany d-cą 4 p.p. Leg.

W okresie wileńskim Berling nawiązał korespondencję z ławnym flirtem z czasów internowania legionistów na Węgrzech (kryzys Legionowy). Dawna miłość, *arystokratka węgierska*, była już wdową. Dawny legionista i niegdyś hoża Węgierska postanowili listownie... pobrać się.

Jejmość zjechała do Wilna razem z bogatym i stylowym umeblowaniem. Przerazony pułkownik nie mógł poznać dawnej bogdanki. Ślub jednak odbył się. Wypadało...

Od razu po ślubie Berling tak zatruł życie nowej małżonce, że ta w parę tygodni uciekła do domu na Węgry, polecając odesłać meble, dywany i obrazy. Berling, jak Berling — płacąc alimenty i koszty wychowania córek — był zawsze bez grosza. Jak mi mówił: „Koszt przewiezienia gratów z Wilna na Węgry kosztowałyby mnie najmniej 2 pełne miesięczne pensje. Oddałem to wszystko na przechowanie w Wilnie, a żonie posłałem kwit. Baba przywoła, niech baba zabiera jak chce!”.

Srodze zawiedziona jejmość złożyła skargę do polskich władz wojskowych, co znalazło swój epilog w Sądzie Honorowym dla Oficerów Sztabowych przy

DOK X w Przemysłu. Wyrok: surowa nagana. Był to wyrok nazbyt srogi. Następny stopień w procedurze Sądów Honorowych była degradacja z wydaleniem z wojska.

Dąb nie zapomniał o istnieniu Berlinga. Jego przyjaciele i podwładni z I-szej Brygady, może w najlepszej wierze, wykańczali Berlinga. Generał Tokarzewski, generał inspekcjonujący 2 dyw. piech. Leg. (a więc i 4 p.p. Leg.) do absurdu doprowadził naciski na Berlinga w czasie ćwiczeń aplikacyjnych i na manewrach. Taktycznie i operacyjnie Berling górował i nad Tokarzewskim i nad Dojan-Surówką (d-ca dywizji) nawet nad Roweckim (d-ca piech. dywizyjnej), który miał ciągotki do schematyzowania i nie miał tego polotu i błysków talentu jakie cechowały Berlinga. Może administracja i gospodarka mniej ciekawiły Berlinga. Nie lubił tzw. „liczenia gaci”.

Wykańczanie w dziedzinie taktyczno-operacyjnej było szyte grubymi nićmi. Było widocznym dla każdego nonsensem. Przecież można było zarzucać Berlingowi istotne wady i niedociągnięcia: dokuczliwość w stosunku do podwładnych, niechęć współpracy z czynnikami administracji cywilnej, znudzenie się w „liczeniu gaci”, cynizm w stosunku do kobiet, okrucieństwo w stosunku do zwierząt...

Berling *nie został zwolniony rozkazem władz!* Sam prosił — doprowadzony do depresji — o przeniesienie w stan spoczynku. W motywach podał całą bezsensowną nagonkę zorganizowaną przez Dęba.

Ja osobiście nadałem temu pismu ostateczną formę i tylko to pismo sam wystukiwałem na maszynie jednym palcem. Inne pisma w tej sprawie dyktowałem Szeffowi.

Ujęcie się za swoimi oficerami uważam za najpiękniejszy moment w życiu Berlinga przed marcem 1939. Nie jest prawdą, że konflikty z oficerami 4 p.p. Leg. przyczyniły się do zwolnienia Berlinga. Berling nie był lubiany ani w 6, ani w 4 p.p. Leg. Do konfliktów nie dochodziło.

Zaraz po wysłaniu pisma z prośbą o zwolnienie w Stan Spoczynku, Berling wysłał drugie pismo do Ministra Spraw Wojskowych z prośbą o... awansowanie go do stopnia pełnego pułkownika. Motywował całkiem logicznie, ale samo pismo było bez precedensu. Uważałem, że poniżył się.

Berling został oddany „Do dyspozycji d-cy OK III” w Grodnie. Wilno też należało do DOK III. Wciąż był w Stanie Czynnym. Nie wiem czy wyszedł kiedykolwiek rozkaz przenoszący go w Stan Spoczynku (emerytura). Wątpię. Wybuch wojny mógł nie pozwolić na definitywne zwolnienie.

W Krasnowodzku do jednego z moich kolegów, który też służył kiedyś pod Berlingiem, powiedział „K-wa ich mać! Zabierają 100.000 i d-kę w troki wynoszą się w bezpieczne miejsce. Półtora miliona zostawiają na pastwę losu. Ja zostaje!”.

To samo, bez kwiecistych słów, powiedział do żony i córki gen. Zulaufa (śp. gen. Zulauf był do końca 1938 roku d-cą dywizji w Kielcach. Zmarł w niewoli. Żona generała zmarła z wyczerpania na barce w drodze z Krasnowodzka do Persji). Z córką generała rozmawiałem na ten temat w marcu 1976 w Los Angeles.

Jeśli Berling myślał to co mówił o ewakuacji z Rosji, to można by to zaliczyć na jego dodatnie konto...

W lutym 1965, w okresie „przerzucania mostów” przez Moczara, gen. broni Berling, Łowczy Pol. Rep. Ludowej, ówczesny wiceprezes ZBOWiD'u, odnalazł mnie w Stanach i prosił o zaproszenie do USA bo „chciałbym wam wyjaśnić rzeczy których wy nie rozumiecie”. Odmówiłem. Z jego strony

trzy listy (ostatni z ciężkim wymyślaniem) z mojej dwa nie doprowadziły do znalezienia wspólnego języka.

Berling ożenił się po raz trzeci (chyba w Rosji) z bardzo, sądząc ze zdjęcia, urodziwą niewiastą. Z tego małżeństwa ma syna, który w roku 1965 studiował architekturę na Politechnice Warszawskiej. Wynioskowałem z listów, że gorąca miłość do dziewcząt znacznie ostygła. Czy dlatego że wyszły za męża, czy może syn zajął ich miejsce?

Tadeusz BOGUSZEWSKI



8 sierpnia 1976 r.

Do Redakcji

Zeszytów Historycznych

Nie zamierzałem odpowiadać na zarzuty W. M. Marcinkowskiego podniesione w jego artykule pt. „Jeszcze o Narodowych Siłach Zbrojnych” (*Zeszyty Historyczne* Nr 36, str. 188). Trudno jest bowiem argumentować z autorem aspirującym do roli historyka, dla którego wszystko co pochodzi ze źródeł AK to czyste kłamstwo, natomiast wszystko co pochodzi ze źródeł NSZ to szczerą prawdą. Ta metoda zamyka drogę do rzeczowej dyskusji.

Zdecydowałem się odstąpić częściowo od tego zamiaru po przeczytaniu książki pt. „Narodowe Siły Zbrojne — kulisy walki podziemnej 1939-1946”, której autorem jest Jerzy Pilaciński („Lech”) jeden z wyższych dowódców NSZ-tu. Według życiorysu podanego w książce, Jerzy Pilaciński: „W 1942 roku bierze udział w zorganizowaniu Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Pełni obowiązki szefa Oddziału VI Komendy Okręgu Warszawa Wojew. NSZ a od początku 1944 roku jest oficerem do specjalnych zleceń Komendy Głównej tej organizacji. Podczas Powstania Warszawskiego pełni obowiązki szefa Oddziału VI Komendy Głównej NSZ. Po upadku powstania jest z-cą szefa Oddz. VI Komendy Głównej NSZ i redaktorem „Wielkiej Polski”.

J. Pilaciński potwierdza na ogół to, co napisałem o NSZ w mej pracy „Polskie Państwo Podziemne — przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945”. Ograniczę się więc jedynie do odpowiedzi przy pomocy cytat z książki p. Pilacińskiego na najpoważniejszy zarzut p. Marcinkowskiego, a mianowicie, że:

„P. Korboński pozwolił sobie na napisanie, że Brygada Świętokrzyska ‘przeszła na stronę Niemców’. Niełatwo w krótkich słowach tę sprawę omówić. Ale spróbuję. Może p. Korboński tę obelgę cofnie” (str. 193).

Na ten temat pisze Jerzy Pilaciński co następuje:

„Druga, dużo mniejsza liczebnie organizacja, była kierowana przez przedwojenną konspirację Obozu Narodowo-Radykalnego (O.N.R.), grupę ABC (znaną w konspiracji jako grupa ‘Szańca’). Wkrótce po podpisaniu

umowy z AK grupa ta oderwała się, występując nadal pod nazwą N.S.Z. Poważną część tej grupy została skoncentrowana w tak zwanej 'Brygadzie Świętokrzyskiej' i na podstawie porozumienia O.N.R. z władzami hitlerowskimi wycofała się wraz z armią niemiecką na teren Czechosłowacji. To posunięcie grupy O.N.R. łamiące tradycję pięcioletniej, nieugiętej walki z niemieckim najeźdźcą całego polskiego podziemia, wprowadziło duży zamęt w opinii publicznej, zwłaszcza, że zostało wyolbrzymione przez wrogą propagandę i skierowane pod adresem całości sił N.S.Z. Trzeba więc mówić wyraźnie o dwóch organizacjach: NSZ-SN i NSZ-ONR" (str. 30).

„W miesiącu czerwcu i lipcu 1944 odbywała się koncentracja oddziałów leśnych NSZ oraz wysyłanie ludzi do tych oddziałów na przeszkolenie w Górach Świętokrzyskich. Po wybuchu powstania w Warszawie, przyjechali do tych oddziałów trzej oficerowie usunięci z Komendy Okręgu Kielce, oraz kilku działaczy politycznych ONR z Warszawy, między którymi był inż. Marcinkowski Władysław ps. 'Jaksa' i powołując się na Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju, który wówczas był odcięty w Warszawie, objęli dowództwo nad wszystkimi tymi oddziałami, nadając im nazwę 'Brygady Świętokrzyskiej'” (str. 161).

„W momencie zbliżania się frontu w styczniu 1945 roku 'Brygada Świętokrzyska' wycofała się z jednostkami armii niemieckiej w rejon Brna na Morawach, a po podjęciu ofensywy sowieckiej na Morawy, została przeniesiona przez Niemców w rejon Pilzna. Wyszkoleni skoczkiwie spadochronowi 'Brygady' zostali zrzućeni z samolotów niemieckich celem robienia dywersji na tyłach frontu sowieckiego.

'Brygada Świętokrzyska' otrzymała od władz niemieckich prawo werbowania żołnierzy polskich znajdujących się w obozie jeńców wojennych. Członek Komendy Głównej NSZ 'Tadeusz', który znalazł się w obozie jeńców po upadku Powstania Warszawskiego pisze:

'Gdy siedziałem w Murnau, jeszcze przed wkroczeniem amerykańskiej armii, dwóch oficerów 'Brygady' z jaszczurkami na ramieniu, opatrzonych w papiery niemieckie przybyło werbować nas do armii polskiej przy boku niemieckim. Oczywiście ani jednego ochotnika nie znaleźli!" (str. 163 i 164).

Przedmowę do książki Jerzego Pilacińskiego napisał p. Jędrzej Giertych. Oto te jej części, które odnoszą się do „Brygady Świętokrzyskiej” i p. Marcinkowskiego:

„... Istniała wobec tego obok właściwego NSZ inna jeszcze organizacja używająca nazwy NSZ. Ta druga organizacja przemazzerowała 1945 roku z bronią w rękę na zachód jako tak zwana 'Brygada Świętokrzyska' i nabrała potem pewnego rozgłosu. Jej czyny i postawa były do gruntu obce ideologii, dążeniom i postawie właściwego NSZ. Ten ostatni nie ponosi za nie odpowiedzialności, w wielu wypadkach potępiał je, a niekiedy był ich ofiarą, do tego stopnia, że jego wybitni przywódcy byli przez ów drugi NSZ zabijani” (str. 5).

„... O.N.R. nie ma i nie miał nic wspólnego z obozem narodowym, jego ideologią, światopoglądem, doktryną polityczną i dążeniami. Oczywiście, jest prawdą, że wyszedł on z obozu narodowego w sensie organizacyjnym. Ale jest to geneza czysto formalna, bez treści ideowej. Ludzie, którzy założyli O.N.R., a zwłaszcza ci którzy wypełnili potem jego szeregi, nie byli nigdy narodowcami”.

„Po wtóre, ulegli oni wpływowi modnych w świecie poglądów faszystowskich. O.N.R. — to byli polscy faszyci. Wielu z nich wstąpiło do obozu narodowego, zwłaszcza do Obozu Wielkiej Polski, bo spodziewali się, że będzie

to polski obóz faszystowski. Ale się pomylili — i wkrótce odeszli” (str. 23 i 24).

„Ze organizacje bojowe O.N.R. zorganizowane w brygadę, znaną pod nazwą 'Brygady Świętokrzyskiej', zawarły porozumienie z Niemcami, po to, by bez przeszkód ze strony armii niemieckiej przemaszerować jeszcze w czasie trwania wojny do zachodnich Czech i znaleźć się dzięki temu w chwili zakończenia wojny w zasięgu wpływu armii amerykańskiej i móc potem przejść w amerykańską służbę na terenie Niemiec Zachodnich, to jest wiadome ogólnie.

Ale wypłynęły fakty jeszcze jaskrawsze. Oddziały NSZ - ONR były w porozumieniu z armią niemiecką i korzystały z pomocy niemieckiego lotnictwa, które zrzucało na spadochronach, ze swoich samolotów, agentów O.N.R. do akcji na tyłach armii sowieckiej. To już nie była błędna orientacja polityczna, to była jawna zdrada w trakcie toczącej się wojny” (str. 26).

Jak stąd widać, obaj autorzy, książki i przedmowy, idą tak daleko w chwalebnej chęci potępienia i oderwania się od ONR (faszyści) i „Brygady Świętokrzyskiej” („jawna zdrada”), że rozłam w NSZ wykorzystują dla stworzenia po trzydziestu latach koncepcji dwóch NSZ-tów, co nadawałoby się do odrębnej dyskusji, która jednakże wykraczałaby poza ramy i intencje niniejszego listu do Redakcji.

Jak jednak w świetle przedstawionych faktów ujawnionych przez „kłótnię w rodzinie” NSZ-towej wygląda sugestia p. Marcinkowskiego, bym cofnął obelgę, jaką było stwierdzenie w mej książce, że „Brygada Świętokrzyska przeszła na stronę Niemców”? Przecież tę „obelgę” pp. Pilaciński i Giertych potwierdzili w całej rozciągłości i wielokrotnie powtórzyli. W tym stanie rzeczy odwzajemnić się sugestią. Może p. Marcinkowski wreszcie uderzy się w piersi, przyzna do winy i zrezygnuje z zarzutu, że to była obelga?

Stefan KORBOŃSKI

W. M. MARCINKOWSKI

Montreal, 21 września 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście swoim, w odpowiedzi na mój list drukowany w tomie 36-tym *Zeszytów Historycznych*, nie podejmuje p. Korboński dyskusji ze mną ani nie odpowiada na żadne z moich pytań, które do niego skierowałem. List jego robi wrażenie, że celem jego jest jedynie podważenie mojej wiarygodności i wciągnięcie mnie w polemikę z pp. Pilacińskim i Giertychem.

Wbrew twierdzeniu p. Korbońskiego, że aspiruję do roli historyka, nigdy do tej roli nie aspirowałem i nie aspiruję. Jeżeli zabieram głos, to w sprawach, w których brałem czynny udział lub których byłem świadkiem. Powołuję się na dokumenty i źródła dla informacji czytelników, nie jako źródła moich wiadomości. Na czym opiera p. Korboński swoje twierdzenie?

Wbrew twierdzeniu p. Korbońskiego nigdzie i nigdy nie twierdziłem że „wszystko co pochodzi ze źródeł AK to czyste kłamstwo, natomiast wszyst-

ko co pochodzi ze źródeł NSZ to szczerą prawdą". Gdzie p. Korboński to wyczytał?

Metoda zastosowana przez p. Korbońskiego „zamyka drogę do rzeczowej dyskusji”, mówiąc jego słowami.

P. Korboński, w oparciu o wyjątki z książki niejakiego p. Pilacińskiego i z przedmowy do niej p. Jędrzeja Giertycha, sugeruje mi, bym uderzył się w piersi, przyznał do winy i zrezygnował z zarzutu, że to co napisał p. Korboński o Brygadzie Świętokrzyskiej, było obelgą.

Czyżby p. Korboński, po przeczytaniu tej książki, uznał za autorytety w sprawach NSZ panów Pilacińskiego i Giertycha? Raczej przypuszczam, że zdał on sobie sprawę czym ta książka jest, ale skorzystał z okazji jej ukazania się by przytoczyć z niej urywki, dla czytelników *Zeszytów Historycznych*, którzy w swej większości mogą nie mieć możliwości ich właściwej oceny. To moje przypuszczenie zdaje się potwierdzać ustęp listu p. Korbońskiego, w którym pisze on o „chwalebnej chęci potępienia i oderwania się od ONR...” autorów tej książki i przedmowy do niej. Stwierdził więc jej tendencyjność.

Pewien jestem, że p. Korboński poznał się na wartości tego „dokumentu historycznego”. Posługuje się nim jednak, bo mu idzie na rękę. To znów „zamyka drogę do rzeczowej dyskusji”.

Książka i przedmowa do niej nie są tylko tendencyjne. Pisane bez znajomości faktów, fałszują fakty, wykazują kompletną ignorancję i cyniczne podejście autorów do prawdy i jej interpretacji. Pp. Pilaciński i Giertych idą aż tak daleko, że dla swoich celów w rozgrywkach wewnętrznych Stronnictwa Narodowego, przywłaszczają sobie wszystkie dokonania Związku Jaszczurczego, Narodowych Sił Zbrojnych i Grupy Szańca.

Z książką p. Pilacińskiego nie może być dyskusji. Moją o niej opinię wyraziłem w liście do Redaktora *Myśli Polskiej*, którego kopię załączam.

Checiałbym tylko zwrócić uwagę na to, że p. Korboński w swoim liście przedstawia p. Pilacińskiego jako jednego „z wyższych dowódców NSZ”. W życiorysie p. Pilacińskiego, na tylnej okładce jego książki, nie ma nic co by sugerowało taką jego pozycję. W wyjątku przytoczonym przez p. Korbońskiego, jest mowa o tym, że brał on udział w zorganizowaniu Narodowych Sił Zbrojnych. Ludzi, którzy organizowali NSZ były tysiące na różnych szczeblach organizacyjnych. W życiorysie p. Pilacińskiego jest powiedziane, że: „...pełni(ł) obowiązki szefa Oddziału VI Komendy Okręgu Warszawa Wojew. NSZ...”. Od szefa Oddziału VI w Okręgu, jeżeli rzeczywiście był nim p. Pilaciński, droga była daleka do pozycji jednego „z wyższych dowódców NSZ”. Szefem Oddziału VI, czyli Oświatowego, był przeważnie cywil w charakterze „oficera czasu wojny”. Zajmował się on kolportażem prasy konspiracyjnej i organizowaniem pogadańk ideowych w oddziałach.

Po co wprowadzanie w błąd czytelników? Czy w celu stworzenia fikcji autorytetu dla autora tego „dzieła”?

Na zakończenie, zamiast bić się w piersi i przyznać do winy, jak to sugeruje mi p. Korboński, wolę przytoczyć wyjątek z mego poprzedniego listu, w którym opisałem przejście na zachód Brygady Świętokrzyskiej. Był to „wyczyn z którego dumni są żołnierze Brygady Świętokrzyskiej i ich kole-dzy z Narodowych Sił Zbrojnych”.

Zdanie to podtrzymuję w całej pełni, zdając sobie sprawę, że od p. Korbońskiego, nie tylko nie mogę spodziewać się cofnięcia obelgi, ale nawet i odpowiedzi na te pytania o udokumentowanie jego twierdzeń, które w moim poprzednim liście postawiłem.

Łączę wyrazy poważania,

W. M. MARCINKOWSKI

ZAMKNIĘCIE KONKURSU IM. JÓZEFA WYRWY

Na Konkurs im. Józefa Wyrwy na prace o tematyce partyzanckiej, ogłoszony w 27-ym nrze Zeszytów Historycznych w 1974, a następnie przedłużony do połowy 1976 roku (Z.H. nr 32-gi, 1975), wpłynęły zaledwie dwie prace:

*Wspomnienie z walk pod Radoszycami — godło „Trawel”,
Hitlerowska pacyfikacja wsi Strużki, 3. 6. 1943 — godło „Dies irae”.*

Obie te prace — jakkolwiek bardzo rzetelnie i szczegółowo opracowane — nie zostały zakwalifikowane do nagrody.

Poprzednio wpłynęło sześć prac z których tylko jedna została wyróżniona.

Niepowodzenie Konkursu należy w pierwszym rzędzie przypisać temu, że kraj prawie nie był o nim poinformowany przez radiostacje zachodnie, nadające w języku polskim, jak również trudnościom przekazywania opracowań i związanym z tym ryzykiem.

*Redaktor Zeszytów Historycznych
Tadeusz WYRWA*

SPIS TREŚCI

Roman Zambrowski: <i>Uwagi o wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku</i>	3
Z. S. Siemaszko: <i>Brygada Świętokrzyska 1945-1946</i>	31
Roman Buczek: <i>Udział Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość (POWN) we francuskim Ruchu Oporu w latach 1941-1945</i>	59
Wiktor Sukiennicki: <i>O oddźwięk w sercu</i>	94
Piotr Wandycz: <i>MSZ w okresie międzywojennym. Odpowiedzi na Ankietę</i>	120
Baltazar Szczucki: <i>Trzydzieści lat w służbie nauki polskiej</i>	156
Józef Lewandowski: <i>Dzieje sprzed dwudziestu lat</i>	163

WSPOMNIENIA

Gen. Józef Jaklicz: <i>Fragmenty z pamiętnika</i>	165
Stanisław Lis-Kozłowski: <i>T e o d o r</i>	180
Wojciech Krzyżanowski: <i>Lata bukareszteńskie (1)</i>	192
Zygmunt Wójcik: <i>Wspomnienia z Armii Ludowej</i>	199
	237

RECENZJE

Czytelnik z Kraju: <i>Armia Krajowa w dokumentach</i>	218
Józef Lewandowski: „ <i>Przechowywać na zawsze</i> ”	220

POLEMIKI

Zbigniew S. Siemaszko: Polemika z artykułem Jana Nowaka pt. „Sprawa generała Berlinga” (<i>Zeszyt Historyczny</i> Nr 37-my)	224
Tadeusz Boguszewski: List do Redakcji w związku z wymienionym wyżej artykułem „Sprawa gen. Berlinga”	229
Stefan Korboński: Polemika z artykułem W. M. Marcinkowskiego pt. „Jeszcze o Narodowych Siłach Zbrojnych” (<i>Zeszyt Historyczny</i> Nr 36-ty)	232
W. M. Marcinkowski: Odpowiedź na powyższą polemikę Stefana Korbońskiego	234
—	
Zamknięcie Konkursu im. Józefa Wyrwy	226

Achévé d'imprimer le 22 novembre 1976 sur les presses
de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris, 18^e.
Dépôt légal : 4^e trimestre 1976.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAL NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
SIERPPIA I LISTOPADA KAZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 120,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 100,00.

CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1977 — F. 30,00.